

BELVA PLAIN

SZEPTY

CZEŚĆ PIERWSZA  
Wiosna 1985

## Rozdział 1

Zobaczyła uniesioną nad sobą rękę rozwścieczonego Roberta, uchyliła się przed ciosem, lecz pośliznęła się i uderzyła o kant otwartych drzwi szafy. Ogłuszona nagłym bólem, oparła się o ścianę, potarła policzek i z niedowierzaniem spojrzała na zakrwawioną dłoń.

- O, mój Boże! - Robert ukłęknał obok niej. - Pokaż. Nie, Lynn, pokaż! Dzięki Bogu, to nic groźnego. Po prostu przecięta skóra. Wypadek... Przyniosę ręcznik i trochę lodu. No, już dobrze, pomogę ci wstać.

- Niech cię wszyscy diabli! Nie dotykaj mnie! - Odepchnęła jego rękę, podniosła się z podłogi i usiadła na łóżku między walizkami. Dotknęła zimnymi palcami rozpalonej twarzy. Na kości policzkowej wyczuła rosnący guz. Dławiły ją łzy.

Robert miotał się pomiędzy sypialnią a łazienką.

- Cholera, gdzie jest pojemnik z lodem? W hotelu pierwszej kategorii powinien... o, jest nareszcie. Teraz ułóż się na plecach. Dam ci poduszkę. Przyłóż to sobie do twarzy. Bardzo cię boli?

Jego pełne niepokoju spojrzenie przyprawiało ją o mdłości. Zamknęła oczy. Gdyby mogła, zamknęłaby również uszy. Głęboki, pięknie modulowany głos Roberta wcale jej nie uspokajał.

- Potknęłaś się. Ja wiem... podniosłem na ciebie rękę, ale potknęłaś się. Przepraszam, Lynn, ale byłaś taka rozgniewana, nieomal wpadłaś w histerię, musiałem cię jakoś powstrzymać.

Otworzyła oczy.

- Ja? Ja byłem rozgniewana? Ja nieomal wpadłam w histerię? Zastanów się i spróbuj powiedzieć, jak było naprawdę. Jeśli cię na to stać.

- No cóż, przyznaję, trochę mnie poniosło. Ale to nic dziwnego. Sama przyznaj. Powierzyłem ci pakowanie moich rzeczy, a ty wiedząc, jak ważny jest ten zjazd, wiedząc, że od niego może zależeć mój awans do nowojorskiej centrali, moja szansa życiowa... I nagle okazuje się, że nie ma wieczorowej marynarki.

- Nie zrobiłam tego celowo. I powtarzam ci po raz trzeci, że Kitty Lombard powiedziała mi, że nie będą wymagane smokingi. Specjalnie o to pytałam.

- Kitty Lombard! Celowo źle cię poinformowała, a ty jesteś zbyt głupia, żeby się tego domyślić. Ile razy mówiłem ci, że są ludzie, którzy nie pominą żadnej okazji, by z innych zrobić idiotów?

Zwłaszcza w świecie biznesu. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie należy ufać każdemu napotkanemu Tomowi, Dickowi czy Harry'emu? Chyba już nigdy. - Poirytowany i zły Robert, zamasyście krążący po pokoju, sprawiał wrażenie olbrzyma. - A przy okazji, jeszcze raz ci przypomnę, że chodzi nie o smoking, lecz marynarkę wieczorową.

- Dobrze, już dobrze. Jestem prowincjuszka, zwykłą prowincjuszka. Chyba pamiętasz? Mój tata prowadził sklep z żelastwem. Dopóki nie spotkałam ciebie, wieczorowe marynarki widywałam wyłącznie w kinie. Nie widywałam jednak mężczyzn podnoszących rękę na kobietę.

- Och! Skończ już z tym, Lynn! Nie ma sensu powtarzać tego przez cały wieczór. Dochodzi szósta, a kolacja będzie o siódmej. Lód prawie się stopił. No, pokaż, jak to wygląda.

- Zostaw mnie w spokoju. Sama się tym zajmę.

Zamknęła się w łazience. Z dużego lustra spoglądała na nią drobna, piegowata kobieta o dziewczęcym - mimo trzydziestu sześciu lat - wyglądzie. Miała gładkie włosy koloru piasku, czesała się tak samo jak za czasów szkolnych - z grzywką. Na jej miłej, choć nie zwracającej uwagi twarzy o ładnych, jasnych oczach widniał siniec o wiele większy i brzydszy, niż początkowo myślała - teraz niebieskozielony. Patrzyła na niego z przerażeniem.

Robert otworzył drzwi.

- Jezu! Nie możesz zejść na dół z taką twarzą! Chyba że... - Zmarszczył czoło i zamyślił się.

- Chyba że co?

- Cóż... sam nie wiem. Mogę powiedzieć, że walizka z ubraniami zaginęła w czasie podróży, a ty masz kłopoty z żołądkiem. Urządź się tu wygodnie, weź gorącą kąpiel, połóż sobie lód na twarzy, wyciągnij na łóżku i poczytaj. Zadzwoń po służbę hotelową i zamów sobie dobrą kolację. Odpręż się. Na pewno poczujesz się lepiej. Miła, spokojna kolacja bez dzieciaków.

Lynn przyglądała mu się.

- Pan Wszystkowiedzący. Obmyśliłeś już sobie wszystko, jak zawsze. Wszystko na nic. Cały długo oczekiwany weekend. Nowa suknia z jasnozielonego jedwabiu, ozdobiona kryształowymi guzikami, nowe perfumy, manicure - cała radość z wyjazdu nagle zniknęła. Kompletna ruina. A on stoi sobie zadowolony, przystojny, bezpieczny i gotów do czynu, niecierpliwy.

- Nienawidzę cię - powiedziała.

- Och, Lynn, przestań! Powtarzam ci, nie mam zamiaru rozważać tego w nieskończoność. Po prostu weź się w garść. Ja także muszę się pozbierać, i to ze względu na nas oboje. Muszę pokazać się tam i zrobić dobre wrażenie. Zbierze się cała śmietanka i nie mogę sobie pozwolić na stratę takiej okazji. Teraz pójde się przebrać. Na szczęście drugi garnitur jest wyprasowany.

- Wiem. Sama go wyprasowałam.

- Przynajmniej z tego wywiązałaś się jak należy.

- Przez całe swoje życie dbam o to, żeby twoje toczyło się jak należy.

- Mów trochę ciszej, dobrze? Słyszać cię na korytarzu. Chcesz nas skompromitować? Nagle poczuła, że opuszczają ją siły. Ramiona, nogi, nawet głos kompletnie

odmówiły jej posłuszeństwa. Położyła się na brzuchu, twarzą do dołu, na wielkim łożu, pomiędzy walizkami.

- Spokój, spokój - powtarzała sobie.

Robert chodził po pokoju, przebierał się, podzwaniając kluczami. Gotowy do wyjścia podszedł do łóżka.

- Jak tam, Lynn? Masz zamiar tkwić tak, miętosząc wizytowe ubranie? Usta Lynn poruszyły się.

- Idź sobie. Po prostu idź sobie.

Usłyszała trzask zamykanych drzwi. W jednej chwili całe napięcie minęło. Wybuchła potokiem łez; wyplakiwała całe swoje oburzenie, poczucie niesprawiedliwości, poniżenia i klęski. Tak płakać mogła tylko w samotności.

„Zawsze byłaś pełną dumy, dzielną małą osobką” - mawiał jej tata. Och, taka mała, dumna, dzielna osobka! - myślała, a jej ciałem wstrząsał szloch.

Po pewnym czasie uspokoiła się. Poczowała pustkę, spokój i ulgę. Była zziębnięta i zeszywniała. Wstała z łóżka i podeszła do okna. Czterdzieści pięter niżej zobaczyła światła - poruszające się wzdłuż ulic, oświetlające sylwetki najwyższych budynków Chicago; srebrzące się na niebie ponad jeziorem Michigan. Wokół tętniło życie, wiatr gonił małe, ciemne, poszarpane obłoki, podzwaniał szybami.

Pokój hotelowy wydał jej się nagle obcy i pusty. Poczowała wokół siebie pustkę jak w domu, w którym ktoś zmarł. Lynn zadrzała,

chwyciła torebkę, wyjęła fotografię dzieci i postawiła ją na toalecie, mówiąc głośno: - No! Zrobione! - I od razu poczuła się lepiej.

Stała teraz przed nią i przyglądała się swoim dwóm córeczkom, które pozostawiła w domu w St. Louis zaledwie tego ranka. Tęskniła za nimi, chociaż - jak każda matka - czuła ulgę, opuszczając je na krótko. Gdyby tylko mogła spakowałyby wszystko i prędko do nich wróciła. Jej piękna Emily - wykapany Robert, jest tego wieczoru na potańcówce dla uczniów drugiej klasy liceum. Annie chyba właśnie wraca do domu ciotki Helen po przyjęciu urodzinowym u przyjaciółki z trzeciej klasy szkoły podstawowej. Sprytna Annie - zabawna, tajemnicza, wrażliwa. Tak, gdyby to było możliwe, poleciałyby do domu natychmiast. Ale pieniądze i bilety miał Robert. Nigdy nie miała swoich pieniędzy, tylko tygodniowy przydział na prowadzenie domu. A zresztą - przypomniawszy sobie - nie mogłabym wrócić do domu z taką twarzą i bez ich ojca.

Cisza aż dzwoniła w uszach. Poczowała rozpaczliwe, irracjonalne zagrożenie. Jakby ściany zamykały się wokół niej.

- Muszę się stąd wydostać - powiedziała głośno.

Włożyła płaszcz podróżny, podniosła kołnierz i obwiązała głowę chustką, naciągając ją na policzki jak wieśniaczka. Ale i tak nie udało się ukryć siniaka. Na szczęście w windzie były tylko dwie osoby. Para bardzo młodych ludzi, wystrojonych i tak zajętych sobą, że nawet nie spojrzeli na Lynn. W wyłożonym marmurami holu jedni spieszyli się na kolację, inni oglądali wystawy ze wspaniałymi futrami, jedwabiami, wyrobami ze skóry i biżuterią.

Rześkie, wiosenne powietrze chłodziło piekący policzek. Weszła do apteki, by kupić bandaż i jakąś maść.

- Wpadłam na drzwi. Czyż to nie głupie? - wyjaśniła. A potem, zaskoczona widokiem podpuchniętego oka w lustrze ponad głową sprzedawcy, dodała niezręcznie: - A na dodatek mam tę nieszczęsną alergię. Moje oczy...

Wręczając jej paczuszkę z pigułkami przeciw uczuleniu i maścią, sprzedawca spojrział na nią z niedowierzaniem i litością. Wybiegła na ulicę, wstydząc się własnej naiwności.

Poszła w kierunku jeziora, przypominając sobie niejasno z poprzednich pobytów w Chicago, że jest tam teren spacerowy, z zielenią i ławkami. Było zbyt chłodno, aby siedzieć bez ruchu, ale ona usiadła, otulając się ciasno płaszczem. Patrzyła na linię horyzontu,

gdzie niebo stykało się z jeziorem. Obok przechadzali się ludzie; spacerowali z psami, rozmawiali. Patrząc tak na nich, poczuła głęboki smutek i najchętniej rozplakałaby się, gdyby nie wyplakała już wszystkich łez.

A zapowiadało się tak wspaniale. Lot trwał krótko, więc mieli dość czasu, by przed powrotem do hotelu przejść się Michigan Avenue. Robert uwielbiał oglądać wystawy. Lubił ciemne drewno na wystawach dobrych księgarń, osiemnastowieczne angielskie obrazy przedstawiające pola i farmy, klasyczne rzeźby, stare dywany, wszystko, co spokojne, eleganckie i kosztowne. Często przystawał, by podziwiać piękne suknie, jak ta, którą widzieli owego popołudnia - suknia balowa z brzoskwińowego jedwabiu, ozdobiona perłami.

- W sam raz dla ciebie - zauważył.

- Wkładałabym ją w sobotnie wieczory, idąc do kina - zażartowała.

- Gdy zostanę kierownikiem administracyjnym, będą okazje do noszenia takich sukien - odpowiedział, a potem dodał: - Pasuje do ciebie. Zwiewna, delikatna i miękka jak ty.

Tak dobrze się zaczynało... Ich wspólne życie także zaczynało się dobrze...

- Dlaczego nazywają cię „Midge” ? - zapytał. Nigdy przedtem nie zwracał na nią uwagi. Cóż dziwnego, był naczelnikiem działu, a ona zaledwie maszynistką. - Dlaczego? Na liście figuruje Lynn Riemer.

- Zawsze mnie tak nazywano. Nawet w domu. To skrót od „midget” (karzełek, małość, miniaturowa - przyp. tłum.). Pewnie dlatego, że mam wysoką siostrę.

- Rzeczywiście jesteś niewysoka. - Przyjrzał się jej z powagą. - Jakieś metr pięćdziesiąt pięć.

Największe wrażenie zrobiły na niej jego oczy. Błyszczące, niebieskie - ciemniejące lub rozjaśniające się zależnie od nastroju. Oczy działające na każdą kobietę w biurze i, w inny sposób, również na każdego mężczyznę. Mężczyźni darzyli go pełnym powagi szacunkiem; mógł ich zauważyć i awansować; lecz mógł także zwolnić z pracy, pogrążając w biedzie całą rodzinę. Kobiety odczuwały przed nim lęk i równocześnie mroczne, przyprawiające o drżenie, namiętne pożądanie. Ukrywały to. Żadna z nich nie przyznałaby się do swojej namiętności, aby nie narazić się na śmieszność - Robert Ferguson pozostawał całkowicie poza ich

zasięgiem i wszystkie doskonale zdawały sobie z tego sprawę. Należał do innego świata niż mężczyźni, wśród których żyły i z którymi chodziły na randki.

Pociągającym czyniły go nie tylko oczy i smukła, patrycjuszowska wręcz sylwetka. Otaczała go jakaś szczególna aura. Był pewny siebie, miał wspaniałą dykcję i doskonale się ubierał. Od wszystkich wymagał perfekcji, nie tolerował opieszałości. Dokumenty, które podsuwano mu do podpisu, musiały być bez zarzutu, a jego podpis doskonale czytelny: Robert Victor William Ferguson. Jego samochód musiał znajdować się w łatwo dostępnym miejscu zakładowego parkingu. Jednocześnie był miły i uprzejmy. Nie szczędził pochwał, gdy był zadowolony z czyjejś pracy. Nie zapominał o urodzinach pracowników i pozwalał na okolicznościowe uroczystości w biurze. Gdy ktoś zachorował, był szczerze zatroskany. Wszyscy wiedzieli, że ponadto pracuje społecznie w miejscowym szpitalu.

- Ten człowiek to zagadka - zauważyła kiedyś Lynn, gdy rozmawiano o nim w biurze. A rozmawiano o nim często.

- Od dziś będę cię nazywał Lynn - powiedział owego dnia. - I powiem wszystkim, by tak się do ciebie zwracali.

Nie miała pojęcia, dlaczego przywiązuje taką wagę do jej imienia. To głupie. A jednak, podniecona, oświadczyła siostrze, że odtąd nie będzie reagować, gdy zwróci się do niej „Midge”.

- Dlaczego? Co w tym złego?

- Mam ładne imię i nie jestem karliczką. Nawet mój szef stwierdził, że to dziwaczne. Helen spojrzała na nią rozbawiona. Lynn długo pamiętała to spojrzenie. Helen zawsze traktowała ją jak dziecko, nawet wtedy, gdy Lynn wyszła za mąż i miała już swoje dzieci.

- Twój szef? Coś mi się zdaje, że sporo o nim mówisz.

- Nieprawda.

- Ależ tak. Może sobie z tego nie zdajesz sprawy, ale tak właśnie jest. "Mój szef ma stereo w swoim gabinecie. Mój szef poczęstował wszystkich pizzą w czasie lunchu. Mój szef otrzymał dużą podwyżkę..."

To prawda, że myślała o nim coraz częściej, że śledziła każde jego wejście i wyjście. Marzyła o nim. Więc może Helen miała rację... Aż pewnego dnia Robert zaprosił ją na kolację.

- Wyglądasz na uszczęśliwioną - stwierdziła Helen.



- No, cóż. Jestem. Jednak ciągle się zastanawiam, dlaczego właśnie ja?

- A dlaczego nie miałabyś być ty? Jest w tobie więcej radości życia i energii niż w sześciu innych dziewczynach razem wziętych. Dlaczego inni chłopcy...

- Nic nie rozumiesz. Ten mężczyzna jest inny. Dystyngowany. Ma twarz jak na starych monetach w kolekcji taty.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia siedem.

- A ty dwadzieścia. I głowę pełną marzeń.

Lynn zachowała suknię, którą miała na sobie owego wieczoru. Sentymentalna aż do przesady, przechowywała wszystko - od sukni ślubnej i ubranek, w których chrzczone były dzieci, do suszonych kwiatów z bukietu, który Robert przysłał jej po pierwszej kolacji. Wspaniały pęk białych róż przewiązanych różową wstążką.

- Opowiedz mi o sobie - zaczął, gdy zasiedli do stołu. Między nimi paliła się świeca.

- Nie ma zbyt wiele do opowiadania.

- Zawsze jest, w życiu każdego. Zaczynij od początku. Urodziłaś się tutaj, w mieście?

- Nie. W Iowa. W miasteczku na południe od Des Moines. Matka umarła, a ojciec nadal tam mieszka. Siostra po wyjściu za mąż przeprowadziła się tutaj i dlatego tu przyjechałam ukończywszy szkołę średnią. U nas nie można znaleźć pracy. To jest moja pierwsza posada i mam nadzieję, że radzę sobie dobrze.

- Oczywiście.

- Chciałam zwiedzać miasto, oglądać różne miejsca i przyjemnie spędzać czas. Mam mieszkanie, chodzę na koncerty...

Skinał głową.

- To orkiestra światowej sławy. Najlepsza rzecz w całym Nowym Jorku.

- Nigdy tam nie byłam.

- Kiedy uczyłem się w Wharton School, często jeździłem do teatru. Z Filadelfii nie jedzie się długo.

Po winie stała się rozmowna.

- Chciałabym zobaczyć Europę: Anglię, Francję, Rzym.

- Miejsca, o których czytałaś w „Portrecie damy” w zeszłym tygodniu?

- Uśmiechnął się.  
- Skąd pan wie? - zdumiała się.  
- To bardzo proste. Widziałem tę książkę na twoim biurku. Nie na próżno nazywacie mnie w biurze „Sokole Oko”.

Roześmiała się i zarumieniała.

- Jak się pan o tym dowiedział? Nikt nigdy nie mówi...  
- Zawsze miałem dobry słuch. Zaatakowała odważnie.  
- Czy dlatego zaprosił mnie pan na kolację? Dlatego, że czytam Henry'ego Jamesa?

- Owszem, w pewnym stopniu. Byłem zaintrygowany. Musisz przyznać, że reszcie personelu wystarczają popularne magazyny filmowe, prawda?

- To są moje przyjaciółki. A ja nie przywiązuję wagi do takich rzeczy

- powiedziała lojalnie. - To nie ma żadnego znaczenia.

- Nie myśl, że jestem snobem. Nie osądzam ludzi na podstawie ich wykształcenia czy tego, jakie czytają książki. Ale sama przyznasz, że przyjemniej jest przebywać z ludźmi, którym podoba się to samo, co tobie. Poza tym jesteś piękna. A to jest coś, prawda?

- Dziękuję.

- Nie wierzysz, że jesteś piękna? Wątpisz w to? Powiem ci, jak wyglądasz. Jak porcelanowa lalka. Masz skórę białą jak mleko.

- A czy to dobrze wyglądać jak porcelanowa lalka? - odparowała Lynn.

- Myślę, że tak. To miał być komplement.

Ta rozmowa różniła się bardzo od wszystkich rozmów, jakie dotychczas prowadziła z mężczyznami. Z Billem i innymi rozmawiała się zupełnie inaczej. Nie była pewna, co powinna teraz powiedzieć.

- Cóż, opowiadaj dalej o sobie. Zaledwie zaczęłaś.

- Nie ma o czym mówić. Tata nie mógł opłacić mi uczelni, więc poszłam do bardzo dobrej szkoły dla sekretarek. Były tam również zajęcia z literatury angielskiej. Zawsze lubiłam czytać, a tam nauczyłam się, co czytać. Tak więc czytam i gotuję. To moje drugie hobby. Może to zabrzmieć jak przechwałki, ale doskonale gotuję. I to wszystko, jak sędzę. Teraz pana kolej.

- Okay. Urodziłem się i dorastałem w Pittsburghu. Nie mam siostr ani braci. To sprawiło, że czułem się trochę samotny. Rosłem jednak w dobrej rodzinie, miałem bardzo kochających rodziców.

Myślę, że trochę mnie rozpieszczali. Byli to ludzie na swój sposób niezwykli. Matka grała na fortepianie i nauczyła grać mnie. Nie jestem w tym specjalnie dobry, ale często grywam, bo to przywołuje wspomnienia o niej. Ojciec był człowiekiem wykształconym, bardzo spokojnym i łagodnym, trochę może staroświeckim. Interesy gnały go po całym świecie. Każdego lata jeździli do Salzburga na festiwal muzyczny. - Umilkł. - Zginęli w wypadku samochodowym tego lata, gdy kończyłem uczelnię.

- To straszne! Wystarczy, że ktoś umrze na atak serca, tak jak moja matka. Ale wypadek... to takie niepotrzebne, nie w porządku!

- Tak. Ale życie toczy się dalej. - Posmutniał, a jego usta i oczy znieruchomiały. Wtedy właśnie w końcu sali pianista zagrał i zaczął śpiewać: „Bajka opowiedziana przez nieznanego, przez nowego ukochanego, w błękitny wieczór majowy”.

Te stare, przejmujące słowa piosenki z lat czterdziestych, rozbrzmiewające w chwili, gdy Robert opowiadał jej o sobie, wypełniły jej serce jakąś tęsknotą, zakłopotaniem, smutkiem, a jednocześnie podniecającą radością. Poczula, że do oczu napłynęły jej łzy.

Spostrzegł jej wzruszenie, dotknął jej ręki i powiedział:

- Miła z ciebie dziewczyna... ale dość tego. Chodźmy, spóźnimy się do kina. Po powrocie do domu nie mogła zasnąć. Chcę być z nim do końca moich dni,

pomyślała. To on. Jedyny. Ależ ze mnie idiotka! Spędziliśmy raptem jeden wspólny wieczór, to wszystko. On wcale poważnie o mnie nie myśli. Czy mógłby? Nie jestem dla niego odpowiednia. On wcale mnie nie chce.

A jednak pragnął jej, i to bardzo. W biurze skrywali swoje uczucia; mijali się, nie spoglądając nawet na siebie. Radośnie strzegła tajemnicy. Tylko ona poznała inne oblicze tego mężczyzny, którego wszyscy uważali za niedostępnego i władczego, jego czułość i delikatność. Tylko ona wiedziała o tragicznej śmierci jego rodziców i o innych jego zmartwieniach.

- Byłem żonaty - zwierzył się. Poczula rozczarowanie i przyływ zazdrości.

- Poznaliśmy się na uczelni i pobraliśmy z końcem studiów. Kiedy myślę o tym teraz, dziwię się, że w ogóle do tego doszło. Ona była bardzo piękna i bardzo bogata, ale rozpieszczona i

nieodpowiedzialna, kompletnie do siebie nie pasowaliśmy. Querida - jej matka była Hiszpanką - miała artystyczną duszę. Malowała akwarele, ale według mnie była dyletantką. Podjęła pracę w małej galerii, a w dni wolne pomagała ochotniczo w muzeum. Robiła wszystko, żeby tylko uciec z domu. Nienawidziła domu. Panował tam straszliwy bałagan, nie gotowała żadnych posiłków, nie oddawała na czas rzeczy do pralni, nie robiła nic. Nie mogłem nikogo zaprosić do domu, by podtrzymać kontakty zawodowe, a to przecież niezbędne w świecie biznesu. - Zmarszczył czoło. - Jej sposób życia całkowicie odbiegał od tego, do czego przywykłem. Graliśmy sobie wzajemnie na nerwach i kłóciliśmy się prawie codziennie. Nie lubiła moich przyjaciół, a ja, muszę przyznać, nie przepadałem za jej przyjaciółmi. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Rozstalibyśmy się już wcześniej, gdyby nie dziecko. Jeremy. Ma teraz sześć lat.

- Co się z nim dzieje?

- Nie widziałem go, odkąd skończył rok. Ale łożę na niego, chociaż nie jest to potrzebne. Querida wróciła do rodziców, mieszka w rezydencji. To ona nie chciała, abyśmy wspólnie zajmowali się jego wychowaniem. Uważa, że to źle wpływa na dziecko, a ja nie chciałem podważać jej decyzji.

- A jednak to okropne, że go nie widzisz! I dla niego, że w ogóle cię nie zna. Robert westchnął.

- Tak. Zgadza się z tobą. Ale nie pamięta mnie, więc jest tak, jakbym dla niego umarł. Mam jednak nadzieję, że gdy dorośnie, zechce się ze mną zobaczyć. - Znowu westchnął.

- Na pewno zechce - powiedziała Lynn z mocą.

- Cóż, wie, gdzie mnie szukać. Co miesiąc wpłacam do banku pieniądze na jego konto. Oto i koniec mojej historii.

- Smutna historia.

- Tak. Ale mogło być gorzej, Lynn. Czasem wydaje mi się, że to wszystko zdarzyło się w moim poprzednim życiu - powiedział. - Nigdy dotąd nie mówiłem o tym. To zbyt osobiste. A ja - jak zapewne wiesz - bardzo dbam o swoją prywatność.

W końcu romans Roberta i Lynn musiał zostać zauważony. Po miesiącu Lynn przyprowadziła go do domu Helen. Mąż Helen, Darwin, był dobrodusznym człowiekiem o zaokrąglonej twarzy i podwójnym podbródku. Przy Robertcie, który wprost olśniewał elegancją w granatowym swetrze z białym kołnierzem, Darwin

sprawił wrażenie zmiętoszonego, jakby właśnie odbył drzemkę w ubraniu. Lynn była dumna, że może ukazać Helen dzielącą ich różnicę; dumna, a jednocześnie zawstydzona, że odczuwa tę dumę.

Następnego dnia Helen powiedziała:

- Na pewno jesteś ciekawa, co sędzę o twoim nowym przyjacielu. Otóż powiem krótko: nie podoba mi się.

Lynn krzyknęła do telefonu.

- Co?!

- Zawsze jestem z tobą szczerą, Lynn. Wiem, że to może zabrzmieć zbyt szorstko, ale to nie twój typ. Bywa sarkastyczny, zauważyłam to, i mam prawo przypuszczać, że jest snobem. Wydaje mu się, że jest lepszy od innych.

Lynn była wściekła.

- Masz jeszcze coś miłego do powiedzenia o człowieku, którego nawet nie znasz? Jeszcze jakieś przypuszczenia?

- Ma ostry, krytyczny sposób mówienia i cięty język.

- Nie zauważyłam.

- Wydaje mi się, że było w złym guście, a nawet okrutne z jego strony, mówić o tej dziewczynie z biura i o jej długich paznokciach: «Długie, brudne paznokcie. Wyobrażacie sobie wszystkie ukryte pod nimi bakterie.» Był o włos od podania jej nazwiska. Darwin odebrał to tak samo.

- O, Boże! Przykro mi, że ty i Darwin nie aprobujecie go. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Nie złość się, Lynn. Czy jest na świecie ktoś, kto ci lepiej życzy niż ja? Tata i ja. Po prostu nie chcę, żebyś popełniła pomyłkę. Widzę, że jesteś zaślepiona. Masz to wypisane na twarzy.

- Nie jestem zaślepiona.

- Czuję, że on nie jest dla ciebie odpowiedni.

- A nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że to ja mogę być dla niego nieodpowiednia? Robert jest błyskotliwy. Kieruje marketingiem komputerowym w całym regionie. Słyszałam, jak sprzedawcy mówili... - Oburzenie nieomal odbierało jej mowę. - Spółka międzynarodowa...

- I to robi na tobie aż takie wrażenie, Lynn? Posłuchaj. Nigdy nie wiadomo, co stanie się z wielkimi korporacjami. Możesz być na szczycie, a następnego dnia wypaść z interesu. Lepiej być panem

samemu sobie, choćby w skromnym przedsiębiorstwie, niż pozostawać na łasce innych.

Mąż Helen miał mały zakład hydrauliczny i zatrudniał pięciu pracowników.

- Oskarżasz mnie o to, że jestem zbyt ambitna? Ja? Wydaje ci się, że tylko to dostrzegam w Robertcie?

- Nie, nie. Wcale nie o to mi chodzi. Nie jesteś materialistką. Źle się wyraziłam. Chodzi mi o to, że może odczuwasz... coś w rodzaju uwielbienia, podziwu dla bohatera tylko dlatego, że odnosi sukcesy... chodzi mi o to, żebyś nie zagalopowała się, nie działała zbyt szybko i zbyt poważnie.

- Wiesz, co myślę? Myślę, że jesteś idiotką - powiedziała Lynn i odłożyła słuchawkę.

Ale nie umiała chować urazy zbyt długo. Helen nie potrafiła niczego ukryć. Pewnie nawet sobie nie zdawała sprawy, że motywem jej działania była zazdrość, nawet jeśli życie z Darwinem układało jej się szczęśliwie. Czysta i niczym nie skażona zazdrość. Toteż Lynn przebaczyła jej.

Minęły prawie trzy miesiące, zanim poszli do łóżka; Lynn musiała czekać, aż jej współlokatorki wyjadą z miasta.

W końcu doczekała się. Koleżanki pojechały na lotnisko, a ona przygotowała wspaniałą kolację. Robert przyszedł z kwiatami, albumem płyt i szampanem. W pierwszej chwili stali i wpatrywali się w siebie, jak gdyby owa nagła, cudowna wolność sparaliżowała ich; a potem wszystko potoczyło się szybko. Kwiaty w zielonym papierze wylądowały na stole, płaszcz Roberta zawisł na oparciu kuchennego krzesła, a Lynn została porwana w ramiona.

Szybko, nie odzywając się, zdjął z niej ubranie w ponurym świetle wietrznego dnia

- sweter, białą bluzkę z koronkowym kołnierzem, spódnicę i bieliznę. Serce Lynn galopowało. Słyszała jego bicie.

- Ja nigdy... to mój pierwszy raz, Robertcie.

- Będę bardzo delikatny - wyszeptał.

I taki był. Wytrzymały, ciepły, uważny. Szeptał, do niej czule.

- Moja słodka... piękna... tak cię kocham.

Opuścił ją wszelki strach i oddał mu się z całkowitym, pełnym namiętności, zaufaniem. Później, gdy odsunęli się od siebie, Lynn roześmiała się.

- Pomyślałam właśnie, że mieliśmy szczęście. Nie zdążyłam włączyć piekarnika, gdy wszedłeś. Mielibyśmy na kolację węgielki.

Zasiedli do doskonałej ratatouille i ciasta po normandzku.

- Dziewica w wieku lat dwudziestu to prawdziwa rzadkość w dzisiejszych czasach

- stwierdził Robert.

- Cieszę się, że poczekałam.

Była zbyt onieśmielona, by powiedzieć: „Dzięki temu należę do ciebie jeszcze bardziej”. Bo czy to potrwa dłużej? Wierzyła, że tak, nie miała jednak pewności. Nic takiego nie zostało powiedziane. Umrę, jeżeli mnie porzuci - pomyślała.

Wrócili do łóżka. Teraz nie musiał już być taki delikatny. Podziwiała jego siłę. Jak na tak szczupłego mężczyznę, był nadzwyczaj silny. I, ku własnemu zdziwieniu, stwierdziła, że odpowiada na jego namiętność z równą siłą i pożądaniem. Zasnęli i o świcie wziął ją jeszcze raz, a ona przyjęła go z otwartymi ramionami. Zasnęli ponownie, a obudziwszy się, stwierdzili, że świat pociemniał od gwałtownej śnieżycy.

- Zostańmy w domu przez cały dzień. W domu i w łóżku. Przez całą sobotę i niedzielę nie mieli siebie wciąż dosyć.

- Opętałaś mnie - powiedział Robert. - Żadna kobieta tak na mnie nie działała, nigdy nie spotkałem równie namiętnej jak ty. A sprawiasz wrażenie takiej niewinnej w tych swoich swetrach i spódnicach. Nikt by się nie domyślił.

W niedzielę wieczorem Lynn spojrzała na zegar.

- Robert, ich samolot ląduje o dziesiątej. Obawiam się, że musisz już wyjść, i to jak najszybciej.

- Możemy to zrobić jeszcze raz? - jęknął.

- Nie wiem - odpowiedziała.

- Tak żyć nie możemy! - krzyknął. - Nie cierpię takich ukradkowych sytuacji, spotkań w motelach. Musimy być zawsze razem. Lynn, musisz wyjść za mnie za mąż.

Postanowili, że pobiorą się w czerwcu, bo wtedy Robert miał urlop, i pojedą w podróż poślubną do Meksyku.

- Oczywiście musisz porzucić pracę - powiedział. - Nie możemy pracować w tym samym biurze.

- Bez trudu znajdę coś innego.

- Na razie nie. Musisz mieć czas na urządzenie mieszkania. Trzeba to zrobić starannie. Kupić meble wysokiej jakości, żeby służyły nam długo.

Helen wspaniałomyślnie zaproponowała, żeby urządzili przyjęcie u niej.

- Mieszkanie taty nie nadaje się, to tylko trzy pokoje - powiedziała. - Przy odrobinie szczęścia, jeśli pogoda dopisze, zorganizujemy przyjęcie w ogrodzie. Darwin zasadzi wiecznie zielone byliny, a ma dobrą rękę do roślin. Będzie pięknie.

Odkąd ogłosili zaręczyny, Helen nie powiedziała ani jednego złego słowa. Ucałowała Lynn, zachwyciła się jej pierścieniem zaręczynowym, który był rzeczywiście piękny, i życzyła młodej parze wiele szczęścia.

„Wiele szczęścia”, powiedziała do siebie, marznąc na zimnym wietrze od jeziora Michigan. Odezwała się tak głośno, że para spacerowiczów z pudłami zawróciła i przyglądała się jej. Oto czym była - ekscentryczną kobietą, skuloną na ławce i mówiącą do siebie. Cóż, nie umiała powstrzymać wspomnień, powracały wciąż, jedno za drugim...

Podczas owej pełnej oczekiwania na ślub wiosny Robert podbił serca wszystkich. Mali synkowie Helen wprost przepadali za nim; kupił im małe kije do gry w palanta, nauczył grać w piłkę, zabierał na zawody, a nawet pokazał, jak się walczy w zapasach. Gdy ściszał mróz, jeździli na łyżwach, a gdy zrobiło się cieplej, urządzali sobie pikniki na wsi.

Lynn przygotowywała doskonałe kolacje w kuchni Helen według przepisów z nowej książki Julii Child.

- Zawstydzasz mnie - mawiała Helen.

Po kolacji Robert zwykle zasiadał do starego pianina i grał wszystko, o co go proszono - jazz, melodie filmowe, walce, a także Chopina.

Za jego namową pojechali wszyscy na koncert symfoniczny. Darwin był na koncercie po raz pierwszy w życiu i ze zdziwieniem stwierdził, że to mu się bardzo podoba.

- Kiedy raz zasmakujesz, nie będziesz mógł obejść się bez muzyki - powiedział Robert. - Dla mnie muzyka jest równie ważna jak jedzenie. To strawa duchowa. W przyszłym roku wykupimy abonament na cały sezon, Lynn.



Darwin wciąż wychwalał Roberta.

- To zadziwiające, że on tyle wie. Więcej, niż napisane jest w gazetach. Potrafi czerpać z życia przyjemności i ma doskonały kontakt z ludźmi.

Ojciec Lynn pochwalił jej wybór.

- Lubię go. Dobrze będzie mieć takiego syna. A i dla niego dobrze, że zyska rodzinę. To ciężkie przeżycie dla młodego człowieka stracić nagle rodziców. Co to za ludzie? Czy wiesz coś o nich?

- Nie ma nic do dowiadywania się - odpowiedziała Lynn, tracąc cierpliwość. - Nie żyją.

- Ma tylko starą ciotkę w Pittsburghu?

- I wujka w Vancouver.

- Praktycznie rzecz biorąc, jest więc zupełnie sam - powiedział tata ze współczuciem.

W sklepie ojca z artykułami żelaznymi Robert został przedstawiony klientom, głównie farmerom. Wiedział, jak rozmawiać z tymi prostymi, pogodnymi ludźmi. Lynn zauważyła, że spodobał się im, tak jak i ojcu.

- Lubię go, Midge - ciągnął tata. - Masz teraz mężczyznę, a nie chłopca, jak ci, którzy dotąd kręcili się wokół ciebie. Bez obrazy. To dobre chłopaki, ale mają mleko pod nosem. A ten jest mężczyzną. Najbardziej podoba mi się w nim to, że wykształcenie i stanowisko nie uderzyły mu do głowy. Z przyjemnością zatańczę na waszym weselu.

Zwykle kobiety pamiętają każdy szczegół z dnia swego ślubu. Lynn zapamiętała długą drogę do ołtarza, grające organy i twarze zwrócone ku niej, gdy szła przez kościół. Jej ręka drżała na ramieniu ojca.

- Spokojnie - mówił, czując to drżenie. - Robert czeka na ciebie. Nie ma się czego obawiać.

A potem Robert wziął ją za rękę i stanęli razem słuchając łagodnych i poważnych słów: „Kochajcie się i bądźcie dla siebie wyrozumiali”.

Resztę dnia wypełniły tańce, radość, muzyka, pocałunki, przekomarzania i rubaszne, przyjazne żarty. Przyszli znajomi z biura i, oczywiście, przyjaciele z rodzinnego miasta. Byli wszyscy przyjaciele Darwina i Helen, a także koledzy Roberta z St. Louis; zbyt dawno

opuścił Pittsburgh, by móc oczekiwać, że dawni znajomi stamtąd przyjadą na jego wesele.

Przyjechała też ciotka Jean z Pittsburga. Wuj z Vancouver nie czuł się dobrze i nie mógł podróżować. Dziwne, zastanawiała się teraz Lynn, że ta miła, raczej skromna, drobna kobieta o siwych, kręconych włosach, ubrana w konwencjonalną suknię, stała się przyczyną dwóch nietaktów, które miały miejsce w dniu wesela.

To nie była jej wina, lecz Roberta. Ciotka Jean odezwała się podczas przyjęcia:

- Któregoś dnia będę ci musiała pokazać nasze zdjęcia rodzinne. Podpiszę je i wezmę ze sobą przy następnej okazji. Jest tam zdjęcie Roberta, które z pewnością zechcesz mieć. Nigdy nie uwierzyłabyś, ale jego włosy...

- Ciotko Jean - przerwał ostro Robert - oszczędź nam opisu moich złotych kędziorów. Kogo obchodzi, jakie miałem włosy, kiedy miałem rok?

Po tej reprimendzie zamilkła. Lynn powiedziała wesoło, spojrzawszy z wyrzutem na Roberta.

- Mnie obchodzi, ciociu Jean. Chętnie wysłucham wszystkiego, co możesz mi opowiedzieć o Robercie, rodzinie, jego ojcu, matce, dziadkach, kuzynach...

- To mała rodzina - powiedziała Jean. - Nie mamy żadnych krewnych. Ani ze strony ojca, ani matki.

Wtedy tata, który usłyszał tylko koniec zdania, zakrzyknął:

- Żadnych krewniaków? Do diabła, możemy ci trochę odstąpić. Ja sam mam ich z tuzin, w Iowa, Missouri, i nawet dwóch w Kalifornii. - A potem zapytał ją o stopień pokrewieństwa z Robertem.

- Jego matka była moją siostrą.

- Po niej jest taki muzykalny, prawda? - zapytała Lynn. - A ojciec musiał być nadzwyczajny, tak przynajmniej opowiada Robert.

- O, tak.

- Ich śmierć była taka tragiczna.

- Tak. Straszna tragedia.

- Robert musiał czuć się trochę samotny jako dziecko. Boże Narodzenie tylko z rodzicami i ciotką - zauważył tata.

- Robiliśmy, co w naszej mocy - powiedziała ciotka Jean. - I dorósł, i oto go mamy. - Uśmiechnęła się do Roberta.

- Tak, jesteśmy tutaj i dajmy spokój wspominkom. To dobre dla starych. - Robert poklepał ciotkę po ręce.

Starał się jej wynagrodzić szorstkie traktowanie. Ale było widoczne, że łagodna starsza pani bardzo go denerwuje. A przecież nie było ku temu żadnych powodów.

Darwin własnoręcznie wybudował podium, na którym odbywały się tańce. Ogród płonął czerwienią i różem - peonie, floksy, tygrysie lilie, wschodnie maki jarzyły się w niebieskim zmierzchu. Robert stał przy balustradzie i patrzył na kwiaty.

- Darwin pięknie przyozdobił dom, prawda? - spytała Lynn. Uśmiechnął się... pamięta ten uśmiech...

- Nieźle, ale cukierkowato. Ja zrobiłbym to o wiele lepiej. Zobacysz. Powiedział to pewnie bez złej myśli, ale w połączeniu ze sposobem, w jaki traktował

ciotkę... Drobiazgi, a pamięta się je tak długo...

Podczas podróży po Meksyku, kiedy Robert zamykał drzwi do pokoju hotelowego, powtarzał za każdym razem.

- Czyż to nie cudowne? Mamy się gdzie schronić i nikogo nie prosimy o łaskę. Teraz tak będzie zawsze.

Tak. Było cudownie. Wszystko było cudowne. Słoneczne dni, kiedy w trampkach i plecionych kapeluszach wspinali się na ruiny Majów na Jukatanie, kiedy pili tequilę nad brzegiem morza, kiedy jeździli samochodem poprzez kamienne wioski lub jedli kolacje w eleganckich restauracjach Mexico City.

Czternaście nocy miłosnej namiętności.

- Szczęśliwa? - pytał Robert, gdy nadchodził ranek.

- Och, najmiłszy, jak możesz w ogóle pytać?

- Wiesz co? - zapytał któregoś dnia. - Twój tata to pocziwina. Zgadnij, co mi powiedział, gdy odjeżdżaliśmy na lotnisko? „Bądź dobry dla mojej córeczki”, tak powiedział.

Roześmiała się.

- To miłe z jego strony i trochę staroświeckie.

- W porządku. Wiem, o co mu chodziło. I będę dla ciebie dobry.

- Obydwoje będziemy dla siebie dobrzy. Jesteśmy teraz na szczycie świata, ty i ja. Ostatniego dnia robili zakupy w Acapulco. Roberta zainteresowało coś na wystawie sklepowej, a Lynn chciała obejrzeć coś innego w dole ulicy.

- Ty obejrzyś swoją wystawę, a ja pójde popatrzeć na moją - powiedział. - Spotkamy się tutaj.

Rozdzielili się. Lynn szybko wyszła ze sklepu i wróciła na umówione miejsce. Minęło kilka minut, a on nie pojawił się. Weszła do sklepu, w którym Robert chciał coś obejrzeć, i dowiedziała się, że przed chwilą wyszedł. Zdziwiona wróciła. Właśnie wtedy ze statku wysiedli turyści i wypełnili całą ulicę. Trudno było kogokolwiek wypatrzeć. Poczła niepokój. Tłumaczyła sobie: - Musi tu być. Może poszedł na drugą stronę jezdni. Pewnie szuka mnie. A może nie znalazł tego, co go interesowało, i przeszedł do następnej przecznicy.

Była coraz bardziej niespokojna. Minęła godzina. Lynn uznała w końcu, że dalsze poszukiwania nie mają sensu. Wróce do hotelu - rozumowała - on prawdopodobnie tam właśnie czeka na mnie.

Pojechała taksówką. Rzeczywiście czekał przy wejściu. Roześmiała się z ulgą.

- Czy to nie głupie? Wszędzie cię szukam.

- Głupie? - odparł chłodno. - Nie nazwałbym tego w ten sposób. Chodź na górę. Musimy porozmawiać.

Jego niespodziewany gniew zdumiał Lynn. Chcąc go udobruchać, powiedziała pogodnie.

- Chodziliśmy w kółko i nie mogliśmy na siebie trafić. Jak para idiotów.

- Mów za siebie. - Weszli do pokoju, głośno zatrzasnął drzwi. - Właśnie miałem iść do recepcji i dzwonić na policję. Na szczęście wróciłaś.

- Policję! Po co? Cieszę się, że nie zdążyłeś.

- Powiedziałem ci, że masz na mnie czekać przed sklepem, a ty nie czekałaś. Nie podobał jej się ton Roberta, więc odparowała.

- Wyszłam ci naprzeciw. Co w tym złego?

- Sama widzisz, jakie są skutki. Nie przywykłaś do uporządkowanego życia, ot co. Mówi ci się jedno, a ty robisz co innego.

- Nie pouczaj mnie - powiedziała rozgniewana. - I nie rób z tego wielkiej sprawy. Wiele hałasu o nic.

Patrzył na nią. Zrozumiała, że nie jest zły, lecz rozwścieczony.

- To nie do wiary! - krzyknęła, gdy ją nagle złapał. Jego palce wpijały się w jej ramiona aż do kości. Zaczął nią wściekle potrząsać.

- Puść! - pisnęła. - Boli! Zabierz ręce!

Zacisnął mocniej palce. Bolało bardzo. A potem cisnął ją na łóżko. Leżała łkając.

- Zadałeś mi ból... boli mnie.

Jego gniew minał równie szybko, jak się zaczął. Podniósł ją i przytulił do siebie.

- Przepraszam. Tak mi przykro. Nie chciałem. Ale byłem przerażony, Lynn. Mogli cię porwać... tak, w biały dzień... powlec ulicą, wcisnąć do samochodu, zgwałcić, Bóg wie co. - Scałował jej łyzy. - Wyszedłem z siebie. Nie rozumiesz?

Całował jej policzki, czoło, ręce, a w końcu, gdy znów zwróciła się ku niemu, usta.

- Nie miałbym po co żyć, gdyby coś ci się stało. Tak bardzo się zląkłem. Kocham cię. Objęła go.

- W porządku. W porządku, kochanie. Zapomnij o tym. Już po wszystkim. Nie zrozumieliśmy się i tyle. To naprawdę nic wielkiego.

I wszystko wróciło do normy, znów było wspaniale, tylko na jej ramionach pozostały paskudne, granatowe wylewy.

Wrócili do domu. Po dwóch dniach pojechali odwiedzić ojca Lynn. Dzień był upalny, więc nie pamiętając o świeżych sińcach, ubrała się w lekką sukienkę.

- A cóż to za ślady? - od razu zapytał tata. Byli w domu sami.

- Te? Nie wiem. Nie pamiętam, skąd je mam. Ojciec zdjął okulary i podszedł bliżej.

- Identyczne, symetryczne na obu ramionach. Ktoś ci to zrobił silnymi rękami, ze złości. Kto, Lynn?

Nie odpowiedziała.

- Czy to Robert? Powiedz mi, Lynn, albo zapytam go sam.

- Nie. Nie. Proszę cię, nie! To nic takiego. On nie chciał. Po prostu przestraszył się. - Opowiedziała wszystko. - To moja wina. Naprawdę moja. Bał się, że coś mi się stało. Powiedział, żebym czekała na ulicy, a ja powędrowałam za róg i zgubiłam się. Moja orientacja w terenie...

- To nie ma nic wspólnego z sińcami. Myślisz, że nigdy nie byłem zły na twoją matkę? Nie sposób nie rozzłościć się czasem w małżeństwie. Ale nigdy nie podniosłem na nią ręki. To brak kultury! Tak, do cholery. Będę musiał pogadać z Robertem, nie powiem mu nic przykrego, po prostu zwyczajnie porozmawiamy.

- Nie, tato. Nie możesz. Nie rób tego. Robert jest moim mężem i ja go kocham. Kochamy się. Nie rób z tego wielkiej sprawy.

- Dla mnie to jest wielka sprawa.

- Nie jest. I nie możesz wchodzić pomiędzy nas. Nie wolno ci. Ojciec tylko westchnął.

- Lepiej, gdy ludzie pobierają się ze znajomymi z tego samego miasta. Przynajmniej wiadomo, kogo się dostało.

- Tato, to już nie te czasy. Znowu westchnął.

- Widzę - powiedział - że myślimy inaczej.

- Nie czujesz do Roberta tego, co ja.

Nic na to nie odpowiedział. Nie mogła tego tak zostawić. Sprawy zaszły za daleko. Nadciągał kryzys, który mógł zaciążyć na całej ich przyszłości. Powiedziała więc spokojnie i cierpliwie.

- Tato, to szaleństwo. Nie martw się o mnie. Robisz wielką sprawę z jednego zdarzenia. Zgadza się, że nie powinno do tego dojść, ale stało się. Chcę, żebyś o tym zapomniał, tak jak ja. Okay? - Położyła mu rękę na ramieniu. - Obiecuj.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął dobrze znanym, dodającym otuchy uśmiechem.

- Dobrze, już dobrze, Midge. Skoro tak chcesz, obiecuję. Zostawmy to.

Nie wrócili do tego już nigdy więcej. Ale zarówno Helen, jak i tata nie mieli najmniejszego powodu, by dopytywać się o jej małżeństwo. Ponad wszelką wątpliwość ona i Robert stanowili piękną, udaną parę.

Jedenaście miesięcy po ślubie urodziła się Emily. Urządzili mieszkanie, a potem Robert kupił dom, obszerny, w wiejskim stylu, niedaleko domu Helen, ale dwa razy większy.

- Będziemy mieli więcej dzieci, więc lepiej kupić go od razu, nie czekając - stwierdził.

Razem chodzili wybierać meble. Kupował wszystko, co się im spodobało. Lynn podziwiała to lampę, to fotel, i zanim spojrzała na cenę, on już kupował. Na początku niepokoiła się, że wydaje zbyt dużo. Potem zorientowała się, że mogą sobie na to pozwolić, Robert dostawał premie, przedsiębiorstwo rozrastało się. Poza tym stale powtarzał jej, żeby się nie niepokoiła. Sprawy finansowe należały do niego. Ona nigdy nie miała gotówki. Zamawiała, a on płacił i nie skarżył się.

- Mnie się to nie podoba - powiedziała kiedyś Helen.

- A co mi to szkodzi? - odpowiedziała Lynn, rozglądając się po ładnym pokoju dzieciennym, gdzie właśnie budziło się ładne dziecko. - Mam wszystko. A przede wszystkim ją. - Wzięła na ręce córeczkę, córeczkę, która tak bardzo przypominała Roberta. Miała jego budowę, czarne jedwabiste włoski i ciemnoniebieskie oczy.

Ponieważ Robert przywiązywał dużą wagę do imienia, wybierała je bardzo starannie.

- Każde imię ma swoją barwę - powiedziała mu. - Emily to niebieski. Kiedy wymawiam to imię z zamkniętymi oczami, widzę wysokie październikowe niebo bez jednej chmurki.

Półtora roku później przyszła na świat Caroline. „Caroline” była złota, tak jasna, że prawie srebrna.

Wspomnienia, jak film, płynęły jedno za drugim.

- Ach, jaki wspaniały dom! - wykrzyknęła Lynn. - Po prostu jak z bajki! Dom należał do rodziców sąsiadki, którzy wydawali urodzinowe przyjęcie dla swej

pięcioletniej wnuczki. Miał ogromny taras, wychodzący na piękny trawnik, który przechodził w dużą łąkę, a u stóp łąki, opadającej zboczem wzgórza, znajdował się ledwie widoczny staw.

- Wspaniały dzień na przyjęcie! - z zachwytem powiedziała Lynn.

Dzień był rzeczywiście piękny. Cudowny letni dzień. Lekki wiaterek poruszał gałęziami dębów, pod którymi ustawiono stoły do lunchu. Stół dla dzieci przykryto marszczonym papierem, a do każdego krzesła przywiązany był balonik. Zupełnie jak w filmie - pomyślała. - Jak scena z angielskiego filmu, gdzie kobiety ubrane w białe jedwabie lub płótno przechadzają się na tle porośniętych bluszczem murów. Lynn, która zazwyczaj nosiła dzinsy lub szorty, tego dnia miała na sobie żółtą jedwabną suknię, a córeczki ubrała w jednakowe różowe sukienki i białe pantofelki.

- Wyglądają prawie jak bliźniaczki - zauważyła jedna z kobiet. - Caroline jest wysoka jak na swój wiek, prawda?

- Tak. Jest nad wiek rozwinięta. Silna, szybka i doskonale sobie radzi - odpowiedziała z zadowoleniem Lynn.

Nie można sprawić rodzicom większej przyjemności, niż podziwiając ich dzieci. Żadna książka, utwór muzyczny, dzieło sztuki - myślała Lynn - nie może się równać z radością, dumą i

wdzięcznością, jakie odczuwała na widok tych dwóch jasnych, słodkich, zdrowych dziewczynek.

Odczuła to jeszcze mocniej, kiedy przypomniła sobie o dwóch przyjaciółkach, które nie mogły mieć dzieci. I w czasie lunchu, i potem, gdy przyjemnie plotkowała z innymi kobietami, była naprawdę szczęśliwa. Życie było takie dobre.

Po lunchu przyszedł clown, aby zabawić dzieci siedzące na trawniku. Matki pilnowały je przez pewien czas, a potem - gdy dzieci zajęły się clownem - odeszły, by usiąść przy stołach, w cieniu dębów.

- Ten clown doskonale sobie radzi - powiedziała jedna z matek. - Zabawia je już przeszło pół godziny.

Najwyższy czas, by kończyć przyjęcie. Emily przydreptała do Lynn z balonikiem i torebką pełną upominków.

- Gdzie Caroline? - zapytała Lynn.

- Nie wiem - odpowiedziała Emily.

- Przecież siedziałyście obok siebie.

- Wiem - odpowiedziała Emily.

- Gdzie ona może być? - zaniepokoiła się nagle Lynn i starała się opanować, bo przecież w takim miejscu nie mogło się zdarzyć nic strasznego.

- Pewnie poszła do łazienki.

Szukali w łazience na parterze, a potem w całym domu. Przeszukali krzaki, gdzie mogła schować się dla zabawy, coraz bardziej zaniepokojeni. Co się mogło stać? Kidnaperzy? Nie mogli tu wejść. Przeszukali łąkę, przeczesując wysoką trawę. A potem pomyśleli, choć nikt nie powiedział tego głośno, że Caroline mogła pójść aż do stawu.

Tam właśnie leżała. Twarzą do dołu, w zmiętej różowej sukience. W płytkiej wodzie tuż przy brzegu, tak że mogła swobodnie wstać i wyjść z wody.

Jedna z kobiet, ratowniczką po kursie Czerwonego Krzyża, ułożyła Caroline na trawie i zajęła się nią, Lynn ukłękła, wpatrując się w swoje dziecko... nie mogła uwierzyć... nie, nie, to niemożliwe!

Ktoś zadbał, by pozostałe dzieci nie podchodziły bliżej. Ktoś inny zatelefonował po karetkę. Jeszcze ktoś pobiegł po lekarza mieszkającego w sąsiednim domu. Trwała bieganina i pośpiech, a jednak było cicho; zdawało się, że słyhać jedynie przeciągłe zbiorowe westchnienie.



Nadeszło dwóch młodych mężczyzn w białych fartuchach. Lynn wstała z klęczek, szarpała ich za rękawy i błagała:

- Powiedzcie mi! Powiedzcie!

Jeden z nich otoczył ją ramieniem. Już wiedziała. Usłyszała czyjś płacz. Wiedziała. A jednak nie mogła uwierzyć.

- To niemożliwe - powiedziała. - Nie. Nie wierzę. Nie.

Spojrzała wokół siebie. Wszystkie twarze wyrażały przerażenie i litość. A ona płakała i płakała, krzyczała do nieba, trawy, całego tego letniego świata. Płakała i płakała. A potem zabrali ją do domu.

Zacięła się w rozpacz i niedowierzaniu. Wiedziała, lecz nie dopuszczała do siebie tej prawdy. Położyli ją, dali środek uspokajający.

Obudziła się we własnym pokoju. Dom pełen był ludzi. Słyszała jakieś głosy; otwierano i zamykano drzwi; telefon dzwonił bez przerwy, ktoś go odbierał, potem znów się rozlegał. Usłyszała głos Helen:

- Zostaw ją, Robert. Jeszcze się nie obudziła. I głos Roberta:

- Jak mogła być taka głupia, taka nieostrożna? Nigdy sobie tego nie wybaczy. Lynn nie mogła się zdecydować - obudzić się czy spać dalej. Sen był nie do zniesienia, więc może lepiej otworzyć oczy i położyć mu kres? Może to jednak wcale nie był sen, w takim razie lepiej będzie zasnąć tak głęboko, by nie wiedzieć o niczym. Ciągle słyszała łkania Roberta, który powtarzał.

- Ona sobie tego nigdy nie wybaczy.

Dotarł do niej inny głos. Mówił ktoś trzymający ją za nadgarstek.

- Spokój, proszę. Słucham tętna. - Rozpoznała ich lekarza, Billa White'a.

- Niech pan przestanie mówić o wybaczeniu - radził Bill White. - To bzdury. Równie dobrze mogło się to zdarzyć w pańskiej obecności, Robercie. Po drugie, jeśli nie chce pan mieć żony chorej do końca życia, to niech pan zamilknie. Czy nie sądzi pan, że ona i bez tego wystarczająco cierpi.

I tak właśnie było. Cierpiała jeszcze teraz, na ławce nad jeziorem Michigan. Obrazy utrwaliły się w jej mózgu. Caroline - śmiejąca się z clowna, Caroline - nieżywa w wodzie. Drobną twarzyczką Emili zalana łzami i pełna przerażenia. Ona sama otoczona czułymi ramionami, kojące słowa podczas rozdzierającego serce pogrzebu.

- Nie wiem, po co przyjechała moja ciotka? - skarżył się Robert. - I kto ją zawiadomił?

- Helen wzięła jej numer z mojego notesu. Ona należy do rodziny, nie masz nikogo poza nią, powinna tu być.

Dziwne, zawsze odrzucał ciotkę Jean. Nudziła go, jak twierdził. Cóż, być może. Być może irytowała go wszelka dobroć. Mężczyźni są czasem tacy. Jean była dla nich w tych dniach wielką pomocą. Pocieszała Emily. Sprzątała pokój Caroline, do którego ani Lynn, ani Robert nie byli w stanie wejść.

Jakoś to przetrwali.

- Jeśli małżeństwu uda się przetrwać coś takiego, przetrwają już wszystko - orzekli ludzie. - Wyobraźcie sobie to ogromne poczucie winy!

Tak, spróbujcie to sobie wyobrazić, jeśli potraficie - myślała Lynn. Robert wziął sobie do serca słowa Billa White'a. Przez wiele upiornych nocy trzymał ją mocno w ramionach. Przez długi czas poruszali się po domu w ciszy, porozumiewali się szeptem. Lynn chodziła na palcach, aż łagodnie zwrócił jej na to uwagę. To on sprawił, że nie popadła w obłęd. Gdy kiedykolwiek było między nimi źle, przypominała sobie o tym, co mu zawdzięcza...

Jak to możliwe, by człowiek tak łatwo przebaczący, tak troszczący się o rodzinę, wpadał w taką nieopanowaną furję? Jak ta dzisiejsza, i jak kilka innych, które miały miejsce w ciągu minionych lat? Życie z Robertem to sielanka trwająca przez wiele miesięcy, a potem nagle przerażająca burza, zmieniająca wszystko w ponurą ciemność. Mijała równie szybko, jak nadeszła. Wspomnienie o niej blakło z upływem czasu, budziła się nadzieja, że ta właśnie była ostatnia.

Dzieci nie wiedziały o tym. I nigdy nie mogą się dowiedzieć. Jakże miała im wytłumaczyć coś, czego sama nie rozumiała?

Zwłaszcza Annie. Annie, taka młoda i wrażliwa, nie może dowiedzieć się nigdy! Annie była inna i trudna od samego początku. Czerwony noworodek, ciemny, wściekły, wrzaskliwy - jeszcze teraz zachowywała się podobnie; dziecko o zmiennych nastrojach. Raz po dzieciennemu słodka, innym razem zadziwiająco dorosła. Zdawało się, że widzi człowieka na wylot. A jednak w szkole szło jej słabo. Była zbyt ciężka i niezgrabna, by radzić sobie z gimnastyką i sportem, chociaż Robert - który wszystko robił dobrze - próbował ją trenować.

Annie rozczarowała go, Lynn wiedziała o tym. Jego dziecko, wprawdzie zaledwie dziewięcioletnie, ale nic nie wskazywało na to, by miało być w czymkolwiek naprawdę dobre!

Robert całą swoją miłość skierował na Emily, tak bardzo do niego podobną - pewną siebie, wytrwałą, wszechstronnie uzdolnioną - od matematyki po tenis. Poza tym w wieku piętnastu lat już umiała oczarować chłopców. Dla Emily życie będzie łatwe.

Moje dzieci... O, Boże, gdyby nie one - płakała Lynn - nie wróciłabym już do domu. Wsiadłabym do samolotu i poleciałabym bardzo daleko - gdziekolwiek, do Australii albo jeszcze dalej. Ale to głupie. Głupio rozmyślać o tym, co nie jest możliwe. I pomyśleć, gdyby spakowała właściwy garnitur, cała historia nie zdarzyłaby się. To wyłącznie jej wina...

Zrobiło się zimno. Od jeziora powiał chłodny wiatr. Wcisnęła ręce do kieszeni i ciaśniej owinęła się płaszczem. Policzek wciąż pulsował bólem.

Szaleństwem było wysiadanie na zimnie. Ale nie chciało się jej ruszyć. Gdyby miała się komu poskarżyć! Helen lub Josie. Rozsądnej, miłej Josie - najlepszej przyjaciółce, jaką kiedykolwiek miała. Helen, Josie i Lynn - „trzej muszkietierowie”.

„Mamy nowego pracownika. Będzie moim asystentem do spraw marketingu”, powiedział Robert pewnego dnia, przeszło siedem lat temu. „Bruce Lehman z Milwaukee. Żyd. Bardzo sympatyczny, lecz ja nie jestem nim zachwycony. Wydaje mi się, że to zero. Brak mu siły. Polubisz go. Jest czytany i kolekcjonuje antyki. Jego żona jest pracownikiem socjalnym. Nie mają dzieci. Powinnaś zatelefonować i zaprosić ich. Tak trzeba”.

I tak zaczęła się ich przyjaźń. Gdybym mogła z nią teraz porozmawiać - myślała Lynn. A jednak, kiedy będę miała okazję, pewnie nie powiem jej prawdy. Josie zaczęłaby wszystko analizować, a ja unikałabym jej baczego i wnikliwego spojrzenia.

Jeśli chodzi o Helen, zwierzenia są w ogóle niemożliwe. Ostrzegła mnie przed Robertem już dawno, dawno temu, myślała Lynn. Nigdy nie pójde do niej ze skargą. Ani do nikogo innego. Muszę z tego wybrnąć sama, chociaż nie mam pojęcia, jak.

Ktoś nadchodził. Serce zabiło jej mocniej. Z fioletowego cienia wyłoniła się obdarta kobieta, pijana lub może narkomanka. Podeszła powłócząc nogami i zatrzymała się obok.

- Siedzisz sama po ciemku? I masz podbite oko - powiedziała, nachylając się i dotykając ramienia Lynn. Zobaczyła starą, smutną i wyniszczoną twarz.

- Domyślam się, że wpadłaś na drzwi. Na drzwi, które mają pięści. - Kobieta zaśmiała się i przysiadła obok. - Będziesz musiała wymyślić coś lepszego, moja droga.

Lynn wstała szybko i uciekła. Pobiegnęła ku ulicy, na której ciągle panował ruch. Złękła się tak bardzo, że pomimo zimna aż się spociła. Nie miała wyboru, musiała wracać do hotelu. Gdy winda zatrzymała się na jej piętrze, chciała zawrócić i pojechać znowu na dół. Nie mogła jednak spać na ulicy. A może Robert tak się rozgniewał, że nie wrócił do pokoju? Otworzyła drzwi.

Siedział na łóżku w ubraniu wyjściowym, z twarzą ukrytą w dłoniach. Na jej widok aż podskoczył. Był wściekły.

- Szukam cię wszędzie! - wrzasnął. - Jest północ! Po północy! Na miłość boską, gdzie byłeś? Szukałem cię po całym hotelu, na ulicach, wszędzie. Myślałem... sam już nie wiem, co myślałem. - Twarz miał dziką, a ochryply głos drżał.

- Czy nie wszystko jedno, gdzie byłem?

- Nie wiedziałem, co możesz zrobić. Byłem przerażony.

- Niepotrzebnie. Czuję się dobrze.

Gdy zdjęła chustkę z głowy i podeszła do lampy, Robert odwrócił wzrok. Wstał i podszedł do okna. Zapatrzył się w ciemność. Spojrzała, jak stoi z pochylonymi ramionami i poczuła, że się za niego wstydzi. Za niego i za siebie, za małżeństwo znane jako pan i pani Fergusonowie, zasługujący na szacunek obywatele i rodzice.

Nie odwracając się od okna, powiedział:

- Mam gwałtowne usposobienie. Czasami przesadzam. Ale nigdy cię nie uderzyłem, prawda? Chyba że jakiś klaps. I to także chyba nieczęsto?

Wystarczająco często. Choć nie zdarzało się to rzeczywiście często, ból poniżenia trwał o wiele dłużej niż ból fizyczny. Wspomnienie upokorzenia trwa, chociaż sińce na ramionach już dawno znikły. Westchnęła.

- Kiedy zdarzyło się coś takiego? - pytał. - Tak dawno, że chyba już nawet nie pamiętasz.

- Owszem, pamiętam. Podczas ostatniego Święta Dziękczynienia. Emily nie wróciła do domu na czas i byłeś wściekły.

Przyszła o drugiej w nocy. Potem długo rozmawialiśmy i myślałam, że to już ostatni raz, tak bardzo było ci przykro.

- Chciałem, żeby to było ostatni raz. Ale nie żyjemy w doskonałym świecie. Zdarzają się rzeczy, których nie powinno być.

- Ale dlaczego, Robercie? Dlaczego?

- Sam nie wiem. Po czymś takim nienawidzę samego siebie.

- Powinieneś pójść i porozmawiać z kimś. Poprosić o pomoc. Dowiedzieć się, dlaczego.

- Nie potrzebuję tego. Sam sobie poradzę. - Lynn milczała, dobrze znała tę odpowiedź. A on ciągnął dalej: - Powiedz mi prawdę, Lynn. Wiesz przecież, że jestem dobrym, kochającym mężem. A także dobrym ojcem. Wiem, że tak jest. Prawda?

Milczała.

- Postąpiłem źle, ale to był wypadek. Mówiłem ci, jakie to ważne. Myślałem wyłącznie o tym, jakie to jest ważne dla nas obojga. Praca w Nowym Jorku i być może nawet pięćdziesiąt procent podwyżki. A potem, kto wie? - Zaciśnął mocniej dłonie na drewnianej poręczy krzesła. Jakby wygłaszał mowę obrończą w sądzie. - Życie nie jest łatwe, Lynn. To ciągła walka. Nie chcę cię straszyć, ale to walka na śmierć i życie. Dlatego właśnie ta kobieta celowo udzieliła ci błędnej informacji na temat garnituru. Ludzie robią takie rzeczy. Ty nie możesz sobie tego wyobrazić, bo jesteś uczciwa i solidna, lecz, uwierz mi, taka jest prawda. Człowiek musi być czujny w każdej chwili. Nie ma minuty, żebym nie myślał o nas, o tobie, o mnie i o moich córeczkach. Jesteśmy jednością, małą komórką w tym bezwzględnym i obojętnym świecie. Rodzina to jedyne miejsce, gdzie ludzie troszczą się o siebie nawzajem.

Wracała do rzeczywistości. Dzieci, rodzina, dom. I stojący przed nią mężczyzna, z którym wiązały ją wszystkie te więzy. Myśli o tym, by uciec gdzieś na koniec świata, poczuć się wolną, nie były realne... Dom, dzieci, przyjaciele, praca, szkoła, dom, dzieci...

Przerwała mu.

- Co powiedziałeś Bruce'owi?

- To, co wszystkim, że torba z garniturem wieczorowym zaginęła.

Prawie słyszała, jak obraca to w żart. „Mój garnitur pewnie jest w drodze na Fidżi, a może jeszcze nie opuścił St. Louis.” Śmiał się i zachęcał innych, aby śmiali się razem z nim.

- Nie o to mi chodzi. Co powiedziałaś o mnie?
- Po prostu, że nie czułaś się dobrze. Nic konkretnego.
- Tak przypuszczałam - powiedziała gorzko.

- Lynn, czy nie możemy o tym zapomnieć? Obiecuję ci, obiecuję, że będę nad sobą panował i już nigdy, przenigdy, tak mi dopomóż Bóg... - Głos mu się załamał.

Wyczerpana usiadła na łóżku. Niech ta noc prędko minie - modliła się w myśli. Niech nadejdzie ranek i niech wyniesiemy się z tego nienawistnego pokoju. Usiadł obok.

- Poszedłem do apteki i kupiłem ci coś. - Pokazał jej buteleczkę z lekarstwem.

- Nie chcę tego.
- Proszę, pozwól.

Była zbyt zmęczona, by się opierać. Robert ukończył kurs pierwszej pomocy i umiał zająć się jej policzkiem. Jego palce z wielką delikatnością dotykały skroni Lynn.

- Lepiej?

Nie chciała dać mu satysfakcji, więc rzekła tylko:

- W porządku.

Odprężona położyła się na poduszce. Spostrzegła, że rozpakował jej bagaż i ze zwykłą starannością powiesił w szafie jej suknię i szlafrok.

- Moja biedna, kochana, śliczna buzia. Chciałbym, żebyś mnie uderzyła. Zwinęła piąstkę i uderzyła z całej siły.

- Co to da?
- Może poczułabyś się lepiej.
- Nie potrzebuję czegoś takiego. To nie w moim stylu.

- Wiem. Wiem, że to nie w twoim stylu. - Zamknął buteleczkę. - Wystarczy. Minie bez śladu, gwarantuję. Te przekłete drzwi mają okropnie ostry kant. Trzeba o tym poinformować służbę hotelową. Nietrudno o wypadek. Przecież każdy może się potknąć.

To prawda. Potknęła się. Ale czy stałoby się to, gdyby nie zagroził jej podniesioną ręką? Trudno byłoby opisać ten wypadek. Wszystko zdarzyło się tak szybko. Nie sposób sobie teraz dokładnie przypomnieć.

Westchnęła.

- Jestem taka zmęczona. Jeszcze nigdy nie czułam się tak straszliwie zmęczona.

- Odwróć się i pozwól, że rozepnę sukienkę. Wymasuję ci plecy.

Ciągle czuła gniew, ponizenie i ogromny smutek w sercu. A jednak ulga fizyczna uspokajała ją. Ręce Roberta pracowały powoli, lecz stanowczo, usuwały napięcie karku i łopatek.

Jak dobrze znał jej ciało! Równie dobrze jak ona sama. I tak dobrze, jak swoje własne. Jakby obydwójce stanowili jedno. Jedno...

Mijały minuty, kilka czy wiele, może pół godziny, nie wiedziała. Ale gdy odwrócił ją ku sobie, nie opierała mu się. Na wpół pogrążona we śnie, rozwarła ramiona.

Gdy się obudziła, Robert był już ubrany.

- Wstałem pół godziny temu. Mamy piękny, słoneczny dzień. Oglądałem żaglówki na jeziorze. Masz ochotę przespacerować się tam? Możemy polecieć następnym samolotem.

Wiedziała, że Robert sprawdza, w jakim jest nastroju.

- Jak sobie życzysz. Nie mam nic przeciwko temu.

To nie miało znaczenia. Sama chciała wiedzieć, w jakim jest nastroju. Wieczorem nad jeziorem czuła się przeraźliwie źle. Ale to, co wtedy myślała, teraz stało się nieaktualne. Przypomniała sobie przeczytane gdzieś niedawno słowa: „Większość Amerykanek nie widzi nic złego w tym, że mężowie biją je od czasu do czasu”. Dziwne, że przypomniała sobie o tym właśnie teraz. Może otrzymała lekcję. Czego oczekujesz od życia, Lynn? - mogłaby zapytać samą siebie. Doskonałości? I zaraz się zgaśniła. - Dorośnij wreszcie. Bądź realistką. Patrz przed siebie, nie wstecz.

A zresztą, kochasz go...

Usiadł na łóżku. Pogłaskał ją po włosach.

- Wydaje ci się, że wyglądasz okropnie, ale tak nie jest, daję ci słowo. Ostrożnie dotknęła policzka. Miała wrażenie, że opuchlizna ustępowała.

- Zrób sobie makijaż. Zamówiłem śniadanie. Pewnie umierasz z głodu.

- Wczoraj jadłam kanapkę na lunch.

- A więc obfite śniadanie. Jajka na bekonie...

Gdy wyszła z łazienki, Robert przesuwał stół, na którym nakryto do śniadania.

- Ci kelnerzy! Nigdy nie zrobią tak, jak trzeba. Mogliby mieć tyle rozsądku, by ustawić stół tam, skąd można mieć ładny widok. O, tu

będzie lepiej. Jak tylko zjemy, chcę z tobą wyjść. Musimy zrobić sprawunki.

- Jakie?

- Niespodzianka. Zobaczysz.

W windzie natknęli się na Bruce'a Lehmana.

- Myślałem, że już pojechałeś do domu - zdziwił się Robert.

- Nie. Muszę jeszcze coś załatwić. Nie pamiętasz? Jak się czujesz, Lynn? Nie widzieliśmy się wieczorem. - Starał się na nią nie patrzeć.

- Upadła i wstydziła się zejść na kolację w takim stanie - odpowiedział Robert.

- Siniec nie jest w stanie cię zeszpeci, ślicznotko - powiedział Bruce i wreszcie nabrał odwagi, by na nią spojrzeć.

Josie lubiła opowiadać, że wyszła za niego za męża, bo jego oczy spoglądały tak przyjaźnie, a na dodatek lubił koty. Przyjazne spojrzenie widoczne było nawet spoza okularów. Przypominał Lynn wieśniaka z reklamy - krępego mężczyznę przemierzającego pole w towarzystwie dwóch małych chłopców albo dwóch wielkich psów.

- Pozwolisz, że pójdziemy z tobą? - spytał Robert. - Podsunąłeś mi wczoraj doskonały pomysł.

- Oczywiście. Chodźmy. Wczoraj kupiłem bransoletkę dla Josie - wyjaśnił Bruce. - Zostawiłem, żeby wygrawerowali inicjały, ma być gotowa właśnie teraz.

- Chciałem zrobić Lynn niespodziankę - obruszył się Robert. - Cóż, trudno. I tak zaraz będziemy w sklepie.

Poczuła zakłopotanie. To nie była odpowiednia chwila na wręczanie i przyjmowanie podarunków.

- Nie potrzebuję czegoś takiego, Robertcie. Naprawdę.

- Nikt nie potrzebuje biżuterii. Ale jeśli Bruce może mieć taką przyjemność, dlaczego nie mogę i ja?

Sklep wyglądał jak cacko, cały wyłożony ciemnym drewnem. Bruce pokazał wąską, złotą bransoletkę.

- Podoba ci się, Lynn? Jak myślisz, spodoba się Josie?

- Jest śliczna. Będzie uszczęśliwiona.

- Cóż, nie wynagrodzi jej to operacji piersi, ale pomyślałem sobie, że jakiś drobiazg, myślałem... - Głos mu się załamał i zamilkł.

Robert przeszedł w przeciwległy kąt sklepu.

- Chodź tutaj, chcę, żebyś spojrzała na to.



W misternej złotej sieci osadzone były półkoliście oszlifowane rubiny, szafiry i szmaragdy.

- To - powiedział Robert - zasługuje na nazwę bransolety.

- Bizantyjska - wyjaśnił sprzedawca. - Ręczna robota. Oryginały znajdują się w muzeum.

- Przymierz, Lynn.

Karteczka z ceną była zbyt mała, by ją odczytać, lecz Lynn zorientowała się i bez tego.

- To zbyt kosztowne - zaprotestowała.

- Pozwól, że ja to osądzę. Jeśli kupuję, nie będę płacił za śmieci. To, co najlepsze, lub nic. Przymierz.

Posłusznie podeszła do lustra. Nie przywykła do takich wspaniałości, czuła się niezręcznie.

Zbliżył się Bruce.

- Pokaż Bruce'owi, co dostajesz.

- To pomysł Roberta. Ja naprawdę nie... - zaczęła. Bruce położył jej rękę na ramieniu i powiedział:

- Jest piękna. Przyjmij ją. Zasługujesz na nią. - A potem zwrócił się do Roberta. - Mamy dobre żony. Zasługują na to, co najlepsze.

Tak więc zakup został przesądzony.

- Trzymaj bransoletkę przy sobie - powiedział Robert. - Nie jest jeszcze ubezpieczona, a walizka może zaginąć.

- Tak jak twoja - odezwał się Bruce.

- Nie chciałaś tej bransoletki - powiedział Robert, gdy lecieli do domu - bo wydawało ci się, że próbuję cię przebłagać za to, co stało się wczoraj. Nie masz racji. Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co dostaniesz, kiedy. - Zachichotał. - W porównaniu z tym, co to zero kupiło dla Josie...

- Dlaczego nazywasz Bruce'a zerem? To jeden z najinteligentniejszych ludzi, jakich znamy.

- Oczywiście, masz rację, źle się wyraziłem. Chodzi mi tylko o to, że on nigdy nie wymyśli prochu. Tego jestem pewien.

- Może nie chce - odpowiedziała z oburzeniem.

- W biurze radzi sobie dobrze i sprawia niezłe wrażenie, ale brak mu błyskotliwości. Musi zostawać dłużej i przychodzić jeszcze w soboty, podczas gdy inni nie muszą.

- Musiał przebywać w domu z Josie, bo ona była bardzo chora. Przecież wiesz o tym. Teraz poczuła się lepiej i będzie inaczej.

- Cóż, dziwna z nich para. W niej się burzy jak w butelce szampana, a on jest uosobieniem spokoju.

- To nieprawda. Po prostu nie jest rozmowny. On słucha. - I dodała: - Nigdy nie lubiłeś Bruce'a i Josie, prawda?

- Nie. To nieprawda. - Robert poklepał ją po ręce. - Do diabła z wszystkimi prócz nas, Lynn. Coś mi się zdaje, że czeka nas wielka zmiana. Usłyszałem tu różne rzeczy i jestem prawie pewien, że dostanę to stanowisko w Nowym Jorku. Co na to powiesz?

- Wcale mnie to nie dziwi. Zaslugujesz na to bardziej niż kto inny.

- Będę kierować marketingiem od Missisipi po Atlantyck. Pomyślała, że będzie jej brakowało Helen i Josie.

- Być może wyślą od nas jeszcze jedną czy dwie osoby, oczywiście podległe mnie. Będą przesunięcia.

- Mam nadzieję, że pojedzie Bruce.

- Chodzi ci o Josie? Zbyt się od niej uzależniłaś, Lynn.

- Wcale się od niej nie uzależniłam. Jak możesz mówić coś takiego!

- Mówię, bo widzę, że tak właśnie jest. - A potem rozmarzył się.

- Nowy Jork. A potem, kto wie? Dział międzynarodowy. Europa. Londyn. Paryż. Coraz wyżej i wyżej, na sam szczyt. W wieku pięćdziesięciu lat mogę zostać prezesem spółki. To całkiem możliwe, Lynn. Wierz we mnie.

Robert był człowiekiem wyjątkowym, nigdy się nie cofał i przed niczym. Wszyscy o tym wiedzieli, a Lynn, jego żona, wiedziała o tym najlepiej. Poklepał ją po ręce i uśmiechnął się.

- Kochasz mnie? Mimo wszystko?

Kochać go. Być z nim mimo wszystko. Od pierwszej chwili. Żeby nie wiem co. Jak to wytłumaczyć?

- Kochasz mnie? - powtórzył.

- Tak - odpowiedziała. - O, tak.

CZEŚĆ DRUGA  
Wiosna 1988

## Rozdział 2

Dom otoczony był trawnikiem. Jego skrzydła wyraźnie zaznaczały się na tle ciemnych wzgórz. Architekt, który zaprojektował go dla siebie, przywiózł z Nowej Anglii belki pochodzące z rozbiórki starych osiemnastowiecznych stodoł. Okna składały się z dwunastu szybek, a półkoliste okno nad drzwiami było autentyczne - pochodziło ze starego domu. A wszystko w niewielkiej odległości od Manhattanu. Zaledwie kilka stacji kolejowych.

Robert wyszukał tę posiadłość podczas swojego pierwszego pobytu w Nowym Jorku i powrócił do domu pełen podniecenia i entuzjazmu. Connecticut to dopiero miejsce! Miało swój urok. I atmosferę. Dobre szkoły. Bezpieczne otoczenie. Wspaniałe nie zabudowane przestrzenie. Trzy akry wspaniałego lasu, wiejska droga i tylko jeden dom w zasięgu wzroku - stoi naprzeciw i wygląda jak wyjęty z Architectural Digest.

Oczywiście, jest drogi. Ale przy pensji i perspektywach Roberta żadne hipoteki nie stanowią problemu. Lynn może przeczytać o jego awansie w The Wall Street Journal lub w Forbes, i stwierdzić, jak wysoko jest notowany. A zresztą taki dom to inwestycja, miejsce przyjmowania gości - nie mówiąc już o ich własnym szczęściu. Niech tylko Lynn zobaczy to miejsce, a na pewno jej się spodoba. A wtedy musi ostro wziąć się do pracy i pięknie je wyposażyć. Żadnych kompromisów, najlepszy dekorator wnętrz.

Był pewien, że Lynn zakocha się w tym domu. Już widział ją przy pracy w ogrodzie, w rękawicach i dużym słomkowym kapeluszu.

Otworzyli więc butelkę szampana i przy kuchennym stole wznieśli toast za siebie, dzieci, General American Appliance i za przyszłość.

Była późna wiosna. Wieczorny wonny powiew wpadał przez otwarte okna do jadalni. To pachniały rosnące tuż pod oknami bzy.

- Posłuchaj, drozd! On chyba w ogóle nie sypia - powiedziała Lynn. - Wczoraj słyszałam go tuż przed zaśnięciem, a rano, gdy się obudziłam, on ciągle śpiewał.

Josie uśmiechnęła się. Miała wielkie i pełne wyrazu oczy.

- Lubisz to miejsce, prawda?

- O, tak. Na początku dom wydawał mi się zbyt obszerny, lecz Robert miał rację, wygodnie jest na takiej dużej przestrzeni. Jeśli

chodzi o koszty, to nadal mam pewne wątpliwości, ale niech on się tym martwi.

- Moja żona jest oszczędna - stwierdził Robert.

- Niejeden mąż cieszyłby się z tego - zauważyła Josie i Lynn po raz kolejny odniosła wrażenie, że jej uwagi, jakkolwiek obiektywne, mają ukryty sens.

- Dokonałaś w tym domu prawdziwych cudów. - Bruce spojrział ponad głowę Roberta na wielki hol ozdobiony tapetą przedstawiającą rzeki, drzewa i góry; a potem na living room w tonacji kremowej bieli, przygaszonej zieleni i zamglonego różu, jak na obrazach Moneta.

Oczy Lynn powędrowały za jego spojrzeniem. To prawda. Dom urządzone był z wyrafinowaną elegancją. Czasami, gdy była tu sama, odnosiła wrażenie, że te pokoje są jakby martwe w swojej doskonałości, jak zatopione w bursztynie.

- Nie uwierzcie - mówił Bruce - ale my po dwóch latach nadal mamy w piwnicy nie rozpakowane pudła z książkami. Wyjeżdżaliśmy z St. Louis w takim pośpiechu, po prostu wrzuciliśmy wszystko do pudeł. Nie spodziewaliśmy się przeniesienia, to było dla nas takim zaskoczeniem... - Roześmiał się. - Ale my jesteśmy znani z braku zamiłowania do porządku, i ja, i Josie.

- Gdy pracujesz dla spółki, jesteś niesłuchanie wydajny i sprawny - skorygowała go Josie.

Robert potrząsnął tylko głową.

- My urządziliśmy się w ciągu tygodnia. Ja nie mógłbym żyć w bałaganie. Porządek przede wszystkim. Wiem o tym. Gdy widzę na przykład napis: „Nie deptać trawników”, muszę być mu posłuszny, podczas gdy inni ludzie nie przejmują się tym i depczą trawniki. - Westchnął. - To szaleńcy.

- Mogę to potwierdzić - powiedziała Josie. - To, co widzę i słyszę, pracując z ludźmi... - urwała.

- Chciałabym, żebyś mi o tym opowiedziała, ciociu Josie. Ciągłe cię o to proszę. Wszyscy spojrzeli na Emily. Nastąpiła chwila ciszy, tak jakby cztery dorosłe osoby

zaskoczyła nagle uroda tej dziewczyny - w żółtej sukience, z czarnymi, jedwabistymi włosami spływającymi na ramiona i podtrzymywanymi wiśniową przepaską, o twarzy jaśniejącej w wieczornym słońcu.

- Kiedy tylko zechcesz. Ale to często takie tragiczne, ponure i tragiczne. - A potem spytała z zaciekawieniem: - Czemu się tym interesujesz?

- Wiesz, że chcę zostać lekarzem. Lekarze muszą rozumieć ludzi.

Lynn chciałyby wykrzyknąć: Ach, jaka ona śliczna! Jakie kochane są obie jej dziewczynki! Była taka zadowolona, że świetnie się rozwijają; doskonale odnalazły się w nowej społeczności.

- Emily wspaniale radzi sobie na PSAT - powiedział Robert. - Och, wiem, że nie lubisz, gdy się tobą chwale, kochanie, ale czasami po prostu muszę. Przebacz. Jestem z ciebie taki dumny!

Annie zwróciła ku ojcu swą okrągłą buzię otoczoną jasnymi, kręconymi włosami. Lynn powiedziała:

- Obie pilnie pracują. Annie przychodzi ze szkoły i od razu zaczyna ćwiczyć na fortepianie, a potem zasiada do pracy domowej. I nigdy nie muszę jej napominać, prawda, Annie?

Dziewczynka zwróciła się do matki:

- Czy mogę zjeść resztą sufletu, zanim oklapnie? Spójrz, schodzi z niego powietrze. Rzeczywiście, czekoladowa pianka zamieniała się powoli w wilgotną maź na dnie naczynia.

- Nie, nie możesz - odpowiedział Robert, podczas gdy Annie podsuwała swój talerz. - I bez tego jesteś wystarczająco gruba. Nie powinnaś w ogóle jadać słodczy.

Annie wykrzywiła usta w podkówkę, rozplakała się, zerwała z krzesła, przewracając je, i wybiegła.

- Wróć i podnieś krzesło - krzyknął Robert.

Odpowiedziało mu trzaśnięcie drzwiami. Unikali wzajemnie swego wzroku, dopóki nie odezwała się Emily z łagodną wymówką.

- Wprawileś ją w zakłopotanie, tato.

- O co ci chodzi? Jesteśmy tu sami sami. Ciocia Josie i wujek Bruce znali ją, zanim jeszcze się urodziła.

- Ale wiesz, że nie znosi, gdy mówi się o niej, że jest gruba.

- Musi spojrzeć prawdzie w oczy. Jest gruba.

- Biedne maleństwo - westchnęła Lynn. Biedne dziecko, które nie lubi samego siebie, tego, że jest tłuste i swoich kręconych włosów, odziedziczonych po jakimś nie znanym przodku. Nikt nie rozumiał jej skrywanego bólu. - Idź za nią, Robercie. Na pewno jest w swoim ulubionym miejscu, za szopą z narzędziami.

Robert wstał, odłożył serwetkę i skłonił się Lehmanom.

- Wybaczcie. Ona jest niemożliwa... - powiedział i wyszedł. Przy stole zapanowała cisza.

Lynn naląła kawę. Robert kupił serwis z grubego srebra, od Tiffany'ego, jako „prezent dla samych siebie”. Jego oficjalna elegancja wydała się teraz Lynn nie na miejscu. Lepiej było użyć zwykłej maszynki do parzenia kawy, tak jak zwykle. Robert jednak życzył sobie, by używała tych wszystkich nadzwyczajnych urządzeń. „Bo po to je mamy” - mówił i musiała mu przyznać rację. Ręce jej drżały i rozlała trochę kawy. Była to niemiła chwila.

Emily rozładowała napięcie. Mimo siedemnastu lat umiała się zachować.

- Idziecie na aukcję na rzecz szpitala?

- Tak. Myślałam o tej aukcji i najlepsze, co mi przychodzi do głowy, to zaoferowanie trzech nocnych dyżurów przy dzieciach.

- Cóż, jeśli będą ci potrzebne referencje - zażartowała Emily - mogą zatelefonować do mnie. Ty i wujek siedzieliście przy nas tak często.

- Ja zorganizuję przyjęcie w domu u kogoś, kto za nie zapłaci - powiedziała Lynn.

- Tata zaoferuje trzy lekcje tenisa. Jest lepszy od trenera, którego miałyśmy w zeszłym roku w szkole.

- Mówicie o mnie? - zapytał Robert. Nadszedł właśnie wraz z Annie, którą obejmował ramieniem i, nie czekając na odpowiedź, oświadczył radośnie: - Rozwiązaliśmy problem. Jeden smakowity, ogromny deser, tak wielki, na jaki będzie miała ochotę, raz na tydzień, ale żadnych innych słodczy. Prawdę powiedziawszy, to zasada dobra dla nas wszystkich, bez względu na to, ile ważymy. Czy to dobry sposób, Lynn?

- Bardzo dobry - odrzekła z wdzięcznością. Robert potrafił równie szybko uzdrowić sytuację, jak najpierw ją zepsuć.

Ciągnął dalej.

- Annie, kochanie, jeśli skończysz dziś wieczór pracę domową z matematyki, sprawdzę ją jutro i weźmiemy nowy temat, tak że będziesz miała przewagę nad resztą klasy. Zaskoczysz nauczycielkę. No, jak tam? - Dziecko skinęło głową. - No, Annie, uśmiechnij się. - Słaby uśmiech rozjaśnił wilgotne nadal policzki. - Od razu lepiej. Zostaniesz dziś w domu, Emily?

- Idę do kina, tato. Dziś piątek.

- Chyba nie znowu z tym Harrisem?

- Owszem tak, z Harrisem. Robert nic nie odpowiedział.

Emily jest z pewnością jedyną osobą na świecie, która wprawia Roberta w zakłopotanie - pomyślała Lynn.

- Eudora zostanie z Annie dziś wieczorem - powiedziała Lynn. - Emily, kochanie, zdaje mi się, że to samochód Harrisa.

- Słysząc go z odległości kilometra. Przydałby mu się nowy tłumik - powiedział Robert.

Po kilku minutach Emily wprowadziła Harrisa. Był to wysoki, długonogi młodzieniec o starannie ostrzyżonych włosach i w porządnie wyprasowanej koszuli. Uśmiechał się ukazując lśniące, białe zęby. Lynn odniosła wrażenie, że wraz z nim do domu zawitało zdrowie i radość. Trzymał na smyczy wielkiego, ciężkiego psa o długiej, szorstkiej sierści koloru trocin.

- Witam państwa, panie Ferguson, pani Ferguson, i państwa Lehmanów. Wydaje mi się, że Juliet ma coś w uchu. Tarzała się, pocierając łbem o trawę. Jeśli ktoś ją potrzyzyma, zobaczę, co to jest.

- Ale nie w salonie na dywanie, proszę - powiedział Robert.

- Dobrze, proszę pana. Czy w holu będzie dobrze?

- Tak. Położmy ją.

Nielatwo było mocować się z Juliet. Emily trzymała ją za łapy, a Robert przyciskał klatkę piersiową. Harris sprawdzał kosmate ucho.

- Uważaj. Może ugryźć! - ostrzegła Lynn. Harris potrząsnął głową.

- Nie. Juliet wie, że staram się jej pomóc. - Dokładnie palcami dotykał ucha. - Jeśli to jest w środku... nie, nic nie widzę... Chyba jakaś sprawa wewnętrzna... Trzeba będzie pójść do weterynarza... Przepraszam... Biedna suczka... Boli?... Oj, zdaje mi się, że coś czuję. Tak... Czuję... Mam... Boli? Poczekaj... Mam ją... Malutka zadra wczepiła się w sierść... och... poczekaj, staruszek... potrzebuję nożyczek, pani Ferguson. Będę musiał wyciąć trochę włosów.

- Nawet nie będzie widać - powiedziała Lynn, podając nożyczki.

- Nie widziałam równie kudłatego psa.

- Byłby z ciebie doskonały weterynarz - powiedział Bruce - a nawet lekarz. Harris, ciągle klęcząc, uniósł głowę i uśmiechnął się.

- Takie mamy zamiary. Emily i ja chcemy zostać lekarzami.

- Cóż, z pewnością doskonale radzisz sobie ze zwierzętami. Juliet wygląda na bardzo wdzięczną - powiedział z sympatią Bruce.



- U nas w domu zawsze były zwierzęta - wyjaśnił Harris, głaszcząc łeb Juliet.

- Przywykłem do nich. W zeszłym tygodniu straciliśmy starego psa. Miał szesnaście lat, prawie tyle co ja, bardzo mi go brak.

- Rozumiem - skinął głową Bruce. - Jakiej był rasy?

- Po prostu Heinz 57, najpopularniejszy pies w Ameryce.

- Juliet to Bergamasco - powiedział Robert. - Zdobyłem ją z wielkim trudem. Zapewniam was.

- Nigdy nie słyszałem o takiej rasie. Dopiero Emily wyjaśniła mi, o jaką rasę chodzi.

- Jest bardzo rzadka. W kraju psy tej rasy hoduje niewiele osób. Pochodzi z Włoch. Lynn roześmiała się.

- Ona chyba nie zdaje sobie sprawy ze swojej rzadkości. Prawda, Juliet? Pies ziewnął i położył się.

- Teraz lepiej - zapytał Harris - gdy pozbyłaś się tego poskudztwa?

- Och, Juliet, kochamy cię, ty śmieszna, rozczochrana dziewczyno! - wykrzyknęła Emily. - Chociaż ja zawsze marzyłam o seterze irlandzkim.

- Setery irlandzkie mają wszyscy - stwierdził Robert. Spojrzał na zegarek.

- Cóż, trzeba już iść. Zostaw samochód, Bruce. Zabierzesz go, wracając do domu. I, Emily, nie wracaj zbyt późno.

- Miły chłopak - stwierdził Bruce, gdy wsiedli do samochodu.

- Tak. Odpowiedzialny i rozsądny - zgodziła się z nim Lynn. - Nigdy nie niepokoję się o Emily, gdy z nim jedzie. Podczas gdy inni...

- Jacy inni? - przerwał jej Robert. - Zawsze wydawało mi się, że wszędzie chodzi tylko z nim. I nie podoba mi się to. Wcale mi się to nie podoba.

- Zbyt wiele się dopatrujesz - powiedziała łagodnie Lynn. - To po prostu dzieciaki ze szkoły średniej.

- Emily nie jest jakimś dzieciakiem. Jest wyjątkową, utalentowaną dziewczyną i nie chcę, żeby marnowała czas. Przyznaję, chłopak jest dość miły, a jego rodzina prawdopodobnie godna szacunku. Ojciec jest policjantem...

- Masz coś przeciwko temu? - spytała Josie szorstko i bezceremonialnie. Lynn skuliła się. Wiedziała, że Robert i Josie nie lubią się, ale nigdy o tym nie mówiono.

- On wcale nie miał tego na myśli. - Bruce udzielił Josie łagodnej nagany. Lynn pomyślała, że ona i Bruce nazbyt często łagodzą takie niezręczne sytuacje.

Powiedziała jedynie:

- Po co tyle mówić? To tylko para siedemnastolatków.

- Cóż, nie lekceważyłbym tego - odezwał się Bruce, zaskakując ich nieco.

- Josie i ja zakochaliśmy się w sobie jako uczniowie szkoły średniej.

- To co innego - burknął Robert. - Emily jest inna. Ona wie, że ma przed sobą wielką przyszłość, i nie pozwoli sobie, by ją roztrwonić.

- Zawsze wydawało mi się, że należysz do mężczyzn, którzy uważają, iż miejscem odpowiednim dla kobiety jest dom - powiedziała Josie.

Lynn znowu się skuliła. Na szczęście, zanim Robert zdążył odpowiedzieć, samochód zajechał przed siedzibę klubu.

Członkowie klubu zorganizowali zbiórkę funduszy na rzecz szpitala. To właśnie Robert nawiązał współpracę pomiędzy klubem a zarządem szpitala. Zadziwiające, że zaledwie po dwóch latach spędzonych w tej społeczności stał się tak popularny, że gdy przechodził przez hol, co najmniej dziesięć osób zatrzymało się, by pozdrowić go i porozmawiać.

W długiej sali, której okna wychodziły na pola golfowe, właśnie rozpoczynała się aukcja. Po dwu stronach podium ustawiono stoły z różnymi ofiarowanymi przedmiotami: szklanymi świecznikami, wyposażeniem domku dla lalek, amatorskim obrazem przedstawiającym pływające po stawie kaczkę. Z boku wisiało futro z norek - dar jednego z najlepszych sklepów w okolicy.

Robert zatrzymał się, by je obejrzeć.

- Co powiesz na to? - wyszeptał. Lynn potrząsnęła głową.

- Oczywiście, że nie. Znasz moje zdanie na temat futer.

- Okay. Nie będę cię zmuszał. Zastanowiłem się i nawet jeśli kiedyś zmienisz zdanie co do futer, nie kupię tego. Wygląda na tanie. - Poszedł dalej. - A co powiesz o mebelkach do domku dla lalek dla Annie?

- Ona nie ma domku dla lalek.

- No, to kupimy jej na urodziny. Niech go sama urządzi. Annie powinna się czymś zajmować. A co to? Czyżby to była menora?

- Tak - odpowiedział postępujący za nim Bruce. - Odziedziczyłem aż trzy po różnych krewnych, a ponieważ nie potrzebujemy tylu, pomyślałem, żeby ofiarować jedną z nich. Ta pochodzi z Czech i ma około stu lat. Powinna uzyskać niezłą cenę.

- Nie sądzę. W tym klubie nie ma Żydów.

- Ale jest kilku w sąsiedztwie i zawsze są hojni - odpowiedział Bruce z niezwykłą dla niego stanowczością.

- To powszechnie wiadomo - szybko powiedziała Lynn, niepokojąc się, czy uwaga Roberta nie zabrzmiała zbyt szorstko.

Robert poszedł dalej.

- Hej, popatrzcie na to. Dwa Dickensy z 1890 roku. Czarny dom i Wielkie oczekiwania. To dopiero znalezisko, Lynn. - Ściszył głos. - Musimy coś kupić. Nie byłoby w porządku, gdybyśmy wyszli z pustymi rękami. Kupię te książki.

Pojawił się prowadzący aukcję i widownia ucichła. Składano rozmaite oferty, które przyjmowano wśród żartów: Josie zajmie się czyimiś dziećmi, Robert da kilka lekcji tenisa, Lynn zorganizuje przyjęcie oraz wiele innych propozycji. Wszystkie uzyskały wysokie ceny. Pewna dama o niebieskawych włosach nabyła zachwycona futro z norek.

Mebelki dla lalek wzięli Fergusonowie, podobnie jak dwa tomy Dickensa. Menorę Bruce'a kupił za trzy tysiące dolarów handlarz antyków.

- Napiłbym się kawy - powiedział Robert. Przeszli do jadalni, gdzie podano deser. Robert i Lynn zajęli miejsca dla Lehmanów.

- Jestem w kłopotcie - wyszeptał, gdy usiedli. - Powinniśmy spędzić trochę czasu z członkami klubu, ale mamy zobowiązania wobec Bruce'a.

- Radzi sobie - zauważyła Lynn. Bruce i Josie rozmawiali właśnie z ożywieniem z otaczającymi ich ludźmi. - Łatwo zyskuje sobie przyjaciół.

- Tak, gdy się postara. Powinien to robić częściej. Cóż, nie mam zamiaru tracić czasu, czekając tu na niego. Jest kilkanaście osób, z którymi powinienem zamienić parę słów. Chcę też przejrzeć rachunki. Myślę, że aukcja przyniosła co najmniej ze dwadzieścia tysięcy dolarów. Muszę też złapać lokalnego wydawcę i sprawdzić, czy

opublikował moje nazwisko i czy General American Appliance spotkało się z uznaniem. - Robert bębnił palcami po stole. - Nie. Lepiej zrobić to jutro rano. Kilka prywatnych telefonów zdziała więcej.

Od grupy rozmawiających odłączyli się Josie, Bruce i jeszcze jeden mężczyzna. Podeszli do Roberta i Lynn. Bruce przedstawił nieznanego

- To jest Tom Lawrence, który zakupił twoją ofertę przyjęcia, Lynn. Pomyślałem sobie, że powinniście się poznać.

- Proszę się do nas przyłączyć. Pan i pańska żona - powiedział serdecznie Robert.

- Dziękuję, z przyjemnością. Lecz nie mam żony. Już nie mam. - Uśmiechnął się, jakby go to bawiło. - Pewnie się zastanawiacie, po co kupiłem ofertę przyjęcia, skoro nie mam żony. Chociaż prowadzę kawalerskie gospodarstwo, lubię przyjmować gości. - I zwrócił się do Lynn. - Bruce powiedział mi, że jest pani bajeczną kucharką i powinienem kupić propozycję kolacji. Więc tak zrobiłem.

- Zapłacił pan więcej, niż to warte - powiedziała Lynn. - Mam nadzieję, że nie będzie pan rozczarowany.

- Z pewnością nie. - Teraz Lawrence zwrócił się do Roberta. - A pan, jak zauważyłem, kupił moje Dickensy. Uczciwa zamiana.

- Niezupełnie. To bardzo piękne książki. Zastanawiam się, czemu się ich pan pozbył.

- Z tego samego powodu, dla którego Bruce rozstał się z lichtarzem, to znaczy z menorą. Obaj moi dziadkowie kolekcjonowali książki, uznałem, że nie potrzebuję podwójnych egzemplarzy. Jeden z moich dziadków był fundatorem tego klubu i szpitala - dodał - więc cała ta aukcja ma dla mnie specjalne znaczenie.

- Ach, tak. Lawrence Lawrence. Tabliczka w holu w St. Wilfred.

Lynn zdała sobie sprawę, że Robert szacuje tego człowieka. Dostrzegł jego pewność siebie i bystrość. Od razu też zapytał, skąd znają się z Bruce'em.

- Poznaliśmy się, biegając na szkolnym stadionie - odpowiedział Lawrence.

- Wygląda na to, że mamy podobny rozkład zajęć.

- A więc musi pan mieszkać niedaleko szkoły.

- Teraz tak. Po rozwodzie wyprowadziłem się z dużego domu. Przedtem mieszkałem przy Halsey Road - powiedział niedbale.

- My tam mieszkamy! - wykrzyknęła Lynn. - Kupiliśmy dom Albrightów.

- Naprawdę? Piękny dom. Byłem tam na wielu wspaniałych przyjęciach.

- Będzie pan musiał zobaczyć, jak wygląda teraz. Wprowadziliśmy wiele zmian. Nie poznałby go pan - powiedział Robert. - Wymagał mnóstwa pracy.

- Doprawdy? - spytał Lawrence. - Nie zauważyłem.

On chyba nie lubi Roberta, pomyślała Lynn. Nie, to bzdura. Dlaczego miałby go nie lubić? Wydaje mi się.

Nagle Josie roześmiała się.

- Wiecie co? Spójrzcie na Lynn i na Toma. Czy widzicie to, co ja widzę?

- Nie, co? - zapytał Robert.

- Spójrz uważnie. Mogliby być rodzeństwem. Mają takie same gładkie włosy koloru piasku, krótkie nosy i dołek w brodzie - to niezwykle.

- Jeśli tak, czuję się zaszczycony. - Lawrence skłonił się Lynn.

- Ja tego nie dostrzegam - stwierdził Robert.

Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy, jakby popełniona została jakaś niezręczność, pomimo że uwaga Josie była raczej niewinna. Lynn powiedziała żartobliwie.

- Musi mi pan powiedzieć, co chciałby pan na tę kolację na osiem osób, panie Lawrence.

- Na imię mi Tom. Sporządzę listę i zadzwonię do pani. Czy termin za dwa tygodnie będzie odpowiedni?

- Nie zapomnij, że zabieramy Emily, żeby obejrzała uniwersytet w Yale - przypomniał Robert.

- Nie zapomnę. Odpowiada mi ten termin. Sala zaczęła pustoszeć. Wieczór dobiegał końca.

- Kto to właściwie jest ten Lawrence? - wypytywał Robert w drodze do domu.

- To mądry facet. Wspólnik w jednej z wielkich prawniczych firm nowojorskich - wyjaśnił Bruce.

- Niewiele mi to mówi. Jest wielu mądrych facetów w wielkich nowojorskich firmach.

- Nie wiem nic więcej prócz tego, że rozwodził się kilka razy, ma pod pięćdziesiątkę, choć wygląda na młodszego. Wiem także, że pochodzi z dobrej, jak ty to nazywasz, rodziny - dodał wesoło Bruce.

- Wcale mnie nie cieszy, że Lynn ma iść do domu obcego mężczyzny.

- Och - powiedziała Lynn - nie bądź głupi. Czy on wygląda na gwałciciela?

- Nie wiem, jak wygląda gwałciciel - Robert westchnął ciężko. - Moja żona jest ciągle bardzo niewinna.

- To kolacja na osiem osób. I zamierzam zabrać do pomocy Eudorę. Może to poprawi ci humor. Słowo daję, Robercie!

- Dobrze już, dobrze. Skoro sobie tego życzysz, już mam lepszy humor.

- Ludzie mówili o tobie same dobre rzeczy - powiedział Bruce. - O szpitalu, a także o wielkiej sumie, którą dzięki tobie General American Appliance przekazał na Fundusz Dzieci Ociemniałych.

- Tak. Tak. Ludziom się wydaje, że to wszystko nie ma nic wspólnego z marketingiem urządzeń elektronicznych. Mam nadzieję, że teraz zrozumieją. Liczy się wszystko, dzięki czemu GAA będzie kojarzone z jakąś dobrą sprawą. A kontakty, które nawiązuje się w klubie, pomagają w znalezieniu takich dobrych spraw. Koniecznie powinieneś zapisać się do jakiegoś klubu, Bruce.

- Wiesz, że do tego nie mogę wstąpić.

- To niesmaczne - stwierdziła Lynn. - Kiedy słyszę coś takiego, mam ochotę walczyć z tym.

- Może i chciałabyś, ale lepiej tego nie rób. Należy być realistą. Bruce jest wystarczająco mądry, aby się z tym pogodzić. Wstąp do klubu dla Żydów, Bruce. Jest ich kilka niedaleko linii kolejowej do Westchester. Spółka chętnie pokryje koszty.

Lynn obejrzała się i zobaczyła, że Bruce zmarszczył brwi.

- Josie i ja nie nadajemy się na bywalców klubu. Bez względu na to, czy zrzesza on Żydów czy nie.

- Najwyższy czas, żeby to zmienić - powiedział Robert energicznie. - Musisz zacząć zasiadać w jakichś zarządach, bywać na kolacjach, a twoja żona uczęszczać na lunchy. Dla dobra firmy i dla samego siebie.

- Robię, co mogę - odrzekł Bruce.

- Cóż, przemyśl to sobie. I ty także, Josie. Lynn wtrąciła się.

- Przecież Josie pracuje. A zresztą nie potrafię jej sobie wyobrazić plotkującej z żonami członków klubu. Stale trzeba uważać na to, co się mówi. Wszystko oceniają - twoje poglądy, ubrania, wszystko. Jedno takie popołudnie może człowieka wykończyć.

- To jest cena, jaką się płaci za to, kim się jest i gdzie się jest. To i tak niewielka cena za doskonałe stanowisko w Europie - stwierdził Robert.

Lynn wiedziała, jak wygląda taki awans: dwa lub trzy lata w różnych krajach Europy, a potem powrót do macierzystego biura w Nowym Jorku. Albo wyjazd na Daleki Wschód i dopiero potem powrót. Nic stałego; nigdzie nie można zapuścić korzeni, zasadzić drzewa i patrzeć, jak rośnie. Wielu ludzi poświęciłoby wszystko za możliwość takiego życia, ale ona do nich nie należała.

A Robert był właśnie takim człowiekiem. I zasługiwał na to. Nie wolno jej, myślała, zatrzymywać go w drodze do kariery.

Bruce, jakby czytając w jej myślach, powiedział:

- Gdy tylko zwolni się jakieś ważne stanowisko w Europie, a wszystko wskazuje na to, że stanie się tak niedługo, z pewnością zaoferują je tobie, Robertcie. Wszyscy o tym wiedzą.

Wieczorem, gdy leżeli już w łóżkach, czytając przed snem, Robert zapytał:

- Co robisz jutro?

- Zabieram Josie i kilka przyjaciółek na lunch; nie pamiętasz? To jej urodziny.

- Chcesz opuścić turniej tenisowy dla kobiet?

- Muszę. Josie pracuje przez cały tydzień, sobota jest jedynym możliwym dniem. Robert odłożył książkę.

- Josie jest zbyt wymagająca. Zawsze ci to powtarzam. Zastanawiam się, jak on z nią może wytrzymać, chyba tylko dlatego, że jest zbyt słaby. Facet, który umie tylko przytakiwać, nie ma nic do powiedzenia.

- Wytrzymać z nią! Dobry Boże, on nie jest facetem, który tylko przytakuje. On ją uwielbia! A co do wymagań Josie, to nie jest prawda. Ona jest po prostu szczerą, to wszystko. Mówi bez ogródek.

- Można to i tak nazwać. Prawdopodobnie jestem po prostu męskim szowinistą, którego zbyt szczerze kobiety wprawiają w zakłopotanie.

Lynn roześmiała się.

- Nasza Emily także mówi bez ogródek.
- Och, to zupełnie co innego. - Robert także się roześmiał. - Ona jest moją córką. Może robić, co jej się podoba.
- Wyjąwszy wybór chłopaka, z którym chodzi.
- Ja tylko chcę, żeby miała to, co dla niej najlepsze. Czy nie poświęcam się dla niej? I dla was wszystkich?
- Ależ oczywiście, Robercie.
- Sięgnął po książkę, a ona wróciła do swojej. Po chwili zapytał:
- Czy zreperowałaś ten zarysowany błotnik?
- Tak, dziś rano.
- Ładnie to zrobili?
- Tak. Nikt nie domyśliłby się, że w ogóle był tam jakiś ślad.
- Dobrze. Nie należy jeździć porysowanym samochodem. - Zamyślił się; zupełnie jakby miał w głowie notatnik.
- Wysłałaś prezent urodzinowy ciotce?
- Oczywiście. Piękną torbę na lato.
- Świetnie. Należy jej się za te wszystkie swetry, które robi dla naszych dziewczynek. Znów wyczuła w jego głosie nutę niechęci.
- Wydaje mi się, że ją źle traktujesz, Robercie.
- Bzdura. Podczas ostatniego Bożego Narodzenia byłem dla niej bardzo miły.
- Byłeś dla niej zaledwie uprzejmy. A poza tym odwiedziła nas nie w zeszłym roku, lecz dwa lata temu. W zeszłym roku nie przyjechała do nas, bo wyczuła, że jej nie lubisz. Ja ją lubię. Jest miłą, łagodną damą.
- Może i miła, ale to stara, gadatliwa wariatka. Działa mi na nerwy.
- Gadatliwa! Gdy jesteś w pobliżu, w ogóle się nie odzywa. Nic nie odpowiedział. Lynn nalegała.
- Emily lubi ją. Spędziły razem miłe popołudnie, gdy Jean przyjechała w zeszłym miesiącu do Nowego Jorku.
- Już dobrze, zostawmy w spokoju ciotkę Jean. To nieważne. Odwrócił się i pociągnął koc. Książka upadła z hukiem na podłogę.
- Przepraszam. Cholera! Jestem niespokojny. Położyła mu rękę na ramieniu.
- Powiedz, co cię gnębi.
- Cóż, pewnie pomyślisz, że to z mojej strony szaleństwo. Ale nie podoba mi się, że idziesz do domu obcego mężczyzny, aby mu



gotować kolację. A on nie ma żony. Wolałbym, żebyś wymyśliła coś innego na tę aukcję.

- Ależ gotowanie to coś, co najlepiej umiem. Będzie zabawnie. Widziałeś rachunek? Zapłacił za moje usługi tysiąc dolarów. Chcę, żeby to do ciebie dotarło.

- To Bruce go namówił. Tak do tego doszło.

- Nie złość się na Bruce'a. Jak możesz być taki niemądry?

- Ten facet nie podoba mi się. Rozwiedziony i jeszcze raz rozwiedziony, i... Chcąc go rozbawić, powiedziała.

- Jest podobny do mnie, więc...

- Tak, jest trochę podobny do ciebie, a ty... - Odwrócił się do niej, widziała jego ciemniejące niebieskie tęczęwki, czarne rzęsy i własne odbicie w jego źrenicach. - Robisz się z każdym rokiem ładniejsza, z niektórymi kobietami tak właśnie się dzieje.

Poczuła zadowolenie.

- Czyżbyś był o mnie zazdrosny?

- Wcale nie jestem. Czy to nie jest naturalne? Zwłaszcza że ja nigdy, w całym naszym wspólnym życiu... przysięgam... nigdy cię nie zdradziłem. - Gwałtownie wtulił twarz w jej ramię. - Och, Lynn, ty nawet nie wiesz. Nie wiesz.

To, że on nadal pragnął jej z taką gwałtownością i że ona odpowiadała równie namiętnie jak wtedy, gdy byli ze sobą po raz pierwszy... to był cud, który zaskakiwał ją zawsze od nowa, tak jak i teraz...

Wiatr poruszał firankami, u wezgłowia tykał zegar. Cicho trzasnęły szybko zamknięte drzwi samochodu. Robert zbudził się.

- Emily?

- Jest już w domu. Nie spałam, czekałam na nią.

- Wraca zbyt późno.

- Ciii. Śpij. Wszystko w porządku.

Teraz, gdy Emily i Annie leżały w łóżkach, ona także mogła zasnąć.

Przez chwilę rozmyślała, czuła obok ciepłe ciało Roberta, z którym przespala już tysiące nocy. Tysiące.

Wtedy znowu odezwał się drozd. Wyśpiewywał z całego serca, zapominając o reszcie świata - pomyślała, a potem zasnęła.

Tom Lawrence zapytał:

- Czy na pewno pani nie przeszkadzam?

Stał w swojej lśniącej, białej - czarnej kuchni oparty o szafkę i przyglądał się Lynn.

- Nie. Ani trochę.

- To dla mnie coś zupełnie nowego. Zwykle gdy zapraszam gości, robimy sobie barbecue w ogrodzie. Steki i na deser lody. Szybko i łatwo.

Dla niej także było to zupełnie nowe doświadczenie. Musiała coś odpowiedzieć. Choćby banalnego, aby tylko nie zapadło niezręczne milczenie.

- Szkoda, że częściej nie używa pan tych pięknych naczyń - stwierdziła, napełniając srebrne patery zielonymi winogronami.

- Doskonały pomysł, żeby umieścić w nich owoce. Zapomniałem o nich. Gdy rozstaliśmy się i trzeba było się wyprowadzić, uzgodniliśmy z byłą żoną, że dzielimy wszystko po połowie. To, co mieliśmy od jej rodziny i od mojej, i to, co kupiliśmy wspólnie. Pozwoliłem, żeby to ona dzieliła. Nie przywiązywałem do tego żadnego znaczenia. Cała ta historia to jeden wielki bałagan. Ta przeprowadzka. Wszystko. - Zsunął się ze stołka. - Potrzynam. Gdzie to postawić?

- Na środku stołu. Proszę uważać, uchwyt jest obłuzowany.

Stół ustawiono w wielkim pokoju. Po obu jego stronach znajdowały się kominki. Dom składał się ze wspaniałej kuchni, dwóch sypialni i owego ogromnego pokoju. Zauważyła obrazy, półki z książkami, oszkloną ścianę i taras, porośnięty gęstym listowiem.

- Bardzo elegancki mały dom! - wykrzyknęła.

- Tak pani uważa? Po prawie trzech latach wreszcie czuję się tutaj jak w domu. Gdy się tu wprowadziłem, wszystko wyglądało obco.

- Wiem, co pan ma na myśli. Gdy przyjechały ciężarówki z naszymi meblami i ustawiono wszystko w nowym domu, też wyglądały ponuro. Jakby tęskniły za własnym domem. A potem kiedy puste ciężarówki odjechały, poczułam się, jakby stało się coś ostatecznego. I było mi smutno. - Przypomniała sobie ich mały domek w St. Louis. „Mały” w porównaniu z obecnym. Pomyślała o przyjaciółach z sąsiedztwa i małej, zacisznej ulicy. - Ale otrząsnęłam się z tego - dodała szybko.

Jego odpowiedź zaskoczyła ją.

- Wydaje mi się, że „otrząsa się” pani szybko. I robi pani to, co powinna. Przyjrzała mu się ze zdziwieniem. Ten mężczyzna był zupełnie inny niż ona; był przenikliwy i znający życie. Zdawało się, że potrafi przejrzeć człowieka na wylot.

- Dlaczego pan tak myśli? - spytała. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. Czasami mam intuicję, to wszystko. Ale to bez znaczenia. I prawdopodobnie się mylę.

- Być może czuje pan, że jestem trochę zdenerwowana, to z powodu przyjęcia. Mam nadzieję, że nie porywam się na coś, czemu nie podołam.

Wrócili do kuchni.

- Proszę się nie denerwować. To zwykli ludzie, kilku starych przyjaciół z Nowego Jorku, sami swoi. Stół wprawi ich w zdumienie. Spodziewają się papierowych talerzy, jak zwykle u Toma Lawrence'a.

Na bufecie stały już półmiski i misy z jedzeniem, które Lynn przygotowała wcześniej w domu: ciemnoczerwona szynka w sosie szampańskim, faszerowane grzyby, czarne oliwki, srebrzyste szparagi na sałacie, złote marynowane marchewki, różowe brzoskwinie z cynamonem i goździkami. Krzątała się między spiżarnią i lodówką. Wstawiła do piekarnika naczynie z okrągłymi ziemniaczkami. Wreszcie ubiła mikserem pianę, żeby przyozdobić nią wielki placek migdałowy.

Gdy uporowała się ze wszystkim, poczuła zadowolenie i wróciła jej zwykła pewność siebie.

- Ta kuchnia jest wspaniała - powiedziała Tomowi, który nadal przyglądał się temu, co robi. - Piekarnik jak w restauracji, lodówka, wszystko. Można pozazdrościć.

- Cóż, zasługuje pani na idealnie wyposażoną kuchnię. Jest pani ekspertem. Czy nigdy nie myślała pani, by zająć się gotowaniem profesjonalnie?

- Przyznaję, myślałam o tym. Wybrałam nawet nazwę „Przepyszne kolacje”. Ale mam zbyt wiele zajęć, klub, Komitet Rodzicielski, i prowadzę nasz ogromny dom, sama nie wiem... - Zamilkła, a potem dodała: - A poza tym mam czas, wszystko przede mną. - Zdała sobie sprawę, że się tłumaczy. - Muszę rzucić ostatnie spojrzenie na stół - powiedziała szybko.

- Przepraszam - zapytał Tom - ale czy srebra... to znaczy łyżki i widelce nie leżą odwrotnie?

Lynn roześmiała się.

- Jeżeli sztucce mają inicjały od spodu, to trzeba je wyeksponować.

- Och? Proszę, nauczyłem się czegoś - powiedział, a jego oczy śmiały się do niej. Pomyślała, że ma oczy takie jak Bruce. Był zupełnie inny, ale oczy miał podobne.

Wyglądziła obrus, poprzesuwała lichtarze. Niewiele ludzi umiało się w taki sposób uśmiechać oczami.

- Zamyśliłaś się nagle, Lynn. Czy mogę się tak zwracać do ciebie?

- Oczywiście. Zamyśliłam się. Coś sobie przypominałam - powiedziała lekko.

- Kiedy Robert kupił książkę na temat savoir - vivre'u, pomyślałam sobie, że to z jego strony głupie, ale teraz widzę, że jest to użyteczne.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

- Och, to Eudora. Sprząta u nas i pilnuje dzieci. Prosiłam, żeby przyszła mi pomóc. Otworzę jej.

Kiedy wróciła, Tom powiedział:

- Teraz, gdy masz kogoś do pomocy, chcę, żebyś dostawiła jeszcze jedno nakrycie dla siebie.

- Jestem tu, żeby pracować. Nie przyszedłam jako gość - przypomniała mu.

- W każdym razie, dziękuję.

- Dlaczego nie miałabyś być gościem? Będą tu dziś wyłącznie pary, z wyjątkiem mnie. A ja także powinienem mieć jakąś osobę towarzyszącą.

- O tym nie było mowy.

Jego uśmiech przygasł. Przyjrzał się jej uważnie.

- Rozumiem. Chodzi ci o to, że jeśli miałabyś być gościem, twój mąż powinien być tu razem z tobą.

Popędziła do kuchni. Dlaczego się zarumieniła? W końcu nie powiedział nic złego. Zwróciła się do Eudory czekającej na dyspozycje.

- Przyjdą lada chwila. Nastaw piekarnik, żeby podgrzać przystawki. Przez pierwsze pół godziny będą popijać drinki. Ja podam sałatę. Na tych niebieskich talerzach... nie, nie tych, weź inne.

- Dobrze się bawią - stwierdziła Eudora po pewnym czasie. Do kuchni dobiegały wybuchy śmiechu. - Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby zjadali tak wszystko do czysta.

- Dobrze. A teraz wnieś ciasto, żeby zobaczyli, jak wygląda. Potem wróc z nim, żebym mogła pokroić.

- Z pani to jest prawdziwa kucharka. Mogłabym być pani matką, a nigdy jeszcze nie widziałam takich dań.

- Cóż, ja także nie znałam wielu potraw jamajskich, dopóki nie poznałam ciebie. Lynn czuła przyływ energii, mimo że cały dzień była na nogach. To, co zaczęło się

jako żart, przygoda, okazało się prawdziwym egzaminem, i ona go zdała. Zapłacono za jej umiejętności i cieszyła się z tego. Toteż gdy drzwi otworzyły się i Tom powiedział, że goście domagają się, aby poznać kucharkę, była gotowa, by z nim pójść.

- Pozwól tylko, że doprowadzę twarz do porządku. Mam wypieki.

- Tak, to straszne. Wyglądasz jak róża. - I pociągnął ją za sobą.

Szybko oceniła tę grupę: wykształceni, zadowoleni z siebie, nowojorczycki sukces, z tych, co noszą brylanty do dzinsów, jeśli im przyjdzie na to ochota. Pobierają się i rozwodzą równie łatwo, jeśli zechcą. Życzliwie nastawieni do życia, zgodni. Trzeba by wiele, aby ich zaszokować. Robert na pewno pogardzałby nimi.

Nie posiadali się wprost z zachwytem nad umiejętnościami Lynn.

- Cóż za talent... Mogłaby pani pracować w „Le Cirque” lub „La Grenouille”... Dziś wieczór zrezygnowałam z diety... Absolutnie zachwycające...

Spotkanie osiągnęło swój szczyt. Rozgrzani jedzeniem i winem goście wstali od stołu w doskonałym, radosnym nastroju. Tom włączył magnetofon, panowie odsunęli dywany i rozpoczęły się tańce.

Tom wyciągnął rękę do Lynn.

- Chodź, przyłącz się do nas.

- To rock and roll. Nie umiem tego tańczyć - zaprotestowała.

- Najwyższy czas, żeby się nauczyć - odpowiedział i pociągnął ją na środek pokoju. Na początku czuła się głupio. Gdyby Emily mogła ją teraz zobaczyć, umarłaby ze śmiechu. Mogła tylko naśladować

drgawki i wygibasy innych. A potem prymitywny, bębniący, przyspieszający obieg krwi rytm zaczął do niej przemawiać. Zupełnie niespodziewanie chwyciła rytm.

- Spójrz. Chwyciłaś! - krzyknął Tom. - Złapałaś rytm!

Gdy Eudora ukazała się w drzwiach, aby dać znak, że chce już wyjść, Lynn była zaskoczona, że jest tak późno. Wydawało się jej, że jest najwyżej dziewiąta, a dochodziła jedenasta. Lynn wcisnęła Eudorze kilka banknotów i zapytała: - Zostawiłaś kryształ?

- Tak. Chciałam je umyć, ale nie umiałam sobie z nimi poradzić.

- W porządku, Eudoro. Umyję je i wracam do domu.

Wróciła do kuchni i przypasała znowu fartuch. Myła szklanki, gdy do kuchni wszedł Tom. Oczy mu błyszczały i był w świetnym nastroju. Szukał Lynn.

- Hej! - zawołał. - Co ty tu robisz?

- Eudora nie miała odwagi tknąć twego serwisu Baccarat. Zna jego cenę.

- Zostaw go. Przenosimy się do ogrodu. Noc jest wspaniała.

- Nie mogę. Naprawdę. Nie mogę.

- Owszem, możesz. Nalegam. Na dziesięć minut. Chodź.

Latarnie ogrodowe oświetlały ogród blaskiem podobnym do księżycowego. Poza kręgiem światła stały świerki kanadyjskie. W dzień padał deszcz i w powietrzu unosił się zapach wilgotnej trawy.

Jeden z mężczyzn poskarżył się.

- Latka lecą, Tom. Jestem wykończony. Czy nie można by na odmianę puścić trochę starych kawałków?

- Żaden problem. Mam wszystkie przeboje, przy których bawili się twoi rodzice. O, to jest naprawdę miłe. - Tom przycisnął do siebie Lynn. - Kiedy tańczy się coś takiego, ten sposób jest bardziej odpowiedni.

Był od niej niedużo wyższy, tak że ich twarze nieomal się stykały. Nogi poruszały się w zgodnym rytmie w takt sentymentalnej, starej melodii.

- Masz słodkie usta - powiedział nagle Tom. - I słodkie oczy. Lynn zeszywniała. Natychmiast to wyczuł.

- Nie podoba ci się, że tak mówię, prawda?

- Nie spodziewałam się tego.

- Dlaczego? Jeśli komplement płynie z głębi serca, trzeba go wypowiedzieć i wysłuchać.

- Cóż, w takim razie, dziękuję.

- Nadal wyglądasz na zakłopotaną. Pewnie myślisz, że jestem bawidamkiem. Ale ty naprawdę jesteś wyjątkowa i muszę ci to powiedzieć. Taka świeża. Inna.

Czuła na szyi jego oddech. Przyciskał ją do siebie tak mocno, że czuła bicie jego serca. I nagle ta czarowna noc zmieniła się w udrękę.

- Już po jedenastej! - krzyknęła. - Muszę wracać. Proszę...

- A, więc tu jesteście! - rozległ się szorstki głos.

Zza rogu wyszedł Robert i wkroczył w krąg światła. Właśnie wtedy zamilkła muzyka, tancerze zatrzymali się i spojrzeli w kierunku, skąd dochodził głos.

- Dzwoniłem, żadnej odpowiedzi. Stukałem do drzwi i też bez skutku.

- To mój mąż - powiedziała Lynn. - Tom Lawrence... ależ ze mnie głuptas. Przecież już się znacie. Jestem bezmyślna.

- Ach, tak mi przykro. Byliśmy tutaj i muzyka zagłuszyła wszelkie dźwięki. Proszę się do nas przyłączyć - powiedział serdecznie Tom. - Pańska żona przygotowała cudowną kolację. Musi pan spróbować deseru. Mam nadzieję, że trochę zostało, prawda, Lynn?

- Dziękuję, ale dochodzi północ, a ja nie przywykłem bywać o tej porze poza domem i zastawać moją żonę tańczącą.

Lynn pomyślała: Wygląda jak zły czarny charakter ze starego melodramatu, czarny i ponury, w masce na twarzy i pelerynie. Dlaczego się nie uśmiechnie. Umrę ze wstydu przed tymi ludźmi. I wykrzyknęła piskliwym, wesołym, nie swoim głosem:

- Ależ ze mnie idiotka, nie wzięłam zegarka, a ci mili ludzie zaprosili mnie, żebym wyszła z kuchni i tańczyła z nimi, zaraz spakuję naczynia i inne rzeczy...

- Tak. Zrób to - powiedział Robert. - Zrób właśnie tak. Zaczekam od frontu. - Odwrócił się i przeszedł przez krzaki.

Tom i wszyscy goście poszli za Lynn do kuchni. Pozwoliła, by pomogli spakować jej rzeczy i włożyć do samochodu, podczas gdy Robert siedział sztywno za kierownicą samochodu. Lynn poczuła na plecach niemiły dreszcz piekącego wstydu.

- Jedź za mną do domu - powiedział.

Jego samochód pomknął jak pocisk. Wiedziała, że pędzi tak, bo jest wściekły, i poczuła, że w niej również narasta gniew. Jakie ma prawo? Za kogo się uważa?

- Cholera! - krzyknęła. Taki miły wieczór i tak źle się skończył. Nieoczekiwane nadszarpnięcia Toma, a teraz jeszcze złośliwość Roberta.

Gdy nadjechała, Robert wstawił już samochód do garażu i czekał na nią na podjeździe. Chcę zacząć rozmowę - pomyślała - i zaczęła ją. Powiedziała spokojnie:

- Zachowałeś się nieprawdopodobnie grubiańsko, Robertcie. Nie poznaję cię.

- Grubiańsko? Powiadasz, grubiańsko? Poszedłem tam, każdy inny mąż zrobiłby na moim miejscu to samo. Szukałem swojej żony.

- Czułam się okropnie zakłopotana. Dobrze wiesz, że ty do tego doprowadziłeś.

- Byłem zaniepokojony. Dochodziła północ, a ja nie miałem od ciebie żadnej wiadomości.

- Jeżeli tak bardzo się niepokoiłeś, mogłeś zadzwonić.

- Dzwoniłem, mówiłem przecież. Gdzie ty masz głowę? Nie słuchałaś mnie? A gdy przyjechałem tam, wcale nie było cię w kuchni, nie szykowałaś tej dziwacznej kolacji. I gdzie cię znalazłem? Tańczyłaś sobie. Tańczyłaś.

- Tańczyłam zaledwie od kilku minut i właśnie miałam wychodzić, gdy się zjawiłeś.

- Tańczyłaś o wiele dłużej niż kilka minut. I nie próbuj zaprzeczać, byłem tam.

- Ukryłeś się za drzewami i szpiegowałeś. Kompletny upadek. Powinieneś się wstydzić, Robertcie. Wypadłeś z ciemności jak bomba i wystraszyłeś nas. Nie sądzisz, że oni domyślili się, że nas szpiegowałeś? Byłeś okropny, obrzydliwy. Nie postąpiłbyś tak nigdy, gdyby ktoś z nich mógł ci być pomocny w karierze. Kompletnie nie liczysz się z ludźmi, którzy nie są ci potrzebni.

- To nieprawda. Ale prawdą jest, że nie dbam o pseudointeligentnych oszustów. Rozpoznaję ten typ na pierwszy rzut oka. Nie mam do nich ani krzty zaufania. I to samo dotyczy Lawrence'a.

- Jesteś zbyt krytyczny i uszczypliwy. Nikt ci się nie podoba.



Światła samochodu oświetliły jego postać. Wyglądał na równie silnego jak stojące za nim czarne jodły.

- Wyłącz te światła! - krzyknął. - Rozładujesz sobie akumulator. - Odwrócił się i wszedł po schodach do domu.

Wyłączyła światła. Była zbyt zmęczona, by prowadzić dalej tę walkę na słowa, a wiedziała dobrze, że to jeszcze nie koniec. Z głębokim westchnieniem powlokła się za mężem.

- Pseudointeligentni oszuści - powtórzył.

- O co ci chodzi? - spytała. - Powiedz mi, dlaczego pogardzasz ludźmi, których nawet nie znasz? Co cię tak złości? Nie lubisz samego siebie? - Czuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Proszę - powiedział - oszczędź mi swojej psychologii, pani Freud. Wyjął klucze i otworzył drzwi. Nadbiegła Juliet. Skoczyła na Roberta i pomerdała ogonem. Odepchnął ją.

- Nie jestem w nastroju, Juliet. Siad. - I zwrócił się do Lynn. - Żądam przeprosin. Nie pójdziemy spać, zanim mnie nie przeprosisz.

Jakże paskudna stała się jego przystojna twarz, pomyślała Lynn.

- Przepróż mnie, Lynn.

- Za co? Za to, że zostałam dłużej? Za to, że miałam trochę przyjemności? Mogłeś się przyłączyć i bawić razem z nami. Tom cię zapraszał.

- Och, oczywiście. Skoro Tom mnie zapraszał,

- Chcę wiedzieć, co znaczy ten sarkastyczny ton.

- Oznacza, że nie podobał mi się sposób, w jaki Tom na ciebie spoglądał. Ot co.

- Sposób, w jaki na mnie patrzył! - sztydziła. - Nie wiem, jaki to sposób, nie studiowałam jego wyrazu twarzy, zapewniam cię. A jeśli - krzyknęła oburzona - a jeśli nawet komuś przyjdzie do głowy, aby się mną trochę pozachwycać, nie masz prawa się temu sprzeciwić. Zwłaszcza ty. Uwielbiasz, gdy kobiety łąszą się do ciebie. Nie zaprzeczaj, bo widziałam to na własne oczy tysiące razy.

- Posłuchaj mnie i nie zmieniaj tematu. Albo nie, skoro już poruszyłeś ten temat, to ci powiem: nigdy nie zachęcam żadnych kobiet. Nigdy. I nigdy nie zrobiłem niczego, czego nie zrobiłbym w twojej obecności. Przysięgam na Biblię.

- Biblię! Teraz raptem Biblia! Kiedy byłeś ostatni raz w kościele?

- Jestem wierzący. Mam swoje moralne zasady. Jeden błąd, jeden fałszywy krok na śliskim zbocz, i nie będziesz mogła...

- O co ci chodzi? Kto robi fałszywe kroki? O czym ty mówisz, na litość boską? Nie rozumiem cię.

- Cholera! Gdybyś mi nie przerywała, wszystko bym ci wytłumaczył.

Na szczycie dachu kos zaniósł się namiętym crescendo, a potem jego głos przybrał płaczliwy ton. Słodycz jego śpiewu trafiała wprost do serca Lynn.

- Dajmy temu spokój - powiedziała drząc. - Mam już dość. To nie ma sensu. Wchodzę do domu.

Złapał ją za rękaw.

- Nigdzie nie pójdziesz. Najpierw mnie wysłuchasz.

Szarpnęła się i usłyszała, że rękaw pękł. Delikatny rękaw jej ulubionej sukienki. Rozwścieczyło ją to.

- Zostaw mnie w tej chwili, Robertcie.

- Nie.

Szarpnęła się i rękaw oderwał się całkiem.

Z gardła Roberta wydobył się zduszony ryk. Groźnie uniósł rękę, celując w jej bark, a ona chcąc uniknąć ciosu zatoczyła się i spadła z podestu głową w dół, prosto w kolczasty żywopłot. Usłyszała swój pełen przerażenia krzyk, wściekłe szczekanie psa, a potem krzyk Roberta, pomyślała „moja twarz” i zamiast podeprzeć się rękami, żeby złagodzić upadek, osłoniła oczy.

- O, Boże! - powiedział Robert.

Gdy ją podnosił, głośno płakała. Miała zdartą skórę, poszarpane ubranie, podrapane dłonie, nogi, policzki... Płakała strasznie.

- Muszę cię podnieść - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Jeśli nie możesz tego znieść, zawołam karetkę.

- Nie. Nie. Spróbujmy... Staraj się mnie wyplątać. Powoli. Zniosę to.

Annie nocowała u przyjaciółki. A Emily najwyraźniej jeszcze nie wróciła do domu, w przeciwnym razie usłyszałyby ich i nadbiegła. Lynn dziękowała Bogu, że jej córki nie są świadkami tego, co się działo. Do tego jeszcze pies na przemian skaczący i wyjący, jakby także cierpiał. A wszystko w samym środku spokojnej nocy.

Leżała łkając i skomląc. Robert poszedł do samochodu po latarkę, wrócił i próbował uwolnić jej pozaczepiane o kolce ramiona i nogi. Starła się nie krzyczeć. Usuwał jeden po drugim kolce powbijane w jej ciało. Krzyknęła głośno tylko raz czy dwa.

Gdy wreszcie stanęła na trawniku, chwiejąc się na nogach, obydwójce byli złani potem i poplamieni kroplami krwi. Stali w milczeniu i spoglądali na siebie. Wreszcie Lynn ruszyła naprzód. Jęczała cicho.

- Skręciłam sobie kostkę. Ledwie chodzę.

- Zniosę cię.

Podniósł ją tak łatwo, jakby była nowo narodzonego dzieckiem. Położył ją na łóżku, rozebrał.

- Najpierw mydło i woda. Nie bój się. Będę bardzo ostrożny. A potem maść z antybiotykiem. To na razie wystarczy. A rano pójdziesz do lekarza.

- Nie mam zamiaru iść do żadnego lekarza. Na skręconą kostkę i kolce nie jest potrzebny lekarz.

- Miałaś osiemnaście kolców. Policzyłem je.

- Wszystko jedno. Nie pójdę. - Upierała się, doskonale zdając sobie sprawę, że to masochizm. Chciała, by poczuł się winny, winny z powodu jej poranionych rąk złożonych na poranionych, nagich piersiach, z powodu zniszczonej żółtej sukienki, która leżała teraz na podłodze jak brudna szmata, winny całej tej upiornej nocy.

- Jak sobie życzysz - odparł. - Jeśli zmienisz zamiar i nie zechcesz sama prowadzić, wezwij taksówkę. Ja nie mogę cię zawieźć. Na biurku w biurze piętrzy się stos papierów, a praca nie może czekać tylko dlatego, że jutro jest sobota.

Wpełzła pod koc. Robert nadal stał i spoglądał na nią.

- Czego chcesz? - wyszeptwała. - Masz coś jeszcze do powiedzenia?

Spuścił oczy i westchnął.

- Tak. Byłem zły. Ale to nie ja rzuciłem cię na żywopłot.

- Doprowadziłeś do tego. Miałeś zamiar mnie uderzyć, twoja ręka była o kilkanaście centymetrów od mojej twarzy.

- Nie miałem zamiaru.

- Tak, Robercie.

- Czytasz w szklanej kuli czy co? Skąd możesz wiedzieć, co miałem zamiar zrobić?

- Złapałeś mnie za ramię i popchnąłeś. A poza tym widziałam twoją twarz. Wykrzywioną wściekłością.

- Było zbyt ciemno, byś mogła zobaczyć moją twarz. To bzdury, Lynn. Chciała leżeć w ciemności i odpoczywać.

- Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju? - krzyknęła. - Nie masz litości? Pozwól mi zasnąć, jeśli w ogóle będę w stanie.

- Nie będę ci przeszkadzał, Lynn. - Podeszedł do drzwi. - Mam nadzieję, że uda ci się zasnąć. Wątpię, czy ja zasnę. Okropna noc. I to nieszczęsne nieporozumienie! Idź na dół, Juliet. Przestań się naprzykrzać.

- Zostaw psa tutaj. Chcę, żeby ze mną została.

W pokoju zapanowała ciemność. Z daleka dochodziły odgłosy nocy. Juliet podeszła do łóżka, wspięła się na nie i polizała obolałe ręce Lynn, jakby chciała sprawić jej ulgę. Lynn leżała nieruchomo i pozwalała płynąć łzom i chłodzić rozpalone policzki. Pies ułożył się na podłodze obok łóżka.

Nie mogła zasnąć. Emily jeszcze nie wróciła. Jest już bardzo późno, pomyślała, ale nie była w stanie przewrócić się na bok i spojrzeć na zegarek. Z dołu doszedł ją ostry zapach tytoniu. Wiedziała, że Robert siedzi w rogu sofy, oglądając telewizję lub czytając. Nieważne. Nie chciała o nim myśleć. Nie teraz.

Po pewnym czasie usłyszała dźwięk zatraskiwanych drzwiczek samochodu, a potem kroki Emily. Szła przez hol do swego pokoju. Gdzie była do tak późna? Czy to bezpieczne? No, ale teraz była już w domu.

Wydawało się jej, że wreszcie nadejdzie błogosławiony sen. Nie zasnęła; Robert wrócił do pokoju i położył się obok niej. Udawała, że śpi.

Rano dalej udawała, że śpi, poczekała, aż Robert ubierze się i zejdzie na dół. Wtedy wstała i podeszła do lustra. Zobaczyła to, co spodziewała się zobaczyć: spuchniętą twarz z małymi zaczerwienionymi oczami. Cała twarz była obrzmiała, a wzdłuż długiego zadrapania ciemniały kropelki zastygłej krwi.

Stała i robiła sobie makijaż, zastanawiając się, czy ciemne okulary zdadzą się na coś, czy też lepiej nie zakrywać twarzy, gdy do pokoju wszedł Robert.

- Mam nadzieję, że czujesz się lepiej? - zapytał z niepokojem.

- Czuję się dobrze. Po prostu dobrze. Chyba widać?

- Widzę tylko, że jesteś poraniona. I to mnie boli, nawet jeśli tobie wydaje się, że tak nie jest. Jest mi bardzo przykro, Lynn. Przykro, że to się stało. Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro.

- To się nie stało ot tak, po prostu. Nie mam zamiaru godzić się na taką wersję. Ktoś to spowodował, i to nie byłam ja.

- Rozumiem, co czujesz. - Robert był cierpliwy i pełen skruchy. - Domyślam się, jak to musi wyglądać z twojej strony. Byłem zły... możemy o tym porozmawiać kiedy indziej... przestraszyłem cię swoim gniewem, to moja wina, ty uciekałaś i wtedy...

Przerwała mu.

- Nie chcę tego więcej słuchać.

- W porządku. Zejdź na dół i zjedz śniadanie. Staraj się zachowywać normalnie. Annie wróciła właśnie do domu. Opowiedziałem im o twoim wypadku, są przygotowane.

- Mój wypadek. Ach, tak! - powiedziała kpiąco Lynn i starła z oczu makijaż. Nie będzie przed córkami ukrywała, że płakała. A skaleczenia i tak zauważą.

Emily nakryła do stołu w jadalni. Kawa była zaparzona, a w tosterze przypiekały się grzanki. W zielonym dzbanie stały bzy.

- Wcześniej wstałaś jak na osobę, która wróciła tak późno - żartobliwie odezwała się Lynn.

- Dziś rano wybieramy się całą paczką nad jezioro - odpowiedziała Emily, nie patrząc na twarz matki. - Rodzice Anny mają tam łódź. Co ci się stało w stopę?

- To nic wielkiego. Po prostu nie mogę na nią włożyć buta. Dlatego zostanę dziś w domu.

Annie przyglądała się jej.

- Wyglądasz okropnie - powiedziała. - Płakałaś. Emily skarciła ją.

- Pilnuj swego nosa, głuptasie. Robert wyjaśnił:

- Matka potłukła się. Czy ty nie płaczesz, jak ci się coś stanie? Zapanowała niezręczna cisza. Wszyscy byli świadomi, że należy ją przerwać, a nie chcieli, by zabrzmiało to jeszcze gorzej.

- Wróciłaś dwadzieścia minut po północy - odezwał się w końcu Robert do Emily. - Zdajesz sobie z tego sprawę? - dodał zwracając się do Lynn, która skinęła głową.

- Zapomniałam spojrzeć na zegarek. Uczyłam się z koleżankami u Sally - wyjaśniła Emily.

- To nie jest żadne wytłumaczenie. Zniszczysz swoją reputację, jeśli nie coś więcej, wracając do domu o tak późnej porze.

- Porozmawiamy o tym, Emily. Jeszcze dzisiaj - powiedziała Lynn.

- Nie. - Robert spojrział na zegarek. - Muszę już wyjść. Emily, dziś wieczorem nigdzie nie wyjdiesz. Chcę z tobą porozmawiać. Odbędziemy bardzo poważną rozmowę, od serca. Taką, o której prędko nie zapomnisz. Wyjaśnię ci wszystko i zrozumiesz, czego od ciebie oczekuję.

Ta przemowa skierowana była również do Lynn; świetnie zdawała sobie z tego sprawę. Nieraz już słyszała, że brak jej stanowczości, że nie dba o pozory i córki nigdy niczego się od niej nie nauczą.

- Ale ma humor - powiedziała Emily, gdy Robert wyszedł. Annie wstała.

- Obiecałam tacie, że będę dziś ćwiczyć, a jak jest w takim złym humorze, to lepiej go posłuchać - oświadczyła tonem pełnym rezygnacji.

- Nie dlatego powinnaś ćwiczyć - powiedziała Lynn łagodnie. - Powinnaś ćwiczyć, ponieważ... cóż, ponieważ powinnaś - zakończyła z uśmiechem.

Annie ćwiczyła już menueta w salonie, gdy Lynn powiedziała:

- Usiądź, Emily. Wypiję jeszcze filiżankę kawy. Nie powinnaś wracać tak późno. Wiesz o tym sama. Nie muszę ci mówić. Czy naprawdę byłaś cały czas u Sally?

- Tak. Możesz mi wierzyć lub nie, ale uczyliśmy się do egzaminu końcowego, mamó. Emily spojrziała na nią niewinnymi, niebieskimi oczami Roberta.

- Wierzę ci. - I z namysłem, zastanawiając się, czy należy zadać to pytanie, dodała: - Czy Harris też tam był?

- Tak. Odwiózł mnie do domu.

- Po północy. Jak mówi ojciec.

- Siedział po ciemku, gdy wróciłam. A potem wyszedł do holu, stanął i po prostu wpatrywał się we mnie. Nic nie powiedział. Ja też nie.

- To źle.

- Przepraszam, mamó. Ale nie musiał robić takiej groźnej miny. Wiem, że powinnam była zatelefonować, ale zapomniałam spojrzeć na zegarek. To nie jest zbrodnia.

- Przypuszczam, że mama Sally była poza domem, jak zwykle zresztą?

- Cóż. Rozwiodła się i chodzi na randki. - Spojrzała jej prosto w oczy. - Nie. Nie było jej w domu.

- Źle. Wszystko źle - powiedziała Lynn. - A Harris... to dobry chłopak, widzę to, i ufam ci, ale...

- Ale co, mammo?

- Ojciec był bardzo, bardzo zły. Musisz się starać, by być w porządku. W przeciwnym razie czeka cię ciężkie życie. I ja nic na to nie poradzę.

Zapanowała cisza. Słysząc było tylko, jak Annie ćwiczy na fortepianie. Emily przechyliła się ponad stołem i dotknęła ręki Lynn.

- Mammo? - Jej jasne, błyszczące, uczciwe oczy pytały. - Mammo? Co jest z tatą? Chciałabym, żeby był taki jak inni ojcowie. On się tak złości. To niesamowite.

Lynn opanowała się. Stała się czujna.

- Dlaczego? Bo beszta cię, gdy na to zasługujesz?

- Nie. Nie o to mi chodzi.

- Więc o co?

- Och. O różne rzeczy. Tak łatwo się wścieka.

- Każdy czasem wychodzi z siebie. Ojciec bardzo ciężko pracuje. Czasami jest okropnie zmęczony. Ale na szczęście, jak sama wiesz, tylko czasami.

Emily potrząsnęła głową.

- Nie o to mi chodzi.

Lynn poczuła, że się boi, chociaż nie chciała zastanawiać się, dlaczego. Powiedziała niecierpliwie.

- Daj jakiś przykład, bo nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Emily wahala się, spoglądając na Lynn z powątpiewaniem. Wreszcie powiedziała:

- Pamiętasz, jak spotkałam ciotkę Jean w mieście i ona zabrała mnie na podwieczorek? Coś się wtedy wydarzyło i ja nie powiedziałam ci o tym.

- Co?

- Nie bój się. To nic strasznego. Rozmawiałyśmy. Wiesz, że ona lubi opowiadać o dawnych czasach. Jak spalił się dom sąsiadów, jakim miłym chłopczykiem był wtedy tatuś... I nagle wymknęło jej

się coś o pierwszym małżeństwie taty... Mamo, dlaczego nikt nam nie powiedział, że tata był wcześniej żonaty?

Ach, więc o to chodziło. Nic złego. Mogło być gorzej. Lynn wytłumaczyła ostrożnie.

- Właściwie sama nie wiem, czemu to miała być tajemnica. Ale to dotyczy taty, a on tak sobie życzył. To był dla niego trudny okres i po prostu nie ma ochoty go wspominać. Ludzie często tak robią; po prostu starają się pogrzebać złe wspomnienia.

- Gdy ciotka Jean powiedziała mi o tym, sprawiała wrażenie tak przerażonej, aż zrobiło mi się jej żal. Powtarzała, że bardzo jej przykro, i błagała mnie, abym jej przyrzekła, że nikomu nie powtórzę i zapomnę, że w ogóle coś takiego słyszałam. Oczywiście, przyrzekłam jej. - Emily odwróciła się na chwilę, a potem spojrzała na Lynn i przyznała ze wstydem, że złamała przyrzeczenie. - Dotrzymywałam tajemnicy tak długo, jak mogłam, ale w zeszłym tygodniu powiedziałam tacie.

- Och, to niedobrze, Emily.

- Wiem. I bardzo głupio się czuję. Ale mówiłaś mi o tym, że tata był na mnie taki zły, i...

- I? - przynagliła ją Lynn.

- Tata był wprost wściekły. Nigdy go takim nie widziałam. Rozszalały z gniewu, mamo! Nie wierzyłam własnym oczom. Wrzeszczał na mnie: „To nie twój interes. I nie życzę sobie, abyś o tym wspomniała jeszcze kiedykolwiek. Jasne?” Przestraszył mnie.

- Mam nadzieję, że nie skupi się to na biednej ciotce.

- Zmusiłam go, żeby mi obiecał, iż nie okaże jej, że dowiedział się tego ode mnie. Więc myślę, że wszystko będzie dobrze. Mam nadzieję.

Lynn zaczęła się zastanawiać, czy Jean powiedziała coś jeszcze. Na przykład coś o synku Roberta. Utrata dziecka z pewnością była dla niego bardziej bolesna, niż okazywał; to całkowicie naturalne, że starał się zapomnieć o jego istnieniu. Pełna niepokoju zapytała:

- Czy Jean powiedziała ci coś jeszcze?

- Dwa lub trzy słowa i zakryła usta dłonią. Mówiłam ci. - Emily zamyśliła się, a potem potrząsnęła głową, jakby pełna wątpliwości. - I nigdy nie wydawało ci się to dziwne? Gdybym była tobą... to znaczy, możecie mijać się na ulicy, nic o tym nie wiedząc.



- Raczej mało prawdopodobne. To duży kraj. A poza tym, po co miałybyśmy się poznawać? Lepiej, że się nie znamy. Najczęściej rozwód zamyka jakiś rozdział w życiu... to zrozumiałe.

- I nie jesteś ani trochę ciekawa? Ja byłabym.

- Nie możesz być tego pewna. Człowiek nie wie, jak zachowałby się w danej sytuacji i co czułby, dopóki sam tego nie przeżyje.

Nie, nie chciałabym żadnych powiązań z czarującą żoną Roberta, pomyślała Lynn, jak zwykle z odrobiną goryczy, która tego ranka było nieco bardziej gorzka. Przypomniała sobie, jak po raz pierwszy ujrzała Roberta, była wtedy niedojrzałą, młodą dziewczyną, taką niewinną i niepewną siebie; przypomniała sobie, jak cierpiała na myśl, że Robert kochał się z jej poprzedniczką - piękną, bogatą i beztroską, która pozwoliła odejść takiemu mężczyźnie. Dziwne, że przypominała sobie to wszystko teraz. Właśnie tego szczególnego ranka.

Emily nerwowo bawiła się łyżką.

- W każdym razie tata potrafi być bardzo dziwny.

- Nie jest dziwny, Emily. Nie chcę, żebyś tak mówiła ani tak myślała.

Nagle dziewczyna rozplakała się.

- Och, mamo! Dlaczego boję się powiedzieć coś, co naprawdę chcę powiedzieć? Lynn po raz drugi poczuła w sercu piekący ból.

- Emily, kochanie. O co ci chodzi?

- Coś ci się stało dziś w nocy.

- Tak. Oczywiście, że tak. Upadłam po ciemku i spadłam na żywopłot.

- Roześmiała się. - To idiotyczne spaść na żywopłot. Niezdara ze mnie.

- Nie - powiedziała Emily. Słowa nie chciały przejść jej przez gardło, lecz w końcu wykrztusiła. - Nie. To zrobił tata. Ja to wiem.'

- Co? Co? - Lynn zacisnęła dłonie tak mocno, że pierścionki wbiły jej się w skórę. - To śmieszne. Skąd ci to przyszło do głowy? Emily, to śmieszne...

- powtarzała wysokim, nienaturalnym głosem.

- Raz, zanim jeszcze sprowadziliśmy się tutaj, po waszym powrocie z Chicago, pamiętam, słyszałam, jak ciocia Helen mówiła wujkowi Darwinowi, że wyglądasz okropnie. Powiedziała, że wydaje jej się, że...

- Emily. Zaskakujesz mnie. Naprawdę. Jestem pewna, że źle usłyszałaś. A nawet jeśli słyszałaś dobrze, nie mogę nic poradzić na to, co wymyśla sobie ciocia Helen.

- Nie płakałabyś tak strasznie tylko z bólu. To było coś znacznie więcej niż ból.

- Tylko z bólu! Z tymi wszystkimi kolcami! Cóż, może jestem tchórz i mazgaj. Może jestem. I tyle.

Emily nie może utracić wiary w ojca. To zniszczyłoby ją na zawsze. Kobiety pamiętają swych ojców przez całe życie. I ja mam najserdeczniejsze wspomnienia o ojcu. To on mnie nauczył, jak dopominać się o swoje prawa i jak przebaczać ludziom; jeśli musiał mnie napominać, robił to łagodnie...

Lynn rozluźniła dłonie, oparła je na stole, zwróciła się do córki i powiedziała z mocą:

- Zaufaj mi, Emily. Czy kiedykolwiek cię okłamałam?

Na twarzy córki, o drżących ustach, nadal widziała niedowierzanie. Na jej gładkim czole zarysowały się dwie zmarszczki.

- Dziś rano był taki dziki i okrutny.

- Kochanie, upierasz się przy tych niemiłych słowach. Śpieszył się do pracy, już ci mówiłam. Był zasmucony. - Mówiła szybko. - Twój ojciec to bardzo dobry człowiek! Czy muszę ci o tym przypominać? Jesteś do niego tak bardzo podobna, równie pracowita, zdecydowana odnieść sukces, zawsze ci się udaje. Dlatego jesteście sobie tacy bliscy. Łączy was szczególna więź. Z bólem myślę o tym, że mogłabyś tę więź utracić.

- Chyba nie sądzisz, że dla mnie to nie jest bolesne? Ale musisz przyznać, że tata bywa bardzo dziwny.

- Dziwny? Po tym, jak się dla was starał, po miłości, jaką cię otaczał?

- Nie przekonasz mnie, mamo.

- A bardzo chciałabym.

- Cóż, czuję to. I rozumiem, czemu mówisz do mnie w taki sposób.

W tym momencie rozległ się gwizd czajnika i Emily wstała, aby go zestawić. Poruszała się z wdziękiem i elegancją, nawet w dzinsach i tenisówkach. Miała wąską talię przechodzącą w zaokrąglone biodra jak kobieta, ale jej skóra pozostała gładka jak u małego dziecka. Nagle Lynn wydało się, że córka traktuje ją protekcjonalnie, jakby posiadała

jakaś wyższą wiedzę i z tej pozycji pocieszała i opiekowała się starszą od siebie kobietą. Sposób, w jaki Emily odwróciła się, by wstawić naczynia do zmywarki, ruch jej końskiego ogona wzbudziły w niej niechęć. Odezwała się ostro.

- Mam nadzieję, że zatrzymasz te niestosowne myśli dla siebie. A zwłaszcza oszczędzisz ich Annie. I to jest rozkaz, Emily.

Emily zwróciła się ku niej.

- Naprawdę sądzisz, że zechciałabym ranić Annie jeszcze bardziej? Annie to ruina. Chyba nie zdajesz sobie z tego sprawy?

To uparte obstawanie przy swoim bardzo przypominało Roberta. Emily zaatakowała matkę. Tego było zbyt wiele. Lynn starała się odpowiedzieć tonem pełnym godności.

- Przesadzasz. Doskonale zdaję sobie sprawę, że Annie wchodzi w trudny okres. Ale wszystko będzie dobrze.

- Nie, jeśli tata nie przestanie dokuczać jej, że jest gruba i tłusta - powiedziała Emily, a potem dodała: - Chciałabym, żeby wszystko było takie nieskomplikowane jak dawniej.

Spróbowała się uśmiechnąć. Jej smutny uśmiech wzruszył Lynn i poprzednią niechęć zmienił w litość.

- Dorastasz - powiedziała.

- Już jestem dorosła, mamo.

Annie nadal ćwiczyła menueta. Nagle melodia zmieniła się w kakofonię przyprawiających o dreszcz dźwięków, jakby fortepian gwałtownie protestował przeciwko walącym go z gniewną siłą rękoma.

Emily powiedziała.

- Ona nienawidzi fortepianu. Ćwiczy tylko dlatego, że tata ją do tego zmusza.

- To dla jej dobra. Kiedyś będzie z tego zadowolona.

Spojrzały na siebie przenikliwie, a potem Emily rozładowała napięcie.

- Przepraszam za wszystko, co powiedziałam. Może to tylko chwilowy nastrój, który minie. - Na zewnątrz rozległ się wysoki dźwięk klaksonu. - To Harris. Lecę. - Dziewczyna pochyliła się i ucałowała policzek matki. - Nie martw się o mnie. Nie sprawię ci żadnych kłopotów. Zapomnij o tym, co powiedziałam. Może sama nie wiem, co mówię. Ale dbaj o siebie, mamo. Po prostu, trzymaj się.

Po wyjściu Emily kuchnia opustoszała. Potem trzasnęły siatkowe drzwi na ganku. Słysząc było, jak Juliet wstaje, otrząsa się i wychodzi na dwór z Annie.

W uszach Lynn wciąż brzmiały słowa córki. Tata bywa bardzo dziwny. Dbaj o siebie, mamó. Siedziała z palcami zaciśniętymi na filizance. Kawa już dawno wystygła. Starła się skupić myśli na czynnościach domowych. Sprzątaniu, szykowaniu rzeczy do pralni, na tych wszystkich mało ważnych czynnościach, z których składa się życie, nawet gdy zdarzają się najstraszniejsze rzeczy; nawet w dniu pogrzebu trzeba sprowadzić hydraulika, gdy pęknie rura. Ale ciągle nie mogła wstać i zabrać się do roboty.

Z letargu wyrwał ją dzwonek u drzwi. Spodiewając się listonosza, włożyła okulary słoneczne. Były nie bardzo ciemne i zasłaniały tylko niewielki kawałek twarzy, ale dostawca z United Parcel nawet nie spojrzałby na nią, a nawet gdyby spojrzał, i tak byłoby mu wszystko jedno, jak ona wygląda. Bosa i w szlafroku otworzyła drzwi i stanęła oko w oko z Tomem Lawrence'em.

- Zapomniałaś o tym - powiedział i podał jej portmonetkę. - Więc pomyślałem sobie, że może... - Spojrzał na nią i odwrócił wzrok.

- Och, ależ ze mnie gapa! To bardzo miło z twojej strony - odezwała się. - Wyglądam strasznie. Upadłam i nadwreżyłam sobie kostkę, nie mogłam włożyć butów.

Przyglądał się geranium w doniczce na najwyższym stopniu. Pocziwiec. Zauważył i nie chciał wprawiać jej w zakłopotanie.

- Och! Przykre zakończenie cudownego wieczoru. Kostki tak łatwo się nadwreżają. Za parę dni będzie w porządku. Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej.

Zamknęła drzwi. Śmiertelnie zawstydzona najchętniej wykopałaby sobie dół i wczółgała na samo dno. Co on sobie pomyśli? Nie chce go widzieć już nigdy więcej. Nigdy.

Po chwili doszła do siebie i skarciła się głośno:

- Co robisz nie ubrana o jedenastej godzinie? Ruszże się, Lynn.

Powoli i z wysiłkiem zaczęła wykonywać drobne, mało ważne czynności. Wyrzuciła zwiędłe kwiaty, wypisała przy biurku czek. Pozwalała, by te zwykłe zajęcia koły jej ból.

Potem wróciła do kuchni. Dla niej tu było serce domu, miejsce specjalne. Tutaj mogła zaznać spokoju.

Pomieszczenie wypełniała woń rozmarynu, którym przyprawiła duszącą się na ogniu potrawkę z jagnięcia. Na bufecie stygła szarlotka, gdy późnym popołudniem usłyszała na podjeździe samochód Roberta.

- Wszyscy w domu?

- Dziewczynki zaraz wrócą. Emily pojechała nad jezioro, a Annie poszła do przyjaciółki.

- A co z tobą? Ciągłe utykasz? Czy nie pomógłby ci bandaż elastyczny?

- Dobrze jest tak, jak jest.

- Cóż, skoro tak sądzisz. - Zawahał się. - Jeśli to Emily... - na żwirze podjazdu zachrząściły koła - ...to chcę z nią porozmawiać. Z obydwoma. W gabinecie.

- Czy to nie może poczekać? Obiad gotowy.

- Wolałbym nie - odparł wychodząc.

Teraz na nie będzie przenosił swój gniew, bo czuje się winny wobec mnie - pomyślała.

- Ojciec chce z wami porozmawiać, w gabinecie - oświadczyła córkom. Skrzywiły się. - Nie róbcie głupich min - napomniała je. - Słuchajcie, co wam powie.

Rodzice nie mogą różnić się, jeśli chodzi o sprawę dyscypliny. Zasada numer jeden. Podstawowa zasada - dla ich dobra.

Serce zaczęło jej bić tak szybko, że najchętniej uciekłyby. Poszła za córkami do gabinetu. Robert stał za biurkiem.

Zaczął od razu.

- Potrzeba nam w domu więcej porządku. Dość niedbalstwa. Wchodzicie i wychodzicie, i nawet nie macie dość przyzwoitości, żeby powiedzieć, dokąd się wybieracie i kiedy zamierzacie wrócić. Nie macie zupełnie poczucia czasu. Wracacie, kiedy wam się żywnie podoba. Jak do hotelu.

Biedne dzieci. Co one takiego zrobiły? Robert zachowywał się absurdalnie. Lynn pomyślała: Zagłusza własne wyrzuty sumienia. Odwraca role, żeby poczuć się lepiej.

- Chcę zawsze wiedzieć, kiedy i dokąd wychodzisz, Annie. Chcę wiedzieć, z kim przebywasz.

Dziewczynka popatrzyła na niego zdumiona.

- Nie jesteś jak inni ojcowie. Tobie się wydaje, że to jest wojsko, a ty jesteś generałem. W ustach jedenastoletniego dziecka była to bardzo rozsądna uwaga.

- Nie życzę sobie zuchwalstwa, Annie.

Robert nigdy nie podnosił głosu, gdy był zły. A jednak w jego kontrolowanym gniewie było więcej siły niż w krzykach innych ludzi. Lynn pomyślała nagle o biurze w St. Louis. O pracownikach umierających wprost ze strachu przed kazaniem Fergusona. Ona nigdy nie wysłuchała takiego kazania, ale wiele koleżanek, którym się to przytrafiło, nie zapomniało ich nigdy.

- Powinnaś pracować nad sobą, Annie. Nie jesteś już małym dzieckiem, a pozostałaś bardzo niedojrzała. W szkole ledwie sobie radzisz, no i jesteś zbyt tłusta. Powtarzam ci po raz tysięczny, powinnaś się wstydzić, że tak wyglądasz.

Lynn poczuła na ramionach gęsią skórę, gdy tak stała, obejmując je. W dzisiejszym stanie cała ta sytuacja była dla niej nie do zniesienia. A jednak stała przy córkach, jak gdyby jej cicha obecność stanowiła dla dzieci jakąś obronę przed słowami Roberta. Bo była pewna, że nigdy nie podniesie ręki na dziewczynki.

Zmuszała się, aby słuchać jego słów. Teraz mówił coś o Harrisie, nazywając go „tym typem”. Takiego miłego chłopca. Nie dosłyszała odpowiedzi Emily, lecz doskonale usłyszała Roberta.

- Nie chcę oglądać go za każdym razem, gdy wracam do własnego domu. Niedobrze mi się robi na jego widok. Gdybym chciał mieć syna, zaadoptowałbym sobie chłopca.

Annie poczerwieniała. Wybiegła z pokoju tak gwałtownie, że drzwi uderzyły w ścianę.

- Nienawidzę was! - krzyczała. - Nienawidzę cię, tato! Chciałabym, żebyś umarł! Emily wyszła z uniesioną wysoko głową i ze łzami spływającymi po policzkach. Lynn dostrzegła w twarzy Roberta odbicie swego własnego przerażenia. Pierwszy opuścił wzrok.

- Otrzymały to, na co zasłużyły - stwierdził. - Nic im nie będzie.

- Tak sądzisz?

- Wyjdą z tego. Zawołaj je na obiad do jadalni.

- Nie, Robercie. Zaniosę im jedzenie na górę, żeby miały trochę spokoju. Ale twój obiad jest już gotowy. Możesz jeść, jeśli jesteś w stanie. Ja straciłam apetyt.

Poszła na górę z tacami dla Emily i Annie, ale obie odmówiły. Z ciężkim sercem wróciła do kuchni i odstawiła smakowite dania. Gdy na dworze ściemniło się, wyszła i usiadła na schodach z Juliet, która była jedyną zadowoloną istotą w całym domu. Siedziała długo, tuląc się do przyjaznego zwierzęcia. Jestem stracona - powiedziała do siebie.

I taki był koniec soboty.

W niedzielę dom był nadal jakby pogrążony w żałobie. Dziewczynki odrabiały lekcje w swoich pokojach. Przynajmniej tak twierdziły, gdy Lynn zastukała do drzwi. Być może, siedziały biedactwa zatopione w ponurych myślach, w ogóle nic nie robiąc. Robert tkwił w gabinecie przy biurku zarzuconym papierami, obok na podłodze leżała otwarta aktówka. Nikt nic nie mówił. Żadnej wspólnoty. A Lynn odczuwała rozpaczliwą potrzebę rozmowy i pociechy. Myślała o ludziach, którzy ją kochali i których ona kochała: o rodzicach. Obydwoje już nie żyli. Oni poświęciliby dla niej własne życie, tak jak ona oddałaby swoje za Emily i Annie. I o Helen, która - tu Lynn uśmiechnęła się - która lubiła ją trochę besztać; i wreszcie o Josie. Ale z żadną z nich nie mogłaby i nie chciała rozmawiać o Robertcie. Helen pomyślałaby sobie, nawet gdyby tego nie powiedziała głośno: „Pamiętasz, Lynn, ja go nigdy nie lubiłam”. A Josie zaczęłaby wszystko analizować.

Nie. Nikt z nich. I pomyślała to, co zwykle: Małżeństwo to zaczarowany krąg, do którego nie wolno wpuszczać nikogo spoza tego kręgu, w przeciwnym razie nigdy się już nie zamknie. Wszystko, co złe, musi zostać rozwiązane wewnątrz.

Chodziła po domu i po podwórku, wykonując różne drobne czynności, tak samo jak poprzedniego dnia. Weszła do salonu i spojrzała na fotografię Roberta, ale dziś ta raczej sroga twarz nie powiedziała jej nic więcej ponad to, że wygląda przystojnie i inteligentnie. Na podwórku przy płocie stały dwie nowe ławki ogrodowe, które Robert ostatnio zamówił. Zawsze robił, co w jego mocy, aby upiększyć dom i uczynić życie przyjemniejszym. W zacisznych miejscach ogrodu pozawieszał domki dla ptaków i w jednym zamieszkała już rodzina strzyżyków. Kupił nawet książkę o ptakach Ameryki Północnej i czytał ją razem z Annie, ale Annie nie bardzo się tym interesowała. Ale próbował. Więc dlaczego, dlaczego on... jak mógł...

W kuchni zadzwieczał telefon i Lynn pobiegła, by go odebrać.

- Bruce był wczoraj na rybach - donosiła Josie - i przyniósł do domu tyle ryb, że starczyłoby dla całego pułku. Chce je przyrządzić na grillu w ogrodzie. Może przyslibyście do nas na lunch?

Lynn prędko skłamała.

- Dziewczynki uczą się do egzaminów, a Robert pracuje. Nie mam odwagi im przeszkadzać.

- Ale przecież muszą coś jeść - powiedziała rozsądnie Josie. - Niech przyjdą, zjedzą i wracają.

Josie zawsze była rozsądna. I w tej chwili odniosło to taki skutek, że Lynn powiedziała prawie bez namysłu:

- Przyjadę sama, jeżeli nie macie nic przeciwko temu.

- Oczywiście - odrzekła Josie.

Jadąc przez Halsey Road, najpierw przez część mieszkalną, a potem wśród sklepów sportowych, obok kina w stylu kolonialnym, sklepu z artykułami rymarskimi, i widząc pogrążoną w niedzielnym spokoju ulicę, zaczęła żałować tej pochopnej decyzji. Nie miała zamiaru zwierzać się Josie, ale będzie musiała przecież coś powiedzieć. Nie zawróciła jednak, lecz pojechała dalej, gdzie wśród starych posiadłości w stylu pseudoelżbietańskim wybudowano w latach dwudziestych osiedle domów podmiejskich. Jeden z takich domów kupili Lehmanowie. Mały domek z belek udających dębowe i z witrażowymi oknami. Ciasny, mały domek.

- Stać go na coś lepszego - stwierdził Robert z pogardą. A Lynn odpowiedziała:

- Josie mówiła mi, że nie stać ich na nic lepszego z powodu kosztów jej leczenia.

- Co? Trzeba być kompletnie pozbawionym godności, żeby tak rozpowiadać ludziom o swoich kłopotach - wykrzyknął Robert.

- Ona nie rozpowiada ludziom. Jesteśmy przyjaciółkami.

- Przyjaciółki czy nie, kobiety zbyt wiele mówią. Mam nadzieję, że nie będziesz jej naśladować. - A potem dodał: - Bruce nie ceni się. To człowiek małego lotu. Wiedziałem to od początku.

Ale Lynn wiedziała, że to nie o to chodziło. Choroba Josie pochłonęła majątek, a kto wie, co będzie później. To ona nie pozwalała, by Bruce wydawał zbyt wiele pieniędzy. On, gdyby mógł, podarowałby jej gwiazdkę z nieba.



Gdy zajechała przed dom, zastała tam Bruce'a. Czyścił papierem ściernym komodę. Był bardzo przejęty.

- Chodź, obejrzyj moje znalezisko - przywołał Lynn. - Cóż za robota! Znalazłem to w składzie z antykami. W zeszłym tygodniu w Litchfield. Lakierowali ją chyba ze dwadzieścia razy. Myślę, że pod spodem ukrywa się drewno klonowe. Cóż, przekonamy się.

Jego entuzjazm był zaraźliwy, a twarz zawsze pogodna; Lynn odnosiła wrażenie, że Bruce z trudem powstrzymuje jakąś wewnętrzną skrywaną radość. Dołek w brodzie nadawał twarzy dobroduszny wygląd, co w połączeniu z wydatnymi kośćmi policzkowymi i dość dużym nosem zasługiwało na miano wyrazistych rysów. „Męski mężczyzna” tak można by go określić, a „męski mężczyzna” - pomyślała - bardzo dobrze współgra z kobietą.

- Od kiedy przenieśliście się na wschód, antyki dają ci mnóstwo radości - powiedziała.

Wyszła z cienia na pełne słońce i Bruce zobaczył jej twarz. Opuścił wzrok, potem wrócił do swego zajęcia i rzekł, jakby nic nie zauważył:

- No, tak. Nowa Anglia to takie miejsce. Zupełnie jak Missouri dla wczesnych osadników. Wydawałoby się, że stare wioski zostały już dawno przeczesane i nic w nich nie zostało, ale ciągle czekają niespodzianki. Znalazłem nawet toaletkę w stylu Windsor. Takie hobby wymaga mnóstwa czasu, ale mam weekendy, a jeśli się pośpieszę, mogę wygospodarować jeszcze z godzinę światła dziennego po powrocie z pracy. A gdzie Robert? Ciągłe pracuje? Josie wspominała...

- Tak. Całe biurko ma zawalone papierami - odpowiedziała, starając się, by zabrzmiało to niedbale.

- Podziwiam jego energię. Nie mówiąc już o jego wspaniałych pomysłach. Nic nie jest w stanie go powstrzymać. - Bruce z uśmiechem zabrał się do czyszczenia komody. - Ja z kolei doprowadzam żonę do szaleństwa antykami. Ona w ogóle nie interesuje się tym, co robię.

- Ale interesuje się tobą, i to się liczy - odpowiedziała Lynn i weszła do domu, zdając sobie sprawę, że w tych okolicznościach jej wypowiedź zabrzmiała zbyt poważnie.

Josie siedziała na ganku, czytając gazetę i popijając herbatę.

Lynn pomyślała, że od zeszłego tygodnia jeszcze zmizerniała. Jednak radosny wyraz twarzy i mocny głos pozostały takie jak zwykle. Jakby ciało sprawiało zawód duchowi. I ta myśl, w połączeniu z własnym zdenerwowaniem, wywołała łzy.

- Co ci się stało? - wykrzyknęła Josie, gazeta wysunęła jej się z rąk i spadła na podłogę. - Twarz! Nogi!

- Nic wielkiego. Poślizgnęłam się i upadłam. Niezdara ze mnie.

- I dlatego płakałaś?

- Tak. I w ogóle byłam w złym nastroju. Nie ma o czym mówić.

- Trzeba o tym mówić. Przyszłaś nie bez powodu.

Lynn naciągnęła długą, bawełnianą spódnicę, aby zakryć pokłute nogi.

- Spadłam po ciemku na żywopłot.

- To bolesne. A co z nastrojem?

- Och, to po prostu był zły dzień. W domu zamieszanie. Prawdopodobnie z mojego powodu. A poza tym nie zawsze potrafimy radzić sobie z dziewczynkami. Z pewnością jakoś z tego wybrniemy. Jestem o tym przekonana. Gdy zatelefonowałam, odczułam potrzebę wypłakania się na czyimś ramieniu. Teraz, gdy już tu jestem, widzę, że nie trzeba było przyjeżdżać.

Josie zmierzyła ją wzrokiem.

- Owszem, trzeba było przyjechać. Zaraz dam ci herbaty, a ty opowiesz mi o swoich kłopotach. Albo nie opowiesz, jak zechcesz. - Weszła prędko do kuchni i odwróciwszy się, dodała: - Mam jednak nadzieję, że mi opowiesz.

- Nie umiemy poradzić sobie z córkami - powtórzyła Lynn. - Ale ty już znasz nasze problemy. Nie muszę ci powtarzać, że Robertowi nie podoba się chłopiec Emily. A Annie nie stara się schudnąć, wciąż obżera się i Robert nie może tego znieść.

- O tym rzeczywiście wiem - powiedziała Josie. - Ale wydaje mi się, że coś przede mną ukrywasz.

Zupełnie jak moja siostra - pomyślała Lynn - potrafi być surowa, a jednocześnie łagodna. To dziwne. Ja tak nie umiem.

- To dobre dziewczynki...

- To także wiem.

- Być może, robię z igły widły. W dzisiejszych czasach trudno jest wychowywać dzieci. Jestem przekonana, że w wielu rodzinach

mają większe kłopoty. Tak, zanadto się tym przejmuję - zakończyła przepraszającym tonem.

- Nie sędzę.

Zapadło milczenie. Lynn starała się powstrzymać słowa, które cisnęły jej się na usta. Wreszcie powiedziała:

- Wczoraj Robert był wściekły, bo Emily wróciła do domu zbyt późno.

- Ty też uważasz, że wróciła za późno?

- Tak. Tylko mnie to tak nie rozgniewało. A Annie, słyszałaś już o tym, chce sobie wyprostować włosy i Robert uważa, że to dziwactwo. W ogóle między Robertem i Annie nie układa się najlepiej, chociaż on bardzo się stara. Wczoraj Annie nawrzeszczała na niego. Nieomal popadła w histerię. Nienawidzi wszystkich. Nienawidzi ojca. - Lynn zamilkła, spoglądając błagalnie na Josie.

- Powiedz mi, czy tylko Robert ma takie kłopoty z córkami? Właśnie Robert?

- Cóż, tak. To trudna sprawa wrócić do domu po całym dniu ciężkiej pracy i jeszcze mieć do czynienia z dziećmi, gdy tak bardzo potrzeba odpoczynku. Zwłaszcza gdy ma się taką odpowiedzialną pracę jak Robert.

- Wszyscy mamy odpowiedzialną pracę - obruszyła się Josie.

Przez chwilę obie milczały. Lynn poruszyła się na fotelu. Josie unikała oczu Lynn, oglądała sobie paznokcie; wreszcie odezwała się niezwykle łagodnie:

- Czy zdarzyło się coś jeszcze? Lynn zaniepokoiła się.

- Nie. A co mogłoby się zdarzyć?

- Tylko pytam - odpowiedziała Josie.

I nagle Lynn rozplakała się. Wyrzucała z siebie strzępki zdań:

- Tym razem nie poszło o dzieci. To przeze mnie... w domu Toma Lawrence'a... zrobiło się późno i Robert przyszedł... a ja tańczyłam... Robert rozzłościł się, naprawdę okropnie... oczywiście, ja wiem, nie powinnam tańczyć, ale...

- Nie. Poczekaj. Chcę cię dobrze zrozumieć. Tańczyłaś z Tomem i Robert...

- Był wściekły - łkała Lynn, ocierając oczy.

- Do diabła, i co z tego, że tańczyłaś? Nie poszłaś z facetem do łóżka. Dlaczego mówisz, że nie powinnaś? Jeszcze nigdy nie słyszałam nic równie dziwnego - powiedziała Josie z żarem.

Zamilkła i zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad tym wydarzeniem, a potem dodała już spokojniej: - Więc wróciliście do domu i pokłóciliście się niedaleko kolczastego żywopłotu, i...

- Nie, nie... - zaczęła. W głowie zapaliło jej się ostrzegawcze czerwone światło. Robert jest przełożonym Bruce'a. Nie mogę, żebym nie wiem jak przyjaźniła się z Bruce'em i Josie, stawiać Roberta w złym świetle. Już i tak powiedziałam zbyt wiele. Głupia. Głupia.

Właśnie wtedy do pokoju wszedł Bruce.

- Na razie dosyć. Dobrze, szefie? - zaczął i zamilkł nagle. - Czy przeszkadzam? Wyglądacie bardzo poważnie.

Lynn zamrugła, żeby pozbyć się łez, które znów pojawiły się w jej oczach. - Wylewam z siebie stare, nieważne smutki, to wszystko.

- Wcale nie są nieważne - sprostowała Josie.

- Już wychodzę - powiedział Bruce.

Lynn wołała, żeby został. Nie mogła jednak powiedzieć: „Twoja obecność pomaga mi. Jesteś taki autentyczny”. To mogłoby być niewłaściwie zrozumiane. Rzekła tylko:

- Proszę, zostań.

- Powiedziałas mi, a ponieważ po twoim wyjściu i tak opowiedziałabym Bruce'owi, mogę mu to równie dobrze powiedzieć teraz.

I Lynn siedziała, czując się jak pacjent, przy którym lekarze omawiają jego przypadek.

Bruce rozsiadł się w fotelu, nogi oparł na podnóżku, a ręce wygodnie wsunął pod głowę, jego nieoficjalna poza i pełen namysłu sposób mówienia dobrze wpływały na Lynn.

- A więc posprzeczałiście się na temat córek. Czy to zdarza się wam często?

- Och, nie. Wcale nie. Annie i Robert...

Bruce uniósł rękę.

- Wydaje mi się, że nie powinnaś mi opowiadać o Robercie.

Lynn odczuła to jako naganę. Powinna była pamiętać o zasadach etycznych Bruce'a. Wstała i powiedziała szybko:

- Muszę już lecieć do domu i zająć się lunchem. Porozmawiamy kiedy indziej.

- Poczekaj - powiedział Bruce. - Josie, czy nie uważasz, że Lynn potrzebuje porady? Ty jesteś z nią w zbyt bliskich stosunkach, ale czy nie wydaje ci się, że ktoś inny mógłby jej pomóc?

- Oczywiście.

- Jak się nazywa ten gość, którego znasz? Ten, który udziela porad? Masz o nim takie dobre zdanie. Mieszka w Connecticut?

- Ira Miller - powiedziała szybko Josie. - Spodoba ci się, Lynn. Dam ci jego adres. Pędzę po niego.

- Nie jestem pewna, czy chcę szukać porady - powiedziała Lynn Bruce'owi, gdy zostali sami.

- Masz śliczne córeczki - powiedział spokojnie. - Mała Annie to dla mnie ktoś bardzo specjalny. Wiesz o tyra. I jeśli stwarzają problemy lub mają kłopoty, to powinnaś dowiedzieć się, dlaczego. Prawda? - Omijał wzrokiem jej twarz i nogi. Powtórzył.

- Prawda?

- Chyba tak.

- Zdajesz sobie z tego sprawę, Lynn?

- Tak.

Mieli rację. Musi z kimś porozmawiać. W głowie miała zupełny chaos. W każdej chwili mogła wybuchnąć gniewem lub rozpaczą. Musi poszukać ulgi. Musi. I to prawda, że komuś obcemu będzie mogła powiedzieć to, czego nie może powiedzieć przyjaciółom: „To mąż mnie tak urządził”.

- Zadzwoiłam do niego w twoim imieniu - referowała Josie. - Pozwoliłam sobie umówić cię z nim na jutro po południu. Był bardzo miły. Masz, tu jest adres.

Gdy odprowadzali Lynn do samochodu, Bruce powiedział:

- Słyszałem, że twoja kolacja odniosła wielki sukces.

- O Boże, gdzie to słyszałeś?

- Od Toma Lawrence'a. Spotkałem go wczoraj rano. Biegaliśmy razem.

- Ojej, pewnie ci opowiedział, jak strasznie wyglądałam, gdy odwiózł mi torebkę? Byłam w szlafroku i...

- Jedyne, co powiedział, to to, że powinnaś wykorzystać jakoś swój wspaniały talent. I ja się z nim zgadzam.

- Droga zajmie ci jutro jakieś pół godziny. - Josie uśmiechnęła się zachęcająco.

- Razem z rezerwą na błędzenie.

- Wszystkiego dobrego! - zawołał Bruce, kiedy odjeżdżała.

Robert znalazł notatkę na biurku Lynn.

- Doktor Miller, trzecia godzina. Co to za doktor? - zapytał. Były to pierwsze słowa, jakie skierował do niej w niedzielę.

- Co robisz przy moim biurku?

- Szukałem w twojej książce adresowej dentysty, o którego pytano mnie w biurze.

- Ja nie przeglądam rzeczy na twoim biurku.

- Nigdy ci nie zabraniałem. Nie mam tajemnic. - Przeszedł w stronę dużego blatu w przeciwnym krańcu pokoju. - Chodź. Popatrz. Otwórz, którą chcesz, szufladę.

- Nie chcę otwierać żadnej szuflady, Robercie. Dobrze. Powiem ci. Doktor Miller jest terapeutą. Oto, do czego doszliśmy.

- To niepotrzebne, Lynn - powiedział spokojnie. - Ty go nie potrzebujesz.

- Ale pójdę. I ty też powinieneś pójść. Pójdziesz?

- Absolutnie nie. Mieliśmy nieporozumienie. Cóż w tym nadzwyczajnego? Ludzie ciągle miewają nieporozumienia i jakoś z tego wychodzą. To z pewnością jeden ze wspaniałych pomysłów Josie.

- Nie - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- A więc Bruce'a.

Nie odpowiedziała, nie miała ochoty kłamać.

- Nie mam zamiaru wydawać pieniędzy na takie rzeczy, Lynn. Zbyt ciężko pracuję. Płacić obcemu człowiekowi, żeby wysłuchiwał o moich kłopotach. - Podniósł głos. - Nigdy nie zabraniałem ci kupować tego, co ci się podobało, prawda? Rozejrzyj się po domu. - Jego ręka zatoczyła łuk, wskazując skórzane fotele, brązowy dywan i złote światło na trawniku za oknami.

- Meble to nie wszystko. Pierścionki także - odrzekła, obracając na palcu pierścionek z brylantem.

- Sądziłem, że wstydzilibyś się chodzić i rozpowiadać o naszych sprawach osobistych. Działasz pochopnie, jesteś zbyt rozemocjonowana. Mąż i żona miewają paskudne sprzeczki, a ty zachowujesz się tak, jakby to był koniec świata. Nie, nie chcę, żebyś tam szła. Posłuchaj mnie, Lynn...

Lecz ona wyszła już z pokoju.

Wczesnym popołudniem droga wyglądała jak pusta ścieżka wśród pastelowego krajobrazu. Wokół kwitły różowe wiśnie, białe jabłonie,

a wszystko tonęło w świeżej zieleni liści. Samochód jechał tak szybko, że Lynn przybyła na miejsce prawie o godzinę za wcześnie.

Zajechała przed kwadratowy dom przy spokojnej ulicy. Wszystkie domy wyglądały tak samo. Ten, przy którym się zatrzymała, miał jednak dobudowane skrzydło z osobnym wejściem. Przy ścianie stał oparty brudny rower, a na podwórku od tyłu widać było drabinki gimnastyczne. Lynn nabrała odwagi. Terapeuta miał rodzinę, więc jego wiedza pochodziła nie tylko z książek. Miał doświadczenie.

Pomyślała, że nie ma sensu siedzieć w samochodzie przez godzinę i zadzwoniła do drzwi. Otworzyła jej kobieta w nieokreślonym wieku. Miała na sobie czerwoną, wzorzystą sukienkę. Mogła być zarówno żoną, jak i matką doktora. Nie, doktora jeszcze nie ma, ale Lynn może poczekać.

Czekała bardzo, bardzo długo. Teraz, gdy zrobiła już ten pierwszy krok i znalazła się na miejscu, czuła pełną niepokoju niecierpliwość. Niech już będzie po wszystkim, modliła się. Minuty płynęły powoli, bardzo powoli, poczuła, jak jej serce przyspiesza i zaczyna dławić w gardle. Uspokajała samą siebie - to jak oczekiwanie u dentysty.

Poczekalnia była mała. Nie siedział żaden inny klient, z którym można by porozmawiać lub chociaż poobserwować go.

Przeszła się po pokoju. Wzięła kilka czasopism, ale nie mogła skupić się na czytaniu. Wszystko wydawało jej się pozbawione sensu - moda na lato i ekonomiczny rozwój Europy Wschodniej. Wszystko. Zaczęła przyglądać się obrazom na ścianie. Profesjonalnie wykonane portrety i szkice miejsc, w których byli portretowani. Pozowali na plaży, w strojach narciarskich, pod żelaznymi łukami wieży Eiffla. Obejrzała je i usiadła. Serce nadal galopowało.

Co powie temu nie znanemu mężczyźnie? Jak zacząć? Może on zapyta, po co do niego przyszła? Jak mu wytłumaczy? Przepowiadała sobie zdania, od których zacznie. Cóż, w sobotnią noc miała miejsce straszliwa scena. Wypowiedziano gorzkie i okrutne słowa, słowa, jakich nigdy nie spodziewała się usłyszeć we własnym domu, w domu, w którym kochamy... kochamy się nawzajem. Ale czy nie zdarza się, że dzieci mówią rodzicom, że ich nienawidzą? Może to nic nie znaczy? Ale Emily powiedziała, że Robert... że Robert...

W drzwiach stanął szczupły mężczyzna w średnim wieku. Pasują do siebie, pomyślała Lynn, kobieta w czerwonej sukience musi być jego żoną.

- Zechce pani wejść, pani Ferguson?

Wstała. Ściany zawirowały wokół niej i musiała chwycić się oparcia krzesła.

- Nagle źle się poczułam, panie doktorze - powiedziała z trudem.

- Może to grypa lub coś innego. Sama nie wiem. Kręci mi się w głowie. Właśnie się zaczęło. Jeśli pan pozwoli, przyjdę kiedy indziej. Zapłacę za wizytę. Przepraszam - wyjąkała.

Mężczyzna spoglądał na nią poważnie oczami powiększonymi przez grube szkła okularów. Nagle przypomniała sobie o sińcach i zadrapaniach, które jeszcze nie zeszły.

- Miałam... jak pan widzi... mały wypadek. Upadłam. Mamy żywopłot z kolczastych roślin, bardzo ładny, ale te kolce są ostre jak szpilki...

- Och? Wypadek? - zamilkł. - Cóż, nie może pani prowadzić, jeśli ma pani zawroty głowy. Proszę usiąść w wygodnym fotelu i zostać, dopóki nie poczuje się pani lepiej.

Czuła, że musi go posłuchać. Usiadła w dużym skórzanym fotelu, oparła głowę i zamknęła oczy. Słyszała, jak doktor szeleści papierami na biurku, wysuwa i zamyka szuflady, i jak krew pulsuje jej w skroniach.

Po chwili miły głos zachęcił ją, by otworzyła oczy.

- Nie musi pani rozmawiać, jeśli nie ma pani na to ochoty.

- Myśli pan pewnie, że oszalałam. Siedzę tutaj i nic nie mówię. Naprawdę wydaje mi się, że powinnam sobie pójść - powtórzyła, jakby prosiła go o pozwolenie.

- Jeśli tak pani chce, to oczywiście. Ale nie wydaje mi się, by miała pani grypę.

- Zawroty głowy minęły, więc chyba rzeczywiście to nie grypa.

- Ciekaw jestem, dlaczego pani tu przyszła. Czy może mi to pani powiedzieć?

- Dziwne. Myślałam, że pan właśnie o to zapyta.

- I co miała pani zamiar odpowiedzieć?

- Josie... Josie Lehman powiedziała, że powinnam poprosić o poradę. - Wytarła chusteczką spocone dłonie. - My, to znaczy ja i mój mąż nie wiemy, jak sobie radzić z dziećmi, to znaczy nie zawsze



zgadzamy się ze sobą. Mamy córkę siedemnastolatkę, druga ma jedenaście lat i jest bardzo wrażliwa, zbyt gruba, i mój mąż chce, aby ona schudła, oczywiście, ma rację, i... cóż, w ten weekend mieliśmy nieporozumienia, kłótnię, wie pan, i Annie, ta młodsza, powiedziała Robertowi, że go nienawidzi, i ja nie wiem, co mam robić!

I Emily powiedziała: „To tata tak cię urządził”.

Nie, tego nie mogę, nie mogę powiedzieć.

Oczy zaszły jej łzami. Ze złością otarła łzy. Przekłęte upokorzenie. Przysięgała sobie, że nie będzie płakać.

- Przepraszam - wymamrotała.

- W porządku. Czemu sobie nie popłakać, skoro ma pani ochotę?

- No. No więc tak właśnie jest. Może ja przesadzam. Teraz, gdy słucham samej siebie, wydaje mi się, że tak właśnie jest. To jedna z moich wad. Zbyt emocjonalizm.

Zaległa cisza. A potem miły głos powiedział:

- Pani nie powiedziała mi wszystkiego o swoim mężu.

- Och, Robert. Robert to niezwykły mężczyzna. Nieczęsto spotyka się kogoś takiego jak on. Człowiek odrodzenia - można powiedzieć. Tak o nim mówią. Ma wiele talentów, robi wiele dobrego dla otoczenia, spędza dużo czasu z dziećmi, pomaga w nauce, tak, dużo czasu...

„Nienawidzę cię”.

„To tata tak cię urządził”.

- Tak? - pytał terapeuta zachęcająco.

- Nie wiem, co mam jeszcze powiedzieć. Ja...

- Powiedziała mi pani o tym, że mąż robi coś dla dzieci i dla otoczenia, ale ani słowa o tym, co robi dla pani.

- Cóż, jest bardzo hojny. Uważający i... - Zamilkła. To niemożliwe. Nie jest w stanie tego powiedzieć. W ogóle nie powinna była tu przychodzić.

- I to wszystko? Proszę mi powiedzieć, czy często gniewacie się na siebie.

- Cóż, czasami Robert złości się, oczywiście. Ludzie złością się, prawda? I często z mojej winy...

Poczuła mdłości i zrobiło jej się zimno. W słoneczne letnie popołudnie czuła na

ramionach gęsią skórę. Wstała ogarnięta paniką; chciała uciec.

- Nie. Dzisiaj nie powiem już nic więcej. Nie, nie mam już zawrotów głowy. Naprawdę nie mam. Mogę prowadzić samochód. Po prostu boli mnie głowa, może mam trochę gorączki. Czuję, że bierze mnie jakaś choroba. Wiem, że tak jest. Ale ja tu wrócę - powiedziała. - Na pewno. Wiem, że powinnam.

Doktor bez słowa wstał i otworzył drzwi.

- Wyznaczę pani następną wizytę, pani Ferguson. Wyjeżdżam na trzy tygodnie. Gdy wrócę, a pani zechce się ze mną spotkać, zapraszam. Z przyjemnością porozmawiam z panią. A do tego czasu dobrze byłoby, gdyby zapisywała pani wszystko, co razem robicie. I te przyjemne wspólne chwile, i te inne. A potem porozmawiamy. Jeśli pani zechce - powtórzył. - Zrobi to pani?

- Tak, tak. Zrobię. I dziękuję panu, bardzo dziękuję.

W samochodzie, z dala od oceniających ją oczu za grubymi szklami, w pierwszej chwili poczuła wielką ulgę. Ale potem stopniowo, w miarę jak oddalała się od tych oczu, a dom był coraz bliżej, zaczęła odczuwać piekący wstyd, że okazała się taka tchórzliwa. Jakby przyłapano ją na jakiejś nieuczciwości, jakimś niegodnym kłamstwie, kradzieży lub jakby znalazła się na ulicy w samej bieliźnie. Dlaczego, dlaczego nie powiedziała całej prawdy? Ten człowiek doskonale wiedział, że było coś więcej. Widział ją na wylot.

Po południu panował duży ruch. Nie mogła jechać szybko. Toteż gdy wreszcie dotarła do domu, było już późno i samochód Roberta stał w garażu. Gotowa na kolejne starcie, wkroczyła do domu. Cóż, zrobiłam to, tak mu powie i spojrzysz prosto w twarz. Tak, wybieram się tam znowu, i nic na to nie możesz poradzić.

Siedzieli nieruchomo przy stole. Robert wstał i odsunął krzesło dla Lynn, Annie uśmiechnęła się, a Emily powiedziała:

- Wstawiłam kurczaka do kuchenki mikrofalowej i przyrządziłam sałatę, mam nadzieję, że nie trzymasz tego naczynia na lepsze okazje. Nie wiedziałam.

- Mam je tylko dla was, kochanie. I dziękuję ci, Emily. Jesteś mi pomocna, jak prawa ręka.

- Annie nakryła do stołu - powiedziała Emily.

- Gdybym miała dwie prawe ręce, byłabyś drugą, Annie.

Panował zupełny spokój. Lekki wietrzyk poruszał firankami, Juliet spała pod stołem, a trzy pogodne twarze zwracały się ku Lynn.

Czyżby oni o wszystkim zapomnieli? - pomyślała z niedowierzaniem. To prawda, że złe humory Roberta szybko mijały, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniały się w doskonały nastrój. Prawda także, że gdy był w dobrym nastroju, umiał oczarować tych, których wcześniej zranił czy rozgniewał. A poza tym dziewczynki miały tę cudowną i łatwo wybaczącą odporność młodości. Mogła być za to wdzięczna losowi. Jednak było zadziwiające, że siedzieli tak wszyscy razem.

Annie zapytała.

- Gdzie byłaś tak długo, mamó?

- Och, robiłam sprawunki i nie spojrzałam na zegarek.

- Nie powiesz mamie? - zapytała Emily.

- Powiedzieć mamie? Czy coś się stało? - krzyknęła zaniepokojona Lynn.

- Coś bardzo miłego, tak myślę - powiedziała Emily.

Robert sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął długą kopertę i z zadowoloną miną podał ją Lynn.

- Bilety na samolot - powiedział.

- Lotnisko Kennedy'ego, do St. Juan i przesiadka do St.... - czytała. - Robercie! Co to jest?

- Dziesięć dni na Wyspach Karaibskich. Lecimy w sobotę rano. Będziesz miała kilka dni, aby przygotować się i poczuć lepiej. - Uśmiechał się pełen dumy. - I co na to powiesz?

Co ja na to powiem, pomyślała. Jak śmiesz. Za kogo mnie uważasz? Zamiast tego jednak powiedziała:

- Dziewczynki nie mogą opuścić szkoły, Robercie. Nie wiem doprawdy, co ci przyszło do głowy.

- Nie muszą opuszczać lekcji. Te wakacje są tylko dla ciebie i dla mnie.

To tania - nie, kosztowna - łapówka. Poczowała wypieki na policzkach. I znowu, ze względu na dziewczynki, powiedziała:

- To nie ma sensu. Kto się zajmie domem? Nie wyjadę, zostawiając całe gospodarstwo na pastwę losu.

- Oczywiście, że nie. Wszystko będzie załatwione. Cały dzień spędziłem na przygotowaniach. Kiedy wyjedziemy, Eudora będzie tutaj nocowała. Dziewczynki będą jeździły autobusem szkolnym, a jeśli będą musiały pojechać gdzieś indziej, zabierze je Eudora, a w weekendy Josie albo Bruce. Rozmawiałem już z Bruce'em - wyjaśnił

Robert. - Z przyjemnością zabiorą dziewczynki na basen, Bruce zawiezie Annie na lekcje tenisa. Nie chciałbym, aby je straciła, a on powiedział, że chętnie tam pojedzie.

Annie, która przepadała za Bruce'em, przyłączyła się do ojca.

- Wiesz, jak lubię jeździć z wujkiem, mamusiu. Proszę, powiedz tak, mamusiu.

- Sama widzisz, wszystko załatwione. Żadnych problemów. Nie pozostaje ci nic więcej, jak tylko pakować walizki - powiedział Robert stanowczo.

Lynn poczuła się jak w pułapce. Wstała od stołu i powiedziała:

- Porozmawiamy o tym później. Nie lubię, jak coś spada na mnie tak nieoczekiwanie. A teraz, dziewczynki, do lekcji. Wyjdźcie z kuchni. Sama posprzątam.

Gdy poszła na górę, Robert pospieszył za nią.

- Wydaje ci się, że możesz mnie przekupić? Prawda? To niewiarygodne.

- Proszę cię. Nie miałem na myśli łapówki, tylko kurację. Kurację na to, co nas rozdzieliło.

- To musi potrwać dłużej niż dziesięć dni na rajskich wyspach - powiedziała z sarkazmem. - O wiele, wiele dłużej.

Stanęła przy oknie, plecami do Roberta. Widok drzew i wzgórz zawsze ją uspokajał, teraz wydał jej się pełen melancholii; zachodzące słońce rzucało na ogród długie cienie.

- Dziewczynki chcą, żebyśmy pojechali. Sama słyszałaś.

Oczywiście, że chcą - pomyślała Lynn. To dla nich wspaniała przygoda, rządzić się w domu pod nieobecność rodziców. Czemu nie? I - pomyślała z niechęcią - Emily będzie zostawała do późna z Harrisem.

Robert upierał się.

- Nie niepokoję się o nie, wiesz o tym. Bruce i Josie są równie odpowiedzialni jak ty i ja.

Tak - pomyślała - gdy są ci potrzebni, wysługujesz się Lehmanami, chociaż ich nie lubisz. Nadal milczała, odwróciła dłonie, na których widać było małe, ciemnoczerwone strupki jak na materiale w groszki.

- Nie chcę jechać - oświadczyła gwałtownie.

- Byłaś dziś u tego terapeuty - stwierdził.

- Tak - odparowała. - I co z tego?

- Nie sądziłem, że się zdecydujesz. Jestem wstrząśnięty. Nie wierzyłem, że mówisz poważnie.

- Mówiłam poważnie, Robertcie.

- I co on.

- O, nie! - krzyknęła. - Takich pytań się nie zadaje. Nie wiesz o tym? Chyba że zgodzisz się pójść tam razem ze mną.

- Jeśli to miałoby cię zadowolić - rzekł powoli. - Nie jestem przekonany, że trzeba nam czegoś więcej niż wspólne wakacje. Ale jeśli życzysz sobie tego, zrobię dla ciebie wszystko - dodał nieśmiało.

Lynn stała i przyglądała się swoim dłoniom.

- Jesteśmy obydwój bardzo zmęczeni - mówił Robert. On, który wypowiadał się zawsze z taką łatwością, teraz mówił z trudem i zacinał się. - Te dwa ostatnie lata minęły jak w gorączce. Żadnego wytchnienia. I nie mieliśmy czasu dla siebie. Cały nowy dom na twojej głowie. Nowa praca, nowe twarze, nowi znajomi, szkoły dla dziewczynek, wszystko wymagało przystosowania się...

Lynn poczuła radość triumfu, ale jakaś jej część współczuła Robertowi.

- Posłuchaj. Wiem, że mam gwałtowne usposobienie. Ale nieczęsto tracę panowanie nad sobą, musisz to przyznać. I zawsze potem jest mi przykro. Wiem, że to niewiele zmienia. Ale nie jestem złym człowiekiem, Lynn. I kocham cię.

Z dołu dobiegły ich dźwięki menueta. Annie ćwiczyła. Emily pędziła po schodach, żeby odebrać telefon. Robert, jakby czytając w jej myślach, powiedział:

- One nas potrzebują, Lynn. Nasze córki chcą, żebyśmy byli razem. Nie możemy ich karać za nas. Spróbujmy zapomnieć o tym, co się stało. Proszę.

- Och! - westchnęła ciężko. Przemierzał pokój i mówił w pośpiechu.

- Byłem zazdrosny. Byłem wściekły tamtej nocy. Na widok ciebie w ramionach tego mężczyzny zupełnie straciłem głowę. Wyglądaliście razem tak intymnie. Teraz wiem, że zachowałem się głupio. Jesteś niewinną kobietą, nie mogłabyś... - Zamilkł, a oczy wypełniły mu się łzami. - A ty powiedziałaś, że coś jest ze mną nie w porządku.

- Byłam bardzo, bardzo rozgniewana. I nadal jestem.

- W porządku. Zła czy nie, zechcesz pojechać? Ze względu na rodzinę. Pojedziesz? - Położył grubą kopertę na biurku. - Miałem szczęście, że dostałem te bilety. Wszystkie miejsca były już wykupione przez młode pary wybierające się w podróż poślubną. Ale ktoś zrezygnował. Sama widzisz, tak miało być. Och, Lynn, przebacz mi!

Stał z oczami błyszczącymi od łez, Lynn odwróciła się i wyszła bez słowa.

Samolot przyspieszył, pozostawiając w dole drogę i bagna, wznosił się wysoko i zatoczył łuk na południowy zachód.

- A więc stało się - powiedział Robert.

Lynn nic nie odpowiedziała. Co mogła odpowiedzieć? Nadal odczuwała urazę. Piekła ją niczym ciężko strawna potrawa. Chciała skończyć ze złością, chciała ukryć przed córkami to, co było do ukrycia. I dlatego Robertowi udało się nakłonić ją do wyjazdu.

- Będiesz zadowolona, że pojechałaś - powiedział przymilnie.

- Zadowolona? Tego się nie spodziewaj! - odrzekła z pogardą.

Siedzieli we trójkę w jednym rzędzie. Pod oknem zajmował miejsce mężczyzna tak gruby, że aż wylewał się z fotela, spychając Roberta. Lynn siedziała przy przejściu.

- Straszliwy ścisk - mruknął Robert. - Pierwsza klasa była wykupiona. Cholera! Nie zwracając na niego uwagi, wyjęła z podręcznej torby książkę i zatopiła się w lekturze. Zawsze starała się widzieć dobre strony we wszystkim. I nawet teraz, chociaż nie chciała się do tego przed sobą przyznać, oczekiwała przyjemnego wrażenia na widok palm i błękitnej wody. Życie spędziła na Środkowym Zachodzie i taki widok stanowił dla niej cudowną nowość. Piękne, leniwe Karaiby widziała dotychczas zaledwie dwa razy. Nie ma powodu - walczyła ze sobą - żeby marnować taką okazję. Popływa, wzięła ze sobą trzy wspaniałe książki, i na szczęście jest na tyle szczupła, że może sobie pozwolić na jedzenie. - Mam nadzieję, że kuchnia będzie dobra. I wcale nie muszę rozmawiać z Robertem.

- W drodze powrotnej - mamrotał - postaram się o pierwszą klasę. Tu jest gorzej niż w metrze.

Wyjrzała z balkonu. Popatrzyła na niebo i wodę. Nie było nikogo prócz pracowników, którzy ustawiali na plaży rzędy żółtych parasoli, i małej żaglówki daleko na morzu.

- O, wstałaś dziś bardzo wcześnie - powiedział radośnie Robert. - Pobiłaś mnie. Cudownie, prawda?

- Tak. Idę pospacerować po plaży.

- Jeśli zaczekasz chwileczkę, pójdę z tobą.

- Dziękuję. Chcę pospacerować sama.

- Dobrze.

Słońce wstało niedawno i powietrze było nadal rześkie. Szła po mokrym twardym piasku skrajem wody. Pozostawiła za sobą teren hotelu i szła dalej nie kończącą się plażą. Wzdłuż plaży ciągnęły się sosny, dzikie wino i jakaś roślinność, której nazwy nie знаła. Od czasu do czasu mijała domy wyglądające na siedziby milionerów z Anglii i Stanów. Płaskie, pełne wdzięku budowle, wznoszące się schodkowato w cieniu figowców i strzelistych drzew.

Nagle na jej drodze pojawiło się porośnięte trawą wzgórze, strome i z trzech stron otoczone wodą. Wspinaczka nie była łatwa, ale to jej nie odstraszyło. Lynn dotarła na szczyt i usiadła bez tchu. Rozejrzała się dookoła i poczuła się jak w starej, wysokiej katedrze.

Nie, nie tak. Tu było o wiele wspanialej. Taki błękit! Ku brzegowi, tam gdzie w wodzie odbijało się zielone wzgórze, woda nabierała barwy turkusu. Dalej ku horyzontowi ciągnęło się pasmo bieli, równiutkie, jakby namalowane przy linijce. Na horyzoncie pojawiała się cieniutka kreska oddzielająca błękit wody od innego błękitu - spokojnego, wiecznego błękitu nieba bez jednej chmurki.

Wiatr poruszał fale i woda rozpryskiwała się o skały poniżej wzgórza. Przed oczyma Lynn rozciągał się olbrzymi, zagadkowy, lśniący w słońcu żywioł; taki sam, jak przed wiekami i taki sam, jaki pozostanie przez dalsze wieki - pomyślała - dopóki słońce nie wypali się do cna, a ziemia nie ostygnie.

Położyła się na plecach na świeżej trawie i spojrzała w rozświetlone niebo. Wszystkie sprawy - niesprawiedliwość, ból, nieuczciwość - wydały jej się nieważne, niewarte trawienia sił i życia. Mój Boże, jakże krótkie jest życie ludzkie!

Nadleciało stadko ptaków, zniżyły się, by musnąć wodę, a potem znów wzbiły się w górę. Wyglądały na tak radosne - czy ptaki mogą odczuwać radość? - i Lynn roześmiała się. A potem pomyślała znowu: - Jakże krótkie jest życie ludzkie, a my poruszamy się w nim po omacku.

Leżała tak przez pół godziny, a może nawet dłużej. Wiatr na wzgórzu chłodził palące promienie słońca. Lynn przeciągnęła się i poczuła, że jej ciało jest młode i zdrowe. Skręcona stopa dokuczwała już znacznie mniej. Ciepło zdawało się leczyć zadrapania. Poczowała nagły przypływ sił, tak jakby czerpała energię ze słońca, wydało się jej, że jest w stanie zrobić cokolwiek zechce, znieść wszystko i rozwiązać każdy problem.

Powiedziała głośno: - Przecież on nie chciał cię skrzywdzić. Po prostu stracił panowanie nad sobą. A teraz żałuje i czuje się winny. Nie możesz gniewać się na niego wiecznie. Gniew zniszczy cię. Przecież on mógł ci nigdy nie wybaczyć... po tej tragedii z Caroline...

Pomyślała: Nie powinnam zostawać tak długo na tej cholernej kolacji. To od niej wszystko się zaczęło. Nie powinnam była dać się namówić na pozostanie. Ciekawe, jak ja czułabym się, czekając w domu na Roberta, podczas gdy on spędzałby beztrudnie czas z piękną kobietą?

Przypomniała sobie policzek Toma Lawrence'a tuż przy jej policzku. Jego przekorne, bystre oczy, jasne jak jego włosy i gładka skóra. „Masz takie słodkie oczy i słodkie usta, Lynn”. Umizgi, pochlebstwa; być może, spodziewał się czegoś więcej, a może wcale nie. Skąd mogę wiedzieć? Tak mało wiem - pomyślała. Wyszłam za męża w wieku dwudziestu lat, kiedy i gdzie miałam się nauczyć?

Nie - powiedziała do siebie i usiadła. - Taka naiwność jest niewybaczalna. Powinnam co najmniej przewidzieć skutki. Mój mąż jest gwałtownego usposobienia, to dla mnie nie nowina...

„Nasze dzieci potrzebują nas” powiedział. I to jest prawda - pomyślała - że nigdy nie jest zbyt zajęty ani zmęczony, aby się nimi zająć. Gdy czekali w Waszyngtonie na samolot, przywołał taksówkę i pojechał z dziećmi do National Galery of Art. „Możemy im pokazać mnóstwo dobrych obrazów w te dziewięćdziesiąt minut” - powiedział, zarażając nas swoją energią. Zrywa się z hamaka i pędzi do domu, żeby złapać encyklopedię, bo musi sprawdzić, czy udzielił córce właściwej odpowiedzi. Siedział przy Annie całą noc, gdy wycięli jej migdałki.

Potrafi być dla nich srogi i zbyt wymagający. Tak, tak, wiem. Ostatnie dwa dni przed wyjazdem były zupełnie znośne. Robert kocha dzieci. Czasem ludzie mówią coś, czego wcale nie myślą.

Nasze dzieci potrzebują nas. Potrzebują nas obojga.



Przy odrobinie zdrowego rozsądku wszystko da się naprawić.

Po powrocie do pokoju zastała na stole karteczkę z wiadomością: „Poszedłem na śniadanie. Będę w jadalni albo na plaży”. Obok leżała książka. Otwarta na stronie z wierszem, którego Lynn nie musiała czytać, bo знаła go prawie na pamięć. Mimo to przeczytała jeszcze raz:

O dumna i nieśmiała, jakże szczerze spoglądają twe oczy  
W zasuszonym sercu rozpalasz ogień

Ogień twojej nieprzemijającej urody

I rozświetlającego cię czułego hartu ducha Świat młodnieje...

Odłożyła książkę. Drżała. Podarował jej te wiersze zaraz po ślubie i często czytawali je razem; czasami Robert czytał je głośno poważnym, pełnym czułości głosem; kochali się wtedy do szaleństwa.

- Och, Robercie!

Odnalazła go na plaży. Czytał. Gdy zbliżyła się, spojrzął na nią pytająco.

- Przyszłam zakopać topór wojenny - powiedziała nieśmiało.

W kącikach jego oczu zobaczyła łzy. Wziął ją za ręce i przytrzymał. Wydało się jej, że przez ich połączone palce przepływa strumień wspólnej krwi. Odczuła ulgę spokojnego przebaczenia.

- Przeczytałaś wiersz? - Skinęła głową. - Lynn, Lynn, jesteś dla mnie wszystkim. Bez ciebie jestem nikim. Wiesz o tym, prawda? Czy wszystko w porządku?

- Nie mówmy już o tym. To już poza nami.

- Miewamy złe chwile, ale one nie trwają wiecznie. - Wstał. - Prawda, kochanie? Ale dosyć. Co będziemy robić? Biegać, kąpać się?

- Chodźmy na spacer. Chcę ci coś pokazać. Byłam tam.

Ruszyli tą samą drogą pomiędzy falą przyboju a srebrnymi, poskręcanyimi gałęziami dzikiego wina, minęli luksusowe domy w ogrodach. Robert zastanawiał się, ile mogły kosztować.

- Hej! Daleko jeszcze? Nie zmęczyłaś się? Idziesz tam po raz drugi.

- Nie. Lubię spacerować. A to jest warte dziesięciu takich spacerów. Sam zobaczysz.

- Jesteś zawsze młoda.

To prawda. Jej ciało w czerwonym kostiumie kąpielowym było równie gładkie i jędrne jak wtedy, gdy miała dwadzieścia lat. Cieszyła

się swoim zdrowiem, porannym wiatrem i spokojem. Maszerowała, zapominając o bolącej kostce. Weszli na wzgórze. Stanęli.

- Wiem o co ci chodziło - wyszeptał Robert.

Teraz jednak pojawił się znak życia. Wzdłuż linii horyzontu poruszał się powoli biały jacht.

- Spójrz na to - powiedział. - Chciałabyś mieć coś takiego? Moglibyśmy pływać po południowych morzach. I dookoła świata.

- Nie - odpowiedziała. - Nawet gdyby nas było stać na coś takiego, co jest raczej niemożliwe, i tak nie chciałabym.

Potrząsnął głową, jakby odpowiedź Lynn przekraczają jego zdolności rozumienia.

- A co byś chciała? Czy ty nigdy nic nie chcesz? Odpowiedziała mu z powagą.

- Tylko spokoju i miłości. To wszystko. Spokoju i miłości.

- Już je masz. I będziesz je miała. - Opadł na trawę. - Usiądź. Zostańmy tu chwilę. - Posłuchała go. - Wiem, że nie zawsze jest ci ze mną łatwo - powiedział równie poważnie. - Mało przebywam w domu. Jestem pracoholikiem. A ty jesteś taka cierpliwa. Wiem o tym. W pracy i podczas dojazdów pociągami nasłuchiwałem się historii, od których włos się jeży na głowie. O kobietach mających załamania nerwowe, popijających w samotności alkohol, mających romans z fryzjerem. I kiedy słucham o takich sprawach, doceniam ciebie. Twój wysiłek i czas, jaki poświęcasz dzieciom, twoje zdrowie, pogodę ducha, wszystko. Ja powinienem dawać z siebie więcej. Powinienem robić więcej.

- Ależ ty robisz mnóstwo! Więcej niż jakikolwiek ojciec. O wiele więcej

- zapewniła go szczerze.

- Nie. Powinienem bardziej się starać. Ty nie grasz na fortepianie, więc nie możesz pomóc Annie. Myślałem o tym, że powinna się zająć muzyką popularną. To pomoże jej w życiu towarzyskim, gdy będzie o parę lat starsza. - Westchnął.

- I niepokoję się o Emily i tego chłopaka. Wiem, że nie lubisz o tym słuchać, ale...

- Nie teraz, Robercie. Jest zbyt pięknie, by myśleć o kłopotach, nawet jeśli ja nie uważam Harrisa za kłopotliwego. Wracamy?

Zbiegając i ześlizgując się, zeszli ze wzgórza i ruszyli wzdłuż wybrzeża. Przez pewien czas milczeli. A potem Robert powiedział:

- Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć... ale masz rację, to nie jest odpowiednie miejsce ani czas na trudne rozmowy... Jednak, czy sądzisz, że Emily jest przeciętną nastolatką, która rośnie tak jak trzeba, czy jest jakaś inna? Ostatnio odniosłem wrażenie, że jest w moim towarzystwie zakłopotana. - A gdy Lynn nic nie odpowiedziała, dodał w zamyśleniu: - Chciałbym, żebyś była ze mną całkowicie szczerą, jeśli wiesz coś na ten temat.

Zawahała się:

- Ona czuje, że nie bywasz z nią zupełnie szczerzy, a prócz tego krzyczysz na nią.

- Krzyczę. Za co?

- Och. Za różne rzeczy. Na przykład... powiedziała, że gdy wspomniała ci o Queridzie, byłeś na nią wściekły. Wrzeszczałeś na nią. Nie chciałeś jej nic powiedzieć.

- Oczywiście, że nie chciałem. Niby po co? To ta moja wspianiała cioteczka! Cud boski, że nie wygadała się na temat chłopca. Zaraz pojawiłyby się tysiące pytań. Cóż, mam czyste sumienie. Jestem wobec niego w porządku, ale on nie jest częścią mego obecnego życia. W banku poinformowano mnie, że on teraz mieszka w Europie. Już go nie utrzymuję. Jest dorosły. Nic nas teraz nie łączy. To nic dziwnego w obecnych czasach, gdy rodziny są rozrzucone po całym świecie. - Zatrzymał się i spojrzał na wodę. - Po co poruszamy takie głupie tematy?

- Pytałeś mnie o Emily.

- Tak. Tak. Pytałem. Cóż... - powiedział i spojrzał na Lynn z zakłopotaniem. - Czy jest coś jeszcze?

Powiedziałam część, pomyślała, równie dobrze mogę mu powiedzieć wszystko. Spoglądając mu w oczy, powiedziała spokojnie:

- Ona uważa, że to ty tak mnie urządziłeś tamtej nocy.

Wciągnął powietrze, Lynn spostrzegła, że te słowa uderzyły w niego niczym grom.

- A co ty powiedziałaś? Czy jej... wytłumaczyłaś? Tak...? Powiedziała z namysłem, nadal patrząc mu prosto w oczy:

- Powiedziała jej, że to skończona bzdura, i że jestem zdumiona, że coś takiego w ogóle przyszło jej do głowy.

Robert zwiesił głowę. Dwoje ludzi pogrążonych w bólu. Jakie to dziwne, pomyślała Lynn, stoimy tutaj w jasnym słońcu, wokół toczy się życie - dzieci na pontonach, młodzi ludzie skaczą przez fale,

nawołują się i śmieją - a my prowadzimy taką tragiczną i poważną rozmowę. Nikt nie odgadłby, patrząc na nas. Dotknęła jego ramienia.

- Dość już, Robercie. Nie jadłam jeszcze śniadania i umieram z głodu. Czy znajdzie się tu jakieś miejsce, gdzie można dostać filiżankę kawy i bułkę?

Odpowiedział jej pełnym wdzięczności, zawstydzonym uśmiechem.

- Oczywiście. Obszedłem wszystkie miejsca, nawet najbardziej ukryte. Jest jeden spokojny zakątek ze stolikami pod parasolami, blisko basenu. Chodźmy. Potem popływamy. A później - powiedział, wracając już całkiem do siebie - możemy zapisać się na jutro na wycieczkę z łowieniem ryb. Niedaleko stąd, na wyspę, płynie się katamaranem. Możemy też pojechać na całodniową wyprawę łodzią podwodną z piknikiem na oddalonej wyspie. A może masz ochotę na lekcje jazdy na nartach wodnych? Patrzyłem na rozkład godzin.

Musiała się uśmiechnąć. To był cały Robert. Organizator, liczący każdą minutę.

- Najpierw popływamy, a potem podejmiemy dalsze decyzje. Pamiętaj, mówiłeś, że potrzebujemy relaksu.

- Racja. Masz rację.

Po południu wrócili rozbawieni po lekcji jazdy na nartach wodnych. Usiedli w cieniu niedaleko basenu. Sąsiednie stoliki zajmowali młodzi ludzie.

- Większość z nich jest tu w podróży poślubnej - zauważył Robert. - Ty także mogłabyś być panną młodą. Wyglądasz zupełnie jak one.

- Teraz panny młode są starsze.

- Zaczynasz chwytać opaleniznę - stwierdził.

- Pomimo kremu ochronnego i ogromnego kapelusza? Wrócę do domu ciemna jak czekolada. W takim razie mogę być również tłusta. Zjem lody.

Zdawała sobie sprawę, że Robert przygląda się jej, gdy je lody, i cieszy się jej radością. Skończyła lody z uczuciem zadowolenia i sytości. Pomyślała: Jesteśmy tacy cieleśni! Kubki smakowe na języku zaspokojone, żołądek pełny. Powietrze świeże, ani zbyt gorące, ani zbyt zimne. I oto nasze kłopoty w jakiś sposób znikają. W każdym razie chwilowo.

Wzdłuż ściany przemknęła jaszczurka. Zielona jak szlachetny kamień. Wokół stołów uwijały się kosy dziobiące okruchy. Na stole przysiadł mały żółty ptaszek. Podskoczył na kruchych jak patyczki nóżkach ku pucharkowi po lodach, na dnie którego pozostała resztką deseru. Lynn znieruchomiała i przyglądała się, jak mały dziobek zanurza się w lodach. Jednocześnie uświadomiła \* sobie, że Robert obserwuje ją w podobnym pełnym czułości skupieniu.

- Jest milutki - powiedziała. - Jego mózdzek nie jest większy od ziarenka grochu.

- To ty jesteś milutka.

Obok nich siedziała para starszych ludzi. Mężczyzna usłyszał Roberta, uśmiechnął się do niego i skinął głową.

- Widzieliśmy państwa na nartach wodnych - powiedział z silnym niemieckim akcentem.

- Och, byliśmy beznadziejni - odpowiedział Robert. - Spróbowaliśmy tego po raz pierwszy.

- A więc jesteście bardzo dzielni. Moja żona i ja... - uniósł siwe brwi z wyrazem żartobliwego smutku - jesteśmy zbyt starzy, by uczyć się nowych rzeczy.

I tak zaczęła się rozmowa. Dokonano prezentacji. Państwo Hummelowie pochodzili ze Stuttgartu. On był bankierem. Częściowo emerytowanym. Ale tylko częściowo. Wiele podróżowali. Głównie po Europie Wschodniej, gdzie ostatnio nastąpiło wiele zdumiewających zmian. Na Karaibach byli po raz pierwszy. Wyłącznie dla przyjemności, aby uczcić pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Później, w domu, wydadzą przyjęcie dla przyjaciół i rodziny. Lecz najpierw chcieli ją obejść tylko we dwoje.

- Czy to właśnie dzisiaj? - zapytał Robert.

- Tak. Właśnie dzisiaj - potwierdził Hummel. A jego żona, postawna kobieta o pięknych, gładko zaczesanych do góry siwych włosach, nie usiłująca ukrywać swego wieku, pokiwała głową i uśmiechnęła się.

- Tutaj jest tak pięknie - powiedziała. - Zwykle jeździmy na Riwierę, ale tam jest zupełnie inaczej. Tutaj jest tyle dziwnych, wspaniałych kwiatów... - I wskazała ręką grupę krzewów pokrytych czerwonymi paciorkami wielkości główki od szpilki. - Jak to się nazywa?

- Ixora - odpowiedział Robert.

- Ach, zna się pan na kwiatach? - spytała pani Hummel.

- Nie. - Robert roześmiał się. - Tak się złożyło, że idąc na śniadanie, natrafiłem na te krzewy, a przy nich stała tabliczka z nazwą.

- On wszystko zapamiętuje - powiedziała Lynn.

- A więc ma pan - zauważył pan Hummel - tak zwaną pamięć... jakie to słowo? Jak aparat.

- Pamięć fotograficzną - odpowiedziała Lynn. - Tak. Właśnie tak.

- A może - powiedział pan Hummel - proszę mi powiedzieć, jeśli posuwam się zbyt daleko, ale może zechcieliby państwo napić się z nami szampana? Dziś wieczorem. Bo jutro wyjeżdżamy. Może zjedlibyśmy razem kolację. Stolik na cztery osoby?

- Czemu nie. Byłoby bardzo miło - odparł serdecznie Robert.

Gdy zostali sami, Lynn spytała zaskoczona:

- Dlaczego zgodziłeś się na tę kolację?

- Cóż. On jest bankierem i ma powiązania z nowymi republikami w Europie Wschodniej. Nigdy nie zawadzi dowiedzieć się czegoś, gdy nadarza się sposobność. A poza tym to mili ludzie i widać, że czują się trochę osamotnieni.

Rozbawiło ją to. Nawet w czasie urlopu myślał o General American Appliance.

- Na kolację musimy włożyć stroje wieczorowe - powiedział. - Czytałem w holu, że będzie dansing i inne rozrywki.

- Limbo i calypso. Jestem pewna. Śmieszne, lubię słuchać calypso, wcale mi się nie znudziło.

- Ta suknia wygląda doskonale. Warto było za nią tyle zapłacić.

Białe jedwab i perły wydawały się jeszcze bielsze i bardziej świetliste na opalonym ciele Lynn. Spoglądała na swoje odbicie z zadowoleniem.

- Gdzie bransoletka? - spytał Robert.

- Która? - zapytała, wiedząc doskonale, o którą mu chodzi, bo zawsze o nią pytał.

- Z owalnymi kamieniami. Twoja najlepsza.

- Jest zbyt cenna, by zabierać ją w podróż - odparła.

Był to rzeczywiście niezwykle klejnot. Zauważano ją zawsze. A jednak nosiła ją tylko wtedy, gdy Robert nalegał. Bransoletka

przypominała jej ponurą, wietrzną noc na ławce w pobliżu jeziora Michigan. Nie chciała wspominać owej nocy.

Hummelowie zarezerwowali stolik obok balkonu z widokiem na morze. Szampan już się mroził. Promienieli - on w letnim smokingu, ona w sukni z jasnoniebieskiego szyfonu, dość wymyślnej. Para solidnych mieszczuchów, pomyślała Lynn i poczuła do nich sympatię. Pięćdziesiąt lat małżeństwa!

- Miło świętować naszą uroczystość w towarzystwie młodych ludzi - powiedział pan Hummel. - Musicie opowiedzieć nam o sobie. Macie dzieci?

- Mamy - odpowiedziała Lynn. - Już duże. Starsza córka ma siedemnaście lat, a młodsza jedenaście.

- O mój Boże! Nasze wnuki są starsze. Chłopak ma już dwadzieścia siedem lat. Pracuje w banku Franza - dodała z dumą.

Pani Hummel opisywała Lynn wszystkich członków swej rozległej rodziny. Robert sprowadził rozmowę na tematy zawodowe. Lynn, nie bardzo zainteresowana wnukami państwa Hummelów, słuchała ich jednym uchem.

- Zamierzam uczyć się węgierskiego - powiedział Robert. - Nie wiem, jak znajdę na to czas, ale muszę znaleźć.

- Człowiek taki jak pan zawsze znajdzie czas. Znam ten typ.

- Dziękuję. Ale to bardzo trudny język. Z grupy ugrofińskiej, zbliżony do fińskiego, tak mi powiedziano. Zdecydowałem się na węgierski, bo ten kraj zaczyna się rozwijać. Moja firma zajmuje się urządzeniami dla domów. A jak pan wie, gdy kraj się bogaci, rosną jego zapotrzebowania.

- Czy był pan na Węgrzech?

- Nie. Chcę przygotować zespół na Rosję, Polskę i cały ten obszar. A potem porozmawiam z szefostwem - prezesem i innymi. Można wywrzeć lepsze wrażenie, gdy się wykaże znajomością języka.

- Ma pan rację. Nie wszyscy znają angielski. Niektórym wydaje się, że każdy zna ten język.

- ... często się słyszy, że z chłopcami jest mniej kłopotów - ciągnęła pani Hummel. - Przypuszczam, że pani mąż chciałby mieć syna.

- Też tak sędzę, ale dwójka dzieci to wystarczająco wiele. A on przepada za córkami.

- Obecnie zajmuję się marketingiem, ale należy poszerzać zakres swoich umiejętności. Muszę się dowiedzieć, co dzieje się w produkcji, aby lepiej radzić sobie z marketingiem, prawda?

- Tak, tak. Technologie zmieniają się z godziny na godzinę. Proszę mi dać swoją wizytówkę. Dam panu moją. Gdybym mógł być w czymś pomocny, kto wie, możemy razem zrobić coś pożytecznego. Prawda?

- Byłbym zachwycony. Ale chyba zaniedbujemy wspaniałą uroczystość. Pójdę zamówić jeszcze jedną butelkę, wypijemy za następne pięćdziesiąt lat.

- Pani mąż jest niesłychanie ambitny. Bardzo inteligentny młody człowiek, pani Ferguson - powiedział pan Hummel.

- Serce się raduje - stwierdziła pani Hummel - na widok takiej młodej i pięknej pary. Wszystkie te niezadowolone małżeństwa, nigdy ich nie rozumiałam... jest ich tak wiele. Franz i ja mamy po siedemdziesiąt trzy lata, jestem od niego o siedem miesięcy starsza, ale nigdy się do tego nie przyznaję. - Wszyscy czworo roześmieli się, a Lynn powiedziała uprzejmie: - Nie wyglądacie na swoje lata.

- Naprawdę? - Pani Hummel była zachwycona. - To dlatego, że zawsze byliśmy ze sobą szczęśliwi. Moja matka zawsze mi powtarzała... jest takie powiedzenie o tym, żeby nie kłaść się spać w gniewie.

- Moja matka też mi to mówiła.

- Tak. I to naprawdę działa.

- Interesujący ludzie - stwierdził Robert, kiedy poszli tańczyć.

- Trochę niedzisiejsi.

- Tym gorzej dla dzisiejszego świata.

Tańczyli na powietrzu. Gdy muzyka cichła, słychać było szum fal. W wonnym powietrzu rozbrzmiewały dźwięki starych przebojów: „Twoje zamglone oczy” i „Zawsze i zawsze”.

Może są staroświeckie, pomyślała Lynn, a jednak takie ładne jak czasy, w których zostały skomponowane; jeszcze mnie wtedy nie było na świecie. I wciąż wzruszają, bez względu na to, jaki panuje styl i czy ludzie przyznają się do tego czy nie.

- Czy tańczę równie dobrze jak Tom Lawrence? - wyszeptał Robert. Odsunęła się i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Zadziwia mnie twój brak taktu. Pocałował ją w ucho i przycisnął do siebie.



- Wybacz mi.

Uśmiechnęli się do tańczących obok Hummelów.

- Nigdy nie zasypiaj w gniewie - wymamrotał Robert. - Zapamiętam to sobie. Tak. Tak. Zaczynam wszystko od nowa. Szampan uderzył mi do głowy. Jakie to miłe uczucie. I nagle niebo ponad ramieniem Roberta rozbłysło migoczącymi gwiazdami.

- Czy tutaj świeci więcej gwiazd? Czy to możliwe, Robertcie? Czy jestem pijana?

- Może i jesteś. Ale niebo może sprawiać takie wrażenie, bo nie jest zanieczyszczone. Poza tym tutaj widać inne gwiazdozbiory. Jesteśmy w pobliżu równika.

- Tak wiele wiesz - wyszeptała.

Spojrzała na innych tańczących obok mężczyzn. Żaden z nich nie mógł się równać z Robertem. Takim dystyngowanym, podziwianym, pełnym wiedzy, o takich cudownych oczach spoglądających na nią.

„Muszę się w tobie zakochać”. Ich ciała poruszały się w takt tej tęsknej melodii. Przytulali się do siebie coraz bliżej i bliżej. Wreszcie stopili się w jedno poruszające się w tym samym rytmie ciało.

- Muszę się w tobie zakochać - zanucił jej do ucha.

Lynn pomyślała: byłam taka wściekła, że życzyłam mu śmierci. Och, Boże, Boże! Ze łzami w oczach przyłgnęła do jego ust i całowała go długo, długo...

- Och, mój drogi, najdroższy.

- Chodźmy stąd - wyszeptał. - Życzymy im dobrej nocy i chodźmy stąd. Szybko. Nie mogę czekać.

Gdy byli w pokoju, zatrzasnął drzwi krzyząc:

- Szybko! Szybko!

- Śpieszę się. Nie drzyj mi sukni!

- Kupię ci nową.

Chwytał ją na ręce i położył na chłodnym, szerokim łóżku. Za oknem poruszały się palmy. Od morza wiał wiatr.

Pływali i łowili ryby, grali w tenisa, spacerowali wzdłuż plaży i wylegiwali się w cieniu. Inni jeździli do sklepów wolnocłowych w porcie i kupowali trunki i perfumy, ale Lynn i Robert nie ruszali się dalej, niż można było popłynąć żaglówką. Po wyjeździe Hummelów spędzali czas wyłącznie we dwoje.

Rano, gdy zaczynały kumkać zielone żabki drzewne, kochali się jeszcze raz.

- Żadnej pracy, zakupów, telefonów, zegarów ani dzieci! - szeptał.

Żyli w cudownym, leniwym luksusie. Czuli się jak nowo narodzeni i nowo poślubieni. Robert miał rację. Tego właśnie potrzebowali.

CZEŚĆ TRZECIA  
Lato 1988 - Wiosna 1989

### Rozdział 3

Po powrocie do domu nie zastali nikogo oprócz Juliet, która polizała ich na powitanie i wywróciła się do góry brzuchem, żeby ją podrapać.

- Dlaczego nikogo nie ma? - dziwiła się Lynn. - Może zostawili jakąś wiadomość na tablicy w kuchni?

Otworzyła drzwi do kuchni i stanęła kompletnie zaskoczona. A potem wydusiła z siebie:

- O, mój Boże! Coś ty zrobił? Robert wszedł za nią uradowany.

- Podoba ci się? Podoba?

- Jak to wszystko zorganizowałeś?

- Bardzo prosto. Słono zapłaciłem, żeby załatwili wszystko w ciągu dziesięciu dni naszej nieobecności.

W kuchni wszystko było nowe. Piec kuchenny wielkości restauracyjnego. Ogromna lodówka z zamrażarką, urządzenie do prasowania śmieci i stanowisko centralne, nad którym powieszono najlepsze nowe garnki z Europy. Dookoła stały oszklone szafki, profesjonalnie rozmieszczone; na półkach zgromadzono zestaw książek kucharskich w kolorowych obwolutach, a na nowych, szerokich parapetach kwitły fiołki afrykańskie w odcieniu lawendy.

- Myślałam, że zemdleję - powiedziała Lynn.

- Nie rób tego. Masz tutaj przyrządzać doskonałe posiłki, a nie mdleć.

- To ideał. Coś wspaniałego! Jesteś prawdziwym czarodziejem. Świętym Mikołajem. Aniołem.

- Utalentowany pracownik zasługuje na dobrze wyposażone stanowisko pracy. Zrozumiałem, ile to dla ciebie znaczy. Więc skoro lubisz sobie coś wypiekać lub przyrządzać, skoro ma cię to uszczęśliwić, dlaczego nie miałbym ci zorganizować odpowiedniego miejsca. A jeśli nie, to po prostu masz ładnie urządzoną kuchnię. To wszystko.

- To najcudowniejszy prezent, jaki mogłeś mi ofiarować.

Tuliła się do Roberta, gdy otworzyły się drzwi frontowe i córeczki, Josie, Bruce i Harris zawołali chórem: „Witajcie w domu!” i weszli do kuchni obładowani torbami.

- Gotowe chińskie dania - oświadczyła Emily. - Nie oczekujemy, abys już dziś gotowała obiad.

- Przychodziłam tu codziennie, aby podziwiać, jak ten cud się urzeczywistnia - powiedziała Josie.

- Dziewczynki, mam nadzieję, że nie sprawiałyście kłopotu wujkowi Bruce'owi i cioci Josie? - spytał Robert.

- Doskonale spędzaliśmy czas - zapewnił go Bruce. - Jadaliśmy na mieście albo u nas w domu, a ostatniej niedzieli Harris zabrał nas do lasu i przygotował zupę na gwoździu. Rozpalił ogień bez zapalek.

- Nie używając zapalek? - zdziwiła się Lynn, zwracając się do Harrisa.

- Cóż, byłem skautem. Trzeba umieć przeżyć w pustyni i w puszczy.

- Pustynia i puszcza w Connecticut? - zdziwił się Robert.

- Wszystko jedno, czy znajdujesz się na łonie natury tutaj czy w Timbuktu - wtrąciła się Josie.

- W Timbuktu nie ma ani pustyni, ani puszczy - roześmiał się Bruce.

- Harris - powiedziała Emily - opowiedz im o tym. No, wiesz. O szkole.

- Nie. To twoi rodzice. Ty im powiedz - spokojnie odrzekł Harris.

- Obydwoje dostaliśmy celujące oceny na końcowym egzaminie z chemii. Tylko my dwoje w całej klasie.

- Ty dostałaś celujący, a ja celujący z minusem - sprostował Harris. Robert położył dłoń na ramieniu córki.

- Jestem z ciebie bardzo dumny, Emily. Bruce zwrócił się do Harrisa stojącego z boku.

- Niedługo musisz wybrać uczelnię. Masz już coś na widoku?

- Pójdę tam, gdzie dadzą mi stypendium - odpowiedział poważnie chłopiec.

- A to teraz nie jest wcale łatwe.

- Cóż, wkrótce letnie wakacje. Na razie porzuć te rozmyślenia. Wrócisz do nich we wrześniu - powiedziała radośnie Lynn. - I wiecie, co zrobimy? W najbliższą niedzielę wypróbuję tę kuchnię. Przygotuję wspaniałą kolację. Zapraszam was wszystkich. Annie, przyrowadź jakąś przyjaciółkę, a ty, Bruce, swego kuzyna, jeżeli przyjedzie do miasta. Zjemy na tarasie.

- Cały tydzień padało. - Nachmurzyła się Annie.

- Cóż, tym lepiej. To znaczy, że teraz czeka nas długotrwała słoneczna pogoda - pocieszyła ją Lynn.

Słoneczna pogoda, długotrwała słoneczna pogoda, i to w każdej dziedzinie, pomyślała.

Tak jak przewidziała, dzień był piękny. Słoneczny i niezbyt gorący. Pracowała w kuchni przez całą sobotę i niedzielny ranek. Przygotowała wspaniały letni bankiet. „Uczta bogów” - jak to określił Robert.

Na okrągłym kuchennym stole czekały: potrawka z homara w ziołach, krucha zielona papryka faszerowana pomidorami i owczym serem, gorące pieczywo francuskie, surówka na liściach sałaty, ciasto gruszkowe z brzoskwiowymi konfiturami i tort czekoladowy udekorowany malinami i bitą śmietaną. W dwóch starych kryształowych karafkach stało białe i czerwone wino, dla Annie i jej przyjaciółki naczynie z ponczem imbirowym, w którym pływało kilka kulek lodów waniliowych.

- Jeśli pani pozwoli, z przyjemnością przygotuję kilka hamburgerów dla dziewczynek - zaproponował Harris.

Lynn spojrzała na niego i roześmiała się.

- Jesteś zbyt uprzejmy, żeby mi po prostu powiedzieć, że dzieci nie lubią potrawki z homara. To prawda. Nie pomyślałam o tym.

Harris też się roześmiał. Jaki to miły chłopak, pomyślała, podając mu tacę z surowymi hamburgerami.

Bruce przyprowadził kuzyna, który przyjechał ze Środkowego Zachodu. Był to spokojny mężczyzna, tak jak Bruce. Prowadził zajęcia z wychowania fizycznego w liceum w Kansas City. Harris i Emily natychmiast zaczęli z nim rozmawiać o sporcie i zajęciach z pierwszej pomocy. Annie i jej przyjaciółka chichotały, opowiadając sobie kawały. Lynn cieszyła się, że Annie ma przyjaciółkę.

Kuzyn Bruce'a podziwiał widoki.

- Ach, jakież to piękne miejsce! - oświadczył Robertowi, który siedział naprzeciw.

- Trzeba tu jeszcze mnóstwa pracy. Myślę o ogrodzeniu ze słupków. I, oczywiście, musimy mieć basen. Nie chcę takiego zwykłego, kwadratowego, lecz coś naturalnego, co by współgrało z leśnym otoczeniem. To duże przedsięwzięcie.

- Mnie całkowicie wystarcza basen w klubie - mitygowała go Lynn.

- Moją żonę łatwo zadowolić.  
- Stale to powtarzasz - rzuciła Josie.  
- Bo taka jest prawda - odparł Robert.  
- Basen w klubie jest bardzo dobry - upierała się Lynn, zdając sobie sprawę, że nauczycielowi o niewielkich dochodach może być przykro. - Zwłaszcza że uczestnictwo opłaca ci firma. W przeciwnym razie nie korzystałabym z niego - dodała pewna, że nie stać go ani na prywatny basen, ani opłacenie członkostwa w klubie.  
- Odnieśmy to wszystko do kuchni - zaproponował Bruce. - Po takim obżarstwie przyda się trochę ruchu.  
Robert przeciągnął się.  
- A potem może trochę badmintonu lub krokieta. Właśnie przygotowałem trawnik. Pozostawiam wam wybór.  
Gdy uprzątnięto ze stołu, Lynn usiadła, aby odpocząć.  
- Wiesz, co jest najlepsze w wakacjach, Josie? Że pozostają z tobą na zawsze. Jestem tutaj, szczęśliwa, w domu, a jednak jakaś częśćka mnie pozostała tam, na wyspie. Ciągle jeszcze czuję to świeże, wilgotne powietrze.  
- Cieszę się - powiedziała Josie.  
- Nie jestem w stanie wyrazić swojej wdzięczności za opiekę nad dziewczynkami.  
- Daj spokój. Kochamy je, a one były wspaniałe. Juliet domagała się od Josie skrawków hamburgera.  
- Tak, tak, dobry pies - powiedziała Josie w roztargnieniu i pogłaskała ją po szorstkiej szyi. - Dobry pies - powtórzyła. A potem podniosła dłoń i powiedziała to, co Lynn spodziewała się usłyszeć.  
- A więc spotkałaś się z moim znajomym? Masz wyznaczoną wizytę?  
- Nie pójdę do niego więcej. Muszę tam zadzwonić.  
- Wydaje mi się, że nie powinnaś rezygnować.  
- Wszystko się zmieniło, Josie. Wyjechaliśmy daleko we dwoje. Patrzę teraz z innej perspektywy. Robert ma rację. Kiedy przeprowadziliśmy się, trzeba było przystosować się do nowej sytuacji. Najtrudniej przyszło to dziewczynkom. Brak stabilizacji źle wpływa na nerwy, nawet jeśli pozornie wszystko wygląda dobrze. Szaleństwem jest traktować każde nieporozumienie tak, jakby to był koniec świata. Ten ostatni tydzień w domu był wspaniały. Robert stał się miły nawet dla Harrisa. Przekonałam go, że nie ma się czym

niepokoić, że to po prostu dzieci przeżywające swoją pierwszą miłość. I w końcu przyznał mi rację, że Harris to chłopak w porządku. Zainteresował też dziewczynki zbiórką na szpital i zaczęły sprzedawać bilety na imprezę dobroczynną. Do was też pewnie się zwróca.

- Miło mi to wszystko słyszeć. Ale nadal uważam, że powinnaś tam pójść.

- Nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć. Czułam się jak wariatka - powiedziała Lynn stanowczo. - Nie. Odwołam wizytę. Prawdę mówiąc, zupełnie o tym zapomniałam. Dopiero ty mi przypomniałaś.

Temat został wyczerpany. Lynn żałowała, że owego nieszczęsnego dnia pobiegła do Josie na skargę. Jest przecież dorosła i, na litość boską, powinna sobie sama radzić z własnymi kłopotami. Teraz już sobie poradziła.

W czerwcu Lynn miała mnóstwo roboty. Odbywały się różne uroczystości. Trzeba było urządzić urodzinowe przyjęcie dla Annie - nowa różowa sukienka, dekoracje, lody. A potem odbyło się kilka ślubów przyjaciół. Lynn czuła się doskonale.

Pewnej gorącej soboty Robert pojechał do miasta, aby popracować. Lynn umówiła się z nim po południu na basenie. Przyszła wcześniej i znalazła sobie ocienione miejsce. Zadowolona, że ma wolne, bo Emily i Annie poszły na dodatkowe zajęcia, zabrała się do lektury. Na widok zbliżającego się do niej mężczyzny ze składanym krzesłem w ręku odczuła niezadowolenie. Wzrosło jeszcze, gdy okazało się, że to Tom Lawrence.

Lawrence był ubrany do gry w golfa i miał na głowie słomkowy kapelusz. Ukłonił się i uchylił kapelusza. Sprawiał wrażenie równie zakłopotanego jak ona.

- W taki upał nie można wytrzymać na słońcu - poskarżył się. - Muszę trochę ochłonać w cieniu. Czy mogę się przysiąść?

- Proszę.

Usiadł, a Lynn natychmiast powróciła do książki, chcąc go zniechęcić do dalszej rozmowy. Milczał przez kilka minut, a potem odezwał się:

- Prawdę powiedziawszy, to miałem już wyjść, ale zauważyłem ciebie. Chcę z tobą porozmawiać. Jestem ci winny przeprosiny.



Podniosła oczy znad książki i spojrzała na niego. Nagle przyszło jej do głowy, że dziś, w przeciwieństwie do poprzedniego ich spotkania, może mu się śmiało pokazać. Czerwony kostium kąpielowy odniósł już sukces na Karaibach.

- Za co? - zapytała.

- Należy mi się nagana za to, że zatrzymałem cię tak długo owej nocy i rozgniewałem twego męża.

- On wcale nie był rozgniewany.

- Och, daj spokój! - powiedział łagodnie. - Był wściekły. Wszyscy to zauważyli!

- Nie wiem, co widzieli wszyscy - odrzekła zimno. - A poza tym to nie ich sprawa. - Ze wstydem stwierdziła, że do oczu napływają jej łzy jak zawsze, gdy ulegała silnym emocjom. Przekląte łzy. Zamrugła, żeby ich nie zauważył.

- Szkoda, że jesteś nieszczęśliwa.

- Jak możesz mówić do mnie w ten sposób? Co o mnie wiesz? Nie jestem nieszczęśliwa. Nie jestem.

- Kiedy widziałem cię owego ranka, wyglądałaś na zmaltretowaną. I wiem coś o tobie. Wiem, że twój mąż ma ciężką rękę, i to nie tylko w przenośni.

Przestraszyła się. Była wytrącona z równowagi. Miała zamiar powiedzieć coś w rodzaju: „Jak śmiesz?”, a potem odejść w skrajnym oburzeniu. Ale to, oczywiście, byłoby śmieszne. Dookoła siedzieli ludzie, którzy zauważyliby jej dziwne zachowanie. Powiedziała tylko tyle:

- W całym swoim życiu nie widziałam jeszcze nikogo równie dziwnego. Robisz z siebie wariata. Sam nie wiesz, co mówisz.

- Owszem, wiem dobrze. Zajmowałem się rozwodami zawodowo i pewne symptomy rozpoznaję bezbłędnie.

Serce zaczęło jej walić. Zebrała się w sobie i powiedziała wyniośle:

- Tak się składa, że mój mąż jest szanowanym obywatelem. Pomaga innym i cieszy się dobrą sławą. Jest wyższym urzędnikiem w GAA, jednej z największych spółek na świecie. Być może - dodała sarkastycznie - słyszałeś o niej?

- Od lat mam tam swoje udziały. A jej prezes, Pete Monacco, jest moim przyjacielem. Ożenił się z moją kuzynką.

- Cóż, tym lepiej dla ciebie. Mając takie powiązania, powinienes wiedzieć, ile Robert robi dla innych. Szpital, AIDS, nowa biblioteka miejska... - bełkotała w podnieceniu. - Wstydz się!

Lawrence pozostał niewzruszony.

- Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Można być wybitnym obywatelem i źle traktować żonę.

Jego głos i twarz były spokojne. Siedział sobie swobodnie i obracał w rękach słomkowy kapelusz. Równie dobrze mógłby rozprawiać o pogodzie. Lecz jego słowa były brutalne i twarde.

- Nie rozumiesz. Nie wiesz, jaki dobry jest dla nas, jak całkowicie oddany rodzinie. Nie rozumiesz.

Tom potrząsnął głową. Jego upór sprawił, że w Lynn zawrzał gniew.

- Co się ze mną dzieje? Oszalałam czy co? Dlaczego w ogóle rozmawiam z obcym o moich sprawach? I pozwalam, żebyś mówił mi podobne rzeczy?! Obydwoje się poniżamy. I powiem ci więcej: jeśli dożyjesz, zaprosimy cię na naszą pięćdziesiątą rocznicę ślubu.

Wstał.

- Podziwiam twoją obronę, Lynn. Znam takie kobiety jak ty. Masz swoją romantyczną wizję małżeństwa. „Dopóki śmierć nas nie rozłączy”, żeby nie wiem co. I złe jest właśnie owo „żeby nie wiem co”. Poza tym nie mam nic przeciw pięćdziesiątym rocznicom, zapewniam cię.

Wstała i podeszła do basenu. Umilknie dopiero wtedy, gdy zanurkuje, pomyślała.

- Romantyczna wizja wiecznej miłości. Oto, co cię trzyma przy życiu.

- Tak - rzuciła mu przez ramię. - Tak. Właśnie w to wierzę. I to mnie trzyma przy życiu.

- Uważaj, żebyś przez to nie straciła życia, Lynn.

To były ostatnie słowa, które usłyszała, zanim skoczyła do wody.

- Coś cię gnębi - powiedział wkrótce potem Robert.

- Ten upał jest nie do wytrzymania.

- Zdawało mi się, że widziałem, jak Tom Lawrence wychodzi z klubu.

- Tak, był tutaj.

- Rozmawiałaś z nim?

- Zamieniłam parę słów. Niewiele więcej ponad dzień dobry i do widzenia. Później, po kolacji Robert oznajmił:

- W poniedziałek przylatuje do nas prezes spółki. To jest ktoś. Wiele może. Zaszedł tak wysoko. A jednak dziwne, jak czasy się zmieniają. - Zamyślił się. - Jedno pokolenie wstecz, a człowiek z włoskim nazwiskiem nigdy nie zostałby szefem takiej spółki jak nasza.

- A co to złego mieć włoskie nazwisko?

- Po prostu dawniej takie rzeczy się nie zdarzały, to wszystko. A teraz zdarzają się na każdym kroku.

Dlaczego odezwała się właśnie tak, nie umiałaaby wyjaśnić:

- Tom Lawrence jest z nim skoligacony.

- Skąd wiesz?

- Powiedział mi dzisiaj.

- Wobec tego musiałaś odbyć z nim dłuższą pogawędkę.

- Wcale nie. Powiedziałam ci już, że zamieniliśmy zaledwie kilka słów. I wspomniał o panu Monaco.

Robert wyglądał na rozbawionego.

- Nie mam ci za złe, Lynn, że z nim rozmawiałaś. A więc powiedział, że jest krewnym Monaco? Dziwne. Zdawało mi się, że pochodzi ze starej amerykańskiej rodziny.

- Jego kuzynka jest żoną Monaco.

- Och! - Robert zamyślił się. - Chciałbym mieć takie powiązania. Bliższe czy dalsze. W interesach liczą się kontakty, związki. Mam głowę pełną pomysłów, ale jak z nimi trafić do odpowiednich uszu. Tyle tam różnych wydziałów... - Zmarszczył czoło i zamilkł. - Źle się stało. Zachowałbym się inaczej, gdybym wiedział, że Lawrence... Ale naprawię to. Na pewno spotkam go jeszcze w klubie.

Lynn była przerażona.

- Chyba nie poprosisz go, żeby cię przedstawił panu Monaco, prawda?

- Nie, nie, nie. Nie tędy droga. Poznajesz kogoś, zapraszasz go na kolację, rozmawiasz, a po chwili... po chwili, nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Co może się zdarzyć, powtórzyła w myśli. To zbyt okropne, żeby się nad tym zastanawiać. A jednak nie mogła przestać o tym myśleć. Niesłychany tupet tego człowieka! Kimże był, żeby odgrywać

detektywa psychologa i wtrącać się do intymnego życia obcych ludzi? Bała się chwili, kiedy znów go spotka.

Przez najbliższy tydzień nie opuszczał jej niepokój. Budziła się w środku nocy i na nowo przeżywała scenę, która rozegrała się obok basenu. Czuła się tak, jakby była chora. Bolał ją brzuch. Pewnego ranka musiała wybiec z kuchni pełnej zapachów kawy i smażonego bekonu.

- Nie mogę znieść zapachu jedzenia - poskarżyła się po powrocie. - Na sam jego widok robi mi się niedobrze.

- To zupełnie do ciebie niepodobne. - Robert przyjrzał się jej z namysłem. - Chyba nie myślisz, że...

Spojrzała na niego.

- O, nie. Co też ty mówisz?

- Tam, na wyspach, mieliśmy parę bardzo udanych razy. Nie, to niemożliwe. Wszak Emily ma już siedemnaście lat!

- To okropne! A jeżeli się okaże, będziesz zły?

- Czy wyglądam na niezadowolonego? - zachichotał.

- Może rzeczywiście okres trochę mi się spóźnia - przyznała. - Ale ponieważ często mi się to zdarza, nie przejmowałam się.

- Nie bądź taka wystraszona. Zawsze chcieliśmy mieć trójkę. I mielibyśmy, gdybyśmy nie stracili Caroline. - Robert pocałował ją w policzek. - Może to fałszywy alarm, ale pójdz jutro do lekarza. Albo dziś po południu, jeśli możesz.

Poszła do lekarza i otrzymała odpowiedź potwierdzającą. Wróciła do domu głęboko wstrząśnięta. Jak Annie przyjmie tę wiadomość? I słyszała, że dla dziewcząt w wieku Emily ciąża matki może być bardzo kłopotliwa.

Robert przytulił ją mocno.

- Kochanie, jestem zachwycony. - Chodził po sypialni. Śmiał się. - Może to będzie chłopiec? Z dziewczynki także będę się cieszył, ale przyjemnie byłoby mieć, dla odmiany, syna. To doskonała wiadomość, Lynn. Będziesz musiała zrezygnować ze swych kulinarnych ambicji, ale chyba warto. I nie martw się o dziewczynki. Annie będzie miała żywą lalkę, a Emily to już kobieta. Pomoże ci, zobaczysz. Chodźmy na dół, żeby im powiedzieć.

- Och! Zaczekaj. To jeszcze zbyt wcześnie.

- Na co czekać? Chodźmy - upierał się. Jego zachwyty okazały się zaraźliwe.

- Cóż, Annie, chciałaś, żeby Juliet miała szczenięta, a tymczasem co będziesz miała? - Podniósł dziewczynkę z podłogi i przytulił. - Mamy dość miejsca dla jeszcze jednego dziecka, prawda, córeczki? Zawsze znajdzie się miejsce i dużo miłości.

- Niech no tylko powiem w szkole - powiedziała Annie. - Założę się, że jako jedyna w klasie będę miała dzidziusia w rodzinie.

- Ono urodzi się dopiero pod koniec lutego. Powiem ci, kiedy będziesz mogła się pochwalić. A ty, Emily, na pewno nie czujesz się „śmieszna”?

Wzruszyła się, bo Emily nieświadomie powtórzyła słowa Roberta o Caroline, małej siostrzyczce, którą ledwie pamiętała.

- Gdyby Caroline nie umarła, byłoby nas troje.

Biała trumienka, przyprawiający o zawrót głowy zapach białych róż, tak mocny, że omal nie zemdląca, szeptane słowa pociechy i podtrzymujące ramiona.

Teraz także mąż i dzieci skupiali się wokół niej, aby dodać jej otuchy. Nagle poczuła jednoczącą ich siłę. Na otaczających ją twarzach dostrzegła wyraz ciekawości, szacunku i czułości. I pomyślała, że może zrekompensować Robertowi, przynajmniej częściowo, utratę córeczki.

- Pojedźmy powiedzieć Bruce'owi i Josie - odezwała się nagle.

- Nie, nie. To się nadaje do rozmowy między kobietami. Jedź sama i opowiedz Josie, bo widać, że nie możesz wytrzymać. Tylko nie siedź tam zbyt długo.

Bruce był na podwórku zajęty wykańczaniem antycznej komody.

- Piękna - powiedziała Lynn.

- Miałem rację. To drewno klonowe. - Zsunął okulary na czoło i przyjrzał się jej z zaciekawieniem. - Josie nie spodziewa się ciebie, prawda? Została w biurze na jakimś zebraniu.

- Nie. Przejeżdżałam obok, więc wpadłam. Nic ważnego. Piękny mebel - powtórzyła. - Co masz zamiar z nim zrobić?

- Sam nie wiem. Może zatrzymam i podaruję Emily, gdy będzie wychodzić za mąż. Ona lubi stare rzeczy. Dotknij tego drewna. - Poprowadził jej rękę po powierzchni komody. - Pracowałem nad tym dwa miesiące. Jak aksamit, prawda?

Uśmiechnęła się.

- Jak aksamit.

Był taki spokojny, zrelaksowany. Zastanawiała się, jak to jest żyć z mężczyzną, który porusza się i mówi bez pośpiechu. Nigdy się nie spieszył. Pomyślała, że musi być pełnym delikatności kochankiem.

- Wyglądasz na bardzo czymś przejętą - powiedział, nacierając mebel woskiem.

- Bo jestem. Trochę.

- Mam nadzieję, że to nic złego.

- Wprost przeciwnie. - Na jej twarzy pojawił się uśmiech, ale go szybko powstrzymała, myśląc: to okropnie samolubne przychodzić tu z taką nowiną, podczas gdy oni... przynajmniej Bruce tak bardzo chciałby mieć dzieci.

Dostrzegł jej uśmiech i zapytał:

- O co chodzi? Powiedz.

- Będę miała... jestem w ciąży.

Szerokie usta otworzyły się i zamknęły. Odłożył szmatę. A ponieważ z jego twarzy ciągle nic nie mogła odczytać, Lynn poczuła zdziwienie i przykrość.

- Nic nie powiesz? Odebrało ci mowę?

- Cóż, jestem trochę zaskoczony.

Oczywiście, musi pamiętać ów dzień, gdy przyszłam tu z zapuchniętymi od płaczu oczami i historyjką o kłopotach domowych. Ale to już przeszłość. To dziecko jest świadectwem porozumienia, nowego życia. I powiedziała pogodnie, niemal lekko:

- A co? Może jestem za stara?

- Nie o to mi chodziło.

- Ach, o tamto! To stare dzieje. Mamy to już poza sobą, Bruce, teraz wszystko jest w porządku.

- Ja i Josie chcielibyśmy tylko, żebyś była szczęśliwa, Lynn.

- Jestem szczęśliwa.

- Więc przyjmij moje gratulacje. - Uściskał ją. - Powiem Josie, gdy tylko przyjdzie do domu.

Gdy wracała do samochodu, Bruce patrzył na nią. Odjeżdżając usłyszała, że woła za nią:

- Niech cię Bóg błogosławi.

Nadszedł czas rozkwitu. Mdłości minęły równie nagle, jak się zaczęły. Czowała się silna, zdrowa i pełna życia. Ponieważ ciąża była nieoczekiwana, a ona nieco starsza - to nowe życie wydawało jej się jeszcze cudowniejsze niż przy poprzednich ciążach. Gdy po badaniu

lekarz spytał, czy chce wiedzieć, jaka jest płeć dziecka, odpowiedziała, że nie. Chciała jeszcze raz zaznać radości oczekiwania.

Robert powiedział, że jest „egzaltowana”. Podeszedł do niej, gdy słuchała muzyki, a ona roześmiała się głośno, dając upust swoim radosnym uczuciom.

- To tylko hormony - wyjaśniła.

Często śpiewała pracując w ogrodzie i w swojej pięknej, nowej kuchni. Czasem przypominała sobie tę chwilę niemal mistycznego odczucia na szczycie wzgórza, gdy spoglądała na spokojne morze i niebo.

Aby uczcić rocznicę ślubu Bruce'a i Josie, Robert zaprosił ich do klubu na kolację z dansingiem. Pomysł ten bardzo zaskoczył Lynn, ponieważ zwykle ona zajmowała się organizacją spotkań towarzyskich.

- Cóż - tłumaczył jej Robert - byli tacy dobrzy dla dziewczynek, kiedy wyjechaliśmy. Trzeba im się jakoś odwdziżyć. Nie lubię być niewypłacalny. Włóż jeszcze raz tę białą suknię - powiedział. - Może to właśnie ona zachęciła mnie do poczęcia Roberta juniora.

- Bardzo chciałbyś, żeby to był Robert junior, prawda?

- Albo Roberta, Susie czy Mary. Włóż także bransoletkę, dobrze?

- Oczywiście.

- Po raz pierwszy zapięła ją bez niemiłego wspomnienia. Bo w końcu to głupie, by zadrećcać się takimi wspomnieniami. Chicago to daleka przeszłość. Jej serce należało do Roberta.

Ilekcroć wchodziła do klubu, zawsze obawiała się, że spotka tam Toma Lawrence'a. Na samą myśl o tym rumieniła się. Miała przeczucie, że właśnie dziś wieczór też tam będzie.

I tak się stało. Właśnie zasiedli do stołu, gdy zobaczyła go w drzwiach. Był sam i wahał się, jakby kogoś szukał wzrokiem. Mogła tylko mieć nadzieję, że Robert go nie zauważy. Lecz Robert był zbyt czujny, by cokolwiek przegapić.

- Stałem w drzwiach z nadzieją, że wypatrzę kogoś znajomego - wyjaśnił Tom, gdy Robert przywołał go do stolika. - Kobieta, z którą byłem umówiony, musiała wyjechać z miasta, jakaś choroba w rodzinie, więc pomyślałem, że przyjdę sam. Jak się macie?

Jego jasne oczy prześliznęły się po twarzy Lynn, która robiła, co w jej mocy, aby wyglądać obojętnie, i spoczęły na Brusie, który odpowiedział:

- Odpowiem za Josie i za siebie. To nasza rocznica ślubu i czujemy się absolutnie wspaniale, dziękujemy.

- Gratulacje. Która rocznica?

- Dwudziesta.

- To wspaniałe. Miło coś takiego usłyszeć.

Ciekawe, zastanawiała się Lynn, czy pamięta moje zaproszenie na naszą pięćdziesiątą rocznicę.

- Czy zechciałby się pan do nas dosiąść? - zapytał Robert. - Jest pan starym przyjacielem Bruce'a czy, może raczej, starym towarzyszem joggingu.

- Tak, weź sobie krzesło - powiedział Bruce.

Cały wieczór popsuty od razu, na początku. Jeśli nie utkwi oczu w talerzu, będzie musiała patrzeć wprost na Toma, który siedział naprzeciw niej. Była na niego wściekła za to, że się zgodził; dobrze wiedział, ile ją to kosztuje.

Mężczyźni rozmawiali, a kobiety ograniczyły się do słuchania. Najpierw dyskutowali o stanie gospodarki; potem, prawie niepostrzeżenie, Robert skierował rozmowę na tematy bardziej osobiste.

- Słyszałem, że jest pan spokrewniony z naszym szefem, Bruce'a i moim.

- Tak, jesteśmy starymi przyjaciółmi - potwierdził Lawrence. - Odkąd przebywa w San Francisco, nie widuję go już tak często, chyba że zdarzy mi się polecieć tam lub gdy zaproszą mnie do swojej posiadłości w Maine. Zwykle bywam u nich pod koniec roku. Lubię tam jeździć, kiedy liście nabierają jesiennych barw. W Kalifornii nie ma takiej pory roku.

- Podziwiam takich ludzi jak Monacco - mówił Robert. - Wspiął się na sam szczyt dzięki własnej pracy. Tacy współcześni bohaterowie zachwycają mnie, oni tworzą stanowiska pracy, wzmacniają kraj i dzięki nim ludziom żyje się lepiej. To bohaterzy - powtórzył.

Nikt nie zaprzeczył, więc Robert ciągnął dalej.

- Słyszałem jego przemówienie w Nowym Jorku wiele lat temu i byłem pod wrażeniem. Mówił o tym, co interesuje nas wszystkich, o przyszłości krajów Wspólnoty Europejskiej, a zwłaszcza o nowych



republikach Europy Wschodniej. Ja także mam na ten temat wiele pomysłów. Szybkość zmian, jakie tam zachodzą, jest zdumiewająca. Któż to mógł przewidzieć?

Lawrence odpowiedział, że nikt, a w każdym razie nie tak szybki rozwój.

- Rozbudowa spółki, rozreklamowanie jej wcale nie będzie łatwe, jak się niektórym wydaje. To wielki zacofany obszar ze słabo rozwiniętą komunikacją. I bardzo zróżnicowany. Czechosłowacja jest inna niż Węgry, a obydwie te kraje różnią się od Rumunii. Ale to fascynujące. To jakby czytać książkę do historii. Na naszych oczach odbywa się rozwój. Fascynujące.

Lawrence zgodził się z tym.

Lynn zastanawiała się, co Tom sobie myśli słuchając Roberta. A Robert ciągnął dalej:

- Ja także mam kilka pomysłów. Po pierwsze uczę się węgierskiego, a to nie najłatwiejszy język.

- Jak pan znajduje na to czas? - zapytał Lawrence.

- Muszę go jakoś wygospodarować. Zwykle w sobotnie ranki.

- Wtedy gdy ja biegam z pańskim kolegą. - Lawrence skłonił się w kierunku Bruce'a. - My wzmacniamy nasze mięśnie, a pan rozwija umysł. - Roześmiał się.

Bruce wystąpił w obronie Roberta.

- On także dba o ciało. Ma czas na wszystko. Jest z tego znany w firmie. Tom powiedział:

- Ty także cieszysz się tam dobrą sławą, Bruce. Monacco zdaje sobie z tego sprawę. Wspominałem mu, że biegamy razem, a on powiedział, że cię zna, i to z dobrej strony.

- Dziękuję. Lubię moją pracę, ale w weekendy chcę o niej zapomnieć, posiedzieć w domu albo pojechać na wieś w poszukiwaniu starych mebli. A potem spędzam niedzielę na ich odnawianiu. Może powinienem być zostać stolarzem? Kto wie, może zajmę się tym na emeryturze.

- Żartujesz - powiedział Robert. Po raz pierwszy odezwała się Josie:

- To zupełnie możliwe. Myślę, że ciągle jeszcze nie znasz Bruce'a.

- Cóż, może rzeczywiście go nie znam - powiedział Robert i zwrócił się do Bruce'a: - Rzuciłbyś pracę w jednej z największych firm na świecie po to, żeby zostać stolarzem?

- Chyba nie - odparł łagodnie Bruce. - Ot, po prostu przyszło mi to do głowy. Ale gdy się pracuje rękami, od razu widzi się skutki tej pracy. Lubię dotykać starego drewna. Czuć, jak pod palcami nabiera życia.

Lynn pomyślała jak zwykle: Taki radosny, nigdy się nie śpieszy, i zawsze robi swoje.

- Nigdy nie byłem specjalnie ambitny - powiedział Bruce tak, jakby głośno myślał. - Po prostu posuwam się krok za krokiem.

- Jak na kogoś, kto nie jest specjalnie ambitny, zaszedłeś dość daleko - zauważyła Josie tonem czulej i łagodnej nagany.

Bruce ujął jej rękę i siedzieli tak złączeni, zadowoleni wzajemnie z siebie. Lynn wiedziała, że Bruce potrzebuje obecności Josie. Od operacji minęły już cztery lata; mówią, że gdy przeżyje się piąty, nic już nie grozi.

Zabrzmiała muzyka. Bruce podniósł się.

- Przepraszam. To nie jest walc rocznicowy, ale dla nas akurat. Tom popatrzył, gdy szli na parkiet.

- Lubię ich - powiedział z prostotą. Robert skinął głową.

- Sól ziemi.

- Idźcie potańczyć. Nie krępujcie się mną. - Po raz pierwszy Tom zwrócił się do Lynn. - Zawsze brakuje mi partnerki, prawda?

Zmuszona do odpowiedzi, uśmiechnęła się słabo. Wtedy Robert powiedział szybko:

- Proszę zatańczyć z Lynn. Muszę porozmawiać o torcie, który zamówiłem, i sprawdzić, co z szampanem.

- Jest pan pewien? - zapytał Tom.

Pyta Roberta, jakbym była przedmiotem, który można wypożyczyć! Poczowała gwałtowne oburzenie.

- Ależ tak. Idźcie śmiało.

Już po chwili tańczyła otoczona ramieniem Toma.

- Po co to robisz? - zapytała. - To nieuczciwe.

- Dlaczego? Chcę cię tylko przeprosić, to wszystko.

- Co? Znowu?

- Tak. Źle zachowałem się wobec ciebie. Kiedy rozstaliśmy się na basenie, zdałem sobie sprawę, że powiedziałem ci mnóstwo

okropnych rzeczy. Miałem nadzieję, że cię spotkam, żeby cię przeprosić. Zraniłem cię. Wkroczyłem na teren, na który nie powinienem wstępować.

- Tak. To nie twoja sprawa.

- Jest mi bardzo, bardzo przykro.

Przyjrzała się jego twarzy, zobaczyła na niej wyraz prawdziwej troski i zakłopotania. W ciągu kilku ostatnich miesięcy ciągle mnie ktoś przeprosza, pomyślała zdziwiona. Najpierw Robert. Teraz Tom. Zastanawiała się, czy to fizyczny kontakt podczas tańca ułatwia ludziom takie rozmowy. Nikt nie odgadłby, że tych dwoje obcych sobie ludzi porusza w tańcu takie poważne tematy.

- Pracując z ludźmi wiele się nauczyłem. Nauczyłem się nic nie mówić nawet wtedy, gdy jestem przekonany, że mam rację.

- Ale teraz nie masz racji. Intuicja cię zawiodła. Spójrz na mnie. - Dumnie uniosła głowę. - Jak wyglądam?

- Bardzo ładnie, Lynn.

- A Robert traktuje mnie bardzo dobrze.

- Naprawdę?

- Będę miała dziecko.

Spojrzał na nią z uwagą. A potem muzyka ucichła i Tom wypuścił ją z objęć.

- Niech cię Bóg błogosławi, Lynn - powiedział.

To błogosławieństwo wstrząsnęło nią. Bruce też tak powiedział, gdy podzieliła się z nim nowiną. Ale te słowa pasowały do Bruce'a. Natomiast w ustach Toma Lawrence'a zabrzmiały ironicznie.

Mimo to wieczór był udany.

Bruce i Josie doczekali się tortu i toastu wzniesionego szampanem. Na zamówienie Roberta orkiestra zagrała „Walca rocznicowego”. Bruce pocałował Josie, wszyscy bili brawo. Potem wrócili do domu.

- Ten Lawrence to pochlebca.

- Czy to znaczy, że ci się nie podoba?

- Sam nie wiem.

- To niezwykle. Ty przecież od razu wiesz, co o kim myśleć.

- Może się mylę. Może nie powinienem polegać na tym pierwszym wrażeniu. Ostry jak gwóźdź. Sympatyczny i dżentelmen w każdym calu, ale zupełnie nie wiem, co o mnie myśli. Zaczynam przypuszczać, że mnie nie lubi. Ale to bzdura. Dlaczego miałyby mnie

nie lubić? Och, ten Bruce! Zrobił z siebie idiotę uwagami na temat mebli w momencie, gdy... Powinien był zauważyć, że prowadzę tę rozmowę w jakimś celu. Zebrałem informacje o firmie prawniczej Lawrence'a. Mają przedstawicielstwa w Brukseli, Londynie i Genewie. Nigdy nie wiadomo, co się może przydać. A poza tym jego powiązania z Petem Monacco to także niezła rzecz. Dobry Boże, muszę mieć oczy szeroko otwarte! To koniec Bruce'a. Wiedziałem to od razu, gdy przyszedł do biura w St. Louis. Pamiętasz, co ci wtedy powiedziałem? „Waga lekka” - powiedziałem. Miły facet, który daleko nie zajdzie. Jakoś sobie radzi, ale ugrzązł w miejscu. Nie posuwa się naprzód.

- Tom Lawrence mówił coś innego. Pamiętasz? Mówił, że Bruce cieszy się w firmie bardzo dobrą opinią.

- W porządku. Ale ja jestem tam na miejscu i chyba wiem lepiej niż Lawrence. Zazdrosny. Jest zazdrosny o Toma, bo zachowałam się tamtej nocy głupio.

I o Bruce'a, bo jest przystojnym mężczyzną. Boże! Mężczyźni są tacy dziecinni!

- Wszystko jedno - powiedziała rozbawiona - gdybym miała brata, chciałabym, żeby był taki jak Bruce.

- Proszę bardzo, żebyś tylko nie chciała męża takiego jak Bruce. Albo innego, powiedzmy, jak Tom Lawrence. Prawda, pani Ferguson?

- Prawda.

Zadzwoiła Josie. Dziękowała za rocznicowe przyjęcie.

- Było przyjemnie. Doskonale. Grali nawet nasze ulubione melodie.

- To zasługa Roberta. Wiesz, że on nigdy o niczym nie zapomina. Poplotkowały trochę, a potem Josie powiedziała:

- Tom Lawrence naprawdę jest tobą zachwycony.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Powiedział Bruce'owi.

- Och, on się zachwyca moimi zdolnościami kulinarnymi.

- Nie, tobą.

- Cóż, to bardzo miło z jego strony.

- On jest miły.

- Nie wiedziałam, że tak dobrze go znasz.

- Nie znam go tak dobrze. Wpada czasem, żeby napić się czegoś zimnego albo gorącego po spotkaniach na bieżni. Uważam, że jest interesujący. I bardzo uczciwy i honorowy.

- Skąd wiesz to wszystko, skoro go dobrze nie znasz? - spytała Lynn, chcąc wyjaśnić tę sprawę do końca.

- Po prostu wiem. To zresztą nie ma znaczenia. Chciałam powiedzieć ci o nim coś miłego.

Skończyły rozmowę i Lynn odłożyła słuchawkę. Siedziała i patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Uśmiechnęła się.

W kilka tygodni później Robert zatelefonował do niej z biura. Nigdy nie dzwonił z biura. Był bardzo przejęty.

- Czy stało się coś złego?

- Złego? Nie. - Jego głos brzmiał radośnie. - Nie zgadniesz nawet za milion lat. Zadzwoił do mnie główny szef. Z Kalifornii. Omal nie spadłem z krzesła.

- Monacco? Dzwonił do ciebie?

- We własnej osobie. Nie mam pojęcia, czego Tom naopowiadał mu na mój temat. Zdaje się, że opisał mnie jako rodzaj geniusza, fenomen. Więc Monacco powiedział, że chciałby się ze mną spotkać i porozmawiać. Zostaliśmy zaproszeni do jego domu w Maine. Jego żona zadzwoni do ciebie.

Robert zachichotał. Lynn wiedziała, że oczy błyszczą mu z podniecenia.

- Nikomu w pracy nie wspomniałem na ten temat. Przechwalać się to zła polityka. Dużo lepiej traktować takie wyróżnienie z nonszalancją.

- To znaczy, że mam nie mówić Josie?

- Och, oni i tak się dowiedzą. Będziemy znów musieli poprosić ich, żeby mieli na oku nasze dziewczynki, prawda? Ale potraktuj to swobodnie, jak drobnostkę. Nieładnie byłoby chwalić się tym przed Bruce'em, bo on nie został zaproszony. Zaczynam się denerwować. Miałem kilka dobrych pomysłów, to prawda. Mam nadzieję, że facet nie spodziewa się zbyt wiele, bo wtedy wypadnę blado. W każdym razie ty tam będziesz i oczarujesz ich. Wydaje mi się, że już oczarowałaś Lawrence'a.

- Nie bądź głupi.

Robert roześmiał się. Był w euforii.

- Nie mam na myśli niczego złego.

- Nie oczarowałam go. Tańczyłam z nim jeden raz, na twoje żądanie, o ile pamiętasz, i prawie nie rozmawialiśmy. W porządku, dobrze. Nie zajmujmy tak długo telefonu, bo być może zadzwoni pani Monacco.

Odłożyła słuchawkę z mieszanymi uczuciami. Oczywiście, dla Roberta oznaczało to bardzo wiele. Nic dziwnego, że był tak podniecony. Cieszyła się ze względu na niego. A jednak czuła się lekko poirytowana i zakłopotana.

Próbowała wykręcić się od pójścia do klubu, chociaż wiedziała, że Robert lubi tam jadać kolacje. Ale najwidoczniej Tom Lawrence również lubił tam bywać... Robert namawiał ją:

- Gdy się jest w nowym otoczeniu, tak jak my, należy się pokazywać. W przeciwnym razie ludzie zapomną o naszym istnieniu.

- Wszyscy dookoła mówią o tobie. We wszystkich komisjach. Nie mogliby o tobie zapomnieć, nawet gdyby tego chcieli - powiedziała Lynn.

- Skoro już mówimy o wdzięczności ludzkiej. Naprawdę powinniśmy porozmawiać z Tomem Lawrence'em. Zaprośmy go któregoś wieczoru na kolację. Spotkałaś kogoś, kto wyświadczyłby taką przysługę ledwie znanej osobie? Oczywiście, że zadzwoniłem do niego i podziękowałem. Wspomniałem również, że chcielibyśmy zaprosić go wkrótce.

- Dobrze, ale najpierw muszę załatwić parę spraw. Mam kłopot z zębem, a to oznacza kilka wizyt u dentysty w mieście. I chcę skończyć urządzenie dziecinnego pokoju, zanim roztyję się tak, że trudno mi będzie ruszyć się z miejsca. Ale pomyślę o tym - obiecała.

Nie chciała widzieć się z Tomem; wprawiało ją w zakłopotanie, że tak odczuwa jego obecność. Była osobą rzeczową, lubiła wszystko dobrze rozumieć, nawet to, jak działa jej własny umysł. Toteż gdy pewnego popołudnia spotkała Toma na nowojorskiej ulicy, wystraszyła się. Zrobiła zakupy i wracała właśnie na stację kolejki dojazdowej. Zatrzymała się naprzeciw małej galerii obrazów. Przyciągnął ją obraz przedstawiający pasącą się na zboczach wzgórz owcę, a także imię nad drzwiami galerii: „Querida”. Niezwykle imię. Imię pierwszej żony Roberta. Poczula niemiły dreszcz. A potem, odwracając się od wystawy, zobaczyła Toma Lawrence'a.

- Co robisz w mieście? - zapytał, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy wszystko sobie mówią.

Odpowiedziała niedbale:

- Chodzę tu do dentysty. A dzisiaj kupowałam meble do dzieciennego pokoju.

- To musi być prawdziwa przyjemność, chociaż ja nie mam w tym żadnego doświadczenia.

Znowu poczuła się oceniana.

- Wyglądasz cudownie. Mówiono mi, że niektóre kobiety rozkwitają w ciąży. Kupujesz obrazy?

- Nie, tylko oglądam. - I chcąc odwrócić uwagę od siebie, dodała:  
- Podoba mi się ta owca.

- Ona miewa ładne rzeczy. Pytałem o ceny, są przystępne, ale ona to dziwaczna ekscentryczka. Wracasz do domu? Tak? Ja też. Chodźmy razem. Idziesz piechotą czy łapiesz taksówkę?

- Gdy jestem w mieście, staram się zawsze chodzić piechotą.

- Tak, o tej porze roku jest wspaniale. Wydaje się, że wszystko budzi się do życia. A sklepy! Doskonale rozumiem, dlaczego kobiety mają bzika na punkcie sklepów.

Szli wzdłuż Madison Avenue. Mijali wystawy z tweedami, jedwabiem, srebrem, mahoniem, skórą. Wysokościowce lśniły błękitem.

- Czy nie idę zbyt szybko? - spytał Tom.

- Nie. W porządku.

Szli równym krokiem. Chodząc z Robertem zawsze musiała przyspieszać, żeby dorównać jego długim krokom, ale cóż w tym dziwnego - pomyślała - Robert jest o pół głowy wyższy od Toma.

- Nigdy nie wracam tak wczesnym pociągiem - tłumaczył Tom - ale dziś robiłem zakupy. Zwykle jestem w mieście długo. Wyjeżdżam z domu kolejką o pół do dziewiątej, więc uważam, że czasem należy mi się trochę wolnego.

- Robert wyjeżdża o pół do siódmej.

- Ciężko pracuje.

I nagle Lynn przerwała tę rozmowę o niczym i powiedziała:

- Muszę ci podziękować za to niewiarygodne zaproszenie do Maine. Wiem, że Robert już ci powiedział, ile to dla niego znaczy.

- Ach, to. To pomysł Pete'a. Mówi, że będąc w Nowym Jorku nigdy nie ma dość czasu, więc Maine jest o wiele lepsze, żeby porozmawiać.

- Nie chodzi mi akurat o Maine. Mam na myśli całą tę sprawę. - Spojrzała na Toma i zapytała wprost: - Dlaczego w ogóle robisz coś dla Roberta? Czy on - spytała nie mrugnawszy okiem - czy aby on cię o to nie prosił?

- O Boże, nie! Nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Ale i tak wiedziałem, że oczekuje czegoś ode mnie.

Zakłopotana brnęła dalej.

- Czy to było takie oczywiste?

- Nie tak bardzo. Ale domyśliłem się tego dzięki mojej sławetnej intuicji, o której już ci wspominałem - powiedział Tom żartobliwie.

- Nie, mów poważnie. Ja nie żartuję. Przecież ty nie lubisz Roberta.

- Robert jest bardzo sprytny, kompetentny i zdolny. Wiem, że polecając go, robię dobrze.

- Ale Bruce nie został zaproszony.

- Nie wspomniałem o Brusie.

- Dlaczego? Przecież bardzo go lubisz. Tak powiedziałeś. Słyszałam.

- Nie zadawaj mi tylu pytań! Zakłopotana wymamrotała:

- To bardzo szlachetne z twojej strony.

W pociągu Tom czytał gazetę, a Lynn książkę, dopóki nie wyjechali poza ciemnobrązowe czynszówki blisko centrum. Minęli centrum, przedmieścia, miasteczka z halami targowymi i parkami. Tom złożył gazetę i powiedział:

- Lynn... muszę cię jeszcze za coś przeprosić.

- Och, nie! Mam dosyć twoich przeprosin. Za co tym razem?

- Za pierwszy wieczór w moim domu. Gdyby twój mąż mógł czytać w moich myślach, czego na szczęście nie potrafi, miałby prawo być wściekły. - Tom zamilkł.

- Prawda jest taka, że miałem nadzieję, że ty i ja będziemy razem. Och, nie owej nocy

- zastrzegł się szybko - oczywiście. Ale myślałem, że może innym razem. Odwróciła twarz w stronę okna, żeby ukryć rumieniec. Oczywiście, przyjemnie było

słyszeć takie słowa po tylu latach, dowiedzieć się, że ma na nią ochotę jeszcze ktoś poza Robertem. Uważała jednak, że powinna rozgniewać się; co upoważnia tego mężczyznę, by sądzić, że ona



przyjęłaby taką propozycję? I poczuła się winna, bo wcale nie była zła. Powiedziała łagodnie:

- Ale wiesz, że jestem z Robertem.

- Pomyliłem się. Źle cię oceniłem, co zdarza mi się rzadko. Może to wina alkoholu albo wiosennej nocy. A poza tym pociąg fizyczny wcale nie musi zniszczyć małżeńskiego życia kobiety czy mężczyzny. Czy ja ciebie szokuję?

Popatrzyła na niego i zobaczyła, że się uśmiecha.

- Oczywiście, że tak. Zniszczyłyby cię wyrzuty sumienia, gdybyś dopuściła się zdrady. Cóż, szanuję to. Może z czasem zmienisz poglądy na ten temat.

- Nigdy - potrząsnęła zdecydowanie głową. - Robert i ja to związek na zawsze.

- Spojrzała na swój lekko wyduęty brzusek i powtórzyła. - Na zawsze.

- Rozumiem. I jeszcze raz przepraszam za moje myśli i intencje. Chciałem mieć czyste sumienie. Więc... - to był jego zabawny sposób zmieniania tematu rozmowy - ...a więc bawcie się dobrze w Maine. Pete i Lizzie są bardzo mili i zupełnie nieoficjalni. Tacy od przyjęć na papierowych talerzach, jak ja. O tej porze roku będzie tam pięknie. Góry New Hampshire pokryją się czerwienią i złotem. Żałuję, że tego nie zobaczę.

- A ty nie jedziesz? - spytała zaskoczona.

- Nie. Mam pilną robotę w biurze.

Nie była pewna, czy cieszy się czy też żałuje, że Toma tam nie będzie.

Robert wszystko sobie dokładnie zaplanował.

- Musimy im coś zawieźć.

- Wino? - podsunęła. - Albo poszukam czegoś odpowiedniego na wieś. Naczynie na kwiaty albo na owoce, coś w tym rodzaju.

- Nie. Absolutnie nie. To banalne. A poza tym z pewnością mają swoje własne wina i kilka tuzinów naczyń i przedmiotów tego rodzaju.

- No więc co?

- Powiem ci co. Wielkie pudło twoich najlepszych ciasteczek. Migdałowych, cytrynowych i czekoladowych. Wszyscy za nimi przepadają. To będzie bardzo odpowiedni podarunek - przyjacielski, prosty i elegancki. Prawdopodobnie będziemy chodzić po lasach.

Trzeba wziąć płaszcze nieprzemakalne i nie zapomnij parasola. Coś jedwabnego na dwa wieczory, w razie gdyby ubierali się do kolacji.

- Tam w lasach nikt nie ubiera się do kolacji. A poza tym nie mam już żadnych ubrań. Wszystkie są za ciasne.

Przyjrzał jej się z uwagą.

- Wyglądasz jak kobieta, która troszkę przytyła w pasie, to wszystko.

- No właśnie. Moje sukienki nie dopinają się w pasie. A jeszcze zbyt wcześnie na ubrania ciążowe.

- No to kup sobie coś. Ja biorę tweedowe marynarki. Noszone. Styl swobodny.

- Robert pomyślał o wszystkim. - Wyruszymy po południu i zatrzymamy się po drodze na noc. Dzięki temu przyjedziemy wypoczęci przed południem. Jaguar chyba będzie wyglądał zbyt przesadnie. Pojedziemy combi.

Przyjechali dokładnie tak, jak zaplanował. Na wzgórzu niedaleko jeziora stał szereg zabudowań z drewnianych belek. Z boku widać było dwa korty tenisowe. Na obszernej werandzie stały krzesła ogrodowe. Na podjazd wiodła wyjeżdżona polna droga. Stało już kilka samochodów. Same combi i zwykłe amerykańskie samochody.

Lynn spojrzała na Roberta i musiała się roześmiać.

- Nigdy się nie mylisz?

- Witamy, witamy! - wołał schodzący po schodach Pete Monaco. - Jak się udała podróż? - Miał grzmiący głos, silny uścisk dłoni, a w uśmiechu odsłaniał mocne, kwadratowe zęby. - Pięknie jest tutaj na wschodzie, za nic nie opuściłbym tutejszej jesieni. W Kalifornii mieszkamy na stałe i kochamy ją, ale takie kolory można oglądać tylko w Nowej Anglii. Rozejrzyjcie się dookoła! Moja żona - ma na imię Lizzie, a ja Pete, gdy jesteśmy tutaj, używamy imion - zabrała wszystkich na żaglówkę, ale wrócą na lunch. Tędy, proszę pozwolić, że wezmę część bagaży. W pokoju Robert zamyślił się.

- Nie wiem, co ten facet, Tom, naopowiadał o mnie. Mówić mu „Pete”! Nigdy nie poznałbym w nim prezesa, który czasem wpada do firmy, beszta wszystkich, wydaje polecenia, ściska dłonie i odlatuje z powrotem, zahaczając o Missisipi. Jesteśmy tutaj. To nie o wiary.

Rozejrzał się po skąpo umeblowanym pokoju. Szmaciany dywanik przykrywał podłogę, ściany były z sosnowych desek, łóżka

zaścielone indiańskimi pledami, a w nogach leżały wełniane koce. Jedyłą ozdobę stanowiło okno, za którym rozciągał się piękny widok.

- Żaglówka wraca - powiedziała Lynn. Robert wyjrzał nad jej ramieniem.

- Piękny widok, prawda? Tak, pieniądze to niezła rzecz. I dobry gust - dodał.

- Trzeba wiedzieć, jak je spożytkować.

- Musimy zejść na dół i poznać się z wszystkimi - powiedziała, gdy Robert zaczął się rozpakowywać.

- Nie. Najpierw się odśwież. To zajmie parę minut.

Zeszli na dół. Na werandzie podano kawę i pączki. Lizzie Monaco, ubrana w dżinsy i gruby sweter, wyszła im naprzeciw.

- Przepraszam, mam takie lodowate ręce - powiedziała przy powitaniu.

- Ale tam na środku nieźle wieje. Wspaniała zabawa. Czy będziecie mieli ochotę przejść się dookoła jeziora po południu? - Podobnie jak jej mąż mówiła ze swobodą. Miała kręcone siwe włosy i szczerzy wyraz twarzy. - Mój Boże, jaka pani jest młoda, Lynn! Jest pani tutaj najmłodszą z kobiet, przy pani będziemy czuć się jak stare wiedźmy.

- Nie, nie - śmiała się Lynn. - Moja córka w przyszłym roku pójdzie na uczelnię.

- Coś takiego! I jest pani w ciąży. Myślę, że to nie jest tajemnica, ale Tom i tak się wygadał. Mam nadzieję, że dobrze się pani czuje, ale nie musi pani z nami spacerować. Może pani zostać z książką i odpocząć.

Robert odpowiedział za nią.

- Lynn czuje się doskonale. Grywa nawet w tenisa.

- Naprawdę? Świetnie. My także gramy. Może po lunchu i spacerze? - Tu jest wspaniałe miejsce widokowe, z którego widać całe otoczenie. - Może po powrocie pogramy sobie.

- Masz to, co lubisz najbardziej. Z jednego zajęcia w drugie - powiedziała potem Lynn.

- Wiem. Czuję się jak dziecko. I to powietrze, zapach sosen. Czuję się świetnie.

Wszyscy obecni tu mężczyźni piastowali najwyższe stanowiska w firmie. Pochodzili z Teksasu bądź z obszarów na zachód od Teksasu. Nawet jeśli firma zatrudniała na wysokich stanowiskach kobiety, to

żadna z nich nie była obecna na przyjęciu. Tutaj przyjechały wyłącznie żony. Lynn spostrzegła, że nie mają takich wystraszonych min jak widywane w klubie żony, których mężowie nadal walczą o karierę. Tacy ludzie, jak ci tutaj, rzadko tracą swoją pozycję, a jeśli już spadają, to na złotym spadochronie. Słuchała, jak starsze panie rozprawiają o ochotniczej pracy na rzecz Czerwonego Krzyża. Młodsze pracowały w agencjach handlu nieruchomościami lub w biurach podróży, były zadowolone, nie musiały pracować, robiły to tylko dla własnej satysfakcji.

- Tom wspominał, że jest pani doskonałą kucharką - powiedziała Lizzie Monacco, wciągając Lynn do rozmowy. - Wystarczy spojrzeć na te wspaniałe ciasteczka. Podamy je dziś wieczór na kolację. To miło, że je pani przywiozła.

Lynn pomyślała, że Tom rzeczywiście sporo im naopowiadał. Włożył w ten weekend dużo starań. Pete'a Monacco z pewnością niełatwo jest do czegoś nakłonić. Tom musiał być bardzo przekonujący.

Po spacerze, grze w tenisa i koktajlach poszli przebrać się do kolacji. Lizzie powiedziała taktownie:

- Przebieramy się do kolacji. Nic nadzwyczajnego.

- Znów miałaś rację - powiedziała Lynn, wkładając suknię z ciemnoczerwonego jedwabiu. Przygotowała sobie sznur pereł i bransoletkę.

- Tego nie wkładaj - ostrzegł ją.

- Nie? Zawsze chcesz, żebym ją nosiła.

- Nie tutaj. Wygląda na zbyt kosztowną. Perły wystarczą. Skromnie. Szkoda, że masz pierścionek, zapomniałem o nim. No cóż, już i tak za późno.

- Pobiłeś go w tenisa. Czy to rozsądne? - spytała.

- To co innego. Ludzie szanują zwycięzców. Szanują wysportowanych. To głupio brzmi, jak się nad tym zastanowić, ale oni oceniają człowieka w zależności od osiągnięć sportowych. Teraz mnie nie zapomni. - Wiązał krawat. - Stale powtarzam to dziewczynkom. Jego także będę musiał nauczyć. - Wskazał na jej brzuszek i roześmiał się. - Przepraszam, nie chcę, aby to brzmiało, jakbym miał coś przeciwko dziewczynkom, ale nie wiem dlaczego, jestem przekonany, że będzie chłopczyk. Chodźmy, wyglądasz ślicznie, jak zawsze. Chodźmy na dół. Umieram z głodu.

W jadalni na przykrytym lnianymi matami stole z heblowanych sosnowych desek poustawiano cynowe nakrycia. Sztuńce były ze zwykłej nierdzewnej stali. Ale paliły się świece, a kolację podawały dwie służące. W kącie jadalni leżała para psów rasy golden retriever.

- Gdy ma się samolot - stwierdziła z zadowoleniem Lizzie - można ze sobą przewieźć całe gospodarstwo, psy i wszystko.

Samolot? Prywatny samolot? - pomyślała z rozbawieniem Lynn. Przy stole prowadzono jednocześnie rozmowy na kilka różnych tematów i Lynn próbowała je uchwycić. Mówiono o podróżach - nie do Londynu czy Paryża, lecz na Fidżi i Madagaskar. Jedna para małżeńska brała udział w wyprawie na biegun południowy. Lynn czuła się tak, jakby przez uchylone drzwi podglądała nie znany sobie świat. Robert chciał owe drzwi otworzyć na całą szerokość i wkroczyć do tego świata. Gdy usłyszała, co mówi przy przeciwległym końcu stołu, wydało jej się, że już wsunął stopę w szparę uchylonych drzwi.

Jego mocny głos i wyrazisty sposób wypowiedzania się przyciągały słuchaczy. Trzech czy czterech mężczyzn pochylało się ku niemu i słuchało z uwagą. On zaś, oczywiście, kierował swoje uwagi do Monacco.

- ...dużo o tym myślałem i uważam, że powinniśmy naszych ludzi nauczyć języka kraju, do którego ich wysyłamy. Sami powinniśmy nawiązywać stosunki. Za rozpoznanie rynku płacimy co najmniej dwadzieścia pięć tysięcy dolarów miesięcznie. Wydaje mi się, że nasi pracownicy najlepiej znają nasze wyroby i będą mogli sami prowadzić rozpoznanie rynku.

Wtedy Monacco zapytał o coś, Lynn nie usłyszała go. Ale skoro zadał pytanie, musiał Roberta uważnie słuchać.

- ...poznałem niemieckiego bankiera ze Stuttgartu. On może udzielić odpowiedzi na to pytanie. Dużo podróżuje po nowych republikach. Tak, to mój dobry znajomy. Mogę się z nim skontaktować zaraz po powrocie do biura.

- ...Ten dom, którego światła widać przez okno? - mówiła Lizzie.  
- Ten po drugiej stronie jeziora. Tam jest tylko dozorca. Właściciele wyjechali i dom jest na sprzedaż. Mieliśmy tutaj prawdziwy skandal - zwróciła się do Lynn. - Bardzo miła para... znaliśmy ich od lat, a ich dom jest naprawdę piękny... Cóż, ona odeszła. Zdaje się, że bijął ją trochę za często. Traktował ją tak przez całe lata i nikt z nas niczego nie podejrzewał. Czyż to nie zadziwiające?

Sąsiadka Lynn z wielkim przejęciem uzupełniła historię:

- Wydawali się doskonale dobraną parą. Nikt ich nie podejrzewał. On miał ogromnie poczucie humoru. Był duszą towarzystwa. Rozmawiając z nim nigdy nie domyśliłabym się, że jest zdolny do czegoś takiego.

- Nigdy nie wiadomo, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami, prawda?

- Prawda - powiedziała Lynn.

Serce skoczyło jej do gardła, jakby usłyszała nagły wystrzał. Daj spokój - mówiła sama do siebie, tamto już minęło. Skończyło się wiele miesięcy temu, na wyspie. Pamiętaj. Skończone.

Głos Roberta znów wzbił się ponad ogólne rozmowy.

- Oczywiście, reklamy są najtańsze w pierwszym kwartale. Telewizja i radio są wtedy wygłodzone. Zanim podejmiemy ostateczne decyzje, musimy się dowiedzieć, jak to wygląda za granicą.

Lynn spojrzała na niego, a on na nią, pochwyciła jego przymilny uśmiech, który oznaczał: sprawy mają się dobrze.

- A oto pani wspaniałe wypieki! - wykrzyknęła Lizzie.

- Chyba nie zrobiła pani tego własnoręcznie? - spytała sąsiadka Lynn.

- Ależ tak. Sama je robiła. Wiem o niej wszystko. To profesjonalistka. Lynn poprawiła ją:

- Nie, nie. Jeszcze nie. To w sferze marzeń.

- A więc czemu nie? Mam przyjaciół, których córka... pewnie jest w pani wieku... robi dla ludzi wspaniałe desery i...

- Lynn jest w ciąży - wtrąciła Lizzie. - Teraz będzie miała inne rzeczy na głowie.

- Naprawdę? Gratuluję! Córka wybiera się na uczelnię, a pani oczekuje dzidziusia. To cudowne.

Wszystkie oczy spoczęły na Lynn. Jedna z kobiet powiedziała poważnie:

- Może pani służyć za przykład. Zaczyna pani jeszcze raz, podczas gdy prawie wszystkie kobiety w tym wieku rozchodzą się. To dziecko szczęścia.

- Mam nadzieję.

- Jedno jest pewne. Przy takich rodzicach na pewno będzie ładne.

Goście wstali i przeszli do salonu, aby wypić drinka. Na wielkim kamiennym kominku płonął obfity ogień. Lynn stanęła pełna podziwu.

- Wygląda pani na bardzo zamyśloną - powiedział Pete Monaco.

- Nie, po prostu jestem zafascynowana. Ogień i fontanny zawsze tak na mnie działają. I to był taki miły dzień.

Uniósł kieliszek i zwrócił się do Lynn.

- Cieszymy się, że przyjechaliście. Robert ma wiele interesujących pomysłów. Dobrze, że mogłem ich wysłuchać. Niestety, wielu mądrych ludzi ginie w tłumie... nie zawsze, ale to się zdarza. On pozostawia po sobie ślad. Już to zrobił.

- Myślę, że wywarłem na nich wrażenie - powiedział potem Robert. Leżeli w łóżku pod pikowaną kołdrą. - Poprosił mnie, żebym mu przysłał na piśmie niektóre z moich pomysłów. A co mówił tobie?

- Same miłe rzeczy. Że odcisniesz w firmie swoje piętno.

Okno było tak nisko, że gdy uniosła głowę, widziała jezioro, w którym ciągle jeszcze odbijało się światło opuszczonego domu, należącego do „doskonale dobranej pary”.

Robert pogłaskał ją po brzuchu.

- Niedługo ten facet zacznie cię kopać.

Ciekawe, jaki będzie? - pomyślała. Ona także zaczęła o dziecku myśleć „on”. To wszystko jest takie tajemnicze. Gdy spojrzę wstecz, na to, co przeszliśmy, a potem w przyszłość, choćby tylko rok naprzód... Wszystko jest tajemnicą.

Zrobiło się chłodno. Zerwał się silny wiatr, który szumiał wśród drzew, było zimno nawet pod kołdrą i Robert przyciągnął ją bliżej.

- Posłuchaj wiatru - wyszeptał. - To doskonała noc do spania, a tutaj jest tak przytulnie. Mieliśmy wspaniały dzień. Wszystko świetnie się zapowiada, pani Ferguson.

- Westchnął z przyjemnością. - Kocham cię, pani Ferguson. Chyba wiesz o tym?

- Zachichotał i przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Wiem - odpowiedziała i pomyślała szybko: to głupio przejmować się jakimiś plotkami. Co ja i Robert mamy wspólnego z tymi ludźmi? Zresztą nic o nich nie wiem. Ja to ja, a Robert to Robert.

Ziewnął.

- Oczy mi się zamykają. Śpijmy. Jutrzejszy dzień sam się o siebie zatroszczy. To było pewne. Przyszłe dni odsłonią swoje tajemnice, które drzemią w nich jak drzewa w małych, wyschniętych nasionkach.

Do domu wyruszyli w niedzielę o świcie. W ten sposób, powiedział Robert, będą w domu przed kolacją i spędzą trochę czasu z córkami.

Gdy przyjechali na miejsce, dom zastali pusty. Nie paliło się ani jedno światło.

- Biedna Juliet! Zostawiły ją po ciemku! - powiedziała Lynn, gdy pies poprzez ciemny korytarz wyszedł im na powitanie. - Prawdopodobnie wyszły gdzieś z Bruce'em i Josie. Nie spodziewały się, że tak wcześnie wrócimy.

- Nie spytałem cię, co Josie powiedziała na temat naszej wizyty u Monacco.

- Nie mówiła wiele.

- Zastanawiam się, co oni naprawdę o tym sądzą. Nie powiesz mi, że nie odczuwają odrobiny zazdrości, choćby w dobrym znaczeniu tego słowa.

- Nie wydaje mi się. Wiesz, że Josie nie należy do osób, które ukrywałyby swoje uczucia, zwłaszcza przede mną. Więc nie sędzę, żeby nam zazdrościli.

- Czy wiesz, że zostaliśmy zaproszeni do Monacco w Maine?' - spytała Lynn, nie chcąc bawić się z Josie w kotka i myszkę. I Josie powiedziała, że owszem, Robert powiedział o tym Bruce'owi, a potem dodała:

- Nie miej skrupułów z powodu Bruce'a. - Uśmiechnęła się. - Bruce nie został stworzony, by zaćmiewać innych. I dobrze o tym wie.

To prawda. Widać było, że Bruce wie, kim jest, i nie musi dodawać sobie splendorów.

- Robert to ktoś wyjątkowy - powiedziała Josie. - Pracuje jak szalony i zasługuje na wszystko, co uda się mu osiągnąć.

- Czuję się trochę zakłopotany, współczuję mu, gdy mu o tym powiedziałem - ciągnął Robert.

- Cóż, zupełnie niepotrzebnie. Josie jest przekonana, że zasługujesz na wszystko, co osiągasz.

Robert roześmiał się.

- Można to osiągać w różny sposób.

- Oni mają na myśli tylko jeden.



- Oczywiście. Żartowałem. - Zaczął wchodzić po schodach z walizkami.

- Rozpakujmy się, zanim wrócą.

- Jutro.

- Zawsze to powtarzasz. Co za przyjemność obudzić się i zobaczyć nie rozpakowaną walizkę. Nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić dzisiaj. To moje motto.

Poszła za nim. Pierwszy pokój przy schodach przeznaczyła na pokój dziecienny. Nie mogła go minąć, nie rzuciwszy okiem do środka. Meble już dostarczono - jasnożółta kołyska i toaleta; na pomalowanych na żółto ścianach wisiało kilka obrazków z Mother goose w drewnianych ramach, a zasłony miały wiosennozielony odcień. Co za ulga po różach i niebieskościach! W rogu kołyski siedział ogromny, miękki miś polarny. Przy oknie stał fotel na biegunach, na którym Lynn będzie siadywać, aby karmić dziecko piersią. Na myśl o karmieniu poczuła zadowolenie z macierzyństwa. Żadne teoretyczne opracowania pełne mądrych psychologicznych terminów nie były w stanie opisać prawdziwej słodyczy, jaką odczuwa matka, tuląc do siebie maleńką główkę i czując na piersi paluszki dziecka.

W sypialni, gdzie Robert już zaczął się rozpakowywać, rozległ się telefon. Kiedy Lynn weszła do pokoju, stał przy łóżku ze słuchawką w ręce.

- Co mówisz, że ona...

Lynn spojrzała na niego i poczuła lodowate zimno.

- Zaraz tam będziemy. Na parkingu. Tak. Tak. - Odłożył słuchawkę. Drżał. - Dzwonił Bruce. Emily miała krwotok. On myśli, że związany z miesiączką. Jest w szpitalu. Szybko. Mamy się z nim spotkać.

Samochód mknął jak rakietę.

- Nie przejmuj się tak. Nie tak szybko. Posłuchaj, posłuchaj mnie, jeśli to tylko okres, to... Ale dlaczego krwotok? - zająknęła się. - Ale chyba nic groźnego. Jest okazem zdrowia.

- Nie zabiera się ludzi do szpitala bez powodu - powiedział ponuro. Splotła ręce i milczała, podczas gdy Robert jak szalony przeleciał przez miasto i wpadł na parking przed szpitalem, gdzie już na nich czekał Bruce.

- Poczekaj. Najpierw porozmawiaj ze mną - krzyknął Bruce. - Nie, nie, ona nie... nie wyobrażaj sobie, że jest umierająca i ja chcę ci to łagodnie powiedzieć... Jest na górze i wszystko będzie dobrze. Jest tylko przerażona. - Patrzył spokojnymi miłymi oczami i mówił łagodnym, poważnym tonem. - Prawda jest taka, cóż, muszę wam to powiedzieć, że Emily poroniła.

Zapadła głucha cisza. Nie docierały do nich odgłosy z parkingu ani z ulicy. Spoglądali po sobie.

- Jest przerażona - powtórzył Bruce, a potem zwrócił się błagalnym tonem do Roberta - nie bądź dla niej zbyt srogimi.

- Jak... - zaczęła Lynn. Bruce szybko zreferował sprawę.

- Zatelefonowała do nas koło południa. Bardziej niepokoiła się o Annie niż o siebie. Nie chciała, żeby Annie się dowiedziała. Więc Josie zabrała Annie do nas do domu, a ja przywiozłem Emily do szpitala. Lekarz mówi... - Bruce położył rękę na ramieniu Lynn - powiedział, że była w trzecim miesiącu. Dobrze się czujesz, Lynn?

Robert jęknął. A więc jego niepokój był słuszny. Ach, Emily, a ja ci ufałam! Czy to moja wina? Robert powie, że wszystkiemu zawiniłam ja.

- Idziemy?

W drodze z parkingu opanowała się. Pamiętaj, zawsze radziłaś sobie w nagłych wypadkach. Powtarzaj mantrę: Sprawdzam się w trudnych chwilach... Nogi miała jak z waty, ale szła. Potem zdawało jej się, że winda nigdy nie przyjedzie. Gdy wreszcie nadjechała, leżał tam pacjent na noszach, więc nie było okazji, aby porozmawiać. Wysiedli w milczeniu z windy i otoczyły ich szpitalne zapachy środków dezynfekcyjnych, a może również eteru. Nie, to niemożliwe, nie na korytarzu. Ale cokolwiek to było, przyprawiało ją o mdłości, z trudem przełykała ślinę.

- Poprosiłem o separatkę - powiedział Bruce, gdy zatrzymali się w końcu korytarza. Jego głos wzniósł się radośnie o jedną oktawę: - Emily, tatuś i mamusia do ciebie.

Na łóżko Emily padały promienie słońca. Jej ciało ledwie rysowało się pod kocem, a ręka na kocu sprawiała wrażenie kruchej; Emily nigdy przedtem nie wyglądała na kruchą istotę.

Lynn ujęła w swoje ręce pokrytą zimnym potem dłoń córki:

- Jesteśmy, kochanie. Jesteśmy.

Chciała powiedzieć: Wszystko będzie dobrze, to nie koniec świata, życie przed tobą, Bóg ci wybaczy. Wszystko można jakoś rozwiązać, ze wszystkim można sobie poradzić, ze wszystkim, słyszysz mnie? Ze wszystkim. Chciała powiedzieć, ale z jej suchych ust nie dobiegł się żaden dźwięk.

Piękne oczy Emily skierowane były na sufit. Po policzkach płynęły łzy. Stojący po drugiej stronie łóżka Robert powiedział słabo:

- Muszę usiąść.

Zemdleje, pomyślała Lynn. Bruce i stojąca pod oknem pielęgniarka musieli pomyśleć to samo, bo pielęgniarka przyciągnęła krzesło, a Bruce chwycił Roberta za ramię.

- Schył głowę - mruknął. - Siadaj.

Robert położył głowę na łóżku Emily. A Lynn, Bruce i pielęgniarka odeszli w stronę drzwi, żeby Robert nie mógł ich słyszeć.

- Nieszczęsny człowiek - powiedziała pielęgniarka. - To dziwne, że mężczyźni często gorzej znoszą takie sytuacje. Nic jej nie będzie, pani Ferguson. Pan Lehman wezwał doktora Reeve'a. Jest tutaj ordynatorem oddziału ginekologicznego. Nie może być lepiej.

Lynn powiedziała łamiącym się głosem:

- Tak się boję. Proszę mi powiedzieć prawdę. Ona wygląda strasznie. Proszę nic przede mną nie ukrywać.

- Jest bardzo osłabiona i ma bóle. To prawie tak jak poród, wie pani, taki sam ból. Ale nie ma powodu do niepokoju. Naprawdę. Niech pani odpocznie. Lekarz niedługo przyjdzie.

Na korytarzu rozległy się zdecydowane kroki. Doktor Reeve wyglądał jak typowy lekarz - gładko wygolony, ruchliwy, kompetentny. Mógłby zagrać w operze mydlanej, pomyślała Lynn i histeryczny śmiech wezbrał i uwiązł w jej gardle. Czy rzeczywiście są w szpitalu i rozmawiają z lekarzem Emily?

Robert wstał.

- Bruce, ty rozmawiaj. Zrób to - powiedział i znowu usiadł.

Bruce zamienił kilka słów z lekarzem, który następnie zwrócił się do rodziców Emily.

- Traci wiele krwi - powiedział krótko. - Musimy zrobić transfuzję. Mówi, że od śniadania nic nie jadła. Czy można jej wierzyć? Bo jeżeli jadła coś w ciągu ostatnich kilku godzin, to musimy poczekać.

Lynn odpowiedziała słabym głosem.

- Nie wiem. Wyjechaliśmy. Właśnie wróciliśmy do domu.  
- Może pan na tym polegać - powiedział Bruce.  
- Dobrze. W takim razie zabieramy ją na górę. - Doktor Reeve spojrzał na Roberta i Lynn. - Może państwo razem z bratem...

Bruce sprostował prędko.

- Jestem tylko przyjacielem.  
- Dobrze, niech ich pan zabierze, żeby coś zjedli. - Jeszcze raz spojrzał na Roberta. - Niech pan sobie łyknie coś mocniejszego. Możecie wrócić późnym wieczorem.

- Nie - powiedział Robert. - Ja się stąd nie ruszę. Zostaniemy.  
- Dobrze - zgodził się szybko Bruce. - Na końcu korytarza jest poczekalnia. Usiądziemy tam. W razie gdyby nas pan potrzebował, tam będziemy.

- Idźcie tam. - Uśmiechnął się przyjaźnie, lecz stanowczo.

Chodzi mu o to, pomyślała Lynn, żebyśmy tu nie stali, kiedy będą wieźli Emily na salę operacyjną. Przykro patrzeć, z jakim trudem Robert znosi to wszystko. Wzięła go za rękę i splótła palce z jego palcami. Poszli za Bruce'em wzdłuż korytarza.

Czekali w niespokojnej, ponurej ciszy. Bruce i Lynn zagłębili się w czasopiśmie, wcale ich nie czytając. Robert patrzył przez okno na wierzchołki drzew. Godziny odwiedzin już dawno się skończyły, na korytarzu rzadko odzywały się kroki. W pewnej chwili usłyszeli znajomy dźwięk - stuk wysokich obcasów Josie.

- Pozwolili mi przyjść tutaj - wyszeptała. - Sprowadziłam do was Eudorę, tak - że mogłam odwiedzić Annie do domu. Eudora jest nieoceniona. Gdy wychodziłam, Annie już się kąpała.

Josie wiedziała, jak się zachować. Nie pocieszała ich, nie obejmowała - co mogłoby tylko wywołać łzy. Po prostu robiła to, co należy.

Robert siedział wtulony w fotel. Twarz ukrył w dłoniach. Lynn wstała i pogłaskała go po głowie.

- Nasza piękna córeczka, nasza piękna dziewczynka - jęknął i Lynn przypomniała sobie jego płacz nad maleńkim ciałkiem Caroline. «Nasze maleństwo. Nasze piękne maleństwo.»

- Nic jej nie będzie.

- Wiem.

- Och, kochanie, wszystko będzie dobrze.

- Niech no tylko dostanę w swoje ręce tego przeklętego bękarta. Zabiłbym go.

- Wiem. Wiem.

Czas stanął w miejscu. W końcu ściemniło się. Bruce wstał i zapalił światło, a potem usiadł koło Josie. Rozmawiali szeptem, a Lynn i Robert siedzieli, trzymając się za ręce. Nikt nie spoglądał na zegarek. Nie mieli pojęcia, która jest godzina, gdy w drzwiach pojawił się doktor Reeve. W pogniecionych zielonych spodniach z bawełny, ze ściągniętą twarzą i podkrążonymi oczami wyglądał teraz zupełnie inaczej. Nie różnił się niczym od zmęczonego robotnika.

- Wasza córka czuje się dobrze - powiedział. - Jest teraz w sali pooperacyjnej, niedługo wróci do swego pokoju. Pan Lehman pytał o pielęgniarkę nocną. To dobry pomysł, jeżeli stać was na to. Teraz sugerowałbym, żebyście państwo pojechali do domu i wrócili tu rano. Emily przez kilka godzin i tak nie poznałaby was, a dochodzi północ.

- Spojrzał na Roberta. - Jeżeli, to mało prawdopodobne, ale jeżeli zajdzie potrzeba czy dzwonić... - zwrócił się do Bruce'a.

Robert wstał, jakby dobra wiadomość przywróciła go do życia.

- Nie, my jesteśmy rodzicami. Pierwszy szok już minął i jesteśmy w stanie znieść cokolwiek się wydarzy. Wyobraża pan sobie, co przeżyliśmy. Zaraz po powrocie do domu dowiedzieliśmy się...

- Oczywiście. Dobrze jest mieć takich przyjaciół. Doskonale zastąpili was w nagłym wypadku.

- Doceniamy ich. Bruce i Josie są najlepsi.

- Cóż - powiedział Bruce wesoło. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Proponuję, żebyśmy coś zjedli. Ja mógłbym zjeść teraz nawet but.

Josie ruszyła na palcach.

- Przekłete obcasy, stukają jak młotki - wyszeptała. - Posłuchajcie. Jest zbyt późno, by zajmować się przygotowywaniem posiłku. Co powiecie na kolację w całodobowym barze szybkiej obsługi? Możemy przekąsić hamburgera lub coś w tym rodzaju.

- Powiedziałam Annie - odezwała się Josie, gdy już byli na miejscu - że Emily ma kłopoty z żołądkiem. Na początku była przerażona, a potem uwierzyła.

- Nie może się dowiedzieć - powiedziała Lynn.

- Tak właśnie pomyślałam. Dlatego powiedziałam jej to, co powiedziałam.

- Pomyślałaś? Dlaczego? Ty masz na ten temat inne zdanie? - zapytała Lynn. - Nie jestem pewna. Dzieci widzą znacznie więcej, niż nam się wydaje.

- Jestem przekonana, że Emily nie powiedziałyby jej o... o tym, co robiła z Harrisem, o Boże!

- Emily nie powiedziałyby, ale dzieci są sprytne, a Annie jest wyjątkowo sprytne. Sprytne i skryta - dodała Josie. - Annie mogłaby nam powiedzieć mnóstwo rzeczy, gdyby zechciała i miała odwagę.

Robert, który do tej pory siedział milcząc, wybuchł.

- Nieważne, co Annie wie, a czego nie wie! Teraz Emily zaprzęta mnie całkowicie! Na samą myśl... - Zwrócił się do Lynn. - Chcę, żebyś wiedziała, że obwiniam cię w równym stopniu co Emily. Mówiłem ci już, gdy miała piętnaście lat, że jesteś dla niej zbyt wyrozumiała. Nie umiesz być twarda. Ludzie robią z tobą, co tylko zechcą. A ty nie jesteś dość czujna. Nie rozglądasz się wokół i nie widzisz, co się święci. Zawsze taka byłaś.

Caroline, pomyślała Lynn, i poczuła się strasznie.

- A teraz do tego doszło - powiedział Robert. - Tak, do tego doszło.

- To nie fair, Robercie - zaprotestowała gniewnie Josie - i niezgodne z prawdą. Nie znam rozsądniejszej i bardziej troskliwej matki niż Lynn. Nie wolno ci tak do niej mówić.

- Nic mnie to nie obchodzi. Można było uniknąć tej sytuacji. Czy po to się zapracowuję, żeby zobaczyć moją córkę zrujnowaną i porzuconą przez tego bękarta bez grosza? Zrujnowaną... Zniszczoną.

Zmęczona twarz Roberta nabrała zielonkawego odcienia. Bruce powiedział spokojnie:

- Nie wolno ci myśleć o Emily, jak o kimś, kto ma zrujnowane życie. To straszne, wiem, ale ona ma dopiero siedemnaście lat, a przed sobą całe długie i wspaniałe życie. Nie wolno ci - powtórzył. - Pozwól jej wierzyć, że nie jest stracona.

Robert wyłamywał sobie palce.

- Chciałbym dostać w ręce tego bękarta. Niech go tylko dostanę.

Lynn poczuła na piersi ciężar. Zaledwie parę godzin temu myśleli - a przynajmniej ona myślała - o wspaniałym sukcesie Roberta. Wracali do domu, słuchając przez radio muzyki. Pogoda była piękna. Cieszyli się nie narodzonym dzieckiem i...

- Mógłbym go zabić - powtórzył Robert. - Najspokojniej śpi sobie w domu i nic go nie obchodzi, a Emily... - Przerwał. - Czy ten łajdak chociaż wie, co się stało?

- Oczywiście, że tak - powiedział Bruce. - Zupełnie oszalał. Chciał jechać do szpitala, ale powiedziałem mu, że nie może. Powiedziałem, żeby dzwonił do mnie po informacje. Zadzwońię do niego od razu po powrocie do domu. On czeka.

Lynn powtarzała swoją mantrę: Jesteś dobra w nagłych wypadkach. Zadała pytanie:

- Trzeci miesiąc? Co ona... co oni zamierzali zrobić? Powiedziała? Nie rozumiem - wyszeptała.

Bruce odpowiedział:

- W drodze do szpitala Emily powiedziała mi, że nie wiedziała, jak ma postąpić. Miała zamiar porozmawiać z wami w tym tygodniu, ale nie chciała psuć ojcu podróży do Maine i denerwować go przed tym wielkim spotkaniem.

Robert uznał za stosowne sprostować.

- To nie było wielkie spotkanie. Nie wiem, skąd jej to przyszło do głowy. To nie było takie ważne.

- Cóż, w każdym razie tak myślała. Wydaje mi się, że obydwójce byli bardzo przejęci w ciągu dwóch ostatnich miesięcy. Nie wiedzieli, do kogo mogą się zwrócić. Lynn wybuchnęła płaczem i zakryła twarz rękami.

- Biedne dziecko. Biedne dziecko. Bruce i Josie wstali.

- Chodźmy. Trzeba choć trochę wypocząć - zdecydowała Josie. - Rano muszę iść do pracy, chociaż może mogłabym zatelefonować i...

Lynn pozbierała się już.

- Nie. Idź do pracy. Już i tak wiele zrobiłaś. Byliście wspaniali.

- Daj spokój - powiedział Bruce. - Jeśli będziecie potrzebowali, wiecie, gdzie nas szukać. Wybrniecie z tego, i Emily także. Tylko jedno: bądźcie dla siebie dobrzy tej nocy. Żadnych oskarżeń. To nie wasza wina. Ani twoja, Robercie, ani twoja, Lynn. Obiecujecie? - zapytał schylając się, bo Robert już był w samochodzie i zapalał silnik.

- Robert? Obiecujesz? - zapytał z powagą.

- Tak, tak - wymamrotał Robert. A potem burknął: - Nie wiem, o co on mnie podejrzewa.

Że masz zamiar mnie obwiniać - pomyślała Lynn. Tak właśnie. Ale teraz, dzięki Bogu, nie będziesz. Dziś w nocy nie zniosłabym ani jednego szorstkiego słowa. A jednak, czy zawiniłam? Może...

Po powrocie do domu nie mogła się uspokoić. Nakryła stół do śniadania. Dziwne, myślała. Ludziom zdarzają się nieszczęścia, a oni jedzą albo przynajmniej starają się coś zjeść. Wypuściła psa na dwór. Juliet buszowała w krzakach, a Lynn patrzyła na gwiazdy. Daleko, daleko; czy możliwe, że tam też toczy się życie, że jakieś myślące istoty też mają swoje kłopoty?

Weszła do pokoju Emily. Chciała poczuć jej obecność, dowiedzieć się czegoś o życiu swego dziecka. Szafa i biurko były uporządkowane. Emily dbała o rzeczy tak samo, jak Robert. W szafie wisały spódniczki niewiele szersze od ręczników. Na dole w rzędzie stały buty: sportowe i na wysokim obcasie. Na stole leżało pismo Elle i książka *Studia nad nieprawidłowościami w małżeństwie*.

Lynn otworzyła książkę. Pierwszy rozdział był zatytułowany: „Maltretowana kobieta z amerykańskiej klasy średniej”. Zamknęła ją.

Czy zostaliśmy już na zawsze napiętnowani? Czy to zaciążyło na psychice Emily?

- Chodź. - Robert stanął w drzwiach. - Wystawanie tutaj nic ci nie da. Co ona czyta? - Złapał książkę, zanim Lynn zdążyła ją ukryć. - Cóż to za śmieci, do diabła? Maltretowana kobieta! Lepiej poczytałaby o ciężarnej uczennicy szkoły średniej.

- Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

A może jednak miało. Różne zdarzenia bywają z sobą powiązane, wzajemnie od siebie uzależnione...

- Ktoś się wysilił na „studia” - prychnął Robert. - A potem ktoś inny musiał napisać lepsze. To służy wyłącznie zbijaniu pieniędzy. Śmieci. Przesada. Połowa to kłamstwa. Wyrzuć tę przeklętą książkę.

- Nie. Ona należy do Emily. Nie ruszaj jej, Robertcie.

- Dobrze - burknął. - Niech ci będzie. Dość mamy kłopotów na jeden dzień. Chodź spać.

Żadne z nich jednak nie zasnęło. Zaczęło padać. Ciężkie jak kamienie krople uderzały w okna. Noc była nie do zniesienia. Lynn wierciła się w łóżku, patrząc jak światło z korytarza odbija się na suficie sypialni. Robert siedział na dole w swoim kącie, kącie „żałobnym”. Nie przeżyłby, gdyby Emily stało się coś złego. Lecz Lynn miała jeszcze nieszczęsną Annie. Dlaczego zawsze myślała o



niej „nieszczęsna Annie” 'Jak gdyby dziecko było zaniedbane, mało zdolne i opuszczone? Przecież wcale tak nie było. A teraz przybędzie jeszcze nowe dziecko, upragniony synek Roberta. Ale lekarz zapewniał, że Emily nic się nie stanie. Tak powiedział. Ta gonitwa myśli trwała przez całą noc.

Gdy nazajutrz Robert i Lynn przybyli do szpitala, lekarz właśnie wychodził z pokoju Emily. Porozmawiał z nimi w swój zwyczajny, stanowczy sposób. Bo dla niego Emily nie znaczyła więcej niż inne przypadki chorobowe, które należało rozwiązać możliwie najlepiej.

- Nadal odczuwa ból, ale coraz łagodniejszy. Dostała anemii z powodu utraty krwi i właśnie ma transfuzję, więc proszę się nie dziwić, gdy ją zobaczycie. Wszystko przebiega zgodnie z przewidywaniami. - Odwrócił się, odszedł kilka kroków, a potem zawrócił. - Mam córkę w tym samym wieku, więc wiem. - Zamilkł. - Przeżyje życie. - Dodał z uśmiechem i tym razem oddalił się na dobre.

Lynn czuła ucisk w gardle, ale udało jej się zawołać za lekarzem.

- Dziękuję panu za wszystko. Dziękuję.

Weszli do pokoju Emily. Pielęgniarka siedząca przy łóżku chorej wstała na ich widok.

- Proszę bliżej. Ona nie śpi. Po prostu odpoczywa. Ucieszy się, że jesteście. Lynn podeszła do łóżka. Ucieszy się, pomyślała gorzko. Mocno wątpię. Bruce twierdzi, że była przerażona.

Twarz dziewczyny, nienaturalnie blada, wyglądała jak wyrzeźbiona w lodzie. Robert odezwał się miękko.

- Emily, to tatuś. Tatuś i mamusia.

- Wiem. Jestem taka zmęczona - westchnęła, nie otwierając oczu.

- Oczywiście. To zrozumiałe. Emily, kochamy cię - powiedział Robert. - Kochamy cię bardzo. - Mówił tak cicho, że musiał powtórzyć, aby go usłyszała. Ukląkł na podłogę, by jego twarz znalazła się na poziomie jej twarzy. - Emily, kochamy cię.

To wszystko rozegrało się zbyt szybko. Tak niedawno Emily starała się o przyjęcie na uniwersytet w Yale. A zaraz potem taka oto scena. Lynn poczuła nagły zawrót głowy, aż musiała chwycić się łóżka.

Pielęgniarka wyszeptała.

- Teraz zaśnie. Pielęgniarka z nocnej zmiany powiedziała, że pomimo lekarstw nie spała w nocy.

Przesiedzieli przy niej cały dzień. Późnym popołudniem Emily obudziła się i poruszyła w łóżku.

- Już mi lepiej - powiedziała wyraźnie.

Rzeczywiście jej twarz zaróżowiła się lekko, a oczy błyszczały. Miała rozszerzone źrenice, jak po ustąpieniu gorączki.

- Jesteście na mnie bardzo źli.

- Nie, nie - zapewnili ją. Westchnęła.

- Powinam była wam powiedzieć.

- Nie teraz. Teraz nic nie mów - powiedział Robert. Lecz Emily upierała się.

- Chcę. - Mówiła tonem pełnym zdziwienia, jakby opowiadała o czymś, co zdarzyło się komuś innemu, a czego ona nie rozumiała. - Na początku nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia. Dopiero w połowie drugiego miesiąca... Nie wiedziałam. A poza tym tak się bałam. Nie mogłam w to uwierzyć.

Zacisnęła wychudzone dłonie, na małym palcu błyszczał złoty pierścionek. Gdy go dostała, był zbyt duży nawet na środkowy palec. Dostała go na siódme lub ósme urodziny, pomyślała Lynn, od mojej siostry; było przyjęcie z kłownem, pamiętam.

- Ja... nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Ciągłe naradzaliśmy się. Miałam zamiar powiedzieć wam, naprawdę. Po prostu nie mogłam zebrać się na odwagę.

Lynn pomyślała o dniu, kiedy dowiedziała się, że oczekuje dziecka, które teraz właśnie zaczęło się w niej poruszać. O tym, jak przyniosła tę nowinę do domu i jak ten dzień zmienił się w święto całej rodziny.

- Nie chciałam przerywać ciąży. Nie mogłabym tego zrobić.

- Więc co chciałaś zrobić? - zapytał łagodnie Robert.

- Myśleliśmy... w tym miesiącu skończę osiemnaście lat, że w przyszłym roku będziemy na uczelni. Na uczelni jest wiele par małżeńskich, wiele ludzi pobiera się tak wcześnie. Chcieliśmy się pobrać, żeby dziecko miało obydwój rodziców. - Emily spojrzała w skupieniu na sufit, aby zebrać myśli. - Wiecie, nie jesteśmy wcale tacy nowocześni. Może ja, ale nie Harris. On pochodzi z bardzo religijnej rodziny. Co niedziela chodzą do kościoła. On także. I oni chcą, żeby wszystko odbywało się tak, jak trzeba. To bardzo dobrzy ludzie, naprawdę. Harris nie byłby taki, gdyby nie miał takiej rodziny.

Robert uniósł głowę i spojrzał na Lynn. Wykrzywił pogardliwie usta; wiedziała, że to pogarda. Ale nie odezwał się. Ona także nie była zdolna do żadnych osądów.

- Nie uwierzycie, ale to się zdarzyło tylko jeden raz - ciągnęła Emily. - Przysięgam. - Gdy żadne z nich nie odezwało się, mówiła dalej. - Kochałam go. Nadal go kocham. No więc zdarzyło się. Jechaliśmy wtedy nad jezioro i...

- Nie - przerwał szorstko Robert. - Nie. Nie musimy o tym słuchać.

Nie chciał wyobrazić sobie własnej córki z mężczyzną; myśleć o Emily i seksie. Cóż, można to zrozumieć, pomyślała Lynn. Emily wyciągnęła do niej rękę.

- Ty wiesz, mamó - powiedziała. - Wiesz, jak to jest, gdy się kocha, chociaż nie powinno się kochać. - I posłała matce poważne, znaczące spojrzenie i patrzyła na nią tak długo, że Lynn pod wpływem bolesnego wspomnienia pierwsza odwróciła wzrok. Tak, jakby Emily chciała jej o czymś przypomnieć, jakby pomiędzy matką i córką istniało jakieś ciche porozumienie.

Potem wróciła pielęgniarzka. Nadeszła pora kolacji i przerwa w odwiedzinach, aż do wieczora.

- Teraz, gdy stan Emily poprawił się, państwo też pewnie czujecie się lepiej?

- Musisz być bardzo zmęczona, mamó. - Emily uśmiechnęła się. - To początek piątego miesiąca, prawda? Wracaj do domu i odpocznij.

W połowie drogi do domu Lynn zdała sobie sprawę, że Emily ani jednym słowem nie zwróciła się wprost do Roberta.

Podjeżdżając do domu, zobaczyli na podjeździe jakiś samochód. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Jednym z nich okazał się Harris. Drugi tego samego wzrostu, o podobnych, brązowych i grubych włosach, lecz starszy i tęższy, to bez wątpienia ojciec Harrisa w mundurze policjanta.

- Och, nie - powiedziała Lynn. Robert usłyszał ją.

- Nie odzywaj się, ja to załatwię.

Spotkali się przy samochodzie Roberta. Chłopak, podobnie jak Lynn, był wystraszony, lecz jego ojciec podszedł śmiało.

- Nazywam się Weber. Mój syn chce z państwem porozmawiać. Mów, Harris. Robert wstrzymał go gestem podniesionej dłoni.

- Nie ma tu nic do powiedzenia, a ja nie chcę słuchać. Nie chcę. Chłopak poczerwieniał gwałtownie.

- Spralbym cię na miazgę - powiedział Robert, zaciskając podniesioną dłoń.

- Panie Ferguson - odezwał się ojciec Harrisa. - Może wejdziemy do środka i porozmawiamy...

- Nie. W domu jest młodsza córka, a poza tym nie życzę sobie was... jego... w moim domu. Nie mam ochoty z nim rozmawiać.

- W takim razie niech mówi tutaj. Proszę, panie Ferguson. To zajmie zaledwie kilka minut.

- Po prostu chcę, żeby państwo wiedzieli - powiedział Harris - że... trudno to wyrazić słowami... ale jest mi straszliwie przykro, nie zapomnę tego, co się stało, nigdy w życiu. - Dygotał na całym ciele, ale podniósł głowę i wyprostował ramiona.

- Wstyd mi. Okropnie wstyd i bardzo przykro z powodu Emily, bo ją kocham. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć, proszę państwa. - Załkał, aż podskoczyło mu jabłko Adama. - Byliście dla mnie zawsze tacy dobrzy i...

Jego ojciec dokończył:

- Zawsze mu powtarzałem, odkąd dorósł, że ma dwie młodsze siostry i musi traktować dziewczyny tak, jakby chciał, żeby je traktowano.

Robert przerwał mu.

- Panie poruczniku. To bardzo gładka przemowa, ale zupełnie bezcelowa. Gadanie nie zmieni faktów ani nie sprawi, że poczujemy się lepiej. Fakty są takie, że Emily była bliska śmierci...

- Nie, Robercie - powiedziała łagodnie Lynn. - Przestań. Nie pogarszaj sytuacji.

- Moja żona jest sentymentalną kobietą. Nie lubi słuchać słów prawdy. Łatwo ci wygłaszać gładkie przemowy, młody człowieku. To nie ty leżysz obolały.

Oczy Harrisa zwilgotniały. Lynn próbowała nawiązać z nim kontakt wzrokowy. W końcu on nie zgwałcił Emily. Zrobili to we dwoje. Porucznik Weber ujął to w słowa:

- W końcu zrobili to we dwoje - przypomniał grzecznie. Spojrzał w stronę ciemniejących drzew. - I coś takiego zdarza się nie po raz pierwszy.

Dialog ograniczył się do dwóch mężczyzn. Lynn i Harris stali z boku.

- To mnie nie obchodzi. Mnie obchodzi właśnie ten konkretny raz.

- Oczywiście. Jako ojciec dwóch córek doskonale to rozumiem. Teraz należy zastanowić się, co stanie się z tą młodą parą.

Lynn spostrzegła, że porucznik był zatroskany, lecz wcale nie onieśmielony. Cały ciężar spoczywa na chłopaku, pomyślała. Nie chciałabym znaleźć się na jego miejscu. A jednak zachowywał się honorowo, chociaż Robert robił wszystko, aby nie dopuścić do porozumienia.

- Nasłuchiwał się już od matki i ode mnie, założę się, że popamięta na całe życie - ciągnął porucznik Weber.

- To nie wystarczy. Gdyby to był mój syn, złamałbym mu kark. Ojciec położył dłoń na ramieniu syna.

- I co by to dało?

- Pociępałby troszkę, ot co.

- Panu się zdaje, że on nie cierpi? To dobry dzieciak, tak samo jak Emily. Bywała w naszym domu i poznaliśmy ją. Świetna dziewczyna. Zbłądzili, zgoda. A teraz od nas zależy, czy im pomożemy.

- Wchodzę do domu - oświadczył chłodno Robert. - Przeżyliśmy piekło, a teraz tracimy czas i siły słuchając idiotyzmów. Pan wybaczy.

- Bardzo mi przykro, że pan to uważa za idiotyzmy, panie Ferguson. Harris przyszedł tutaj jak mężczyzna, by spojrzeć panu w oczy. W naszej rodzinie nauczył się, że jest szanowany. My nie dbamy o całą tę nowoczesność. On chodzi do kościoła, nie należy do tych, co wypuszczają się rąbać dziewczyny, przepraszam za wyrażenie... - skłonił się w stronę Lynn. - ... Dziewczyny, z którymi...

Robert przerwał mu gniewnie.

- Nie! - powiedział. - Nie dziewczyny. A właśnie dziewczyna z rodziny takiej jak nasza. Z takiego domu. - Machnął ręką w kierunku domu. - Wybrał ją i zakradał się tutaj, węsząc w takim właśnie miejscu, bo chciał się podnieść z dna.

Lynn wykrzyknęła przerażona:

- Robert! Robert!

- Nie wtrącaj się, Lynn. Ludzie ich pokroju wyobrażają sobie, że wczłgają się tam, gdzie nie należą.

- Zaraz, niech pan poczeka, panie Ferguson. Niech pan nie przemawia do mnie tonem wyższości. Nie zniosę tego.

- Tato! Na miłość boską! Przestań! Proszę, nie kłóć się - błagał Harris.

- Nie martw się, synu. Idź do samochodu. To nie potrwa długo. Gdy chłopak znalazł się poza zasięgiem głosu, powiedział:

- Przyszedłem tutaj jak dżentelmen. Mieliśmy zamiar wejść do pańskiego domu, żeby pańscy sąsiedzi z naprzeciwka nie rozpoznali mego munduru. Chciałem pana oszczędzić, tak jak oszczędziłem poprzednim razem. Nie chciałem tego mówić ze względu na Emily i Harrisa, ale pan sam się o to prosi. Uważa pan, że jesteśmy z nizin? Pan chyba jest ostatni, żeby tak nas osądzać.

- Niech się pan z tego wytłumaczy - powiedział Robert. - I trochę ciszej, skoro o tym mówimy.

- O, tak. Bardzo dobry pomysł - odparł porucznik i ściszył głos. - Byłoby lepiej dla pana, gdyby pan ściszył swój głos owej nocy, gdy pobił pan żonę.

- Och, poruczniku, och, proszę! - błagała Lynn.

- Przepraszam panią, ale muszę. Ja także jestem mężczyzną. Może będzie lepiej, żeby pan Ferguson usłyszał prawdę.

Serce Lynn galopowało. Przyszło jej do głowy, że nawet w jej wieku można dostać zawału. Jak szybko może bić serce, zanim przestanie?

- Coś panu powiem - powiedział Weber. - Zostałem tu wezwany. Byłem na służbie, gdy zatelefonowano po mnie. Ludzie z przeciwnej strony ulicy spacerowali sobie i gdy podeszli do waszego domu, usłyszeli, co się dzieje. Więc zatelefonowali na posterunek i ja przyjechałem. Stałem w ciemności i usłyszałem wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, co się stało. Mogłem pana wtedy przywołać do porządku. Ale nie chciałem sprawić przykrości Emily. Wyobraziłem sobie, że dość się nacierpiała, ponieważ dorastać tutaj w tym wspaniałym domu to wcale nie jest najlepsza rzecz dla dziewczyny.

Robert ciężko dyszał, a Weber ciągnął dalej.

- My bardzo lubimy Emily. Wiemy, ile jest warta. Prawdziwy skarb. Nie skrzywdziłbym jej za nic w świecie. Więc powiedziałem ludziom z naprzeciwka, że się pomylili, i wróciłem na komisariat. Spaliłem raport. Spaliłem go. Więc niech mi pan nie opowiada o dobrej rodzinie, panie Ferguson, ani o pochodzeniu z nizin. - Zwrócił

się do płaczącej Lynn. - Wiem, że pani spodziewa się dziecka, pani Ferguson. I to, co tu się dzieje, nie jest dla pani dobre. Bardzo mi przykro. Przepraszam za wszystko. Gdyby zaszło coś i mógłbym okazać się pomocny, pani wie, gdzie mnie szukać. Harris i ja zawsze...

- Tak, może pan być pomocny - przerwał Robert. Dygotał z wściekłości. - Jesteś łajdakiem i kłamcą. Nie obchodzi mnie, że jesteś gliną. Niczego nie zobaczyłeś i dobrze o tym wiesz. Próbujesz mnie upokorzyć. Cóż, nie uda ci się. A teraz wynoś się pan razem ze swoim cennym synalkiem. I żeby żaden z was nie ośmielił się tutaj wrócić. Tyle właśnie może pan dla nas zrobić i tyle mam wam do powiedzenia.

- Właśnie to miałem zamiar zrobić, panie Ferguson. Dobranoc, pani.

Przez chwilę stali milcząc. Lynn była wstrząśnięta i nie mogła się ruszyć, jak wtedy, gdy Bruce powiedział im o Emily. Robert odezwał się dopiero, gdy rzeźenie starego samochodu porucznika Webera ucichło w oddali.

- Przestań płakać. Płacz nad Emily, a nie z powodu tych bzdur. - Schylił się, by spojrzeć na nią w mroku. - Nie wmówisz mi, że ci żal tego zepsutego chłopaka. Chociaż właściwie nie zdziwiłbym się. Chyba ci go żal.

- Tak, Robercie. Żal mi go.

- Oczywiście. Cała ty.

- Może i tak.

Ogarnęła ją litość. Litowała się nad wszystkimi. Nad dzieckiem, które zgubiło się w tłumie i płacze wzywając matkę, nad porzuconym przez właścicieli zmarzniętym psem i nad tym młodym chłopakiem o przestraszonych oczach, który płacił taką cenę za kilka chwil naturalnej namiętności. I wtedy, już ponad wszelką wątpliwość, poczuła ruchy swego dziecka, które prostowało swą maleńką rączkę lub nóżkę, przygotowując się do życia na tym brutalnym świecie.

- W każdym razie widzieliśmy ich po raz ostatni - powiedział Robert, kierując się do domu. - Jeśli Harris pojawi się tutaj, masz go wyrzucić za drzwi. Ale on się nie ośmieli. - Weszli do środka i Robert nalał sobie drinka. Ręce mu drżały. - Serce wali mi młotem. Takie przeżycia nie wychodzą człowiekowi na dobre, to pewne.

- Nie - zgodziła się, ocierając wilgotne policzki.

Czuła się zawstydzona, tak jakby byli parą nieznajomych i jedno z nich było nagie. Nie bardzo wiedziała, które z nich jest nagie - Robert, którego duma tak boleśnie ucierpiała, czy ona sama, bo po raz pierwszy zobaczyła człowieka, który stawiał czoło Robertowi i zwyciężył. Bo Weber zwyciężył; co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Wypił drinka i wszedł na schody wołając:

- Annie, kochanie! Jesteśmy w domu. Co robisz?

- Odrabiam lekcje - padła odpowiedź.

- Jakie lekcje?

- Geografię.

- Wzięłaś atlas?

- Tak.

- Dobrze. Grzeczna dziewczynka. Zostań na górze i dokończ.

Zszedł ze schodów i powiedział:

- Musimy porozmawiać, zanim zejdziesz na dół.

- O czym?

- O tym, co należy teraz robić. Najchętniej zabrałbym ją ze szkoły. Umieścił w prywatnej szkole, gdzie nie widywałyby go. Nie życzę sobie, żeby spotykała go choćby na korytarzu.

- Nie możesz jej tego zrobić! Nie można przenieść jej w trakcie semestru w ostatniej klasie.

Zastanowił się i powiedział:

- Chyba masz rację. Ale mam zamiar porozmawiać z Emily. Och, nie denerwuj się, widzę strach na twojej twarzy. To będzie bardzo spokojna rozmowa, bez żadnych zarzutów. Ona już i tak wiele przeszła. Ale chcę jasno przedstawić swój punkt widzenia. Chcę, żeby została w domu przez tydzień lub dwa. A gdy wróci do szkoły, ma powiedzieć, że chorowała na grypę. - Przemierzał pokój tak zdecydowanym krokiem, że gdy mijał kinkiety, dźwięczały ich kryształowe wisiorki. - Chcę, żebyś pilnie przyglądała się temu, jak ona spędza swój czas wolny. Masz pytać, dokąd wychodzi, z kim i kiedy wróci do domu. I żadnego pobłażania. Rozumiesz? - Wydłużył krok i kryształki zadźwięczały jeszcze głośniejsze. - Cholera! Cholera! A życie tak dobrze się układało. Los po prostu nie pozwala cieszyć się tym, co niesie, bo w tym samym czasie coś odbiera. Ale nie ma co lamentować nad losem.

Lynn zgodziła się, że nie ma sensu lamentować, i Robert ciągnął:



- Chcę nadal wyjeżdżać, tak jak pojechaliśmy do Maine. Gdyby nie stało się to nieszczęście, wyjechalibyśmy na Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie, a potem w zimie. Chciałem spędzać poza domem wszystkie wolne dni. Ale po tym, co się stało... cóż, trzeba będzie pomyśleć o czymś innym na weekendy - narty, teatr, soboty w Nowym Jorku - wszystko, co pozwoli utrzymać dziewczynki na dobrej drodze.

Przemierzał pokój niczym generał przygotowujący atak. To, co Weber wydobył na światło dzienne, Robert odrzucił jako wołające o pomstę do nieba kłamstwo, coś, co nigdy się nie wydarzyło. Przynajmniej, pomyślała Lynn, przynajmniej jeden dobry skutek tego zajścia; Robert ani słowem nie obwinił mnie za kłopoty Emily.

- Jestem straszliwie zmęczona - wymknęło się jej. Robert spojrział na nią.

- Tak. Wyglądasz na wyczerpaną. Idź spać. Pójdę zobaczyć, jak radzi sobie Annie. Lynn poruszała się ociężale. Z wysiłkiem podniosła ramiona, aby zdjąć sukienkę.

Trudno przyszło jej rozścielenie prześcieradła i ułożenie się w łóżku. Szybko zapadła w głęboki sen. Nad ranem, gdy okna zaczęły szarzeć, przyśniło się jej, że z wrzaskiem spada z jakiejś ogromnej wysokości, przerażona chwytając powietrze, a poniżej jeżą się ostre, szpiczaste przedmioty, noże, patyki, kolce? wycelowane wprost w jej otwarte oczy, i nie ma odwrotu, nie ma...

Płakała, krzyczała, aż raptem obudziła się. Robert trzymał ją w ramionach i pytał łagodnie:

- Co się stało?

- Nic. Nic - wyszeptała. Głaskał jej drżące ciało; plecy i kark.

- To nerwy. Tylko nerwy. I nic dziwnego. Przeżyłaś zbyt wiele. Nie przejmuj się. Jestem tutaj. Jestem przy tobie.

- A więc obiecujesz? - zapytał Robert.

- Już raz ci obiecałam - odpowiedziała Emily, opierając się o poduszki sofy.

- To dla twego dobra, Emily. Cudem z tego wyszłaś. Poronienie... - przełknął z trudem to słowo - było łatwiejsze niż inna droga. Wszystko wywróciłoby się do góry nogami, całe twoje życie, ambicje, wszystko. A teraz wszystko zależy tylko od ciebie - powiedział, wstając i posyłając jej pełen zachęty uśmiech. - Muszę biec na pociąg. Biurko pewnie ugina się od papierów. - Przy drzwiach

odwrócił się i dodał: - Och, tak, zapomniałem ci powiedzieć. Kupiłem bilety do opery. Na sobotni poranek. Ale na pewno uda ci się odrobić lekcje w niedzielę. Annie też.

- Jest taki uporządkowany - zauważyła Emily, gdy Robert wyszedł. - Wszystko ma zaplanowane. Przyciskasz guziczek i masz odpowiedź na każdy problem. Szybko i bezboleśnie.

- Nie mów tak, Emily. Ojciec bardzo się stara. Nie przypuszczałaś, że okaże się taki wyrozumiały, prawda?

- Czy on sobie wyobraża, że ja go nie przejrzałam? Odrabiam lekcje przez całą niedzielę, co oznacza, nie ruszaj się z domu, mam na ciebie oko.

- To nieprawda. Słyszałaś, jak powiedział, że powinnaś się spotykać z innymi chłopcami.

- Nie chcę spotykać się z innymi chłopcami. Chcę być z Harrisem. Chcę, żeby tata mi ufał.

Lynn uniosła brwi.

- Ufał? No cóż, doprawdy, Emily.

- To się zdarzyło tylko raz, mamo. Po pierwsze, rzadko bywaliśmy tylko we dwoje. Przez całe lato nad jeziorem było pełno ludzi. Wiesz o tym. Wierzysz mi, prawda?

Jej błękitne oczy, wilgotne jak płatki kwiatu, były tak piękne, że Harris opierał jej się chyba cudem - pomyślała Lynn.

- Wierzysz mi? - powtórzyła Emily.

- Tak. Ale sama widzisz, co się stało po tym jedynym razie.

- Chcemy się pobrać.

- O mój Boże, Emily, jesteś o wiele za młoda.

- Mam osiemnaście lat. Ty miałaś zaledwie dwadzieścia.

- To co innego. Twój ojciec był starszy.

- Mój ojciec? Tak. I popatrz, co z tego wyszło.

Lynn zdecydowała się nie zwracać uwagi na ten sarkazm. Powiedziała tylko:

- Harris lub ty, albo obydwójce, możecie jeszcze zmienić zdanie. Wiesz o tym.

- Nie bardziej, niż zmienimy zdanie na temat studiów medycznych. I to obrzydliwe, co tata powiedział o Harrisie, że on chce wżenić się w naszą rodzinę, bo my mamy więcej pieniędzy. To było prostackie, głupie i okrutne. Harris zadzwonił do mnie do

szpitala tuż przed tym, jak przyjechaliście, żeby mnie stamtąd zabrać, i opowiedział mi.

- Twój ojciec wprost drżał z niepokoju o twoje zdrowie. Nigdy nie widziałam go równie zrozpaczonego. W rozpaczy ludzie mówią różne rzeczy.

Lynn czuła się jak w pułapce. Lecz Harris był w samochodzie, nie słyszał, jak jego ojciec opowiadał, co się zdarzyło owej wiosennej nocy. Przypomniała sobie tę rozmowę.

Weber oczywiście nie chciał, aby syn słyszał. Był uczciwym człowiekiem i starał się robić wszystko, by złagodzić to, co się stało. „Spaliłem raport”, powiedział. „Spaliłem go”. Nie, on nie miał zamiaru opowiedzieć o tym Harrisowi. I Lynn uspokoiła się.

- Harris powiedział mi, że jego rodzice zabronili mu widywać się ze mną. Ma mnie unikać nawet w szkole.

- Mają rację, Emily. Tak jest rozsądniej.

- To wszystko wina taty. Wszystko kręci się, jak on chce. Lynn zaprotestowała.

- Ta uwaga nie ma sensu. Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Nie? Mogę ci powiedzieć, ale ty nie zechcesz tego słuchać. Nie ma sensu rozmawiać, skoro nie jesteś ze mną szczerą, mamó.

Lynn złożyła ręce na podołku i spojrzała na miejsca, które niedawno nosiły ślady kłutych ranek. Emily chciała potwierdzenia, wyznania o tym, jak te ranki powstały. Ale nie otrzyma go. Matka powinna ukrywać przed dziećmi swój ból. Dla ich własnego dobra. I dla jej dobra także, pomyślała. Nagle poczuła gniew na porucznika Webera. Nie powinien był mówić tego wszystkiego! Powinien był się domyślić, jakie to dla nich bolesne. Ale Robert także powiedział rzeczy, których nie powinien był mówić... Głowa jej pękała.

- Coś ci powiem, Emily - powiedziała sucho. - Nie mam zamiaru uprawiać z tobą gier słownych. Powiedziałaś, że jesteś dorosłą kobietą, więc porozmawiajmy jak kobiety. Przyznaję, że nie czuję się teraz najlepiej i nie chcę się kłócić. Chcę ci pomóc i chcę, żebyś ty mi pomogła.

Emily wstała i objęła matkę.

- Dobrze, mamó. Nie będziemy więcej rozmawiać na ten temat. Miej zdrowe, wspaniałe dziecko i czuj się dobrze. - Uśmiechnęła się

do Lynn. - Nie martw się o mnie. Będę pracować przez resztę tego roku i ukończę szkołę z honorami. Zobaczysz.

I nie chcę nikomu sprawiać kłopotów. Już i tak wiele ich narobiłam.

#### Rozdział 4.

Co się dzieje z Emily? - zapytała Annie. - Dlaczego nikt mi nic nie mówi?

- Nie ma nic do powiedzenia. Po prostu ciężko pracuje. Musi uzyskać dobre stopnie, jeżeli chce się dostać do Yale - odpowiedziała wesoło Lynn.

- Ciągłe płacze. Wczoraj wieczorem miała czerwone oczy. - Małe niespokojne oczka Annie spoglądały podejrzliwie. - Nie zauważyłaś?

- Jest trochę przeziębiona, to wszystko.

Smutek Emily bardzo ciążył Lynn. Oczywiście, że płakała. Nic dziwnego. Biedne dziecko. Podwójny wstrząs, duchowy i fizyczny, sprawił, że wydorosła i zmieniła się. Czy również stała się mocniejsza - zastanawiała się Lynn.

Stała niepewna przed drzwiami Emily. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej własna, widoczna teraz ciąża musi ranić wrażliwą dziewczynę.

Otworzyła drzwi i zapytała radosnym, sztucznym tonem, którego ostatnio używała w domu.

- Zajęta? Czy mogę wejść?

- Jestem zajęta, ale chodź. - Emily odłożyła książkę.

- Nie chcę ci przeszkadzać. Myślałam... że ostatnio izolujesz się z powodu nauki. Oczywiście wiem, że to konieczne. - Po takim wstępie przeszła wprost do rzeczy: - Powiedz mi, czy nie chciałabyś porozmawiać o swoich uczuciach do Harrisa. Bo jeśli chcesz, masz mnie. Chętnie cię wysłucham.

- Dziękuję, ale nie ma o czym mówić.

Emily wyprostowała plecy i dumnie uniosła brodę. To małe przedstawienie zbiło Lynn z tropu. Powtórzyła łagodnie.

- Nie ma?

- Nie. Trzymamy się od siebie z daleka, więc jeśli o to się niepokoisz, to niepotrzebnie.

- Nie o to się niepokoję. Wiem, że dotrzymujesz słowa.

- Przysłał mi kartkę na urodziny, a w niej koronkową chusteczkę do nosa. I rozmawiamy przez telefon. - Emily zamilkła, tak jakby, pomyślała Lynn, spodziewała się, że zaprotestuję. Ponieważ protesty nie nastąpiły, Emily ciągnęła dumnie. - Harris codziennie pracuje. Nawet w niedziele. Sądzę, że to jego kara.

- Och! Nie sądzę, żeby kara była konieczna. Chodzi mi o to... Mamy wrażenie, że powinnaś się trochę rozerwać. - A gdy Emily nic nie odrzekła, Lynn dodała: - Wiem, że dzwonią do ciebie chłopcy.

- Bo wiedzą, że zerwaliśmy z Harrisem.

- Ale ty nigdy się nie umawiasz. Emily uśmiechnęła się krzywo.

- Nawet gdybym miała ochotę, to i tak nie mam czasu. Czas mam całkowicie wypełniony. Prawda?

To prawda. Zgodnie z obietnicą, Robert zapewniał jej zajęcia na każdą wolną chwilę; jeździli do opery, na kiermasze, lokalne wystawy psów, jeździli na łyżwach odkąd w Rockefeller Center pojawił się lód, obejrzelili wystawę w Metropolitan Museum. Robert wypełniał swój plan, a Emily z zimną uprzejmością była mu posłuszna.

Jakże musiała cierpieć!

Tak mijala jesień. Tego roku trwała długo. Ziemię pokryły czarne liście, moknące w nieustającym deszczu. Nadciągała zima. Jakby powietrze dostosowywało się do pozornej uprzejmości w ich domu.

Nie wspominało więcej o przejściach Emily. Przy posiłkach Robert prowadził rozmowy o bieżących wydarzeniach. Gdy zostawał tylko z Lynn, omawiał sprawy firmy. Jakby nie zauważał niczego godnego uwagi.

- Rozpatrują moją kandydaturę na wyjazd za granicę - zakomunikował jej któregoś wieczoru. - Grupa ludzi z biura Monacco na Zachodnim Wybrzeżu wyjeżdża na spotkanie w Berlinie i chcą, abym pojechał tam z nimi. Potem już sam pojechałbym do Budapesztu spotkać się z ludźmi, z którymi już kontaktowaliśmy się. - Podniecony przeszedł przez pokój i zatrzymał się obok Lynn, szcztokującej włosy przed lustrem. - Jeśli pojedę, zajmie mi to prawdopodobnie dwa tygodnie. Jestem prawie pewny, że pojedę. Gdzieś w listopadzie. Nie mam ochoty zostawiać cię samej. - Przyjrzał się twarzy Lynn. - Wyglądasz na zmęczoną.

- Czuję się dobrze. Wszystko będzie w porządku.

- Tym razem jesteś bardzo ociężała. W marcu znów wrócisz do formy.

- Tak, na pewno.

Odczuwała słabość jak nigdy przedtem. Z trudnością zwlekała się rano z łóżka i zajmowała domem. Z wysiłkiem jeździła pociągiem do Nowego Jorku i samochodem na targowisko. Ciągle musiała się śpieszyć. Bez Roberta będzie przynajmniej trochę wytchnienia.

Josie stwierdziła:

- To nie cięża. Jesteś wyczerpana emocjonalnie. Same tylko kłopoty z Emily to wystarczające przeżycie.

Lynn westchnęła.

Josie zauważyła to westchnienie.

- Nie poszłaś więcej do mojego przyjaciela, do doktora Millera - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Nie.

Wrócić tam i opowiedzieć o poruczniku Weberze i całej reszcie? Znowu do tego wracać? I po co? Co on może dla niej zrobić? Będzie się tam czuła jak śmieć. Odgryzła nitkę, którą reperowała spódniczkę Annie, i zauważyła:

- To dziecko wszystko drze. Zawsze wpada na meble. - Jak się teraz układa między Annie i Robertem?

- W porządku. Bez problemów.

Przynajmniej tak to wygląda. Robert wyszukuje im zbyt wiele zajęć, pomyślała. Ale może tak właśnie jest zdrowo? Chciałabym, żeby to było zdrowo... ale czy tak jest?

- We wtorek Robert leci do Europy - powiedziała lekko zakłopotana, bo Bruce nie leciał. Gdyby jej jednak nie powiedziała, byłoby jeszcze gorzej.

- Tak, wiem o tym.

Temat został wyczerpany. Potem Josie zapytała o Emily.

- Nie wspomina Harrisa, a ja już jej nie wpytyuję.

«To skończone», powiedziała mi. Więc może Robert miał rację, twierdząc, że to minie, a rany się ulecą. Tak myślę. Sama nie wiem.

- W każdym razie pracuje całymi godzinami, uczy się do późna w nocy. Ja uważam, że to zbyt długo, ale Robert powiedział, żeby dać jej spokój. Cóż, oczywiście jest bardzo dumny z jej osiągnięć. Ja także, ale przede wszystkim chciałabym, żeby była szczęśliwa. Wydaje mi się... - Lynn opuściła szycie na kolana i załamała ręce - ...tak strasznie mi jej żal, Josie, i chłopaka także.

- Bruce spotkał go parę razy, gdy mijał boisko w drodze na bieżnię. Wpytuje o Emily.

- Tak, bardzo mi ich żal - powtórzyła Lynn i dodała ze śmiechem. - Domyślasz się, że Robert ich nie żałuje. Jest zbyt rozgniewany. Nigdy im nie przebaczy.

- Niebezpiecznie zaczynać z Robertem - powiedziała Josie. - Posłuchaj, Lynn, nie chcę cię do niczego zmuszać. Ale przynajmniej mnie wysłuchaj. Musisz z kimś porozmawiać. Utrzymywanie wszystkiego w tajemnicy, a wiem, że to robisz, w końcu cię zniszczy. Bóg jeden wie, co się może zdarzyć. - I powtórzyła. - Robert to złośnik.

Lynn poczuła się urażona tymi słowami. Po pierwsze Josie przesadzała, a po drugie to niegodziwe, dyskredytować męża w oczach żony. Bez względu na to, co o nim myślała.

Była to jednak jedyna skaza na ich przyjaźni. Musiała to przyznać. Musiała również wziąć pod uwagę niemiłe rzeczy, które Robert mówił o Josie. Odrzekła ze spokojem:

- Robert pracuje w wielkim napięciu. Teraz jeszcze stara się zapewnić przyszłość oczekivanemu dziecku, synowi. Jest przekonany, że to będzie syn.

- Och, to oczywiste, że on pragnie syna.

- Cóż, mamy już dwie córki, Josie. Poza tym Robert to pracoholik. Czasami boję się, że zapracuje się na śmierć.

- Jeśli tak się stanie, to z jego wyboru.

- Och, nie. On pragnie żyć i wychować tego chłopca. Ma wielkie plany. To zadziwiające, gdy się go słucha. Zdawałoby się, że posiadanie dziecka to najlepsze, co może się zdarzyć w życiu. Cóż, ja zresztą także tak uważam. - Poczowała zakłopotanie, mówiąc to do bezpłodnej kobiety, i zamilkła.

Josie odpowiedziała szybko.

- Nie musisz mi współczuć. Już dawno temu pogodziłam się z myślą, że inne kobiety mają dzieci, a ja nie. Trzeba umieć spojrzeć prawdzie w oczy. Jednej po drugiej. Przez całe życie.

Lynn oprzytomniała.

- Ty z pewnością stawisz im czoło. Pamiętam, jak zachowywałaś się, gdy miałaś operację. Byłaś zadziwiająca. - Uśmiechnęła się. - Dzięki Bogu, teraz już wszystko w porządku.

- To stwierdzenie czy pytanie?

- Cóż, myślę, że jedno i drugie. - Lynn wzdrygnęła się. - Czujesz się dobrze, prawda?

- Nie można mieć pewności - spokojnie odpowiedziała Josie. - Czy coś można wiedzieć na pewno?



- Chyba nie. Ale czy ty mi mówisz coś złego... coś złego na temat swego zdrowia?

- Nie. Ja ci tylko mówię, że patrzenie prawdzie w oczy nie jest najłatwiejszą rzeczą, jakiej musimy się w życiu nauczyć.

Zapadła cisza, a potem Josie wstała, żeby wyjść. Pozostawiła po sobie nieokreślony niepokój, pustą przestrzeń, chłodny powiew i zagadkowe przesłanie. Lynn poczuła się tak, jakby ją zbesztano.

W poniedziałek, na dzień przed wyjazdem, Robert wcześniej wrócił do domu. Kupił sobie nową walizkę i położył ją na łóżku, żeby się spakować. Na toalecie leżał jego paszport i czeki podróżne. Na drzwiach szafy wisiał nowy płaszcz. W ręce trzymał kartkę ze spisem rzeczy do pakowania.

Podczas kolacji był w euforii.

- To znacznie więcej niż kwestia pieniędzy. Chodzi o pokój światowy. Przyszłość świata zależy od powodzenia Wspólnoty Europejskiej. Musimy w jakiś sposób związać te wszystkie wschodnie republiki z NATO. Dlatego takie ważne są podstawy ekonomiczne. - Mówił i mówił, a oczy mu błyszczały.

Po kolacji wrócili na górę. Mówił, składał rzeczy i pakował do walizki. Nie chciał, aby Lynn zrobiła to za niego, wolał swoją własną metodę. Sprawdzał w spisie i czytał głośno:

- Notes, aparat fotograficzny, film, słownik. Są. - Zwrócił się do Lynn. - O, Boże. Będę za tobą tęsknił. Tylko za tobą - powiedział poważnie. - Dziewczynki są już chyba w łóżkach. Ucałuję je na do widzenia jutro rano. Chyba że będą jeszcze spały.

- Wstaną.

- Wyjeżdżam skoro świt. Gdzie jest Juliet?

- Tutaj. Po drugiej stronie łóżka. Wypuszczę ją.

- Nie, nie. Ja to zrobię. Chodź, malutka - powiedział i pies powłókł się za nim ziewając i przeciągając się.

Nie minęło pół minuty, gdy Lynn usłyszała krzyki dobiegające z kuchni. Zbiegła na dół. Robert stał nad Annie, która dygotała w szlafroku, a po jej twarzy spływały łzy. Przed nią na kuchennym stole stała miseczka z piramidą lodów, bitej śmietany, polewą czekoladową i solonymi migdałami.

- Spójrz! Tylko popatrz na to! - krzyczał Robert. - Nic dziwnego, że nie może schudnąć. Annie, jesteś świnią. Jesteś gorsza niż świnią,

bo przypuszczalnie zostałaś obdarzona inteligencją. Jesteś po prostu obrzydliwa.

Annie łkała.

- Nie masz prawa mówić mi takich rzeczy. Nikogo nie zamordowałam. Jeśli chcę być gruba, to będę gruba. To moja sprawa.

Lynn cierpiała. Głaszcząc dziecko po głowie, powiedziała:

- Och, Annie. Zjadłaś przecież dobrą kolację. Powinnaś być już w łóżku. Robert przerwał jej.

- Przestań się przymilać i pieścić ją. To stały problem w tym domu. Żadnej dyscypliny. Żadnych rygorów. Robią, co im się żywnie podoba.

Chwycił czarękę, Annie chwyciła ją z drugiej strony i cała zawartość wylała się na stół. Annie wrzeszczała:

- Puść to! To moje!

- To straszne - lamentowała Lynn. - Nie mogę tego znieść! Robert, na litość boską, daj jej spróbować łyżeczkę. Potem pozwoli ci to wyrzucić, wiem, że tak zrobi.

- „Pozwoli mi?” Co to ma znaczyć? Nikt w tym domu nie będzie mi na nic pozwalał. Jestem tu ojcem - wrzasnął i chwycił czarękę. - A to wylądować tam, gdzie jego miejsce. W śmietniku.

Wiekopadało z hukiem, a Annie zawyła:

- To było podłe! Jesteś najgorszym ojcem. Podłym!

- Może jestem podły, ale ty jesteś paskudna. Całkowicie i absolutnie. Rozczarowałaś mnie. Powinnaś trochę nad sobą panować.

Lynn zaprotestowała:

- To okrutne, Robercie. Prawda, że Annie powinna dbać o linię, ale nie jest paskudna. Jest śliczną dziewczynką i...

- Lynn, daj spokój tym mdłym gadkom. Niedobrze mi się robi. Zaraz zwymiotuję.

- Nie wrzeszcz na mamusię! Zostaw mamusię w spokoju!

Stali naprzeciw siebie. Schludny, wysoki mężczyzna oko w oko z małą, grubą dziewczynką. Pod szlafrokiem Annie zaznaczał się wystający brzusek. Twarz zwykle blada, teraz pokryta była czerwonymi plamami z wściekłości. Lynn starała się opanować.

- Chodź ze mną na górę. Chodź spać - powtórzyła spokojnie. - To nie ma sensu. Gdy uspokoila Annie i wróciła do sypialni, Robert czytał w fotelu.

- Cóż - powiedziała - bardzo miłe pożegnanie. Będzie co wspominać.

Na stoliku obok fotela Roberta leżał stos kartek świątecznych i zdjęć. Wybrał fotografię rodziny Fergusonów, stojących na tle udekorowanego girlandami z ostrokrzewu kominka w salonie. Wszyscy byli uśmiechnięci. Nawet Juliet, ze zwisającym językiem, sprawiała wrażenie szczęśliwej. Odrzucił zdjęcie na stos i powiedział z ironią:

- Idealna amerykańska rodzina. Oto ona. Idealna.

- Żeby tak tracić opanowanie z powodu miski z lodami! - zaprotestowała Lynn.

- Wiesz dobrze, że chodzi o coś więcej. Chodzi o nieprzestrzeganie zasad, o nieposłuszeństwo, bunt.

- Nazwałeś ją „paskudną”. To niewybaczalne. Brutalne.

- Nieprawda. Pracowałem z nią. Widziałaś, ile czasu spędziłem, próbując wyzwolić ją z tego nałogu. Odrabiałem z nią lekcje. Staralem się z wszelkich sił, a ona ciągle przynosi do domu słabe dostateczne. Nie wiem, co jeszcze można zrobić.

Robert wstał i podszedł do toaletki, na której ułożył starannie swoje grzebienie i szczotki. Potem zbliżył się do okna.

Dziecko poruszyło się w brzuchu Lynn. Było takie ciężkie, musiała usiąść.

- To nie do zniesienia - powiedziała.

- Co mam zrobić? Czego ode mnie chcesz? Mam chodzić na paluszkach? Udawać, że nic nie zauważam? Może gdybyś zaprowadziła tu lepszy porządek...

- Porządek? A co nie jest w porządku? Czy możesz mi dać jakiś inny przykład prócz dzisiejszych lodów?

- Okay. Cała ta historia z zeszłego tygodnia, gdy wybierała się do szkoły z dziesięciocentowym pierścieniem na każdym palcu. Wyglądała śmiesznie i powiedziałem to, a ty pozwoliłaś jej tak pójść.

- Och, na litość boską, w jej klasie panuje taka moda. Nawet jeśli wygląda to śmiesznie, cóż to szkodzi? Więc pozwoliłam jej, a teraz okazuje się, że jestem nieudaną matką.

- Tego nie powiedziałem. Nie nazwałem cię nieudaną matką.

Ale tak sobie pomyślałeś. Dobrze wiem. Odkąd pozwoliłam, aby Caroline utopiła się.

- Sugerowałeś to - powiedziała.

- Po co ta cała gadanina? Co my właściwie robimy? - Uderzył się pięścią po otwartej dłoni.

Nie powinnam się z nim kłócić, powiedziała sobie. Jest napięty, jutro rano musi wyjechać, potrzebuje odpoczynku. Annie zapomni o wszystkim. Ja zapomnę. I wszystko minie. Po prostu zachowaj spokój.

A jednak wymknęło jej się.

- Nie wiem, co ty robisz, ale wiem, co ja robię. Próbuję sobie z tym wszystkim jakoś poradzić.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Ty? Ty próbujesz? Poradzić sobie? Podczas gdy ja zapracowuję się, żeby wykorzystać najwspanialszą możliwość, jaka nadarzyła mi się w całym życiu... w życiu nas wszystkich... zbieram wszystkie siły, aby wykonywać pracę specjalisty pomimo nieszczęść w tym domu, nieszczęść, na które ty pozwalasz...

Zerwała się z krzesła.

- Aluzja do Emily? Tak? To już za wiele. To nienormalne.

- Nienormalne? Nie chcesz tego słuchać, ja wiem. I bądź łaskawa zauważyć że nie ja zacząłem o tym mówić. Tylko z uwagi na twój stan, Lynn. Wyłącznie.

- Głośniej! Mów głośniej. Niech cię usłyszy.

Podszedł do drzwi, zamknął je i powiedział ściszym głosem.

- Ostrzegałem cię i ostrzegałem przed tym bękartem. Ale ty nie kiwnęłaś palcem, Niech się dzieje, co chce - oto twoja dewiza. Nie pilnowałaś jej. Zniszczyłaś piękną dziewczynę, zrujnowałaś jej życie.

Lynn rozgniewała się jeszcze bardziej.

- Słuchaj, ty, z twoimi niesłusznymi oskarżeniami. Ja także mogę cię oskarżyć. Miałam na to ochotę już wiele razy. I moje oskarżenia nie będą fałszywe. Wiesz dobrze, o co chodzi...

Robert zerwał się, złapał ją za ramiona i potrząsnął nią.

- Gdybyś nie była w ciąży, już ja bym ci...

- Zabierz ręce, Robercie. To boli. A teraz daj mi spokój. Słyszysz?

- Przeklęty dom wariatów - wymamrotał i odsunął się od niej. - Jestem szczęśliwy, że się stąd wynoszę.

Lynn położyła się z nadzieją, że zaśnie. Gniew to katastrofa. Niektórzy ludzie rozkwitali w gniewie, lecz ją gniew niszczył. Leżała, podczas gdy Robert rozbierał się i robił ostatnie porządki. Usłyszała,

jak pękło mu sznurowadło, gdy zdejmował buty; słyszała, jak szperał przy świetle słabej lampki, szukając nowego sznurowadła.

Gdy wreszcie położył się, nie odwróciła się w jego stronę, jak to miała w zwyczaju, a on nie odwrócił się do niej.

Gdy obudziła się rano, już go nie było.

Ranek był promienny. Ale Lynn dziś nie sprawiało to najmniejszej przyjemności. Nic jej nie cieszyło. Czuła niewielkie nudności. Odsunęła filiżankę. Zbyt dużo kawy. Zbyt wiele ponurych myśli.

W domu panowała cisza. Wstała i poruszając się z trudem, podeszła do biurka. Przejrzała terminarz. Na dziś przypadała comiesięczna wizyta u położnika, który zbeszta ją za to, że nie przybrała na wadze. Oprócz tego miała załatwić kilka sprawunków. Lunch z Josie przełożyły, bo Josie przeziębila się. I dobrze, Lynn nie miała ochoty na spotkania towarzyskie.

Doktor Rupert musiał wyjechać i Lynn została przyjęta przez jego kolegę - młodego człowieka, młodszego od niej. Miał długie, kręcone włosy, sięgające do ramion. Takie włosy przestały być modne w latach osiemdziesiątych, lecz moda najwyraźniej powracała. Przykryta białym prześcieradłem usiadła na fotelu, obserwując lekarza, który przeglądał jej kartę.

- Mdłości w zeszłym miesiącu. A teraz? - zapytał.

- Nadal miewam od czasu do czasu.

- W szóstym miesiącu. To rzadkość.

- Wiem. W czasie poprzednich ciąży nie zdarzały się. - Zapisane jest, że czuje pani niezwykle zmęczenie.

- Czasami. - Nie miała ochoty na rozmowę. Niech zrobi swoje i pozwoli jej odejść! - Brzuch jest dużo większy niż przy poprzednich dzieciach, więc myślę, że po prostu mam więcej do dźwigania.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Możliwe. Ale ma pani podwyższone ciśnienie. Nie drastycznie, ale bez wątpienia podwyższone. Czy domyśla się pani, dlaczego?

Zaniepokojona odpowiedziała szybko:

- Nie. Czy to bardzo źle?

- Nie. Powiedziałem, że nie drastycznie. Ale należy się zastanowić, dlaczego. Czy coś panią zdenerwowało?

Próbował ją zachęcić uśmiechem, ale ona nie miała ochoty na żadne wyznania. Jednak musiała coś odpowiedzieć.

- Po prostu mój mąż wyjechał dziś rano do Europy. Trochę się niepokoję. Nie mogę myśleć o niczym innym.

Spojrzał jej prosto w oczy. Jego oczy były przenikliwe, zmrużył je pod ściągniętymi brwiami, jakby rozwiązywał matematyczne zadanie lub zagadkę.

- Zastanawiam się... - powiedział powoli. - Co to za ślady na ramionach...

- Ślady? - powtórzyła spoglądając na niebieskozielone plamy powyżej łokci; tam, gdzie wczoraj wieczorem Robert zacisnął swoje palce.

- Ach, to - wzruszyła ramionami. - Nie mam pojęcia. Jestem podatna na sińce. Ciągłe znajduję jakieś sińce i nie wiem, skąd się wzięły.

- Symetryczne sińce. Ktoś je musiał zrobić - powiedział uśmiechając się swobodnie. Przejrzała go na wylot. Jego celowo nonszalancki sposób bycia, przymilny, jakby zwracał się do dziecka.

Ojciec powiedział kiedyś: «Ktoś ci te ślady zrobił, Lynn, chcę wiedzieć, kto to.»

- Czy ma pani coś do powiedzenia? - zapytał lekarz.

Odniosła wrażenie, że jest po prostu ciekawy. Poczula oburzenie. To nowa moda; taka sama jak w gazetach i telewizji, ludzie mówią, cokolwiek przyjdzie im do głowy, nie licząc się z dobrymi manierami ani taktem. Węszą i rozglądają się bez najmniejszego uszanowania dla czyjejś prywatności; po prostu wywal z siebie wszystko.

- O co panu chodzi? - odparła. - Cóż miałabym panu powiedzieć? Młody człowiek, widząc jej dumny wyraz twarzy, wycofał się.

- Przepraszam. Spytałem na wszelki wypadek. To wszystko na dzisiaj. W przyszłym miesiącu przyjmie panią jak zwykle doktor Rupert. - I zajął się jej kartą.

Lynn opuściła gabinet z bijącym sercem. Wścibski. Wścibski złośliwiec. Zastanawiała się, co też zapisał w jej karcie. Dwa sińce powyżej łokci.

Serce waliło jej jeszcze, gdy popychała wózek w sklepie samoobsługowym. Później, gdy ładowała zakupy do samochodu, zauważyła na parkingu Harrisa Webera z matką. Stali przy następnym rzędzie samochodów. Serce znów przyspieszyło. Nie zauważyli jej, więc schyliła się jeszcze niżej. Chciała, aby odjechali nie zauważywszy jej. Unikała ich nie dlatego, że czuła do nich antypatię.

Nie miała nic przeciwko Harrisowi. A tym bardziej przeciwko jego matce. Po prostu nie mogła znieść tego, że ta nieznajoma kobieta wie, co zaszło pomiędzy nią a Robertem... Chciała się schować, nie patrzeć jej w twarz i nie widzieć... Co właściwie zobaczyłaby? Ciekawość? Litość? Zadowolenie?

Ale stali tam tak długo, że Harris chyba zauważył jej samochód. Coś kazało jej się wyprostować, aby nie sprawiać przykrości chłopakowi.

- Dzień dobry - powiedziała i lekko mu pomachała.

Spojrzał na nią pogodnie. To jego jasne, serdeczne, niewinne spojrzenie, pełne słodyczy, a jednocześnie bardzo męskie od początku robiło na niej dobre wrażenie.

- Dzień dobry, pani Ferguson.

- Jak się masz? - krzyknęła ponad maską samochodu.

- Dziękuję, dobrze. A pani?

Skinęła głową z uśmiechem; matka Harrisa także skinęła głową i uśmiechnęła się w milczeniu, dość grzecznie i odrobinę nieśmiało. I po wszystkim. Odjechali starym, terkoczącym samochodem.

To nie było wcale takie straszne, pomyślała Lynn. Postąpiła słusznie. A jednak to przelotne spotkanie zasmuciło ją, nie ze względu na nią samą, lecz z powodu Emily. Wróciła do domu. Wypakowała zakupy. Usiadła, aby przejrzeć pocztę. Głównie rachunki i kartki świąteczne. Nadal czuła smutek. Wsłuchiwała się w ponurą ciszę.

Zadzwonił telefon. Musiała przysnąć, bo aż podskoczyła na jego dźwięk.

- Cześć - powiedział Robert.

- Skąd dzwonisz? - krzyknęła.

- Z Londynu. Mówiłem ci, że po całonocnym locie zatrzymamy się tu na noc. Rano odlecimy do Berlina. Mieliśmy udany lot.

- To dobrze - powiedziała drętwą.

- Lynn, u nas jest noc, ale nie mogłem zasnąć, nie porozmawiawszy z tobą. Czekałem, aż wrócisz od lekarza. Jak się czujesz?

- Masz na myśli stan mego zdrowia czy mego ducha?

- Jedno i drugie.

- Zdrowie w porządku. A co do drugiego, to sam się domyślasz.

- Lynn. Tak mi przykro. Strasznie cię przepraszam. Powiedziałem, że lot był Udany. Ale to nieprawda. Przez całą drogę

myślałem o nas. O nas i o Annie. Bóg jeden wie, że nie chciałem ranić jej uczuć. Nigdy nie chciałem.

- Ranisz ją, bo to nie Emily. Nie jest piękna i...

- Nie, to nieprawda. Robię dla niej wszystko, co tylko w mojej mocy. Ale nie jestem taki cierpliwy jak ty. Przyznaję, zawsze przyznaję się do winy, prawda?

Miała ochotę zapytać go: mam policzyć wszystkie przypadki, gdy się przyznałeś, i te, kiedy się nie przyznałeś, i wyciągnąć średnią? Ale dzielenie włosa na czworo prowadzi donikąd. To tyle samo warte, co marsz w miejscu.

Westchnęła.

- Chyba tak.

- Poczuję się zawiedziony. Chcę dla niej jak najlepiej, a ona tego nie rozumie. Annie jest trudna.

Z tym musiała się zgodzić. A jednak zwlekała z odpowiedzią. W końcu powiedziała:

- Nikt nie jest łatwy, Robercie.

- To nieprawda. Ty nie jesteś trudna. Jesteś najmiłą, najłagodniejszą, najrozsądniejszą, wrażliwą, cudowną kobietą i ja na ciebie nie zasługuję.

Czy to ten sam wrogi, nachmurzony mężczyzna, który wrzeszczał wczoraj w kuchni? Chwytał boleśnie za ramiona? A potem w łóżku odwrócił się do niej plecami? Tak, oczywiście, ten sam. A potem sama siebie skarciła: Nie udawaj, że jesteś zaskoczona.

- Lynn, jesteś tam?

- Jestem, jestem.

- Powiedz Annie, że ją przepraszam, dobrze?

- Tak. Powiem jej.

- Wszystko tak głupio wyszło. Odwróciliśmy się od siebie, nie życząc sobie dobrej nocy. A rano nie pożegnaliśmy się. A gdyby któreś z nas miało wypadek jak Remy'owie? Nie zobaczylibyśmy się już nigdy.

Remy'owie, sąsiedzi z naprzeciwka, Linda i Kevin. Przypomniała sobie tę tragedię. W uszach Lynn zabrzmiał straszliwy płacz Lindy. Gdy powiadomiono ją o wypadku, płakała tak głośno, że zbiegli się ludzie z całego kwartału. A Linda zupełnie oszalała. „Wyjechał do pracy godzinę temu!” - płakała i powtarzała. - „Wyjechał do pracy godzinę temu!”



- Ta pełna gniewu noc mogła okazać się naszą ostatnią. Pomyśl o tym - powiedział Robert.

Atak serca. Rozbity samolot albo wypadek samochodowy we mgle na śliskiej od deszczu drodze w obcym kraju. Jego pokiereszowane ciało. Odesłaliby je do Ameryki. Nigdy więcej nie usiadłby już w swoim fotelu.

- Lynn, dobrze się czujesz? Co ci jest?

- Nic. W porządku.

Ale przeraził ją. Ujrzała samą siebie w pustym domu, bo czymże były dzieci - tylko przedłużeniem jej własnego życia. Te wrażliwe dziewczyny i to nie narodzone maleństwo. A on nie wróciłby. Nie słyszałaby już męskiego głosu ani męskich, zdecydowanych kroków na schodach. Nie mogłaby się oprzeć na męskim, silnym ramieniu.

- Nerwy mnie zawiodły - powiedziała. - Powinnam była pogodzić was wczoraj wieczorem. Ale zupełnie straciłam głowę. A poza tym nie jestem już dwudziestolatką - zakończyła ze skrucą.

- Jesteś taka jak wtedy, gdy poznaliśmy się. Zawsze będziesz młoda. Powiedz mi, że mnie troszkę kochasz. Powiedz, a to mi pozwoli przetrwać aż do powrotu. Powiedz, że już się na mnie nie gniewasz.

Czuła drżenie jego głosu i jego ból.

- Kocham was wszystkie, ale ciebie najbardziej. Bez ciebie jestem niczym, Lynn. Przebacz mi te wszystkie razy, gdy cię skrzywdziłem. Przebacz mi, proszę.

- Tak. Przebaczam.

Siady na ramionach, gniewne słowa, cóż znaczyły wobec jego dobroci? Nic. Nic. Dzielią nas tysiące kilometrów, a jednak łączą nas takie więzy, że czuję się, jakby Robert był ze mną w tym pokoju i dotykał mnie. Zadziwiające! Gniew ustąpił. Poczula, że znika chłód, który spowijał ją przez cały dzień, a w jego miejsce pojawia się miłe ciepło.

- I kochasz mnie, Lynn?

- Tak, tak. Kocham. Kocham cię, mimo wszystko.

- Trzymaj się, skarbie. Pozdrów córeczki. Za kilka dni znowu zadzwonię. Czuła ulgę. Siedziała, trzymając w rękach telefon, tak jakby ta ulga płynęła z niego.

I wtedy zadzwonił znowu.

- Witaj. Tu Tom Lawrence. Jak się czujesz?

- Dobrze. Dziękuję. - Usłyszała, że się wdzięczy.

- Wiesz, czemu dzwonię? Zastanawiałem się, czy możesz mi wyświadczyć przysługę. Do miasta przyjedzie moja siostra z córką. Mieszkają w Honolulu.

Pomyślała, że nadszedł czas, żeby Sybil zobaczyła coś poza Hawajami. Sybil ma dwanaście lat. Czy twoja córka nie jest w tym samym wieku?

- Tak. Annie ma jedenaście lat.

- To świetnie. Czy mogę ją wypożyczyć? Jak myślisz, czy ona zechce pojechać do Nowego Jorku? Poszlibyśmy na przedstawienie, może do muzeum. Jak ci się to podoba?

- Brzmi bardzo zachęcająco.

- Świetnie. Zabierzemy Annie jutro rano. A potem pojedziemy pociągiem.

- Annie będzie zachwycona. Przepada za Nowym Jorkiem.

- To będzie dla mnie coś zupełnie nowego. Z dwiema takimi młodymi damami. Moja siostra chce spędzić ranek na zakupach, więc zostanę sam z dziewczynkami.

- Doskonale dasz sobie radę. Jestem pewna.

- Annie polubi Sybil. To miła dziewczyna, mimo że jest moją siostrzenicą. Lynn poczuła lekkie zaniepokojenie. Z jakiegoś powodu wyobraziła sobie siostrę

Toma jako jedną z owych eleganckich kobiet, które widziała u niego na przyjęciu. Z pewnością będzie niewiarygodnie chuda. A jej córka równie chuda i ubrana we francuskie rzeczy. Wiele jest takich dziewczyn. Wyglądają na szesnaście lat. Ale Annie do nich nie należy.

Toteż następnego ranka, gdy otworzyła drzwi Tomowi i jego rodzinie, poczuła ulgę. Siostra Toma wyglądała jak jego bliźniaczka, była ładna, sympatyczna i przyjacielska. Sybil, podobnie jak matka, nie była ani chuda, ani gruba, ani tak ładna.

Annie spędziła wspaniałą sobotę. Przy obiedzie powtarzała z zachwytem:

- Jadłam tort czekoladowy z truskawkami i bitą śmietaną. Powiedziałam im, że ojciec powtarza mi, że jestem za gruba, a Tom pocieszył mnie, że mogę rozpocząć dietę, gdy będę starsza, ale na razie nie powinnam się przejmować.

- Tom? Mówisz do pana Lawrence'a Tom?

- Powiedział, żebym tak się do niego zwracała. Sybil mówi do niego „wujek Tom”. Padał deszcz ze śniegiem. Słysząc było jak uderza w szyby.

- Przyjemnie jest jeść tutaj, w kuchni - powiedziała Emily. - Przytulnie. To prawda. W jadalni zawsze miało się wrażenie, że brakuje kilkunastu osób, bo stół - prawdziwy Sheraton - był tak długi, że zasiadać mogło przy nim osiemnaście osób. Jednak Robert orzekł, że jadalnia jest po to, aby w niej jadać. Annie nadal przejęta była minionym dniem.

- Powiedziałam mu, że nienawidzę moich włosów, bo są zbyt poskręcane. A on wytłumaczył, że jeśli mi na tym zależy, mogę je wyprostować u fryzjera. Powiedziałam, że tata nigdy mi na to nie pozwoli, a on na to, że gdy dorosnę, będę mogła robić, co mi się spodoba. Powiedział, że zna jedną panią, która wyprostowała sobie włosy i była bardzo zadowolona. - Annie zachichotała. - Założę się, że miał na myśli jedną ze swoich żon.

Lynn i Emily wymieniły spojrzenia. I Emily ofuknęła Annie.

- Nic nie wiesz o jego żonach.

- Owszem. Wiem. Sybil mi powiedziała. Miał dwie. A może trzy, tak jej się wydaje. - Annie zamyśliła się. - Wiesz co? Jeśli się rozwiedziesz z tatusiem, myślę, że powinnaś wyjść za Toma.

- Dlaczego? Annie! Tak jakbym miała zamiar kiedykolwiek rozwieść się z tatusiem.

- Wydawało mi się, że wybierzesz raczej wujka Bruce'a - zauważyła Emily. - Tak bardzo go kochasz. - Mówiąc to wykrzywiła kąćki ust w sposób, który mógł być zarówno cyniczny, jak i żartobliwy, lub jedno i drugie.

A Annie odpowiedziała z powagą.

- Tak, oczywiście, że go kocham, ty głuptasie, ale on ma ciocię Josie. Lynn zbeształa je obie:

- To głupie gadanie. I żebyś nie powiedziała czegoś takiego przy tatusiu. Wraca do domu w przyszłą środę.

- Mamy jedenaście dni. Już tylko jedenaście dni - powiedziała Annie. - Miałam nadzieję, że zostanie tam dłużej.

- Cóż, właśnie wtedy skończy pracę - wytłumaczyła Lynn. - Więc wróci do domu.

- Dopiero co wyjechał. Co za sens wyjeżdżać, skoro się zaraz wraca? Wiele tam nie zrobi. Może następnym razem dadzą mu więcej pracy.

- Wyprowadź Juliet na dwór. Powinna teraz wyjść - powiedziała Lynn.

W poniedziałek Emily wróciła niezadowolona do domu.

- Ten dzieciak! Znowu nie zdażyła na autobus. Myślę, że muszę wziąć samochód i wrócić po nią. Będzie przemoknięta, tyle czasu na dworze w taką pogodę.

Lynn spojrzała za okno, zacinął śnieg z deszczem. Wiatr pochylał drzewa. Wzgórze pokryte było marznącą warstwą wody.

- Nie, Emily. Ja pojadę. Drogi są bardzo śliskie. A ty prowadzisz od niedawna, nie poradzisz sobie.

Emily spojrzała na ogromny brzuch matki.

- A jeśli samochód złapie gumę i będziesz musiała wysiąść i upadniesz? Nie. Ja pojadę, mamó. Będę uważać.

Patrząc, jak ostrożnie wyprowadza z garażu samochód, Lynn pomyślała, że jej córka jest najbardziej odpowiedzialną młodą dziewczyną. Mimo to tkwiła na swoim posterunku przy oknie, towarzysząc Emily myślami w jej drodze do szkoły.

Zadzwoił telefon, jak zwykle w najmniej odpowiedniej chwili. Podniosła słuchawkę. Odezwał się nieznajomy głos.

- Lynn Ferguson? Mówi Fay Heller, sąsiadka pani siostry Helen z St. Louis. Czy pani mnie pamięta?

Lynn zadrżała.

- Tak. Tak. Czy coś się... gdzie jest Helen?

- Z Helen wszystko w porządku. Pojechali całą rodziną na narty. Dzwonię, bo nie ma ich w domu, a pani młodsza córka, Annie, jest tutaj.

Lynn zapadła się w fotel.

- Annie? Tam, u pani? Nie rozumiem.

Kobieta wyjaśniała spokojnym, kojącym tonem: - Proszę się nie bać. Wszystko w porządku. Nic jej się nie stało. Przyjechała taksówką koło trzeciej. Zobaczyłam, że dzwoni do drzwi Helen i, oczywiście, nikt jej nie otwiera. Więc poszłam po nią i zabrałam do siebie do domu. Nie chciała nic powiedzieć o sobie, a ja jej nie naciskałam, ale...

O, mój Boże! Uciekła z domu. Co jeszcze może się zdarzyć? Ucieczki nie mają sensu...

- Nie mam pojęcia, co jej przyszło do głowy! - krzyknęła Lynn. Wypowiadając te wyświechtane słowa myślała: Nie musisz zgadywać. Doskonale wiesz. Robert wraca do domu.

Epizod z lodami był okropny, ale... Uciekać... Annie, Annie... Czują łomot w skroniach. Ręka, w której trzymała słuchawkę, drżała.

- Dzieci czasami sprawiają niespodzianki, prawda? - Kobieta starała się ją pocieszyć. - W swoim czasie robiliśmy to samo naszym rodzicom.

Lynn myślała gorączkowo. Jak Annie zdobyła bilet i wsiadła do samolotu? Dziecko bez opieki, udające się w taką daleką podróż? Nie powinni jej sprzedać biletu.

- Czy mogę z nią porozmawiać?

- Namawiałam ją, żeby do pani od razu zadzwoniła, ale była oczywiście trochę zdenerwowana, więc pomyślałam, że lepiej dać jej spokój.

- Chyba nie boi się ze mną rozmawiać? Proszę jej powiedzieć, że nie będę jej robiła wymówek. Chcę tylko wiedzieć, jak się czuje. Proszę jej powiedzieć, bardzo proszę.

- Cóż, prawda jest taka, że jest bardzo zmęczona. Wysłałam ją na górę, żeby się położyła. Najpierw zjadła. Była głodna.

Teraz kobieta starała się jej nie urazić. Annie po prostu nie chce ze mną rozmawiać, pomyślała Lynn.

- Ona chce wracać do domu. Czy mam sprawdzić, kiedy odlatuje samolot. I odesłać ją?

Chce wrócić do domu! Och, dzięki Bogu!

- Nie. W tych okolicznościach nie chcę, aby leciała sama. Raczej dowiem się, kiedy ja mogę polecieć do St. Louis.

- U nas jest bardzo zła pogoda. Proszę mi pozwolić zatrzymać ją na noc. Jest już późno.

Do oczu Lynn napłynęły łzy, miała ściśnięte gardło. Kobieta najwyraźniej wyczuła to i powiedziała łagodnie.

- Pani pewnie myśli, że to dla nas kłopot. Ale tak nie jest. I tutaj jest jej zupełnie dobrze. Czy pamięta pani naszą trójkę? Dorośli i opuścili dom, ale ja nadal pamiętam jak postępować z taką dziewczynką. Więc proszę się nie niepokoić.

Lynn załkała.

- Jestem przerażona na myśl, co stałoby się, gdyby pani jej nie zauważyła. Bóg wie, kto mógłby się napatoczyć.

- Cóż, na szczęście nic takiego się nie zdarzyło. Proszę chwilkę poczekać, mój mąż coś mówi. O, miałam rację. Dziś wieczorem nie ma samolotu. Musimy poczekać do jutra.

- Dobrze. W takim razie przylecę jutro pierwszym samolotem. I, och, bardzo dziękuję. Sama nie wiem, co powiedzieć.

- Tym się proszę nie przejmować. Pani zrobiłaby to samo. A teraz niech pani śpi dobrze.

Musi otrzeć łzy i wziąć się w garść, zanim wróci Emily. W trudnych chwilach matka musi być silna, a nie rozdygotana. Matka powinna ukrywać swoje lęki i zmartwienia. Przy drzwiach Emily tupiąc strząsała śnieg z butów. Zawołała:

- Mamo? Mamo? Jej tam nie było. Szukałam wszędzie. Ten okropny dzieciak musiał pojechać do którejś ze swoich koleżanek. Mogłaby chociaż zatelefonować. Co, co się stało?

- Jak myślisz, co ta dziewczyna mogła zrobić, dokąd pójść?

Emily odpowiedziała poważnie.

- Annie jest bardzo wystraszona. Boi się swoich ponurych myśli.

Spojrzały na siebie. Lynn zdała sobie sprawę, że ostatnio zdarza im się często wymieniać takie zagadkowe spojrzenia. Przyszło jej również do głowy, że to ona właśnie pierwsza spuszcza oczy lub spogląda w inną stronę.

- Annie nigdy nie była łatwym dzieckiem, w przeciwieństwie do ciebie - powiedziała, bo coś trzeba było powiedzieć.

Dokładnie to samo powiedział Robert telefonując z Londynu. A Emily odpowiedziała jej dokładnie tak samo, jak ona Robertowi:

- Nikt nie jest łatwy.

Nie była w nastroju do filozofowania, nie teraz.

- Uciekła. Polecę po nią pierwszym samolotem. - A ponieważ Emily stała z niewyraźnym wyrazem twarzy, dodała: - Pamiętam tych Hellerów. To dobrzy znajomi cioci Helen. Nie ma powodu do wielkiego zmartwienia.

Emily powiedziała:

- Cóż. Mam masę roboty. Lepiej zabiorę się do pracy.

Czasami, pomyślała Lynn, nie mam w Emily żadnego oparcia. Wprawia mnie w zakłopotanie, zupełnie jakby Annie uciekła z domu przeze mnie.

Trzeba było wypuścić psa. Lynn stała w kuchennych drzwiach, a Juliet pobiegła w krzaki. Gałązki były pokryte lodem. Pies przykucnął, wrócił do domu i strząsnął wilgoć, spryskując posadzkę kuchni. Lynn pod wpływem impulsu uklękła obok Juliet i objęła ją. Potrzebowała ciepła żywej istoty.

- O, Boże - powiedziała, gdy pies lizał ją po rękach.

Ale potrzebowała również słów. Ciepłych słów, a tego pies nie mógł jej dać. Podeszła do telefonu. Musiała powiedzieć Josie.

- Nic ci nie jest? - spytała Josie, gdy Lynn opowiedziała jej o wszystkim.

- Nie, nie. Chciałam tylko porozmawiać. Przepraszam, że zwałam na ciebie swoje kłopoty, akurat gdy jesteś chora.

- To tylko paskudne przeziębienie, z którego nie mogę wyjść, a ty wcale na mnie nie zwalasz kłopotów. Nie odkładaj słuchawki. Przyszedł Bruce i chce się dowiedzieć, o co chodzi.

Lynn słyszała, jak rozmawiają po cichu. Potem odezwał się Bruce:

- Lynn. Nie przejmuj się - powiedział. - Ja polecę i przywiozę ją z powrotem. Pogoda jest wstrętna. Nie możesz ryzykować, mogłabyś upaść. Polecę rano.

Lynn protestowała, lecz Bruce okazał się bardzo stanowczy, więc bardzo wyczerpana poszła do sypialni i położyła się. Nagle usłyszała głos. Przy łóżku stała Emily.

- Mamo, kochana. Obudź się. Śpisz już ponad godzinę. Musisz coś zjeść. Przygotowałam kolację.

Nazajutrz późnym rankiem zadzwonił Tom Lawrence, aby zaprosić Annie na pożegnalny obiad z Sybil, która wracała do domu. Jego zupełnie normalna i wypowiedziana żartobliwym tonem prośba zdenerwowała Lynn. Głos uwiązał jej w gardle.

- Annie nie ma w domu - zapięła falsetem. - Annie uciekła. Nastąpiła chwila ciszy. Cóż można odpowiedzieć w takich okolicznościach? Tom zapytał ją spokojnie, czy może mu coś jeszcze powiedzieć.

- Tak. Poleciała do St. Louis do mojej siostry. Tylko że siostry nie ma w domu... - Głos jej się załamał i Tom musiał poczekać. - Bruce po nią poleciał.

- To znaczy, że Robert jeszcze nie wrócił?

- Nie, wraca za trzy dni.

- Kto jest przy tobie, Lynn?

- Nikt. Wysłałam Emily do szkoły. A Josie jest okropnie przeziębiona, ma grypę. A nie chcę, by ktoś jeszcze o tym wiedział.

- To oczywiste. Nie powinnaś jednak być sama. Jadę do ciebie.

- O, nie. Nie trzeba. Czuję się dobrze. Naprawdę. - Na pewno wygląda okropnie. Jak ciężarna słońca z podkrążonymi oczami... Dziwne, że w takiej sytuacji zastanawiała się nad tym, jak wygląda. - A twoja praca, biuro...

- Jadę.

Drewno w kominku czekało gotowe, aby je zapalić. Przez moment spoglądała na nie niepewnie. Czowała się głupio, bo przyszło jej na myśl, że zachowuje się, jak oczekująca gości pani domu. Rozpaliła ogień i przeszła do kuchni, aby przygotować kawę. Ustawiła na tacy filiżanki i dzbanek do kawy, a potem dostawiła doniczkę z kwitnącymi fiołkami. Gdy Tom nadjechał, ogień płonął, kawa pachniała, a na półmisku na małym stoliku przed kominkiem leżały gorące bułeczki.

W dzinsach i flanelowej koszuli Tom pomimo swego wieku wyglądał jak student. Robert nigdy nie nosił dzinsów.

- Czy chcesz o tym porozmawiać? - zapytał. - Czy może porozmawiamy o głównych wydarzeniach dnia. A może w ogóle nie masz ochoty na rozmowę?

Rozłożyła ręce w geście zakłopotania.

- Nie wiem, jak to wyrazić. Ona jest takim trudnym, skrytym, humorzystycznym dzieckiem. - Zamilkła.

Tom skinął głową.

- Mimo to jest wspaniałym dzieckiem. Moja siostra nie mogła się dość nadziwić, że Annie, w porównaniu z Sybil, tak wiele wie.

A Robert skarżył się, że jest głupia.

- Twoja Annie to słodka, mała dziewczynka.

Twarz Toma była pełna współczucia. A oczy miał w kształcie listków; dziwne, że nie zauważyła tego nigdy przedtem.

- Wspaniale spędziła z wami czas. Bardzo jej się podobało. Wziął bułeczkę.

- Bananowa. Nie, to coś innego. Co jest w środku?

- Skórka pomarańczowa. Pomyślałam sobie, że wypróbuję nowy przepis. Dobra?



- Wspaniała. Mówiłem ci, powinnaś założyć własny interes. Ale w takich okolicznościach byłoby trudno.

Ogień strzelał na kominku zmuszając ich, aby oglądali jego taniec. Tom znów się odezwał.

- Czy mogę mówić szczerze? Annie martwi się swoim wyglądem, prawda? Nadwagą i kręconymi włosami?

- Tak. To bardzo miło z twojej strony, że podtrzymałeś ją na duchu - powiedziała Lynn.

I przypomniała sobie, na jaki pomysł wpadła Annie. „Powinnaś wyjść za mąż za Toma”. Uśmiechnęła się lekko. Tom otworzył usta, ale nic nie powiedział.

- Chciałeś coś powiedzieć, Tom.

- Nie. Zmieniłem zamiar.

- Dlaczego? Powiedz, proszę. Potrząsnął głową.

- Miałem z tobą kiedyś masę kłopotów, pamiętasz?

- Tak, bo mówiłeś nieprawdę.

Musiała to powiedzieć. Musiała. Ze stolika obok sofy spoglądała na nich oprawna w srebrną ramkę fotografia Roberta. Na palcu widoczna była obrączka. To on wpadł na pomysł, aby nosić obrączki podwójnej szerokości.

- Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że Annie kilka razy powtarzała, że jej ojciec złości się na nią z powodu nadwagi. Tylko tyle. Pomyślałem sobie, że to może wyjaśnić przyczyny jej ucieczki z domu.

Złości się. Ta okropna scena. „Jesteś paskudna”. Zalana łzami, pokryta plamami twarz dziecka. A potem: „Nie chciałem ranić jej uczuć. Kocham was wszystkie”.

- Sama nie wiem, co o tym myśleć - wyszeptała, tak jakby Toma nie było w pokoju. Tom łyknął trochę kawy, odstawił filiżankę, podniósł ją do ust, a potem znowu odstawił i wreszcie powiedział:

- Jestem twoim przyjacielem, Lynn. Nie znamy się od dawna ani bardzo blisko, ale mam nadzieję, że uważasz mnie za swego przyjaciela.

Najwyraźniej próbował nakłonić ją, aby poprosiła go o pomoc, przyznała się, że go potrzebuje. Pomimo kłopotów była wystarczająco czujna, aby to wyczuć. Nie miała o to pretensji, co ją zaskoczyło. Musiała mu coś odpowiedzieć, więc wyszeptała:

- Wiem, że pomógłbyś mi, gdyby to było w twojej mocy. Wystarczy, że siedzisz tu ze mną.

- Jesteś pewna, że nie mogę ci w niczym pomóc? Potrząsnęła głową.

- To jest coś, nad czym musimy popracować z wielką cierpliwością. Robert zawsze umiał przemówić do Annie, wyperswadować jej... jej złe humory... ale ostatnio mieli kłopoty. Cóż, ona dorasta, a dorastanie dla niektórych dzieci jest trudne.

- O, tak. Niewiele wiem na ten temat. Nie miałem nigdy dzieci, tylko żony. Skorzystała z okazji i zmieniła temat rozmowy.

- He, jeśli wolno spytać?

- Dwie i pół.

- I pół!

- Tak. Żyłem z jedną przez rok. Można powiedzieć, że to połowa żony.

- Roześmiał się. - Rozstaliśmy się po przyjacielsku. Za obopólną zgodą.

Lynn pomyślała: Gdybym z nim była, nie pozwoliłabym mu tak łatwo odejść. I przypomniało się jej, że gdy spotkała go po raz pierwszy, wyczuła w nim jakąś lekkość i promieniujące szczęście.

Spojrzał na nią pytająco i powiedział:

- Nie aprobujesz tego?

- Ja? Ja nie osądzam. Ale Robert... - I zamilkła.

To nie było w porządku. Nie należało również wspominać o problemach Roberta z Annie. Kłopoty rodzinne załatwia się w obrębie rodziny. Znów spojrzała na fotografię Roberta, która zdominowała pokój, mimo że była naturalnej wielkości. Tom także na nią popatrzył.

- Któregoś dnia rozmawiałem z Pete'em Monacco. Powiedział mi, że Robert wywarł na nich wielkie wrażenie. On sobie, oczywiście, wyobraża, że Robert i ja jesteśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi.

Na te słowa Lynn zarumieniała się. Powiedziała szybko.

- Cóż, Robert potrafi zrobić wrażenie. Sama nie wiem, skąd bierze tyle energii. Oprócz wszystkich dotychczasowych zajęć zabrał się teraz do organizowania pomocy finansowej na badania związane z AIDS.

- Nieprawdopodobna energia!

Zapadło krótkie milczenie, tak jakby zbliżyli się do granicy, której nie wolno im było przekroczyć. Wtedy właśnie zadzwonił telefon.

- Tak, Bruce? O, dzięki Bogu. Tak, pospiesz się. - Odłożyła słuchawkę.

- To Bruce, dzwonił z lotniska. Wracają do domu. Annie jest w dobrym humorze. Mam się nie martwić. - Otarła łzy z oczu. - Nie martwić się. Postaw się na moim miejscu.

- Ale czujesz się o wiele lepiej?

- Tak. Porozmawiam z Annie bardzo, bardzo poważnie. Od serca. Muszę do niej dotrzeć. - Mówiąc to była przekonana, że to jedyne rozsądne wyjście. Omówić wszystko i osiągnąć porozumienie. Annie musiała uciec z domu pod wpływem głupiego impulsu, ale teraz wraca; świat się nie zawalił. - Tak. Czuję się lepiej - powtórzyła.

Tom wstał i powiedział:

- Przeżyłaś swoje. Teraz cię zostawiam. To ostami dzień pobytu mojej siostry.

- Oczywiście. Wspaniale, że w ogóle przyszedłeś.

- Jesteś śliczną kobietą, Lynn. Ale staromodną. Och, nie mam na myśli ubrań.

Wyglądasz jak dama z Fifth Avenue. Chodzi mi o to, że prezentujesz staromodną małomiasteczkową ufność. Czy wyrażam się jasno? Uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- Niezupełnie.

- Chodzi mi o to, że ufność wyszła teraz z mody. Ujął jej dłoń i podniósł do ust.

- Nauczyłem się tego podczas ostatniego pobytu w Wiedniu. Oni nadal to robią. Całuję twoją dłoń, szanowna pani.

Zaskoczona i nieco zakłopotana powtórzyła, odprowadzając go do drzwi:

- To cudowne, że przyszedłeś. Bardzo ci dziękuję.

- Zawsze do usług. Pamiętaj - powiedział i odszedł.

Została sama, wciąż zaintrygowana. Czy to tylko nadzwyczajna uprzejmość, czy coś więcej? Była przecież taka niedoświadczona. Odkąd skończyła dwadzieścia lat, Robert był jedynym mężczyzną, z którym rozmawiała i przebywała sam na sam. Ale uznała, że zachowanie Toma pochlebilo jej. Dla kobiety w ciąży, z kłopotami na głowie, było to bardzo przyjemne uczucie.

- Jesteśmy! - krzyknął Bruce, gdy Emily otworzyła drzwi.

Lynn rozwarła ramiona i Annie wpadła w nie z rozpędu, chowając twarz na piersi matki. Bruce przyglądał się temu z mieszaniną radości i ulgi, a szkła okularów zasłyły mu mgłą.

- Czemu to zrobiłaś? - zawołała Lynn. - Tak potwornie nas przestraszyłaś. Dlaczego? Powinnaś najpierw ze mną porozmawiać.

- Nie gniewaj się na mnie. Ja także byłam przerażona. - Skargę Annie stłumił sweter Lynn. - Przestraszyłam się, gdy wsiadłam do samolotu. Żałowałam, że to zrobiłam, ale nie mogłam już z niego wysiąść, prawda?

- Nie, nie. W każdym razie nie bez spadochronu. - I Lynn mocniej przytuliła córkę. A potem zapytała: - Jak ci się udało kupić bilet?

- Kilka starszych dziewcząt leciało na uczelnię i pozwoliły mi powiedzieć w kasie, że jestem siostrą jednej z nich. A kiedy już tam dotarłam, chciałam wrócić, ale zabrakło mi pieniędzy. Całą zawartość skarbonki zużyłam na bilet w tamtą stronę. Musiałam pójść do cioci Helen. I dzwoniłam do drzwi, ale nikogo nie było, i... - sprawozdanie zakończyło się przeciągłym łkaniem - ...i chciałam do domu!

- Oczywiście, że chciałaś. I teraz jesteś w domu.

Ależ to dziecko było odważne! Żeby tak wszystko zaplanować i wprowadzić w czyn, musiała wykazać nie lada spryt i odwagę.

Annie wyswobodziła się z objęć, wytarła nos wierzchem dłoni i potrząsnęła głową. Po twarzy spływały jej łzy. Zmiętoszony kołnierz płaszcza miała zagięty do wewnątrz. Gdyby dziewczynka była ładna, pomyślała Lynn, nie budziłaby takiego współczucia i niepokoju. Powtórzyła łagodnie:

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Cokolwiek to było?

- Nic byś mi nie odpowiedziała. A zresztą tu jest okropnie. Dom jest pełen tajemnic. Ty jesteś chora...

Tutaj Lynn musiała zaprotestować:

- Kochanie, nie jestem chora. Czasami, gdy kobieta jest w ciąży, zachowuje się trochę inaczej, to wszystko. To nie jest choroba. Przecież wiesz. Tłumaczyłam ci to.

- Ale nie o taką chorobę mi chodzi. A poza tym z Emily też coś jest nie w porządku. Zmieniła się. Stale przesiaduje w swoim pokoju. Prawie się do mnie nie odzywa.

Teraz przerwała jej Emily.

- To nie tak, Annie. Muszę się uczyć. A poza tym rozmawiam z tobą.

- Nie pozwalasz mi do siebie wchodzić i ja wiem, dlaczego. Płaczesz i nie chcesz, żebym to widziała. Nikt mi nie mówi prawdy. Gdy poszłaś do szpitala, powiedziałaś mi, że coś zjadłaś, że masz zakaźną gripę czy coś w tym rodzaju.

- Grypa żołądka - powiedziała Lynn.

- I tak właśnie było - dodała Emily.

- Nie wierzę wam! Wiecie, co myślę? To tata coś jej zrobił.

- Cóż za okropny pomysł! - zawołała Lynn.

Może rzeczywiście powinny były posłuchać Josie i powiedzieć Annie prawdę. W dzisiejszych czasach dzieci wiedzą wszystko. Wiedzą o aborcji, poronieniach, homoseksualizmie, AIDS, o wszystkim. Ale Emily mogłaby sobie nie życzyć. A to przecież życie Emily.

- Jak mogłaś coś takiego pomyśleć? - zawołała Lynn.

- Bo on jest podły. Oto, dlaczego. Ty nigdy nikomu nie pozwalasz źle o nim mówić, ale ja nie chcę, żeby on wrócił do domu. Nie chcę. Nie chcę.

Oto, do czego doprowadziły jego ataki wściekłości. Na co się zdały jego uporczywe starania i wysiłki, aby nauczyć ją grać w tenisa czy na pianinie? Lynn miała ochotę rozplakać się, ale wiedziała, że jej nie wolno.

Kłopotliwą ciszę przerwał Bruce.

- Zdejmijmy w końcu płaszcze i usiądźmy.

- Pewnie jesteście głodni - powiedziała szybko Emily. - Przygotuję coś w kilka minut.

- Nie - odpowiedział Bruce. - Jedliśmy obiad w samolocie. Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

Poprowadził je do gabinetu, gdzie Lynn przez cały dzień utrzymywała na kominku ogień. Podeszedł do kominka i stanął z opuszczoną głową, z wyrazem napięcia na twarzy, tak jakby dostrzegł coś wśród płomieni. A potem odwrócił się i z tym samym poważnym wyrazem twarzy zaczął szybko mówić.

- Podczas podróży samolotem rozmawialiśmy trochę. A potem zdałem sobie sprawę, że to nie jest właściwe miejsce na taką rozmowę. Więc porozmawiajmy teraz. Chciałem wytłumaczyć Annie coś, o czym ona już wie, że każdy z nas jest mieszaniną wszystkich

swoich przodków. Mamy czyjeś oczy i włosy, czyjeś zdolności do gry na pianinie, po kim innym poczucie humoru czy też gwałtowne usposobienie lub wielką cierpliwość.

W pokoju zaległa głęboka cisza, słyhać było tylko brzęczenie obróżki Juliet, która właśnie się drapała. Nigdy nie widziały, aby Bruce był tak poważny.

- I gdy w domu zgromadzona jest cała rodzina, na każdym kroku spotykają się nasze różne charaktery. Na przykład u nas Josie jest przekonana, że jestem bałaganiarzem, i to prawda. Mam na ubraniu i w kieszeniach trociny. I gdy siadam na sofie, zostawiam na poduszkach ślady. Josie nie może tego znieść. A ja uważam, że ona robi zbyt wielkie zamieszanie z powodu sofy, bo dla mnie sofa nie jest aż tak ważna. Ale dla niej jest i ona z kolei uważa, że ja powinienem zdawać sobie z tego sprawę. Po prostu jesteśmy inni. Różnimy się od siebie.

Zamilkł i przyjrzał się im uważnie.

- U was w domu również każdemu zdarza się robić rzeczy dla innych nie do zniesienia. - Podniósł dłoń, aby mu nie przerywać. - Nie, nie czekam, żebyście się spowiadały. Po prostu zmierzam do czegoś. Annie, czy domyślasz się, do czego zmierzam? Czy wiesz dlaczego ja i Josie nie wyrywamy sobie nawzajem włosów z powodu trocin? Albo dlaczego któreś z nas nie ucieka z domu? Annie uśmiechnęła się lekko.

- Śmiać ci się chce, prawda? Powiedz. Jak myślisz, dlaczego tak nie robimy? - Wydaje mi się - powiedziała cicho - że dlatego, bo się kochacie. - Dobrze ci się wydaje, Annie. Oto cała odpowiedź. Mówisz, że twój tata jest "podły". Tak się może wydawać, ale ja tu nie mieszkam, więc nie wiem. Ale jeśli nawet mówi czasem rzeczy podłe, to mówi też czasem rzeczy bardzo miłe, prawda? A także robi dla ciebie coś dobrego. - Wydaje mi się, że tak.

- No widzisz, Annie. Bywałem u was wystarczająco często. Widywałem jak grywacie duety na fortepianie, i to wspaniale. Widziałem, jak tata uczył cię grać w tenisa, jak w sobotę rano jeździcie razem do biblioteki, żeby wypożyczyć książki. Czy myślisz, że on robi to wszystko dlatego, że jest podły?

Lynn nie zdarzyło się słyszeć, by Bruce mówił tak dużo i z takim przekonaniem; słyhał ze zwięzłości. Gdy bywali gdzieś z Josie, mówiła głównie ona. - Może to prawda, ja nie wiem, ale ty twierdzisz,

że okropnie na ciebie krzyczy. Ale Annie, co można na to poradzić? On się już nie zmieni. Ludzie bardzo rzadko zmieniają się. Większość z nas pozostaje takimi, jakimi się urodziliśmy. Ucieczka z domu nic tu nie pomoże. To jest twój dom, twoja matka, twoja siostra. Musisz żyć właśnie tutaj.

Emily patrzyła przed siebie. Twarz miała smutną, usta rozchylone w napięciu. O czym tak myślała ze zmarszczonym czołem? Lynn poczuła, że od natłoku myśli maci się jej w głowie. Czy Bruce naprawdę tak myśli?

- Wróćmy jeszcze raz do miłości, dzięki której wytrzymujemy z Josie. Musisz pamiętać, że ludzie czasem na siebie krzyczą i złością się, ale wciąż się kochają. Twój ojciec kocha cię, Annie. Zrobiłby dla ciebie wszystko. Zawsze o tym pamiętaj, nawet gdy jest ci bardzo ciężko. Nie pozwól, aby jego słowa raniły cię, nawet jeśli wydają ci się niesprawiedliwe, a może naprawdę są niesprawiedliwe. Jeśli jego sposób mówienia bywa czasami szorstki, cóż, pamiętaj, że to jego problem, to wszystko, i będziesz mogła z tym żyć.

Bruce, który dotychczas stał, teraz usiadł i otarł pot z czoła, jakby dokonał wielkiego wysiłku. Lynn po raz drugi zauważyła mgiełkę za szklami jego okularów. Dzisiejszy dzień - pomyślała - chciałabym wymazać z pamięci. Dzień doprowadzający do rozpacz. A jednak Bruce'owi udało się wykrzesać trochę serdeczności.

- Zastanawiałem się - powiedział powoli, zwracając się do Annie i Lynn - czy nie byłoby dobrze, gdyby Annie mogła z kimś porozmawiać o swoich kłopotach? Josie ma przyjaciela, doktora Millera...

- To mogłoby ci bardzo pomóc, Annie - powiedziała Lynn. - Zgadzam się z wujkiem Bruce'em.

Annie natychmiast zaprotestowała.

- Nie! Wiem, o co wam chodzi. O psychologa. Ja na ten temat wiem wszystko i nie pójdę. Nie, nie, nie!

Lynn poczekała, aby odpowiedział jej Bruce. Było całkowicie naturalne, że on podejmie decyzję.

Powiedział łagodnie:

- Nie musisz się decydować w tej chwili. Przemyśl to sobie i gdy zmienisz zamiar, powiesz o tym mamie.

- Nie zmienię zamiaru - upierała się Annie.

Mówiła z pogardą, zupełnie jak Robert. Dziwne. Gdyby nawet Annie zgodziła się, jej decyzja napotkałaby następną przeszkodę, właśnie ze strony Roberta. Przeszkodę prawie nie do pokonania. A jednak, pomyślała Lynn z wściekłością, jeśli będzie trzeba, pokonam tę przeszkodę.

- W porządku, w porządku - powiedział Bruce. - Nikt cię do niczego nie zmusza. Po prostu cieszymy się, że wróciłaś do domu. Twoja rodzina nie mogłaby żyć bez ciebie, Annie; ja i ciocia Josie także nie. Liczymy na twoją niedzielną pomoc przy starych meblach.

Ogień na kominku zgasł, pozostawiając stos białego popiołu, ale miłe ciepło pozostało. Bruce stanął przed kominkiem i wyciągnął rękę w jego kierunku. Do głowy Lynn napłynęły dziwne myśli: Co by się stało, gdybym go teraz objęła? Na miłość boską, przecież ten człowiek jest mężem Josie. A ja jestem żoną Roberta. I kocham właśnie Roberta.

Powiedziała wesoło:

- Nieważne, co mówisz, na pewno jesteś głodny. Zostań jeszcze chwilę. Czekaając na was, ugotowałam zupę jarzynową.

- Brzmi bardzo zachęcająco - przyznał Bruce. - Jedzenie, które podają w samolocie, nie starcza na długo.

Poszli więc do kuchni na małą przekąskę. Zupa i biszkopty, pieczone owoce i kruche ciasteczka czekoladowe. Ku zaskoczeniu Lynn Annie odmówiła zjedzenia ciasteczek. Czy to możliwe, że gdy ją częstowano, nie stanowiły dla Annie takiej pokusy jak wtedy, gdy jej zabraniano? Trzeba się nad tym zastanowić.

Gdy Bruce wychodził, Lynn ujęła jego dłoń w obie ręce.

- Już drugi raz ratujesz życie komuś z naszej rodziny. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Po to właśnie ma się przyjaciół, Lynn.

- Jestem bogata w przyjaciół. - I nie wiedząc czemu, opowiedziała Bruce'owi o porannej wizycie Toma Lawrence'a. - Byłam taka zaskoczona.

- Dlaczego? On wiele o tobie myśli - powiedział Bruce. - My także. Gdy odszedł, a Annie była u siebie w pokoju, Lynn zapytała Emily:

- O czym mówił Bruce, gdy byłam w kuchni?

- Nic ważnego.



- Gdy weszłam, nagle wszyscy zamilkliście. Nie ukrywaj niczego przede mną, Emily.

- Dobrze. Powiedział tylko tyle, że teraz jesteśmy ci potrzebne, że napięcie może ci teraz zaszkodzić. Tobie i dziecku.

Lynn zmarszczyła czoło:

- Na miłość boską, nie traktujcie mnie jak inwalidkę. Nienawidzę tego. Tak, jakbyście nie mogły szczerze się wyrażać. Nie potrzebuję tego.

- Czy to prawda, że napięcie szkodzi dziecku?

- Nie jestem pewna. Tak mówią.

- Nigdy nie widziałam Bruce'a tak poważnego - powiedziała Emily. - Był na nas prawie zły.

- Co takiego powiedział?

- Powiedział, że powinniśmy zachowywać w domu spokój, bez względu na to, co ktokolwiek mówi lub robi. Mamy starać się, żeby wszystko odbyło się gładko i szczęśliwie. - Emily zastanowiła się. - To prawda. Nigdy nie widziałam, żeby był równie poważny. Rozkazywał nam. Zupełnie nie jak wujek Bruce. - Przytuliła twarz do policzka Lynn. Była wyższa od matki, Lynn nie zdawała sobie dotąd sprawy, że aż o tyle wyższa. - My... obydwie... potraktowałyśmy go bardzo serio. Annie nie robi już żadnego głupstwa. On jej bardzo pomógł. Nie martw się, mamó.

- Skoro tak mówisz, to nie będę.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Ale to wszystko nie jest takie proste, pomyślała Lynn. Nie wiedziała, w co Bruce naprawdę wierzył, a co tylko powiedział.

Jednak gdy Robert wrócił do domu, zdawało się, że dwa ostatnie dni zatarły się w pamięci. Przyjechał później, bo musiał oclić wszystkie przywiezione prezenty. Aby wnieść do domu wysokie pudło, potrzeba było dwóch mężczyzn - Roberta i kierowcy.

- Coś ty przywiózł? - wykrzyknęła Lynn.

- Sama zobaczysz.

Oczy mu błyszczały; długa podróż i wysiłek wprawiły go w doskonały humor. Uściskał i ucałował wszystkie. Przez chwilę, gdy tulił do siebie Annie, Lynn zdawało się, że dojrzała w jej oczach wyraz oporu, który jednak zniknął, a może to sobie tylko wymyśliła. Śmiejąc się, ujął ręce Lynn i cofnął się o krok, aby się jej przyjrzeć.

- O rety! Ależ utylaś! Spójrzcie na swoją matkę, dziewczynki. Przysiągłbym, że wygląda na to, że powije bliźnięta albo i trojaczki. Jeśli tak, będziemy musieli dobudować do domu dodatkowe skrzydło albo przeprowadzić się. Jak się czujesz, kochanie? - I nie czekając na odpowiedź: - Jak mama się czuje? Czy dobrze? Bo sama nigdy nie przyznałaby mi się, gdyby coś było nie w porządku.

- Mama czuje się dobrze - zapewniła go Emily.

- To znaczy, że troszczyłyście się o nią. - Zatarł ręce. - Zimno na dworze, ale nie umywa się to do mrozów w Europie. Och, mam wam tyle do opowiedzenia. Sam nie wiem, od czego zacząć.

- A może zaczniemy od kolacji?

- Kolacja! Jak dobrze być w domu!

Lynn przygotowała obfity posiłek; gorące dania na zimowy wieczór: zupę grzybową, kaczkę z wiśniami, suflet ze szpinaku z ziołami i cebulą, a na deser budyń jabłkowy z polewą z wina. W wiaderku chłodził się szampan, którego napili się wszyscy prócz Annie, bo jej nie smakował. Lynn mimo ciąży pociągnęła mały łyżeczek. Stół zastawiono najlepszą porcelaną i kryształami Baccarat. Pośrodku stołu Lynn ułożyła bukiet białych róż w niskim wazonie. Wszystkie te wspaniałości nie przeszły nie zauważone.

- Ach, ta wasza matka! - zawołał Robert. - Ta wasza matka! Po prostu spójrzcie! - Był zachwycony. - To było wspaniałe przeżycie! Oczywiście ciężko pracowałem, do późna w nocy rozmowy i tłumaczenia, spotkania z różnymi ludźmi, niektórzy chętni do współpracy, inni oporni, ale takie jest życie, prawda? Ogólnie rzecz biorąc, odnieśliśmy wielki sukces. Stare miasto w Budapeszcie wydaje mi się cokolwiek ciemne i brudne, ale jednocześnie cudownie malownicze. I nagle wpadasz na nowoczesną, szklaną wieżę. Biuro naszej spółki jest równie nowoczesne jak w Nowym Jorku. Idziesz dalej, a tu chińska restauracja, pizzeria, a gdy spojrzysz przed siebie, widzisz przyszłość.

Robert zamilkł, aby odkroić kawałek kaczki, przełknął go i opowiadał dalej.

- Na Węgrzech buduje się teraz demokrację. Tylko gdy się zna historię tego kraju, można docenić całą wspaniałość obecnej sytuacji. W końcu wstąpią do NATO albo będą z nim w jakiś sposób związane. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Teraz Węgry i wszystkie te kraje potrzebują szkolenia kadr i właśnie po to my, Zachód,

wkraczamy tam. O, byłbym zupełnie zapomniał. Przywiozłem wam prawdziwy węgierski strudel. Kupiłem go wczoraj rano. Jest w moim bagażu. Możemy go zjeść jutro. Na dzisiaj byłoby zbyt dużo. Będziesz musiała zobaczyć ich maleńkie kawiarenki, Lynn. Co za wypieki! Powinnaś postarać się o przepisy. Siedziałem w jednej z nich i patrzyłem przez okno na plac otoczony pałacami i ogromny kościół gotycki. Cudowne! Spodoba się wam, córeczki!

- A co z uczelnią? - zapytała zaniepokojona Emily.

- Nic się nie martw. Po prostu dostań się do Yale. Nic ci nie przeszkodzi w studiach. - Robert uśmiechnął się. - Będziesz do nas przyjeżdżać na każde wakacje. Zarobię dosyć, by było mnie na to stać, możesz być spokojna.

- A co ze mną? - spytała Annie.

- Nie martw się. Znajdziemy ci doskonałą szkołę, dla dzieci dyplomatów. Będziesz tam miała interesujących kolegów i...

Przywiózł do domu całą swoją energię i dawny urok. A to okazało się zaraźliwe. Lynn poznała po twarzach córek, że już połknęły haczyk.

- I oczywiście nie będziemy się ograniczać do samych Węgier. Tak łatwo i szybko podróżuje się po Europie, I będziecie mogły wszystko obejrzeć. Zobaczycie Grecję i Partenon, i zrozumiesz, Annie, dlaczego chcę, abyś uczyła się o bogach greckich, Zobaczycie Rzym, Paryż oczywiście i... - wykonał ręką szeroki gest - ...cały świat! Dlaczego nie?

Po kolacji rozpakowali bagaże. Robert, otoczony przez siedzące wokół niego kobiety, odwijał i pokazywał swoje zdobycze. Kupował z namysłem. Dla Annie zegar z kukułką.

- Pamiętam, jak wspomniałaś kiedyś, że chciałybyś mieć coś takiego. A ten jest piękny.

Dla Emily - akwarela przedstawiająca zamek na wzgórzu. Dla Lynn porcelanowe figurki Herenda, wszystkie duże i białe - zielone: kangur, słoń i jednorozec.

- Zastanawiałem się, czy wybrać zielone czy czerwone. Jak sądzisz, Lynn, dobrze wybrałem? - zapytał.

I nie czekając na odpowiedź, podszedł do kominka i ustawił je na gzymsie. Potem cofnął się, aby im się przyjrzeć, i zmarszczył czoło.

- Nie, nie tak. - Przetawiał je. - Powinny stać z boku. Symetria jest nudna.

- Zastanawiam się, jak znalazłeś czas na zakupy - spytała Lynn.

- Ja też nie wiem. Po prostu, gdy się czegoś bardzo chce, znajdzie się na to czas. Taka jest prawda.

Dawno minęła pora, gdy Annie chodziła spać, a Emily straciła kilka godzin nauki.

- ...i powinniśmy spędzać kilka dni w roku na nartach w Chamonix. Z tego, co czytałem, Alpy Francuskie mają specjalny urok. Postaram się o trochę wolnego.

- Roześmiał się. - Szeef biura zawsze uszczknie parę dni, zwłaszcza gdy zazwyczaj przepracowuje się. Coś takiego! Spójrzcie na zegar. Raptem dopadło mnie zmęczenie. Idziemy spać?

W sypialni Robert, rozbierając się, powiedział:

- Wszystko układa się doskonale, Lynn. Czy znasz powiedzonko o tym, że wraca się w miejsca, gdzie nasypało się piasku do butów? Cóż, nawet jeśli tam wcale nie ma piasku, nie mogę się doczekać powrotu.

Opróżniając walizkę i porządkując zawartość, mówił szybko, przeskakując z tematu na temat.

- Wysłałem faksem sprawozdanie do Monacco. Jego odpowiedź świadczy o tym, że jest ze mnie bardzo zadowolony... Zauważyłem dziś wieczór, że Emily zmieniła się. Już nie sprawia wrażenia takiej dalekiej. Odniosła się do mnie z większą serdecznością. Jest tak, jak przewidywałem, nie myśli już o tym chłopaku. Dzięki Bogu... Annie także była bardzo miła, myślałem, że...

Powiesił krawaty w szafie i odwrócił się nagle wołając:

- Och, tak bardzo za wami tęskniłem! Czy wam także było mnie brak, Lynn? I tak się dowie, myślała Lynn, więc lepiej niech to się stanie od razu. Zaczęła więc zwięźle relacjonować to, co zrobiła Annie, pilnie bacząc, by nie przytoczyć uwag Annie na temat ojca.

Robert był zdumiony, wzburzony i rozczarowany, wszystko naraz.

- O, Boże! - powiedział. - Wystarczy, że się odwróce, a dzieciom natychmiast przytrafia się jakieś nieszczęście.

Lynn była zmartwiona.

- Nie chciałam ci zepsuć powrotu do domu i mam nadzieję, że tak się nie stało. Jak widzisz, wszystko już jest w porządku. - Zaczęła zmyślać na poczekaniu, bo prawdziwa wersja doprowadziłaby do kłótni. - Zdaje się, że niepokoiła się o mnie. Cóż, to chyba zupełnie

naturalne, że ma sprzeczne uczucia wobec tej ciąży. A w lecie zdenerwowała się tym, co zdarzyło się Emily. Myślała, że Emily jest bardzo ciężko chora, a my ukrywamy przed nią prawdę. To wszystko doprowadziło do tego, że...

Dlaczego ukrywam prawdę przed samą sobą? - pomyślała. I nagle zamilkła. Tak bardzo cierpię z powodu Caroline, że boję się, aby mnie nie oskarżył o coś jeszcze. Niedawno powiedział, że kłopoty Emily zdarzyły się z mojej winy...

Robert usiadł ciężko.

- I Bruce przywiózł ją do domu - powtórzył.

- Tak. To wspaniałe z jego strony, prawda?

Zapadł się w fotelu, tak jakby uszło z niego całe życie. W słabym świetle lampy jego twarz pożółkła.

Lynn powtórzyła z lękiem.

- Był wspaniały. Tak pięknie rozmawiał z Annie, z obiema dziewczynkami.

- O czym rozmawiał?

- Ogólnie o życiu, o podejmowaniu wyzwań, optymizmie, o konieczności wzajemnego rozumienia się. Zrobił dla nich wiele dobrego.

- Może i tak, ale ja nie jestem z tego zadowolony.

- Oczywiście, nie ma powodu do zadowolenia. Naprawdę uważam, Robertcie, że Annie potrzebna jest pomoc, jakaś porada. I nam także.

- Bzdura. Znasz moją opinię na ten temat. A zresztą Annie nie jest pierwszym dzieckiem, któremu przyszło do głowy, by uciec z domu. To się zdarza bez przerwy. Jestem przekonany, że żałowała swego postępuku już w połowie drogi.

Cóż, przynajmniej to było prawdą...

- Ale ja myślę o Brusie. Jest moim podwładnym, a zna najintymniejsze sprawy mojej rodziny; kłopoty Emily, a teraz to. Cholera jasna!

- Był bardzo miły - powiedziała Lynn, a chcąc całkowicie oczyścić atmosferę, dodała: - Tom Lawrence również był bardzo miły. Przyszedł tu rano.

- O, Boże! On także? Jak do tego doszło?

- Gdy usłyszał, co się stało, nie chciał, abym siedziała w domu sama. Nie miej im za złe. To przyjaciele.

- Przyjaciele. Ale za dużo wiedzą.

- To dobrzy ludzie. Nie będą rozpowiadać o naszych dzieciach.

Wiesz o tym.

- Wystarczy, że oni wiedzą - odburknął.

Lynn schyliła się, żeby zdjąć buty, lecz z trudem dosięgała własnych stóp. Widząc, jak się męczy, Robert wstał, by jej pomóc. Dziecko poruszało się. Widać było jego ruchy pod cienką bielizną. Robert zauważył je i zrobiło mu się żal Lynn. Nie kłócił się już.

- Biedna dziewczynka - powiedział. - Masz ze mną los! Biedactwo. Teraz jestem już w domu, możesz się odprężyć, ja wszystkim się zajmę.

Dziecko wierciło się i wierciło. W ciągu kilku minionych, szaleńczych dni nie miała okazji, by o tym myśleć, ale teraz nieuchronność zbliżających się narodzin zaszokowała ją. Jeszcze tylko osiem lub dziewięć tygodni, a oddzieli się od niej, oddzieli, a jednocześnie stanie się jeszcze bliższe poprzez swoje potrzeby, które wysuną je na pierwszy plan, przed pozostałych członków rodziny. Dla dobra dziecka musi, musi zachować spokój i nadzieję. Spokój i nadzieję. W porządku. Odpręż się i pozwól, by Robert zajął się wszystkim. Sam tego przecież chce.

Robert V.W. Ferguson Junior urodził się wczesnym rankiem wietrznego dnia pomiędzy zimą i wiosną. Chociaż w łonie Lynn zachowywał się brutalnie i gwałtownie, opuścił je nadzwyczaj łatwo. Ważył cztery i pół kilograma i główkę miał porośniętą włosami. Pierwsze dziecko Fergusonów, które nie urodziło się łyse. Jego włosy miały kolor piasku, jak włosy Lynn; twarz zapowiadała się pociągła o orlim profilu, jak u Roberta.

- Wszystkiego po trochu. Miły kompromis - stwierdził Robert. Stał na tle wiosennych kwiatów zgromadzonych na parapecie. - Widziałaś, ile kwiatów? Kosz z zielonymi orchideami jest od Monacco. Napisał z Kalifornii. - Spoglądał na syna karmionego piersią. - Chłop na schwał! - wykrzyknął. - Tylko spójrz na tego chłopaka.

Nie posiadał się z radości. A Lynn czuła się jak królowa. Po powrocie do domu wylegiwała się w łóżku.

- Nie przejmuj się niczym, odpoczywaj, będziesz obsługiwana co najmniej do końca tygodnia - upierał się Robert.

Obok łóżka stała wyplatana kołyska i Lynn była wdzięczna, że Josie przybrała ją niebieskimi kokardami.

- Przybiegła tu natychmiast, gdy Robert powiedział nam, że to chłopiec - wyjaśnił Bruce. - I chcę ci powiedzieć, że niebieskie kokardy zawdzięczasz mnie.

- Pilnował, żeby kolor był odpowiedni do płci - dodała Josie.

- Chyba nie miałaś zamiaru przyczepić różowych? - zapytała Lynn.

- Czemu nie? - odpowiedziała wesoło. - Ale zrobiłam tak, jak sobie życzył mój mąż.

Ich zabawna sprzeczka rozśmieszyła Lynn. Te kilka godzin, które spędziła w domu, dobrze jej zrobiły. Na stoliku obok łóżka leżały nowe książki w kolorowych oprawach, pudełko czekoladek - których teraz nikt jej nie zabraniał - i wiązanka konwalii w małym wazoniku. Mąż, przyjaciele i córki zebrali się dookoła niej, zafascynowani widokiem niemowlęcia. Annie i Emily mówiły szeptem.

- Nie musicie szeptać, kochane - pouczyła je Lynn. - Rozmowa wcale mu nie przeszkadza.

Annie zapytała podniecona:

- Kiedy będziemy mogły go potrzymać?

- Gdy się obudzi.

Annie powiedziała nieśmiało.

- Czy to nie zabawne? Zupełnie go nie znam, a już go Kocham. Oczy Lynn zaszły łzami.

- O, Annie, to pięknie.

- Dlaczego? Myślałaś, że go nie pokocham? Jestem już za duża, żeby czuć zazdrość o młodszego brata.

Wszyscy się roześmieli. Bruce poklepał Annie po plecach, a Emily zapytała:

- Annie, gdzie są paczki, które przyszły dzisiaj rano?

- Tutaj, pod drzwiami. Otwórz je, mamó. To chyba następne sweterki. Już ma siedem. A na dole jest jeszcze jedno wielkie pudło, które wniesiono wczoraj.

Robert zszedł na dół i po kilku minutach wrócił z fotelem dla dziecka o tapicerce w krzyżyki.

- Styl królowej Anny! Piękne! Prawdziwy fotel w stylu naszego salonu - wykrzyknęła Lynn. - Kto wpadł na taki pomysł?

- Wizytówka Toma Lawrence'a, z najlepszymi życzeniami. - Robert zmarszczył brwi. - Dlaczego taki hojny prezent? Ledwie go znamy. Nie jest bliskim przyjacielem.

Lynn poczuła falę gorąca, miała nadzieję, że nie wypłynie na jej policzki. Tom przeszedł samego siebie; prezent był oryginalny, w doskonałym guście - i kosztowny. Bruce, jakby czytając w jej myślach, pośpieszył jej na pomoc.

- Jak na człowieka o takiej pozycji, nie jest wcale hojny. Koszty to rzecz względna. I oczywiście lubi was.

- Cóż, ja tylko nie lubię czuć się zobowiązany - wyjaśnił Robert.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. Lynn wiedziała, że wraca myślami do weekendu w Maine i do wszystkich przysług, jakie wyświadczył mu Tom, wychwalając go przed Monacco.

- Musisz do niego napisać najpóźniej jutro, Lynn.

- Nie czuję się na siłach. Jestem bardziej zmęczona, niż przypuszczałam - powiedziała niezgodnie z prawdą.

List do Toma, jeśli rzeczywiście coś mu chodziło po głowie, a im więcej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że tak właśnie jest, mógłby okazać się nierozsądną rzeczą. Sytuacja była lekko podniecająca, ale jednocześnie kłopotliwa. Nie, nie napisze żadnego listu.

- Ty napisz - powiedziała Robertowi. - A ja podpiszę się obok ciebie. - I zwróciła się do Emily, jakby przypomniawszy sobie coś ważnego: - Czy telefonowała ciocia Helen?

Annie, Emily i Robert spojrzeli po sobie.

- Nie? Bardzo dziwne. Nie rozumiem.

- Och - powiedział Robert - to miała być niespodzianka, ale równie dobrze możemy ci już o tym powiedzieć. Obydwoje są w drodze. Powinni być tutaj za godzinę lub dwie. Pożyczą samochód na lotnisku.

- Darwin także? - Lynn była wzruszona. - Jak to dobrze, że znalazł trochę czasu!

- Jego czas - roześmiał się ironicznie Robert. - Rury i klozety. Wielki biznes.

- Nie chciałbym, aby mi ich zabrakło - roześmiał się Bruce.

Josie powiedziała stanowczo:

- Lubię Darwina. Zawsze go lubiłam. Jest miły.



- O, tak, miły - zgodził się Robert. - Nie oszlifowany diament. Że też Robert zawsze musi coś takiego powiedzieć!

A Robert dodał:

- Mogę także powiedzieć inną nowinę. Ciotka Jean także postanowiła przyjechać.

- Nie bądź taki ponury! Uważam, że to miłe z jej strony, iż chce zobaczyć dziecko. Cieszę się, że przyjedzie, i mam zamiar jej to okazać - powiedziała Lynn, a potem nagle zaniepokoiła się. - Ale gdzie my ich wszystkich położymy? I co damy im do jedzenia? Zostaną tu kilka dni, jestem pewna, a...

- Nic się nie martw - powiedziała Emily. - Przygotowałam wygodne łóżko w małym pokoju na trzecim piętrze dla cioci Jean. Wujek Darwin i ciocia Helen będą spali w pokoju gościnnym. I mamy fura jedzenia. Wujek Bruce pojechał z nami dziś rano na zakupy i pomógł przynieść to wszystko do domu. Mamy dość, by wyżywić całą armię.

- I stół jest już nakryty - powiedziała Annie. - Przyozdobiłyśmy go kwiatami, które przywiozłaś z sobą ze szpitala.

Wszyscy chodzili wciąż na górę i na dół, przez cały dzień, a ona leżała sobie jak królowa, wsparta na poduszkach w haftowanych powłóczkach - najlepszy komplet, przechowywany na wypadek choroby, którego nie używano na szczęście nigdy przedtem.

Annie przyprowadziła Juliet, żeby powąchała kołyskę.

- Niech się przyzwyczai do zapachu dzidziusia - wytłumaczyła. Robert wniósł kolację na tacy.

- Czy jestem dobrym lokajem? - zapytał, domagając się pochwały.

A potem przyszli Helen i Darwin, on jak zawsze pulchny i pogodny, ona jak zwykle życzliwa.

- Czuję się tak, jakbym nie widziała was całe wieki - zawołała Lynn przytulając ich.

- Cóż, minęły już prawie dwa lata. Pomimo tego, co się opowiada o podróżach lotniczych, to kawał drogi. Cała wyprawa.

- Ta rodzina przyzwyczai się do podróżowania - oświadczył Robert, który z dumą oparł się o kołyskę. - Ten mały chłopczyk pozna świat. - A gdy Helen spojrzała, nie rozumiejąc, zapytał: - Czy Lynn nic ci nie powiedziała? Tak, niedługo wyjedziemy za granicę. Na dwa lata, trzy, pięć... kto wie? - I entuzjastycznie opowiedział o wszystkim.

- Jak to się stało, że nic mi o tym nie powiedziałaś? - spytała Helen, gdy zostały same. I zanim Lynn zdołała odpowiedzieć, stwierdziła szybko i przenikliwie, zupełnie jak Josie: - Miałaś zbyt wiele na głowie, oto dlaczego.

- Cóż, muszę przyznać, że nie była to najłatwiejsza ciąża. Ale czy on nie jest kochany? Ma tak pięknie uformowaną główkę, prawda?

Helen uśmiechnęła się.

- Jest śliczny. Moje dzieci przez pierwszy miesiąc wyglądały jak małpiątka. Ale ja nie miałam na myśli ciąży. Chodziło mi o... chyba domyślasz się, że chodziło mi o Annie.

Lynn nie miała najmniejszej ochoty mówić o swoich wątpliwościach i niepokojach, które mimo że Annie wydawała się znacznie bardziej zrównowazona, ciągle odzywały się w jej sercu. A już szczególnie nie chciała się nimi dzielić z Helen. Powiedziała więc, zbywając ją, beztroskim tonem.

- Annie już ma to poza sobą.

- Tak, aż do następnego razu.

- Annie jest w porządku, Helen. Zachwycona Bobbym, Nie widzisz tego? Milczenie Helen oznaczało, że jej nie wierzy.

- Możesz o to zapytać Bruce'a, jeśli mi nie wierzysz - dodała Lynn z uporem. - On wie, że Annie jest całkowicie w porządku.

- Chciałabym ci uwierzyć - powiedziała Helen wydymając usta, co zawsze nadawało jej ładnej twarzy sceptyczny wyraz. - Chciałabym. Ale wiem, że gdyby coś było nie w porządku, nigdy nie przyznałabyś się.

Sonduje mnie, pomyślała Lynn z niechęcią.

- Zawsze byłaś taka skryta. Niepokoję się o ciebie. Lynn zniecierpliwiła się.

- Spójrz na mnie. Co widzisz? Rozejrzyj się po domu. Co widzisz?

- Widzę, że wyglądasz tak samo jak zawsze, a w twoim domu wszystko jest w porządku.

Z dołu dotarły dźwięki fortepianu i wesołej piosenki.

- Robert gra, a dziewczynki śpiewają. Gdy wróciłam ze szpitala, zaśpiewały mi na powitanie zabawną piosenkę. Nic ci to nie mówi? - zapytała Lynn.

- Cóż... to mi mówi, że wszyscy cię kochają. - I Helen najwidoczniej widząc, że nie ma racji, zmieniła temat. - Wiesz co? Umieram z głodu. Zejdę na dół i zobaczę, co jest do jedzenia.

- Mogę wejść, nie zmęczy cię moja obecność? - Jean wahała się, jak to było w jej zwyczaju. Przynajmniej tak zachowywała się w domu Roberta.

- Wejdz. Nie jestem ani trochę zmęczona i to dziwaczne, że mam leżeć w łóżku, ale doktor powiedział: „Koniecznie odpocząć dwa dni w łóżku”.

Jean usiadła w fotelu na biegunach obok łóżka i podziwiała dziecko. Przez pewien czas milczała, uśmiechając się do Lynn z wyrazem twarzy, który Robert nazywał „potulnym”. Lynn natomiast widziała w nim nie potulność, lecz skrywany smutek.

Jean splotła swoje starcze, pokryte plamami dłonie na kwiecistej sukience.

- Przyjemnie jest posiedzieć tylko z tobą, Lynn - powiedziała. - I wszystko wskazuje na to, że siedzę tak po raz ostatni. Przenoszę się do Vancouver.

- Ale to tak daleko! Dlaczego?

- Będę mieszkała z bratem. Jesteśmy obydwój dosyć starzy i mamy na świecie tylko siebie.

- Masz nas. Możesz się przenieść tutaj, mieszkać blisko nas.

- Nie, kochanie. Spójrzmy prawdzie w oczy. Robert nie chciałby, żebym była w pobliżu.

W tym stwierdzeniu nie było nic z potulności. Ciotka Jean wypowiedziała je poważnie, lecz na jej twarzy nie było urazy.

- Ciociu Jean, Robert często złości się na różnych ludzi, gdy jest w złym humorze. Ale musisz pamiętać, że on zachowuje się jak pies, który szczeka, więc nie gryzie.

- Wiem. Był kochanym małym chłopczykiem. I bardzo sprytnym. Grywaliśmy razem w różne gry. Szachy, domino. Bardzo lubił wygrywać, ale wściekał się, gdy przegrał! Bywało nam razem przyjemnie... Cóż, wszystko się zmienia. Szkoda, prawda? Gdy moja siostra wyjechała, a on wyprowadził się... Polubiłabyś Frances - dodała nagle. - To była miła osoba. A ona chciałaby mieć ciebie za córkę. Zawsze mi ją przypominasz. Jesteś łagodna i miła jak ona.

Bardzo wzruszona Lynn odrzekła z prostotą:

- Dziękuję.

Fotel na biegunach kołysał się; jego regularne poskrzypywanie miało staroświecki wdzięk, podobnie jak ciotka Jean.

- Żałuję, że nie będziemy się już widywać, Lynn. Ale miło mi widzieć, że tobie tak dobrze układa się w życiu. Bo dobrze ci się układa, prawda?

- Chyba tak - odpowiedziała Lynn z namysłem.

- I Robert nadal jest dobrym mężem. Czy to było stwierdzenie czy pytanie?

- Chyba tak - powtórzyła Lynn. Jean skinęła głową.

- Będę sobie myślała o tym, że mieszkasz tutaj w tym pięknym domu, i sprawi mi to przyjemność. Fotografię Emily i Annie umieściłam w ramce w kwiaty. Lubię być otoczona kwiatami. Myślę, że już to zauważyłaś, prawda? Mam nadzieję, że kiedyś przyślesz mi ładne zdjęcie Bobby'ego.

- Gdy tylko urosną mu dłuższe włosy. Obiecuję.

- Obiecuj, że nadal będziecie do mnie telefonować co tydzień... nawet gdy będę w Vancouver.

- Oczywiście, będziemy. Wiesz o tym.

- Lubię twoją siostrę - powiedziała Jean. - I twoich przyjaciół Josie i Bruce'a. Jest w nich coś szczególnego, chociaż jeszcze nie wiem, co to takiego.

Lynn uśmiechnęła się.

- Po prostu w ogóle lubisz ludzi. Tak mi się wydaje.

- Nie. Nie wszystkich. Ale staram się znaleźć w każdym coś dobrego. Frances taka była... Och, powiedz mi, czy dzidziusiowi potrzebny jest pled do kołyski?

Tak więc rozmowa zbiegła z tematu ludzi na teren neutralny: na przedmioty, przedmioty dziergane, gotowane i hodowane w ogrodzie. Przyjemny nastrój, który Jean wniosła ze sobą do pokoju, zniknął. Wolałabym, żeby ludzie nie byli aż tak... tak zagadkowi, pomyślała Lynn.

Weszła Emily i przysiadła na brzegu łóżka.

- Mamo, gdy jesteś szczęśliwa, wyglądasz szczególnie pięknie - stwierdziła. Miała czarujący sposób wyrażania swoich uczuć, jej oczy stawały się wtedy ogromne. Włosy szesała na czubek głowy, w uszach miała kolczyki w kształcie złotych serduszek, które Robert podarował jej na ostatnie urodziny. Lynn z radością patrzyła na córkę.

- Jestem szczęśliwa, gdy wszyscy są w domu. - Dziecko mruknięło przez sen. - Przelóż mu główkę, niech dla odmiany poleży na drugim policzku - powiedziała.

- O, Boże. Nie umiem. Boję się go dotknąć. Lynn roześmiała się.

- Wiem. Kiedy ty się urodziłaś, bałam się wziąć cię na ręce, bałam się, że cię złamię. Po prostu unieś delikatnie jego główkę - kierowała córką. - I obróć ją. Nie jest aż taki delikatny.

- Westchnął - powiedziała Emily. - Słyszałaś go? Gdy go odwracałam, wydał dźwięk zupełnie jak westchnienie.

- Prawdopodobnie niepokoi go sytuacja międzynarodowa - powiedziała wesoło Lynn.

Lecz Emily pozostała poważna.

- Mamo - powiedziała. - Nie zdawałam sobie sprawy, że to taka poważna sprawa.

- Poważna?

- Tak. Mam na myśli opiekę nad dzieckiem. To jest coś, co wymaga wielkiego namysłu.

Mówiła bardzo powoli, nie patrząc na matkę, lecz w kierunku okna, za którym zapadał granatowy wieczór. I Lynn zrozumiała, o co jej chodzi: sytuacja z poprzedniego lata nigdy się nie powtórzy.

Emily ciągnęła patrząc w kierunku ciemnego okna:

- Wszystko trzeba dla niego zaplanować. Opiekę lekarską, szkołę, przytulny pokój, do którego się go przyniesie. Spokojny dom. Trzeba planować, prawda? A potem te plany realizować.

Lynn starała się postawić na miejscu córki, aby zrozumieć jej wyrzuty sumienia, odczuć strach przed tym, jak mogło się potoczyć jej życie. Powiedziała z wahaniem:

- Nadejdzie właściwy czas, Emily. Wiesz o tym, prawda? Emily spojrzała na matkę.

- Wiem. I teraz jest już w porządku, mamo. Naprawdę w porządku. Wierz mi. Emily była typem zdobywcy, zdolna i silna. Młoda kobieta, która wie, czego chce - tak ją widziała Lynn - z pewnością nie zwyczajna licealistka.

- Tak - powiedziała. - Tak. Wierzę ci. - A potem, aby rozładować powagę chwili, dodała: - Ale czy zjadłaś kolację?

- Połowę. Pomyślałam, że może nie chcesz tu leżeć sama.

- Nie mam nic przeciwko temu. Idź na dół i skończ jeść. Tylko najpierw podaj mi Bobby'ego. Czuję, że zaraz będzie głodny.

I chłopiec obudził się z żalnym kwileniem.

- Wychodząc zapal światło. Dziękuję, kochanie.

Emily wyszła. Lynn westchnęła głęboko. Z dołu docierał przyjemny gwar rozmów. Wyobrażała sobie, jak siedzą przy stole; Robert u szczytu kroci i podaje każdemu mięso na swój staromodny sposób. Stuknęły drzwi kuchenne; ktoś wypuścił Juliet. Ktoś inny przechodzi przez korytarz - słychać stuk obcasów. Oto dźwięki domu pełnego ludzi, rytm życia rodziny.

Niech sobie Helen węszy i grzebie; ma dobre zamiary, ale to nieważne. Nieważne jest również pytanie starej, poczciwej Jean: „A Robert jest nadal dobrym mężem?” To po prostu naturalna ciekawość samotnej kobiety, ot i wszystko.

Ostatnie dni, ostatnie miesiące były takie bogate! Przedtem ten straszny rok, Bóg jeden wie, jak straszny, ale czyż cierpienie nie jest częścią życia?

Leżała z głodnym niemowlęciem przy piersi. Maleńki mężczyzna! Maleńkie stworzonko, a sama jego obecność wniosła do tego domu tyle szczęścia! Lynn czuła wdzięczność i szczególny spokój.

CZEŚĆ CZWARTA  
Wiosna 1989 - Jesień 1990

## Rozdział 5

Wielka sala była pełna ludzi, a wszystkie stoliki zajęte. Lustrzana ściana, typowa dla sali balowej cokolwiek krzykliwego hotelu, podwajała i tak imponującą liczbę publiczności.

- Oto człowiek - powiedział burmistrz - oto człowiek, któremu z wdzięcznością przyznajemy Odznakę Człowieka Roku. W ciągu kilku lat dokonał dla naszej społeczności więcej, aniżeli my, w tym także i ja, którzy przyszliśmy tutaj na świat.

Skromność burmistrza przyjęto pełnymi sympatii śmiechami. Mimo wszystko jednak, pomyślała Lynn w przyływie dumy, to prawda.

- Lista jego zasług zapełnia całą stronę gęsto zapisanego maszynopisu. Jest tu działalność na rzecz szpitala, badania nad rakiem, nowa biblioteka, której tak bardzo potrzebowaliśmy, praca na rzecz badań nad AIDS, nauczanie. Wszystko to sprawiło, że nasze miasto stało się przykładem dla sąsiednich miast. Mógłbym tak wyliczać i wyliczać, ale wiem, że chcecie posłuchać Roberta Fergusona we własnej osobie.

Robert miał wdzięk. Inne znajdujące się na podium osoby - dygnitarze miejscy, trzech mężczyzn i kobieta o miłej twarzy i jasnoniebieskich kręconych włosach - pozostawały nie zauważone. Tak było zawsze. Gdziekolwiek się pojawił, był najwspanialszy.

- Burmistrz Williams napomknął o liście moich zasług - powiedział. - Moja lista jest o wiele dłuższa. Zawiera nazwiska tych wszystkich, którzy naprawdę są odpowiedzialni za sukces spraw, w których byłem pomocny. Wymienienie ich zajęłoby mi całe godziny, a i tak mógłbym pominąć niektórych spośród nich. Powiem więc tylko, że mamy dług wdzięczności wobec tych, którzy wysiadywali przy telefonach, zbierali fundusze, napełniali koperty, wydawali przyjęcia okolicznościowe, pisali sprawozdania i nie spali po nocach, aby wszystko zostało doprowadzone do końca.

Jego głos brzmiał donośnie, miał doskonałą, pozbawioną zbędnej afektacji dykcję. Na widowni nikt się nie ruszał, nikt nie szeptał.

- Przede wszystkim muszę oddać sprawiedliwość spółce, w której mam szczęście pracować, General American Appliance, a której wspaniałe dary nie tylko dla naszej społeczności, ale również dla całego kraju są wszystkim bez wątpienia znane. GAA zawsze świadczyła na cele publiczne. Troszczyła się. Jesteśmy tu, w



stosunkowo niewielkim zakątku Stanów Zjednoczonych, i możemy oglądać owoce tej troski. Dziękuję moim przełożonym w GAA za zachętę do moich skromnych przedsięwzięć i za stworzenie mi warunków do działania. I wreszcie... moja rodzina. Moja wspaniała żona - Lynn...

Wszystkie oczy zwróciły się ku ubranej w letnią sukienkę w stokrotki Lynn; Robert miał rację, upierając się, by włożyła nową suknię. Przy okrągłym stole naprzeciw Lynn siedzieli Bruce i Josie, a po bokach urzędnicy miejscy. Bruce uśmiechnął się do niej; Josie miała twarz bez wyrazu. I przez głowę Lynn przemknęła myśl: Robert nie wspomniał o Brusie.

- ...oraz moje śliczne córki Emily i Annie, które nigdy nie skarżyły się, gdy udając się na zebrania pozbawiałem je czasu, który miałem z nimi spędzić. Emily ukończy liceum we wtorek, a jesienią wstąpi na uniwersytet w Yale.

Emily, ubrana na biało, pogodnie skinęła głową, aby podziękować za brawa, ruchem pełnym godności. Godności, którą odziedziczyła po ojcu.

- ...i nasz mały czteromiesięczny obecnie Bobby również okazał się bardzo pomocny. Tolerował mnie.

Rozległy się śmiechy i dalsze brawa. Potem wygłoszono przemówienie końcowe, zaszurały krzesła i sala opustoszała. W holu ludzie skupili się wokół Roberta; oczarował ich.

- Może się napijemy? Chodźmy do nas do domu. Jeszcze wcześniej.

- Dziękuję, ale moja żona jest prawdziwą matką, karmi dziecko piersią, a Bobby na nią czeka - odparł Robert.

Promieniał. Wyglądał tak, jakby płonął w nim wewnętrzny ogień. Lynn czuła to, stojąc obok niego przy łóżeczku dziecka, gdy przyglądali się, jak zasypia po karmieniu. Czuła to także, gdy później już w łóżku przytulił się do niej.

- Straciliśmy tyle czasu z powodu dziecka - wyszeptał. - Musimy to nadrobić. Pomimo ciemności Lynn wiedziała, że jego oczy lśnią, że z niebieskich stały się czarne z podniecenia. Wyciągnęła rękę, aby poczuć jego galopujące serce i rozgrzewający go wewnętrzny płomień.

Ustawieni w porządku alfabetycznym absolwenci maszerowali w cytrynowożółtym świetle popołudnia przez boisko do piłki nożnej.

- Dobrze, że nazwisko chłopaka zaczyna się na „W” - wyszeptał Robert. Może stać na końcu, pomyślała Lynn, ale i tak to on będzie przemawiał. Ceremonia wzruszała przez swoją ostateczność. Dzieciństwo skończyło się.

Chłopcy i dziewczęta rozproszą się po kraju. Ci młodzi ludzie, teraz dumni i trochę zakłopotani w swoich togach i kwadratowych beretach, odjadą. Ich sypialnie pozostaną puste, ich krzesła przy stole nie zajęte, a rodziny pomniejszone o jednego członka. Życie nie będzie już nigdy takie samo. W oczach Lynn pojawiły się łzy. Sięgała do torebki po chusteczkę do nosa, gdy Josie dotknęła jej ramienia.

- Weź moją - powiedziała. - Ja też musiałam jej użyć.

Josie wiedziała, Bruce także wiedział, bo ujął drugą dłoń Josie i położył ją sobie na kolanie. Zeszłego roku o tej samej porze Emily znajdowała się w zupełnie innej sytuacji, samotna i zrozpaczona ze swoją tajemnicą. Teraz wywołano jej imię i podano zwinięte w rulon świadectwo: „Z najlepszymi gratulacjami dla Emily Ferguson”.

Robert nie był smutny. Chichotał radośnie. Jego córka. Jego dziewczynka. Jako pierwszy zbiegł z widowni na boisko, aby zrobić jej zdjęcie i cieszyć się wraz z nią.

Wszędzie pstrykały aparaty, rozlegały się śmiechy i pocałunki. Członkowie komitetu rodzicielskiego przygotowali stoły z ponczem i ciasteczkami. Ludzie zbijali się w gromadki, a potem rozdzielali, rodzice podchodzili do nauczycieli, a młodsze rodzeństwo absolwentów poszukiwało kolegów.

Lynn podeszła do stołu po dolewkę ponczu i usłyszała tuż obok głos Bruce'a.

- Tak, oczywiście, nauka i sztuka. Masz szczęście, że w tym wieku wiesz, co chcesz robić.

- Cóż, to jest użyteczne - usłyszała odpowiedź Harrisa. - Dla mnie liczą się jedynie leczenie i nauczanie... - a potem dodał tonem tak przepraszającym, że Lynn wyobraziła sobie, jak jego jasną cerę pokrywa rumieniec - .. nie uważam, że prowadzenie interesów nie jest użyteczne, panie Lehman. Czasami nie najlepiej się wyrażam.

- Nie przepraszaj. Całkowicie się z tobą zgadzam. Gdybym miał w tym kierunku zdolności, chciałbym zostać lekarzem lub może nauczycielem.

Pochwycili spojrzenie Lynn, która napełniała ponczem swój kubek. Harris rzeczywiście był czerwony jak burak.

- Gratuluję ci, Harris - powiedziała Lynn.

- Dziękuję. Dziękuję bardzo. Zdaje się, że zgubiłem swoich rodziców. Lepiej pobiegnę za nimi.

Patrzyli, jak przedziera się przez tłum.

- Wzruszające, spotkać chłopaka takiego jak on. Chciałoby się wierzyć, że życie dobrze się z nim obejdzie - powiedział Bruce.

- Wiem. Czuję to samo.

- Robert zamordowałby nas, gdyby to usłyszał.

- Wiem.

Nie powinna była się zgadzać; to było spiskowanie z Bruce'em przeciwko Robertowi. I gdy tak stali, popijając poncz z papierowych kubków, Lynn unikała wzroku Bruce'a. Przyszło jej do głowy, że nigdy nie rozmawiali we dwojkę; zawsze byli we czwórkę lub w większej grupie osób.

Lynn powiedziała:

- Emily wyprawia dziś wieczór małe przyjęcie. Czy miałbyś ochotę wpaść i popatrzeć, jak się bawią? Wszyscy ukończyli już osiemnaście lat i Robert zgodził się żeby podać po kieliszku szampana. Małym kieliszku.

- Dziękuję, ale raczej nie.

Dziwne. Zastanawiała się nad tą odmową, gdy wpadła na Roberta.

- Widziałas, jak Bruce rozmawiał z młodym Weberem? - zapytał.

- Tylko przez moment.

- Cóż, ja patrzyłem. Bruce celowo go odszukał. Twój bliski przyjaciel. Ja uważam, że to nielojalne. Niewybaczalne.

Lynn nie spodobał się sarkazm w słowach „twój bliski przyjaciel”. Odpowiedziała:

- Ale będziesz mu musiał wybaczyć, bo nie możesz na to nic poradzić.

- Tym większa szkoda.

- Zresztą i tak już po wszystkim. Emily zaczyna nowy rozdział życia. Chodźmy do domu na jej przyjęcie.

Następnego dnia wczesnym popołudniem zadzwonił Bruce. Lynn zaniepokoiła się, bo pomyślała, że Robertowi zdarzyło się coś złego. Bruce wyczuł jej niepokój.

- Nie bój się - powiedział. - To nie ma nic wspólnego z Robertem, a ja nie dzwonię z biura. Nie poszedłem dzisiaj do pracy. -

Mówił z trudem, jakby miał kłopoty z krtanią. - Josie miała dziś rano operację. Jestem w szpitalu, w jej pokoju. Jest na sali pooperacyjnej.

- Dlaczego? Co jej jest? Chyba nie... - zająknęła się.

- Tak - odpowiedział zduszonym głosem. - Tak. To gruczoł limfatyczny. W wątrobie. Przerzuty... wszędzie.

Lynn poczuła na ciele falę chłodu. „Ktoś przeszedł przez mój grób” - mawiała babcia. Nie, przez grób Josie. A ma dopiero trzydzieści dziewięć lat. Wybuchnęła płaczem.

- Nie mogę w to uwierzyć. Budzisz się pewnego ranka twarzą w twarz ze śmiercią. Ot tak, po prostu? Wczoraj podczas zakończenia roku cieszyła się razem z Emily. Nie mówiła... W tym, co mówisz, nie ma za grosz sensu. Nie mogę się doszukać żadnego sensu.

- Poczekaj. Daj mi dojść do słowa, Lynn. Musimy zachować spokój ze względu na nią. To nie stało się nagle. To trwało od miesięcy. Te wszystkie jej przeziębienia, na przykład zeszłej zimy, gdy pojechałem po Annie, to były tylko wymówki. Ona siedziała w domu zbyt chora, aby się ruszyć; ledwie przyszła na wczorajsze zakończenie roku. Nie chciała kuracji chemicznej...

- Ale dlaczego? Stosowała ją wcześniej i wszystko tak dobrze poszło.

- Teraz było inaczej. Pojechaliśmy do Nowego Jorku, Bostonu i byli z nami zupełnie szczerzy. „Spróbujcie chemoterapii, ale bez zbytnej nadziei”. Tyle wynikało z ich taktownych wypowiedzi. Więc Josie powiedziała „nie”, a ja rozumiem, dlaczego. Bóg jeden wie.

Lynn spytała z rozpaczą.

- Więc dlaczego teraz operacja?

- Och, inny lekarz obejrzał ją i przyszedł mu jakiś pomysł, coś nowego. Chciała odmówić, ale tonący chytyła się brzytwy i ja namówiłem ją, żeby spróbowała. Pomyliłem się. - Głos Bruce zamarł.

- Przez całe miesiące. Dlaczego to ukrywała? Po co ma się przyjaciół? Powinieneś nam być powiedzieć, Bruce. Nawet jeśli ona nie chciała.

- Absolutnie nie chciała się zgodzić. Kazała mi obiecać, że nie będę cię niepokoił. Powiedziała, że i tak masz dość kłopotów z małżeństwem i... - Nie skończył.

- Ale Josie zawsze twierdziła, że należy stawić czoło rzeczywistości.

- Swojej własnej rzeczywistości. Ona stawiała jej czoło z wielką odwagą. Po prostu nie chciała narzucać swojej rzeczywistości innym ludziom tak długo, jak mogła ją znosić w samotności. Nie rozumiesz?

- Innym ludziom! Nawet najlepszej przyjaciółce? Mogłabym jej pomóc... - I bojąc się odpowiedzi, zapytała: - Co teraz będzie?

- To nie potrwa długo, tak mi powiedzieli.

Otarła oczy, ale łza wymknęła jej się i upadła na biurko, gdzie lśniła na gładkim, powleczonym ciemną skórą blacie.

- Kiedy będę ją mogła zobaczyć? - spytała bardzo cicho.

- Nie wiem. Zapytam. Może jutro.

- Czy Robert wie?

- Zatelefonowałem dziś rano do biura. Musieli odwołać moje spotkania. Muszę już iść, Lynn.

- Bruce, wszyscy bardzo cię kochamy, Emily i Annie... Nie wiem, co powiedzieć Annie.

- Ja z nią porozmawiam. Annie i ja mamy, jak wiesz, specjalne porozumienie.

- Wiem.

- Muszę już iść, Lynn.

Odłożyła słuchawkę na biurko i powiedziała głośno: - Serce mnie boli. - I słowa te dokładnie oddawały prawdę, bo czuła na sercu ciężar i nie mogła opanować dreszczy. Josie, moja przyjaciółka. Josie - mocna, rozsądna, szybka, zawsze obecna. Josie, lat trzydzieści dziewięć.

Siedziałyby tak pogrążona w smutku i bólu przez całe popołudnie, gdyby nie płacz Bobby'ego. Podniosła go i nakarmiła, a potem zabrała na dwór do kojca na tarasie. Zadowolony, z napełnionym brzuszkiem, leżał i potrząsał grzechotką. Plamki światła błyskające wśród szmaragdowego cienia drzew chyba mu się podobały, bo czasami jego gaworzenie brzmiało jak śmiech. A miał dopiero cztery miesiące! Stała i podziwiała jego niewinność, wiedząc, że przed bólem nie osłoni go żadna tarcza.

Po chwili przesunęła kojec w stronę ogrodu, żeby Bobby mógł ją widzieć, gdy klęcząc pielęła grządki. Odczuwała potrzebę ruchu, aby przekonać samą siebie o własnej żywotności.

Portulaka jak ośmiornica wysuwała z grubego korzenia niezliczone ramiona, czołgające się wśród floksów, irysów, peonii i astrów. Przypominała raka wplątującego się we wspaniałe zdrowe

życie. Lynn w odruchu nienawiści wykopała wszystkie korzenie i odrzuciła je.

Słońce schowało się za wzgórze i trawa zmieniła odcień z nefrytowego na oliwkowy. Na żwirze podjazdu zachrzęściły koła samochodu. Robert, wracając samochodem ze stacji, zabrał dziewczynki z basenu i teraz wszyscy troje zbliżali się do Lynn, która podniosła się z klęczek. Po wyrazie ich twarzy zorientowała się, że Robert powiedział już córkom o tym, co się stało.

- Czy ona umrze? - zapytała Annie, która nigdy nie bała się nazywać rzeczy po imieniu.

Prawda nie mogła przejść Lynn przez gardło. Mogła o niej myśleć i znać ją, ale nie mogła jej wypowiedzieć. Odpowiedziała:

- Nie wiemy nic więcej niż to, że jest bardzo chora.

- Może - powiedziała Emily - operacja się uda i pozbędzie się raka. Mój nauczyciel matematyki z podstawówki miał raka w wieku trzydziestu pięciu lat, a teraz jest już stary.

- Możliwe - powiedział Robert. - Miejmy nadzieję. Gdy został sam na sam z Lynn, westchnął głęboko.

- Nieszczęsny człowiek. Biedny Bruce. Och, gdyby to przydarzyło się tobie...

- Może zbyt pochopnie wyciągamy wnioski. - Załamała ręce i powiedziała błagalnie: - Czy to naprawdę zupełnie beznadziejne?

- Tak. Powiedział mi, że jedyna nadzieja w tym, że nie będzie trwało długo.

Według kalendarza nie trwało to długo. Zaledwie niewielką część lata. A jednak zdawało się, że każdy dzień liczy dwa razy więcej godzin niż normalnie, tak bardzo się wlokły.

Raz podczas weekendu spróbowali przywieźć Josie do domu. Była tak lekka, że Bruce, trzymając ją na rękach, był w stanie biegiem pokonać schody prowadzące do domu. Posadził ją przy oknie, tak aby mogła patrzeć na drzewa, a pod nogi podstawił podnózek. Dzień był ciepły, ale Josie miała dreszcze, więc otulił jej kruche ramiona szalem.

Na kolana wskoczył jej kot i Josie uśmiechnęła się.

- Nie zapomniał mnie. A myślałam, że może zapomni.

- Zapomni ciebie? Oczywiście, że nie - powiedział Bruce z zapalem. Wszyscy tylko gramy, pomyślała Lynn. Wiemy, że nie wolno nam pokazywać łez,

więc mówimy głośno i rażno, boimy się każdej chwili ciszy, uwijamy się dookoła i wydaje nam się, że zachowujemy się normalnie.

Zaczaj padać drobny deszczyk, który zasnuł zielen ogrodu srebrzystoszarą mgiełką. Josie poprosiła, aby otworzyli okno.

- Posłuchajcie - powiedziała. - Słyszać, jak uderza o liście. - I uśmiechnęła się znowu. - To najpiękniejszy dzień o najpiękniejszej porze roku.

Za rok, o tej samej porze... pomyślała Lynn, i musiała odwrócić oczy. Przyniosła z domu obiad. Lekko strawne, proste potrawy: białe mięso z kurczęcia z ziołowymi przyprawami. Josie przełknęła kilka kęsów i odłożyła widelec.

- Nie mam apetytu - powiedziała przeproszającym tonem i dodała szybko: - Ale to, co przygotowałaś, jest jak zwykle pyszne. Kiedyś wykorzystasz swój wspaniały talent. Powinnaś zacząć się do tego przygotowywać.

Robert wtrącił się.

- Lynn ma pełne ręce roboty w domu. Prawda, Lynn?

- Nie wiem - powiedziała Lynn, myśląc o tym, że skóra Josie, jej piękna skóra stała się żółta jak stary papier gazetowy.

- Ale ja wiem - upierała się Josie.

Wieczorem poprosiła, aby ją zabrać z powrotem do szpitala, i Bruce ją odwiózł..

Wychudła na kość, oczy zapadły się głęboko w oczodołach, a zęby wydawały się ogromne. Kuracja sprawiała, że Josie traciła kontrolę nad tym, co mówi. Przyznawała to sama w chwilach przytomności.

- Wczoraj powiedziałam coś, czego nie powinnam była mówić - powiedziała pewnego popołudnia do Lynn.

- Niczego takiego nie pamiętam - zapewniła ją Lynn, chociaż pamiętała doskonale.

- To było wtedy, gdy pokazałam ci róże od Toma Lawrence'a. Byłam taka zaskoczona. Nie spodziewałam się, że mnie odwiedzi. Nie znamy się tak dobrze.

- On lubi Bruce'a, to żadna tajemnica.

- Właśnie to samo powiedziałaś mi wczoraj. A ja odpowiedziałam: - „Nie, on lubi ciebie, Lynn”. My mu tylko ułatwiamy kontakt z tobą, ponieważ nie może się z tobą widywać, gdy

nie ma Roberta, a nie ma na to ochoty, gdy Robert jest. Tak właśnie powiedziałam i to cię zdenerwowało.

- Wcale nie. Dlaczego miałabym się zdenerwować, skoro to nieprawda?

- Tylko ty znasz odpowiedź na to pytanie. Ale ty nie przyznałabyś się do tego, co sądzisz o Tomie. Nie powiedziałabyś mi nic, co ci naprawdę leży na sercu, co się dzieje w najgłębszym zakątku serca. Jesteś zbyt skryta, Lynn.

- Zbyt skryta, Josie? - zapytała Lynn łagodnie. - A jak jest z tobą? Chorujesz od pół roku i nigdy nie pisnęłaś ani słowa.

- Nie mogłabyś na to nic poradzić! - A gdy Lynn zaczęła protestować, Josie krzyknęła. - Przestań mi za to robić wymówki!

Płaczliwy ton zabrzmiał zupełnie inaczej niż ten, którym zwykle mówiła Josie. Był pozbawiony nadziei i, tak samo jak jej leżące na kółdrze wychudłe dłonie, bezsilny. Lynn nie mogła się powstrzymać:

- Czy byłam aż tak przejęta sobą, maleństwem, własnym życiem, że nie zauważyłam, co się z tobą dzieje? Jak mogłam być aż tak ślepa na twoje potrzeby?

- Lynn, kochanie, to nie tak. Miałam dni dobre i złe. Po prostu nie pokazałam tobie ani nikomu innemu moich złych dni. I jesteś ostatnią osobą na świecie, którą można by oskarżyć o zajmowanie się sobą. Byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś więcej troszczyła się o siebie.

- Ależ ja się troszczę - zaprotestowała Lynn.

- Nie, nie troszczysz się. Nikt nie może do ciebie naprawdę dotrzeć. Ale nie można tak żyć stale. - Josie przekręciła się w łóżku, szukając dla siebie bardziej znośnej pozycji, i kontynuowała: - Dlatego właśnie chciałabym... chciałabym, abyś miała przy sobie mężczyznę takiego jak Tom. Mogłabym spokojnie umrzeć, wiedząc, że jesteś dobrze traktowana. Że jesteś bezpieczna...

- Josie, Josie, u mnie wszystko w porządku. Jestem bezpieczna, kochanie. I nie mów o umieraniu! I nie mów o Robercie...

- Owszem, teraz muszę. Nadszedł właściwy czas, aby o tym pomówić. Pół roku temu nie było to konieczne. Teraz jest.

Lynn spojrzała na ściany, przygnębiające zielone ściany szpitalne, które, gdyby mogły mówić, powiedziałyby o tysiącach smutków i odejść. Teraz odbywało się jeszcze jedno. Trudno było sobie wyobrazić dzień, kiedy Lynn chwyci słuchawkę telefonu, aby zadzwonić do Josie i opowiedzieć o sobie, a Josie już nie będzie.



- Jesteś moją podporą - powiedziała bliska płaczu. - Wspierałaś mnie zawsze, gdy niepokoiłam się o Annie, a często jestem o nią niespokojna. Dźwigałaś wszystkie moje troski.

Josie uśmiechnęła się lekko z odrobiną goryczy.

- Nie, wcale nie. Unikasz prawdy o Robercie.

- O Robercie? - Lynn łagodnie ją upomniała. - Ależ my jesteśmy bardzo szczęśliwi, Josie... Teraz wszystko jest dobrze.

- Nie, nie. - Josie pokręciła głową. - Zapomniałaś, że jestem pracownikiem społecznym. Widuję rzeczy, których sobie nawet nie wyobrażasz. Widzę je takimi, jakimi są naprawdę. - Nagle jej palce zacisnęły się na prześcieradle, a ciało skrzywiło się z bólu. - Och, dlaczego nie chcesz być ze mną uczciwa, nawet teraz, gdy znoszę taki ból, gdy muszę umrzeć i pozostawić Bruce'a? O, Boże, jak boli!

Lynn czuła, że serce jej pęka.

- Przyprawdzą pielegniarkę - powiedziała i popędziła co sił w nogach. Nawet teraz Josie sonduje mnie, myślała Lynn w drodze do domu.

Josie i Helen.

Lato wlokło się swoim własnym trybem. Namawiany przez Roberta Bruce przychodził do nich prawie co wieczór na kolację przed pójściem do szpitala.

- Stracił chyba z siedem kilogramów - stwierdził Robert. - Nie możemy mu pozwolić, aby nadal tak żył. To sprawa zwykłej uczciwości i odpowiedzialności. Jest przecież częścią firmy, częścią GAA.

Annie wyjechała na obóz harcerski i Lynn powiedziała:

- Cieszę się, że pojechała. Gdy to się stanie... - i zamilkła, spoglądając na Bruce'a. Dokończył za nią:

- Gdy nadejdzie koniec? Annie i ja odbyliśmy na ten temat wiele rozmów i sądzę, że nie musisz się o nią niepokoić. Jest przygotowana wystarczająco. - Uśmiechnął się. - A ja nie.

Wszyscy zamilkli. Wreszcie Emily powiedziała poważnie:

- Przy tym wszystko wydaje się nieważne, prawda?

W powietrzu zastygł nieznośny upał, trudno było oddychać. Petunie na rabatce oklapły, ptaki nie poruszały się ani nie śpiewały. Nawet pies nie wytrzymał długo na dworze i po kilku minutach drapał do drzwi, aby go wpuścić z powrotem. W domu pomimo

klimatyzacji powietrze było ciężkie. Zupełnie jakby pogoda sprzysięgła się z wydarzeniami, aby ich wspólnie dręczyć.

- Umieranie tak długo trwa - powiedziała Emily.

A potem pewnego ranka przy śniadaniu Emily oświadczyła, że chce im zakomunikować coś niesłychanie ważnego.

- To wami wstrząśnie. Boję się - zaczęła. Dwie pary oczu spojrzwały na nią z niepokojem sponad talerzy.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Od początku - przynagłał ją Robert niecierpliwie.

Dziewczyna, w poszukiwaniu oparcia, zacisnęła dłonie na krawędzi stołu. Przełknęła ślinę i przemówiła:

- Nie idę na uniwersytet w Yale.

Robert zerwał się z krzesła i cisnął zmiętą serwetkę na talerz.

- Co? Jak to? Co znaczy, nie idę na Yale?

- Napisałam tam. Chcę wstąpić na uczelnię w Tulane.

Mój Boże! Robert dostanie wylewu, pomyślała Lynn, czując, jak do twarzy napływa jej krew. Widziała, jak pulsują żyły na jego skroniach, i położyła mu dłoń na ramieniu, aby go ostrzec.

- Tulane? Dlaczego? Oczywiście, wolisz klimat Południa, prawda? Oczywiście, chodzi tylko o to. - I z kpiącą kurtuazją wykonał ukłon.

Emily odpowiedziała spokojnie:

- Nie, tato. Dlatego, że Harris dostał tam stypendium. - I spojrziała ojcu prosto w oczy.

Robert wpatrywał się w nią ze zdumieniem. Dwie pary nieruchomych oczu starły się ze sobą i Lynn spojrziała na córkę, przestraszona, lecz stanowczą, a potem na rozwścieczonego męża i znowu na córkę. Jak ona może robić im coś takiego? Dała matce słowo. Jak może robić to sobie samej? Po tym wszystkim, co zostało powiedziane, po wszystkich rozsądnych wyjaśnieniach, miłych, czułych radach; czy to wszystko tylko weszło jednym uchem i wyszło drugim?

Emily, zupełnie jakby czytając w myślach Lynn, powiedziała:

- Nie okłamywałam cię, bo pewnie to sobie wyobrażasz. Od tamtej pory nie widziałam go ani razu. Rozmawialiśmy przez telefon. A o tym wiesz, mamó.

- Co?! - wrzasnął Robert. - Wiedziałaś, że kontaktowali się telefonicznie i pozwalałaś na to?

Jego gniew gwałtownie obrócił się przeciwko Lynn. Objęła rękami ramiona.

- Cóż, tak. Nie widziałam w tym niczego złego. - Jego oczy płonęły zimnym blaskiem, paliły jak lód. - Myślałam, chodzi mi o to...

- Wcale nie myślałaś i sama nie wiesz, o co ci chodzi. To po prostu jeszcze jeden przykład twojego niedorzecznego postępowania. Cała ta sprawa była chybiona od samego początku. Powinienem być zrobić tak, jak zamierzałem, wysłać ją do prywatnej szkoły.

- Szkoły bez telefonu?

- To także można było załatwić - stwierdził ponuro Robert. Chwycił zmiętoszoną serwetkę i z powrotem odrzucił na talerz. Gdyby to był jakiś twardy przedmiot, talerz rozprysnąłby się na kawałki. - Cholera, nie wiem, co robić, żeby sobie ze wszystkim poradzić. Tysiące spraw na mojej głowie, a teraz jeszcze to! Jeśli dostanę wylewu, będziecie sobie miały wiele do zarzucenia, obydwie. To wszystko...

- Nie. Nie wiń mamy - przerwała mu Emily. - To nieuczciwe. To wyłącznie moja wina. To moja decyzja. Tato, mam dziewiętnaście lat. Pozwól mi decydować o własnym życiu. Nie próbuję przeciwstawić się tobie, ja tylko chcę być szczęśliwa. Nie chcemy być osobno przez cztery lata. Nie, proszę, wysłuchaj mnie - mówiła w pośpiechu. - To, co się stało w zeszłym roku, więcej się nie powtórzy. Rozumiem, że tego się obawiasz. Będziemy bardzo ostrożni, będziemy tacy zapracowani, starając się o dobre oceny, że ograniczymy te sprawy do absolutnego minimum, a zresztą...

Robert ryknął:

- Nie chcę słuchać o twoim życiu seksualnym!

- Przez ostatni rok nie prowadziliśmy żadnego. Ja tylko chcę powiedzieć...

- Powiedziałem już, nie interesuje mnie to!

- To obrzydliwe! - krzyknęła Lynn.

Zamknęła oczy. Jacy jesteśmy paskudni, wszyscy troje. Zegar wybił pół godziny.

- Jezu Chryste! - krzyknął Robert. - Za piętnaście minut muszę być na stacji. Przy odrobinie szczęścia może stuknie mnie jakaś ciężarówka i będziecie miały wolną drogę do piekła.

Chwycił teczkę i przy drzwiach odwrócił się, by powiedzieć:

- Powiedziałaś, że napisałaś do Yale, prawda?

- Tak, zwolniłam swoje miejsce.

- Cóż. Pięknie. Powiem ci coś. Nie mam zamiaru opłacać twojej nauki nigdzie indziej. Czy to jasne, młoda damo? Masz do nich napisać albo zatelefonować, albo pojechać i naprawić to, co popsulaś. Albo w ogóle nie będziesz studiowała, nie będę wydawał moich uczciwie zarobionych pieniędzy na to, abyś ty spędzała noce z tym chłopakiem.

- My nie będziemy... Mówiłam ci... Obiecuję. Dotrzymałam mojej obietnicy, prawda? Gdybyś chciał mnie wysłuchać... - skarżyła się Emily.

- A ja ci powiedziałem: nie będę za ciebie płacił. Mam nadzieję, że to jasne. Jasne? Emily skinęła milcząco głową.

- W porządku. Nie trwoń twojej i mojej energii na ponowne prośby. Nie będę płacił. Ani grosza. Ot co. I to twoja własna zasługa. Teraz dajcie mi stąd wyjść.

Stały za swymi krzesłami jak zmrożone. Drzwi frontowe zamknęły się z hukiem, potem rozległ się motor samochodu i koła zazgrzytały na żwirze podjazdu.

Lynn usiadła, Emily zrobiła to samo. Trzeba było odbyć naradę, chociaż Lynn była zbyt podniecona i zbyt zbita z tropu, aby się do tego zabrać. Emily ze zwieszoną głową bawiła się sztuccami przy swoim nakryciu. Ich brzęk był nie do zniesienia i Lynn napomniała ją.

- Przestań. - A potem dodała już spokojniej: - Cóż, znowu udało ci się podłożyć w domu ogień, prawda?

Sprawy układały się fatalnie. Fatalnie.

- To przez tatę. On nie umie wybaczać - powiedziała Emily.

- Nie, on jest kompletnie załamany. Oto, jak jest. I nie szukaj wykrętów. Zrezygnować z Yale! Po wszystkich staraniach i nadziejach. Dlaczego nic nam nie powiedziałaś? Mogliśmy to omówić. To doprawdy... to niewybaczalne. Ufałam ci. Teraz stawiasz mnie w roli wariatki. Nie, co ja mówię? Nie mam zamiaru mówić tu o mnie i o twoim ojcu. Nie chodzi o nas. Ale co z tobą? Co z twoim życiem, ty szalona, szalona, kapryśna, bezmyślna dziewczyno?

- Nie wydaje mi się, że jestem szalona lub bezmyślna, mamó. - Ton jej był poważny i rozsądny; przeczył nie otartym łzom, które spływały spod zaczerwienionych powiek. - My chcemy się pobrać. Och, nie teraz. Wiemy, że na to jest o wiele za wcześnie. Ale taki mamy zamiar, mamó. Dlaczego nie powiedziałam nic, zanim

zrezygnowałam z Yale? Ponieważ wiem równie dobrze jak ty, że tata nie pozwoliłby mi zrobić tak, jak chciałam. On jest taki silny i ma swoje sposoby. Och, chciałabym, żeby nasza rodzina była taka jak rodzina Harrisa!

Jakie to bolesne! Przecież Lynn nie pragnęła niczego więcej prócz stworzenia szczęśliwej rodziny i szczęśliwego życia, które jej dzieci będą z wdzięcznością wspominały. A teraz ta dziewczyna o subtelnych uczuciach i delikatnej twarzy pragnie, aby jej rodzina była taka jak „rodzina Harrisa”.

- Tak? A jacy oni są? - spytała znużona.

- Cóż, powiedzieliśmy im, co do siebie czujemy. Nie byli może specjalnie zachwyceni, że chcemy być razem na uczelni, ale uważają, że jesteśmy już wystarczająco dorośli, aby samodzielnie dokonywać wyborów. Jego matka powiedziała, że raz już popełniliśmy błąd, więc prawdopodobnie uznamy to za ostrzeżenie, by nie popełnić go po raz drugi. I ona ma rację. Och, tobie się wydaje...

- Nie wiesz, co mi się wydaje - powiedziała Lynn z goryczą. A gorzko było stawać pomiędzy tymi nieprzyjaciółmi - córką i ojcem.

- Dobrze, tata myśli, że...

- Tak, spróbuj sobie wyobrazić, co on myśli. Tak ciężko na nas pracuje.

- On pracuje dla swojej własnej przyjemności, mamó. Według ciebie każdy, kto sprzeciwia się tacie jest winny, bo tata „tak ciężko pracuje”. Ojciec Harrisa także pracuje ciężko. Wydaje ci się, że życie policjanta jest łatwe? - powiedziała Emily szorstko. - I nie wyobrażaj sobie, że oni nie mogą się doczekać, kiedy Harris ożeni się ze mną. Nie jest im przyjemnie na myśl, że ich syn ma się wżenić do rodziny, która go nie chce. Są zadowoleni, że zdecydowaliśmy się poczekać. Ale rozumieją, że nie chcemy studiować oddzielnie. Czy to coś złego? Tak?

Tak, to paskudne, naprawdę paskudne, co ta sprytna dziewczyna wyprawia.

- To tylko teoretyczne rozważania - stwierdziła Lynn. - Ponieważ bez pieniędzy nie możesz iść ani do Tulane, ani nigdzie indziej. - Głos uwiązł jej w gardle i dokończyła z łkaniem. - Tak oto skończyła się uczelnia i studia medyczne. Wszystko. Ot tak, po prostu.

- Nie dasz mi ich, mamó?

- Czego? Pieniądzy? Nie mam.

- On naprawdę tak robi - powiedziała Emily, pytając i odpowiadając sobie jednocześnie.

- Wiesz, że nie da.

- Więc dasz mi, mamó, pieniądze? Nawet jeśli mnie nie popierasz?

- Powiedziałam ci już, że nie mam. Nie mam ani jednego własnego grosza.

- Ani grosza? Ani jednego? - powtórzyła Emily ze zdumieniem.

- Nigdy nie miałam. Twój ojciec daje mi wszystko, czego potrzebuję lub pragnę. Dziewczyna zastanowiła się. I Lynn, która doskonale знаła odcienie wyrazu jej twarzy, dostrzegła ponad wszelką wątpliwość niesmak, i poczuła się tym upokorzona.

- Może ciocia Helen. Przynajmniej za pierwszy semestr.

- Nie bądź głupia. Cioci Helen nie stać na to.

To nie była prawda. Ostatnio Darwin dobrze sobie radził, wystarczająco dobrze, aby kupić większy dom w ładniejszej dzielnicy podmiejskiej. Ale nie miała zamiaru prac własnych brudów przed Helen.

- Gdybym tylko miała dosyć na pierwszy semestr. Jestem pewna, że dostanę pożyczkę dla studentów. I znajdę pracę. Wezmę każdą, jaka się tylko nawinie.

- Niełatwo jest otrzymać pożyczkę. Gdy dowiedzą się, jakie twój ojciec ma dochody i pozycję, nigdy ci jej nie dadzą.

- Och, mamó, co ja mam robić?

- Gdybym była na twoim miejscu, wróciłabym do Yale i była wdzięczna.

- Ale widzisz... ja nie mogę! Jest już za późno. Oni już dali na moje miejsce kogoś z listy oczekujących.

Głupia, głupia dziewczyna... To miażdżące rozczarowanie, ta katastrofa sprawiła, że Lynn stała się nieustępliwa.

- Skoro spaliłaś za sobą mosty, sędzę, że sprawa jest beznadziejna. To koniec. Emily wstała.

- Więc nie masz mi nic więcej do powiedzenia.

- Co ci mogę powiedzieć? Z wyjątkiem tego, że - dodała, wiedząc, że to z jej strony okrucieństwo - właśnie wychodzę, aby odwiedzić umierającą kobietę. Możesz pójść ze mną, jeśli masz ochotę.

- Nie. Idę na górę do swego pokoju.

Lynn zakryła twarz rękami. Była wściekła na Emily, a jednak czuła, jak ból córki rani jej własne ciało. Chyba w końcu, pomyślała, przyjdzie mi czołgać się do stóp Helen. Będę musiała znieść jej pełne sarkazmu uwagi: „Co mówisz? Robert odmówił?” Musieli wykształcić swoje własne dzieci; jeden syn wybierał się na studia. Nowy dom na pewno nie został jeszcze spłacony. Darwinowi nie powodziło się aż tak dobrze... Myślała coraz sprawniej. Może, jeśli to będzie uczelnia, do której nie idzie Harris, Robert zechce za nią zapłacić. Ale nie, on nie zechce; całym sercem pragnął Yale dla swojej błyskotliwej córki. Robert nigdy nie zmieni zdania.

Wstała od stołu i podeszła do okna. Na zewnątrz Eudora, śpiewając, rozwieszała pranie. Eudora wierzyła, że białe rzeczy powinno się suszyć na słońcu. Bobby siedział w kojcu. Gdy przewracał się do tyłu, walczył dzielnie, aby usiąść na nowo. Sprawiał wrażenie dumnego z nowo osiągniętej umiejętności oglądania świata z innej pozycji. Eudora nachyliła się, aby z nim porozmawiać. Ta scena była pełna radości. Zdrowa. Życzliwy, dobry świat.

Wewnątrz domu tak nie było. Z dołu dostrzegła zamknięte drzwi do pokoju Emily i mogła sobie wyobrazić, że córka leży zrozpaczona na łóżku z twarzą wtuloną w poduszkę. Jakaś część Lynn wrywała się, aby pójść na górę i pocieszyć ją, pogłaskać po drżących ramionach. Słaba to pociecha! - krzyczała w niej ta druga część, która nadal pełna była złości.

Wzięła kluczyki od samochodu i wyruszyła do szpitala. Przeglądając się we wstecznym lusterku, ćwiczyła pełną rezerwy minę, jedyną, jaką można zaprezentować osobie cierpiącej - bo przecież nie łzy czy choćby powagę.

Jednak cała odwaga opuściła ją. Josie tego właśnie dnia była całkowicie przytomna. Bruce właśnie opowiadał jej coś o kocie, gdy Lynn przekroczyła próg.

- Jestem wściekła na samą siebie - zaczęła. - Jest straszliwy upał i przygotowałam dla ciebie sorbet ze świeżych malin. Wyglądał na chłodny i nawet pomyślałam, że ci będzie smakował, ale wychodząc zapomniałam go zabrać. Gdzie moja głowa...

- I postukała się dłonią po czole. Josie spojrzała pytająco.

- No więc? Co się zdarzyło? Przecież ty nigdy o niczym nie zapominasz, a szczególnie dla mnie. Co się stało?

- Och, nic takiego, naprawdę.

Ale nie potrafiła ukryć swego zmartwienia.

- Powiedz nam - namawiała Josie.

I Lynn opowiedziała. Gdy zakończyła, Bruce i Josie milczeli ponuro.

- Jest uparta, w porządku - powiedziała wreszcie Josie. - To godne podziwu. Lynn westchnęła.

- Tak, tak samo jak Robert.

- Nie - poprawiła ją Josie. - Jak ona sama.

Było jasne, że nie chciała widzieć w Emily podobieństwa do ojca. Lynn musiała go teraz jakoś bronić.

- Emily oszukała nas, utrzymując w przekonaniu, że między nią i Harrisem wszystko jest skończone. Okłamała nas.

- Nie przypominam sobie - zauważył spokojnie Bruce - aby kiedykolwiek powiedziała, że jest „skończone”. Powiedziała, że nie będzie się z nim widywać przez cały rok i nie widywała się.

- A więc kłamstwo przez pominięcie, czy tak?

- Gdyby ktoś powiedział ci, że masz trzymać się z dala od Roberta przez następne cztery lata i prawdopodobnie utracić go na zawsze, gdy byłaś o rok starsza niż Emily teraz, czy posłuchałabyś go? - zapytał Bruce.

Opuściła wzrok.

- Nie. - Odpowiedziała po chwili, a potem zebrała się w sobie i zaprotestowała.

- Ale to było inaczej. Robert był starszy. Był mężczyzną.

- Bzdura - powiedziała Josie. Mówiła z trudem, ale słowa brzmiały wyraźnie i ostro. - Bzdura. - Uniosła się na poduszkach. - Jeżeli kiedykolwiek widziałam prawdziwego mężczyznę, to jest nim młody Harris.

- Ale Yale! - lamentowała Lynn. - Zrezygnować z czegoś takiego! Robert został kompletnie zdruzgotany - wołała. - Nie rozumiecie tego?

- A Emily? - powiedziała Josie. - To kwestia hierarchii.

Bruce zmarszczył brwi, jak zawsze gdy coś go bardzo poruszyło, i przemówił:

- Tak, mogę zrozumieć Roberta. Ona powinna była powiedzieć wam, co zamierza, powinna być szczerą, a nie była. Emily bała się szczerości i to także należy zrozumieć.



- Pozostawiacie ją sam na sam z własnymi błędami - podjęła Josie. - Musi się teraz pozbierać zupełnie sama.

Krytykowali Lynn na swój łagodny sposób.

- To niezwykła dziewczyna - powiedziała Josie w przypiływie energii. - Robert doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Słyszałam, jak to powtarzał co najmniej tysiąc razy. Czy teraz chce jej wszystko odebrać, pozbawić ją szansy studiowania medycyny? Jeśli tak, będzie miał wątpliwą satysfakcję, będzie jej mógł oświadczyć: „A widzisz, nie mówiłem? Postąpiłaś źle i teraz za to płacisz, będziesz płaciła przez resztę życia”.

Jakże ona musiała nienawidzić Roberta! Nienawiść dodawała jej sił, aby to powiedzieć. Opadła wyczerpana na poduszki.

Z Lynn też stało się coś, co nie przytrafiło się jej nigdy dotąd: wyraziła słowami myśli, które nie powinny jej nawet przyjść do głowy. Usłyszała samą siebie wypowiadającą bez urazy:

- Zawsze pogardzałaś Robertem.

- Tak - odpowiedziała z prostotą. - Zawsze. - I zamknęła oczy.

Lynn czuła się tak, jakby miała zemdleć. To chyba ten przytłaczający zapach gardenii w wazonie na parapecie okna. Josie nie powiedziałaaby tego, gdyby nie ból i lekarstwa. Bruce potrząsnął głową i wyszeptał bezdzźwięcznie, samymi tylko ustami:

- To przez lekarstwa.

- Pozwól jej jechać do Tulane - powiedziała Josie słabym głosem.

Musieli nachylić się ku niej. Nie mieli pewności, że dobrze ją słyszą. Lynn pogłaskała ją po rozpalonym czole i odgarnęła zmierzwione włosy.

- Co powiedziałaś, kochanie? - zapytał Bruce.

- Niech jedzie. Ma do tego całkowite prawo. - Josie oddychała z trudem. - Dobra dziewczyna... kobieta... Puść ją, niech jedzie... Trzeba jej... Weź dla niej moje pieniądze.

Lynn walczyła ze łzami.

- Nie, kochanie. Nie możemy tego zrobić. Jesteś aniołem, lecz nie możemy tego zrobić.

- Tak. Tak chcę! - Josie zacisnęła dłonie w przypiływie bólu. - Bruce, wysłuchaj mnie.

- Słucham cię, najdroższa. Zrobimy tak, jak powiedziałaś. Obiecuję, że dam Emily tyle, ile jest jej potrzebne. Dostanie ode mnie.

- Nie - wydyszała Josie. - Moje... Załatwcie to u notariusza... Nie na twoje nazwisko... Nie chcę, żebyś był w to zamieszany... To ci może zaszkodzić... w biurze. Nie ty.

Bruce bezradnie zwrócił się do Lynn.

- Jej chodzi o to, że nie powinienem się wtrącać, bo to jeszcze skomplikuje moje stosunki z Robertem. Tak, rozumiem. I to będzie trudne także dla ciebie. Lynn, czy pozwolisz, że wezmę pieniądze z konta Josie na potrzeby Emily? Pozwolisz?

Lynn skinęła głową pełna sprzecznych uczuć. Czowała zakłopotanie i niepokój o Josie, a jednocześnie zdawało jej się, że tak będzie dobrze.

Wychodząc natknęła się na nadbiegającą pielęgniarzkę i usłyszała pełen niepokoju głos Josie powtarzający:

- Puść ją. Niech jedzie!

Robert został całkowicie pobity. Emily z zapuchniętymi oczami, na pół chora, zabrała do swego pokoju miskę mleka z płatkami. Lynn pozostała sama na sam z mężem. Siedzieli w milczeniu, prawie nie tknąwszy jedzenia.

Tylko raz jęknął.

- Zrujnowała sobie życie. Kompletnie zrujnowała.

- Czy zgodziłbyś się na jakąś inną uczelnię? - spytała Lynn.

- Nie. Może za rok lub dwa lata. Zobaczymy. Musi mieć nauczkę. Rodziców należy słuchać. Ot co.

Ojciec Lynn miał głowę pełną starych przysłów: „Sztywne drzewo złamie się na wietrze, a giętkie przygnie się tylko i wyprostuje”. Miała ochotę powiedzieć je Robertowi, aby go pocieszyć i ostrzec, ale wiedziała, że tego wieczoru nie odniosłoby to żadnego skutku. Poczekała więc, aż zaśnie, i poszła do Emily.

Emily rozplakała się, gdy Lynn powiedziała jej o zamiarach Josie. Płakała ze szczęścia i wdzięczności. A jednak wahała się.

- Czy tata wie?

- Nie miałam serca, żeby powiedzieć mu o tym dziś wieczór.

- Serca?

- Siły. Powinam była powiedzieć - siły. Będzie bardzo, bardzo zły. Spojrzały po sobie. I Lynn dodała szczerze:

- Ja także byłam zła. Wiesz o tym. To Josie i Bruce, zwłaszcza Josie... - Nie była w stanie dokończyć.

- Ja wiem, mam. Rozumiem.

- Naprawdę, Emily?
- Bardziej, niż ci się wydaje.

Ranek rozpoczął się okropnie. Lynn przygotowywała w kuchni kawę i sok pomarańczowy. Chodziła na paluszkach, gospodarowała nie powodując żadnych odgłosów, aby Robert pospał jak najdłużej i jak najpóźniej ukazał się w kuchni. Chciała odwlec chwilę rozmowy.

Emily zeszła na dół na paluszkach i odezwała się szeptem:

- Telefonował wujek Bruce. Muszę pędzić z rachunkiem uczelni i wziąć czek, zanim on wyjdzie z domu do szpitala. Oni są dla mnie tacy dobrzy, mamó! Nie wiem, dlaczego robią to dla mnie.

- Dlatego, że cię kochają. - A potem dodała: - I ufają ci.

- A ty? Ty także masz do mnie zaufanie?

- Jesteś wystarczająco dorosła, aby mieć do siebie zaufanie. Więc ja także będę ci ufać.

- Nie pożałujesz tego, mamó. Przekonasz się. I oddam wszystko co do grosza. Nie wiem, kiedy, ale oddam.

Taka młoda i taka pewna siebie! Cóż, świat nie zaszedłby daleko, gdyby młodzi nie byli pewni siebie w wieku dziewiętnastu lat. I poczuła ból w sercu na myśl o odwadze i młodości Emily.

- Gdybym miała swoje własne pieniądze, zrobiłabym dla ciebie wszystko. Wiesz o tym, Emily. O, chciałabym mieć swoje własne pieniądze! Ale... - Zamilkła, nie dokończywszy zdania. Pomyślała tylko: Twój tata nigdy nie dawał mi pieniędzy, mówił, że to niepotrzebne, bo daje mi, cokolwiek zechcę, to prawda, ale traktował mnie jak dziecko, kretyna. Cholera...

Wciągnęła głęboko powietrze i powiedziała głośno:

- Lepiej już idź, żeby Bruce nie musiał czekać.

- Emily wychodzi? - zapytał Robert, wchodząc do kuchni. - Słyszałem, że przed chwilą dzwonił u niej telefon. To ten młody łajdak, prawda?

- Nie. Dzwonił Bruce. Josie opłaci studia Emily w Tulane - powiedziała i czekała na wybuch.

Robert usiadł.

- Chyba nie mówisz tego poważnie. Może powinnaś to powtórzyć.

- Gdy byłam w szpitalu, opowiedziałam im o Emily. Josie nie mogła znieść... - musiała uważać, aby nie mieszać w to Bruce 'a. -

...Josie nie mogła znieść, że Emily ma stracić cały rok, i zaoferowała, to znaczy uparła się, że zapłaci.

Robert zacisnął pięść.

- Ta przeklęta kobieta! Ta przeklęta, wtrącająca się w nie swoje sprawy czarownica! Zorientowałem się, co to za numer, od razu, gdy ją ujrzałem. I ty wiesz o tym. - Grzmotnął pięścią w stół, aż zadźwięczały puste naczynia. - Chętnie rozwaliłbym sobie na niej tę pięść. Mam nadzieję, że szczerze. Chciałbym, żeby powiedziała mi prosto w oczy, jak śmie zajmować się sprawami mojej rodziny.

- Ona umiera. Z trudem mówi.

- Z trudem? Więc kto obmyślił ten spisek? To musiał być Bruce.

- Nie. To pomysł Josie. Prosiła go, bo on może wstąpić do notariusza i wypisać czek, a on po prostu wyraził zgodę. To był jej pomysł, a nie jego. Ona bardzo tego pragnie - broniła Bruce'a Lynn.

- Nie wierzę, że to wyłącznie jej pomysł. Do diabła, on także maczał w tym palce!

I ty także. Mogłaś się temu przeciwstawić. Jesteś matką, prawda? Mogłaś odmówić, jeśli masz choć trochę szacunku dla osądu swego męża, dla tego, co on sobie życzy. Stanowczo odmówić. Cóż, powiedz coś. Dlaczego nie odmówiłaś?

- Ponieważ wydawało mi się, że być może jesteśmy zbyt surowi. W końcu chodzi o życie Emily - powiedziała z rozpaczą. - Jej życie.

- Boże, jestem przeklęty! Moja żona, moja córka, wy wszyscy. Jedyny człowiek, który jeszcze nie sprawił mi zawodu, to mój syn. A kto wie, czy nie zwróci się przeciwko mnie, gdy nadejdzie czas? - Robert zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że zrzucił czajnik z kawą, który tłukąc się zalał podłogę. Juliet, śpiąca pod stołem, wybiegła z podkulonym ogonem. - Cóż za upokorzenie! Pomyśl tylko o tym: ten słabeusz, to zaprzeczenie męczyzny, przychodzi do mego domu i robi swoje. Jeszcze trochę, a zaczniesz sypiać z moją własną żoną.

- To oburzające, Robercie. Wyobraź sobie, że nie mam najmniejszej ochoty sypiać z Bruce'em. Ale byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdybyś posiadał niektóre jego zalety.

- Jego zalety! Masz czelność twierdzić, że lepiej byłoby dla rodziny, gdybym był podobny do niego?

- Tak. I dla ciebie także.

Oczy Roberta płonęły. Wciągnął głęboko powietrze, zrobił długi krok i uderzył ją w twarz. Stała przy ścianie, więc nie miała miejsca,

aby się uchylić przed ciosem, mogła się tylko odwrócić. Jego otwarta dłoń uderzyła mocno w jeden policzek, a potem w drugi, i tak na przemian. Jego ślubna obrączka zadrasnęła skórę Lynn. Uderzyła głową w ścianę i krzyknęła. Pies skomląc uciekł do kuchni. Trzasnęła furtka. Eudora otwierała kluczem kuchenne drzwi. Ukazała się jej twarz. Robert uciekł. Lynn także uciekła...

Pakując swoją aktówkę mamrotał:

- Doskonała forma, w sam raz na jazdę koleją. Uśmiechaj się na powitanie, czytaj gazetę, zachowuj się jak wszyscy inni ludzie. Po takiej scenie. Tak, w sam raz na podróż. - Powtarzał jeszcze, gdy zamykał za sobą frontowe drzwi.

Lynn łkała, leżąc na sofie w gabinecie. Bolało, ale nie dlatego płakała. Wcale nie dlatego. W głowie rozjaśniło jej się nagle. Tak nagle, że aż poczuła gorąco i ból. Bo tym razem jego atak był inny niż dotychczasowe. Położył kres wszelkim przeprosinom i zwodzeniom, próbom załagodzenia, które sprawiały, że wspólne życie nadal było znośne. Eudora na pewno widziała i teraz wiedziała już. To właśnie sprawiało, że duma Lynn cierpiała. Nareszcie zrozumiała. Cierpiała jej duma lub cokolwiek to było, ta jej część, która nie składała się z krwi i kości.

Leżała więc i płakała, i starała się myśleć.

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Pani Ferguson? Nic pani nie jest? Czy coś się stało? - pytała Eudora.

- Dziękuję. Nic mi nie jest.

Drzwi otworzyły się i Lynn została ujawniona w całym swoim nieszczęściu, z zapłakanymi oczami. Musiała usiąść i udawać, że wszystko jest w porządku.

- Jestem zdenerwowana - wyjaśniła. - Płakałam z powodu pani... mojej przyjaciółki Josie.

- Oczywiście, to bardzo smutne. - Twarz Eudory miała łagodny wyraz... Eudora w ogóle była łagodną i miłą kobietą... ale jej oczy mówiły także: „Znam prawdę, ale dla pani dobra będę udawać, że nic nie wiem”.

Mimo że taka miła, na pewno obgada ją przed innymi pracodawczyniami. Taka jest ludzka natura. Historia była zbyt smakowita, by ją przemilczeć. Będzie głośno w klubie. Ludzie będą szeptać poza plecami Lynn. Szeptać.

Chodziła po pokoju. Spojrzała na srogą twarz Roberta w srebrnej ramie. Spojrzała na swoją własną łagodną, dziecinną buzię, rozmarzone oczy pod jasnymi lokami i ślubnym welonem ozdobionym konwaliami.

- Odejdę od niego - powiedziała głośno. I dźwięk tych przerażających słów, tych słów nie do pomyślenia, sprawił, że zatrzymała się i poczuła chłód przenikający jej ciało.

Eudora, śpiewając, zносиła Bobby'ego po schodach.

- Duży, gruby chłopczyk. Piękny, gruby, tłusty chłopczyk. Chłopczyk Eudory. Mój ty piękny...

Weszli do kuchni. Lynn stała nasłuchując, pytając sama siebie: He jeszcze będę musiała znieść? Ile jeszcze wytrzymam? Nie wolno mi tracić głowy. Czy rzeczywiście uda mi się to zrobić?

- Piękny, grubutki chłopczyk...

Josie umiera. Emily wyjedzie. Nie wszystko naraz. O to chodzi. Nie wszystko naraz. Poszła do kuchni, stanęła w pełnym świetle tuż przy oknie i spytała z niepokojem:

- Czy dobrze wyglądam, Eudoro? Nie chcę, żeby Josie poznała, że płakałam z jej powodu.

Eudora przyjrzała się.

- Wygląda pani dobrze. Przydałoby się trochę pudru. U góry. Na lewym policzku - wyjaśniła taktownie.

W szpitalu powitał ją zapach środków dezynfekcyjnych i nerwowa krzątanina. Tyle się tutaj wydarzyło. W krótkim czasie, na tej małej przestrzeni: noc, kiedy przyjechali przerażeni stanem Emily, ulewny ranek, gdy przyszedł na świat Bobby, a teraz Josie na wysokim łóżku, z wynędzniałymi dłońmi. Obrączkę trzeba było przymocować, aby nie zsunęła się z palca.

Bruce wstał z krzesła.

- Wczoraj zapadła w śpiączkę - odpowiedział na nieme pytanie Lynn. Patrząc na niego, Lynn czuła ból w sercu. Te wszystkie oklepane komunały okazały się prawdziwe; czuła na piersi ciężar i serce jej krwawiło.

- Dlaczego? Dlaczego? - zapytała.

Potrząsnął tylko głową i usiedli po obu stronach łóżka Josie, która leżała pogrążona w spokojnym śnie. Z jej twarzy zniknęła wszelka męka i cierpienie.

Siedzieli tak długo, do pokoju zajrzało jasne słońce południa. Ktoś spuścił zasłony i zapanował zielonkawy mrok. Wreszcie zrobiło się zbyt ciemno, trzeba było podnieść zasłony i wpuścić do pokoju łagodne światło popołudnia.

Przyszedł lekarz, powiedział coś Bruce'owi, a potem zwrócił się do nich obojga:

- Tak może trwać jeszcze wiele dni, ale nie musi. Nie wiadomo. W każdym razie nie ma żadnego sensu tkwienie tu przez całą dobę. Powinien pan pójść do domu, Bruce. Dziś w nocy, jak mi powiedziano, siedział pan do trzeciej rano. Proszę iść do domu.

Wychodząc ze szpitala, wmieszali się w inny świat. Jeździły samochody, świeciło słońce, małe dziewczynki grały w klasy, zamyślane pary spacerowały liżąc lody.

- Czy możesz mnie podwieźć do domu? - zapytał Bruce. - Mój samochód jest w naprawie. Wczoraj w nocy udało mi się złapać taksówkę.

- Oczywiście.

Rozmawiali o błahych sprawach, dopóki Lynn nie zmusiła się, aby powiedzieć coś o Emily.

- Jak mam ci dziękować? Jak się dziękuje komuś, kto uratował tonącego, kto przywrócił wzrok niewidomemu? Jak to wyrazić słowami?

- A jak ja mam ci dziękować za twoje wsparcie duchowe? Nie trzeba słów, Lynn. Lynn pogrążona w smutku prowadziła samochód bezmyślnie, jakby to był dobrze wyszkolony, znający na pamięć drogę koń.

- Znamy się kawał czasu - powiedział nagle Bruce. - Osiemnaście lat. Emily była niemowlęciem. - Położył dłoń na rękę Lynn. - Nie martw się o nią. Czuję, że doskonale sobie poradzi.

- Może. Ale wiesz - powiedziała ze smutkiem - cieszę się, że pojedzie na uczelnię. Nigdy nie myślałam, że powiem coś takiego.

Zatrzymała samochód przed domem Bruce'a. Spojrzał na nią i powiedział szybko.

- Chyba nie chcesz teraz wracać do domu. Wejdz, porozmawiamy.

- Nie. Nie chcę zaprzętać cię moimi kłopotami. Masz swoje własne, o wiele większe.

- Powiedzmy, że to ja nie chcę zostać sam.

- W takim razie wejdę.

Dom, chociaż wysprzątny, wyglądał jak opuszczony, bo zabrakło w nim kobiety. Zasłony, które opuszczono na noc, nadal były zaciągnięte. Filodendron na kominku zżółkł. Lynn zadrżała i odsłoniła okna.

We wnęce stały cenne gardenie Josie, które przy przeprowadzce wiozła ze sobą kawał drogi. Zawsze bardzo o nie dbała.

- Gardenie potrzebują wody - powiedziała Lynn. - Szkoda byłoby je zmarnować. Głupia uwaga. Co obchodzi tego mężczyznę, czy rośliny przetrwają? Lecz ona czuła niepokój i znajdowała ulgę w codziennej krzątaniu.

- Bruce, widzę kilka mszyc. Potrzebne mi są waciki i trochę alkoholu. Gdzie Josie trzyma takie rzeczy?

- Przyniosę ci.

Nastąpiła nerwowa wymiana banalnych zdań.

- Bardzo trudno jest się ich pozbyć - stwierdziła Lynn, pocierając każdy listek po kolei.

- Josie mówiła mi o tym.

- To jej ulubiona roślina. Cud, że przeżyła przeprowadzkę.

- Ona mówi to samo.

- Ja nigdy nie miałam szczęścia do gardenii. Josie ma dobrą rękę do roślin.

- To prawda.

Stali we wnęce, Lynn czyściła listek po listku. Z wierzchu i od spodu. Wyglądali na podwórko, gdzie do karmnika zleciały się gołębie.

- Widzisz tego? - pokazał Bruce. - Białego. To jej ulubieniec. Ona twierdzi, że ją rozpoznaje.

Ledwie widzi tego ptaka - pomyślała Lynn - takie ma zapuchnięte oczy.

- Mam ochotę na brandy - powiedział, chociaż zwykle nie pijał nawet wina. - A ty?

Uśmiechnęła się blado.

- Nie zaszkodzi mi.

Usiedli po obu stronach kominka. Lynn na sofie, Bruce na fotelu. Zdjął okulary; nie pamiętała go bez okularów i przyszło jej do głowy, że może nigdy przedtem nie przyjrzała mu się. Okulary nadawały mu wygląd cokolwiek dobroduszny. Prostota mężczyzny, którego obraz



nosiła pod, powiekami, zniknęła. Ten mężczyzna miał gorzki wyraz twarzy.

Pochwycił jej badawcze spojrzenie.

- O co chodzi? - zapytał. Wydusiła z siebie z trudem:

- Tak ci współczuję. Serce mi krwawi.

- Nie. Współczuj jej. Ona miała tyle do ofiarowania. Każdy, kto ją naprawdę znał... A teraz jej krótkie życie dobiega końca. Współczuj jej.

- O, Boże! Współczuję jej, Ale ona niepokoi się o ciebie, Bruce. Mówiła mi. Boi się zostawić cię samego.

- O ciebie też się martwi.

- Nie ma najmniejszej potrzeby - powiedziała Lynn. Chciała sprawiać wrażenie dzielnej. I być dzielną.

Nie odpowiedział. Być może wzajemne usytuowanie mebli i kominka oraz napięcie i smutek przypomniały Lynn ten dzień, gdy Bruce przywiózł do domu Annie. Powiedziała mu:

- Zawsze mogłam na ciebie liczyć w potrzebie. Wiem, że rozmawiałaś wtedy z dziewczynkami, gdy zostaliście sami w pokoju.

- Ja tylko próbowałem coś naprawić, znaleźć sposób, żebyście razem przetrwali. Obracał kieliszek w palcach. Przechylał go i przyglądał się małej bursztynowej kropli. A potem zapytał nagle:

- Czy to się na coś zdało?

Lynn opuściła odwaga. Załamała się. Zobaczyła samą siebie, wciśniętą w ścianę, taką małą i słabą, zupełnie nieważną w obliczu wściekłości Roberta. Nikt nigdy nie może się o tym dowiedzieć.

Bruce przyglądał jej się z powagą, niemal surowo. Powtórzył pytanie.

- Zdało się na coś?

Odpowiedziała słabym głosem:

- Tak, ale teraz z powodu Emily on...

Do pokoju wszedł kot, wspaniały, biały kot Josie; owinał się dookoła stopy Bruce'a i, ku wdzięczności Lynn, rozładował nieco atmosferę.

Bruce pogłaskał kota i spojrzał na Lynn.

- Co on zrobił?

- Był zupełnie... zupełnie rozwścieczony. On... - Załamała się zupełnie. Nie mogła mówić.

- Uderzył cię, prawda? Dziś rano, zanim przyszedłaś do szpitala. Wpatrywała się w niego.

- Droga Lynn, czy ty naprawdę myślisz, że my o niczym nie wiemy? I to od bardzo dawna. Ten dzień w Chicago i wcześniej. Wiedzieliśmy obydwój. Och, przy pierwszych podejrzaniach powiedzieliśmy sobie, że to pomyłka. Trudno sobie wyobrazić, że Robert używa przeciwko tobie siły fizycznej; zawsze jest taki chłodny i uprzejmy, lecz widać, że wewnątrz kipi z wściekłości. Trudno sobie wyobrazić, że zachowuje się tak pospolicie i używa siły.

Bruce roześmiał się gorzko. A Lynn tylko wpatrywała się w niego.

- Pamiętam, jak spotkaliśmy się po raz pierwszy. Zostaliśmy zaproszeni do was do domu. Przygotowałaś wspaniałą kolację, kurczaka w winie. Nigdy przedtem nie jedliśmy czegoś takiego, chociaż wtedy było to modne danie. Byłaś taka ufna! Obydwój z Josie pomyśleliśmy to samo. Jak patrzyłaś na Roberta! Co ja właściwie chcę powiedzieć? Płaczę się. Trudno jest wyrazić to, co mam na myśli. Josie i ja, my jesteśmy... jak ci to powiedzieć... równi w naszym małżeństwie. A ty wydawałaś się taka czuła w stosunku do niego, było w tobie tyle miłości. Nawet teraz w stosunku do tej rośliny.

- Ale w nim też jest miłość - powiedziała. - Ty tego nie wiesz. Kochałam go tak bardzo. Ty nie wiesz... a może domyślałaś się, jak dobry był dla mnie po tym, jak dopuściłam do tego, że Caroline umarła. Nigdy mnie nie oskarżał, chociaż każdy inny...

- Stop. Zatrzymaj się właśnie tutaj. Każdy inny powiedziałby, że to wypadek. Wypadki się zdarzają. Dziecko wybiega na ulicę. Dorosły potyka się i spada ze schodów na naszych oczach. Nie jesteśmy nieomylni. A co się tyczy nieoskarżania ciebie... ach Lynn, przyznaj sama, że na tysiące sposobów dał ci do zrozumienia, że to twoja wina, ale on - on wspaniałomyślny - przebacza ci! Brednie, Lynn, bzdury. Przestań się oskarżać. To nie ty zabiłaś Caroline!

Bruce wpadł w zapał. Mówił tak, jakby cały jego smutek, rozpacz, gniew na los, który odbierał mu Josie, próbowały znaleźć sobie ujście.

- Może kiedyś pożałuję, że mówię do ciebie w ten sposób, ale teraz żałuję tylko, że nie powiedziałem ci o wiele wcześniej. Tylko że

dawniej nie chciałabyś mnie wysłuchać, a wreszcie znienawidziłabyś mnie.

- Nie - powiedziała szczerze. - Nie mogłabym cię znienawidzić. Nigdy, nie ciebie.

Bo było w nim coś, co zawsze ją wzruszało do głębi serca: otwartość, prostota, energia mężczyzny, który jest zdrowy na ciele i umyśle.

- Tego dnia, gdy przyszedł do nas - ciągnął. - ...Tego ranka, gdy powiedział nam, że spadł na żywopłot, czy naprawdę sądził, że nie wiemy, co się stało? Tom Lawrence opowiedział nam o kolacji u niego w domu i o tym, co zastał, gdy następnego dnia odwiózł ci torebkę. Och, nie przejmuj się! - Podniósł rękę. - Tom nigdy nie rozpowiada takich rzeczy. Jest na to zbyt uczciwy. Martwił się tylko, że miałaś kłopoty.

Lynn ukryła twarz w dłoniach. A on ciągnął nieustępliwie.

- Gdy przyszedł powiedzieć nam, że jesteś w ciąży, nie mogliśmy uwierzyć, że zechcesz się z nim tak wiązać. Josie omal się nie rozchorowała.

- Dlaczego mi to robisz, Bruce? - przerwała mu.

- Nie wiem. Chyba mam nadzieję, że zaczniesz myśleć.

- O mój Boże, o mój Boże! - zapłakała.

Bruce zeskoczył z fotela, usiadł przy niej na sofie i chwycił za obie ręce.

- Och, Lynn, zraniłem cię. Przebacz mi, jestem niezręczny, ale chciałem dobrze Myślisz, że nie cieszę się, że masz Bobby'ego? Nie to chciałem powiedzieć.

Jej dzidzius. Jej mały syneček. Najchętniej uciekłyby. Ale w rozpaczy odwróciła się i położyła głowę na ramieniu Bruce'a.

- Tak, uderzył mnie dziś rano. Pokłóciliśmy się na temat Emily i Robert wpadł w furję.

- Tak mi przykro, tak przykro. Biedna, mała Lynn.

- To nie twarz mnie bolała. Poczułam się, czuję się jak śmieć. Jak zero. Rozumiesz? Jak nic.

Jego duże dłonie łagodnie głaskały plecy Lynn.

- Tak - wyszeptał. - Rozumiem.

- Może nie potrafisz. Między tobą i Josie jest zupełnie inaczej.

- Tak. Tak.

Jego głos był jak echo, dochodził z daleka, jakby oderwany od ciepłego, pełnego życia ramienia, do którego przywarła Lynn, od ciepłej dłoni, która głaskała jej głowę.

- Dziś rano znienawidziłam go - wyszeptała. - Jego paskudny charakter. Ale nadal go kocham. Czy to nie szaleństwo? Dlaczego nie wiem, co mam robić? Dlaczego życie jest takie okropnie trudne?

Uniosła głowę i spojrzała na jego dobrą twarz, na której w ciągu tego lata pojawiły się głębokie bruzdy. Wydało jej się, że oni dwoje są najniezwyklejszymi ludźmi na świecie.

Odgarnął grzywkę i gładził jej czoło, powtarzając ze słabym uśmiechem.

- Jesteś taka dobra. Taka słodka. Nie poddawaj się. Nie rozpaczaj.

- Nie bądź dla mnie taki miły, proszę. To nie do zniesienia.

A jednak bardzo potrzebowała dobroci i obejmujących ją ramion, ludzkiego ciepła! Odruchowo zarzuciła mu ręce na szyję; przytulił ją do siebie, przywarła do jego serca. Czuła pociechę...

Tulili się do siebie, każde pogrążone w swoim smutku. Milczeli. Czuli wspólny rytm oddechów i uderzenia serc.

W pokoju panowała cisza. Z podwórka dobiegało gruchanie gołębi, spokojny dźwięk beztrudnego życia. Gdzieś w domu odezwał się zegar. Wybił pół godziny. Powietrze dźwięczało melodyjnie. Nie poruszyli się. Tulili się do siebie, szukając pocieszenia.

A potem, po trochu ich ciała zaczęły reagować. Ręka Bruce'a poruszyła się łagodnie, może nieświadomie, wzdłuż pleców Lynn. Był to czuły, pieśczośliwy dotyk, delikatna pieśczołota; Lynn poczuła, jak wzdłuż jej nerwów przechodzi miły dreszcz. Po pewnym czasie - nie umiałyby powiedzieć, jak długo to trwało - gdzieś w głębi poczuła znajome ciepło. Wiedziała, że on czuje to samo.

Wydawało jej się, że znajduje się gdzieś poza sobą, Lynn Ferguson, i z ciekawością obserwuje samą siebie, jak na filmie w zwolnionym tempie.

Film nabierał prędkości. Aktorzy poruszali się, jego usta na jej karku, jego palce rozpinające bluzkę, jej spódnica opadająca na podłogę jak żółty strzep. Nie odzywali się. Przestała myśleć. On także przestał myśleć. Zrozpaczeni i wygłodniali śpieszyli się; aż zapadli w siebie, nastąpiło całkowite połączenie...

Obudziła się, czując, że ktoś nią łagodnie potrząsa. Zdumiona, zdezorientowana nie poznawała, gdzie się znajduje, zrozumiała dopiero po chwili. Gdy myślała o tym później, zdawała sobie sprawę, że wtedy nie przejmowała się niczym; zniknęło napięcie, była normalna. Ale ta chwila minęła, przypomniała sobie, co się zdarzyło, wiedziała, że po tym, co się stało, usnęła w ramionach mężczyzny, tak jakby znajdowała się na swoim miejscu. Przestraszona spojrzała w jego oczy i zobaczyła w nich odbicie swego własnego przerażenia.

On już się ubrał, ale ona nadal leżała naga, przykryta pledem, który na nią zarzucił. Widziała, jak Josie dziergała ten pled przez długie wieczory i deszczowe popołudnia. Prawym ścięciem, lewym ścięciem, różowy, kremowy i zielony.

- Muszę wracać do szpitala - powiedział ze znużeniem.

- Nie masz samochodu - odrzekła.

- Odstawili go już z zakładu.

Ten dialog nie miał sensu. Był surrealistyczny.

- O, Boże! - jęknęła Lynn. Odwrócił się i wychodząc powiedział:

- Ubierz się. - I zostawił ją samą w pokoju.

Ubierała się drżącymi rękami. Czowała narastające mdłości. Na przeciwległej ścianie wisiało lustro, jeden z antyków Bruce'a. Jego nierówna, falista powierzchnia zniekształcała twarz Lynn. To wstrętne zniekształcenie zdawało się do niej pasować. Zatrzymała się przed lustrem. Wstrętne. Paskudne. Oto jaka jestem. Ja, Lynn, zrobiłam to, podczas gdy ona leży umierająca. Ja, Lynn.

A Robert powiedział: „Przysięgam na zdrowie i życie naszych dzieci, że nigdy cię nie zdradziłem”. Nie przysięgałby tak, gdyby to nie była prawda. Jakikolwiek był, nigdy nie kłamał.

Oczekiwała, że Bruce będzie się spieszył, lecz wrócił do pokoju i usiadł w fotelu naprzeciw sofy. Ona usiadła także, staranna, wymuskana Lynn Ferguson z obolałym żołądkiem i zeszywniałym karkiem. Stopy oparła równiutko o podłogę. Czekala, co powie.

Zaczynał i milkł parę razy. Wreszcie wydusił z siebie.

- Wydaje mi się, że musimy zapomnieć o tym, co zaszło, wyrzucić to na zawsze z naszej pamięci. To było ludzkie... Obydwoje żyjemy w straszliwym napięciu.

- Tak - odpowiedziała, wpatrując się we własne stopy; miła kobieta z przedmieścia w lakierowanych białych - brązowych sandałkach.

Znów się odezwał.

- Że też coś takiego mogło się wydarzyć... nie rozumiem... moja Josie... tak bardzo ją kocham.

- Tak mi wstyd - wyszeptała patrząc nie na Bruce'a, lecz na białego kota.

- Zapomnijmy o tym - powtórzył. - Trzeba spróbować zapomnieć. Ale najpierw muszę cię przeprosić.

Wzruszyła lekko ramionami i boleśnie zmarszczyła brwi, jakby chciała powiedzieć: Nie trzeba, jestem tak samo winna.

- I jeszcze coś: Nie powinienem nigdy mówić tego o Robercie i zmuszać cię do odpowiedzi.

- Nie szkodzi. Powiedziałeś prawdę.

- Mimo to będziesz żałować, że mi przyznałaś rację. Znam cię, Lynn. Znam cię bardzo dobrze.

- Nie, wyznałam to tylko tobie, a tobie ufam.

Włożył okulary i stał się na nowo dawnym Bruce'em, którego tak dobrze znała, przyjacielem, niemal bratem. Powiedział:

- Może robisz błąd.

- Jaki? Że ci ufam?

- O, Boże, Lynn, nie. Chodzi mi o to, że może robisz błąd, nie mówiąc o tym nikomu.

- Na przykład komu?

- Cóż, kiedyś powiedziałbym, nawet powiedziałem, doradcy. A teraz powiem: Tomowi Lawrence'owi.

Prosić Toma o poradę, o pomoc? I przypomniała sobie scenę na basenie klubowym, upokorzenie i to, że go zaprosiła na swoje własne złote gody.

- Prawnika? Nie.

- On jest nie tylko prawnikiem. On by się naprawdę zatroszczył. On cię podziwia. Uwierz mi. Wiem o tym.

On także uważa mnie za kobietę z zeszłego stulecia, anachronizm, częściowo czarujący, a częściowo bezsensowny. Bez wątplenia właśnie to we mnie go interesuje, tylko dlatego, że to mnie różni od tych niezależnych, bezceremonialnych kobiet, zaproszonych owej nocy na przyjęcie. Gdyby wiedział, co przed chwilą zrobiłam w tym pokoju, śmiałyby się ze zdumienia. „Żartujesz sobie ze mnie”, powiedziałby. Mogła sobie wyobrazić, jak to mówi i jak wokół jasnych, błyszczących oczu robią mu się zmarszczki. Pomyślała: A

gdyby dowiedział się Robert? I poczuła takie przerażenie, jakby nocą utkwiała gdzieś samotnie w samochodzie albo jak gdyby będąc sama w domu, usłyszała o północy kroki na schodach.

Wstała i otrząsnęła się z tego przerażenia.

- Jestem cały dzień poza domem. Dziecko... i Emily, muszę porozmawiać z Emily. Odprowadził ją do drzwi i ujął ją za rękę.

- Jedź do domu. Prowadź ostrożnie. - Zmarszczki na jego czole pogłębiły się. - Nic ci nie jest? Na pewno?

- Nic. Czuję się dobrze.

Naga z mężczyzną, który nie był Robertem. Z mężem Josie...

- Nie zrobiliśmy nic złego, Lynn. Pamiętaj. Takie rzeczy się zdarzają. Obydwoje jesteśmy dobrymi ludźmi. Pamiętaj także o tym.

- Tak - powiedziała, wiedząc, że Bruce ma nadzieję, iż ona uwierzy w coś, w co on sam nie wierzył. Wiedziała, że on nigdy nie zapomni o tym, że zdradził swoją ukochaną Josie.

- Muszę jechać do szpitala - powiedział.

- Tak, jedź.

- W razie czego zadzwonię do ciebie...

- Tak, zadzwoń. I opuściła dom Josie.

Ciszę przy stole przerwał Bobby. Eudora domyślnie nakryła przed wyjściem do obiadu, chociaż nie należało to do jej obowiązków. Wyjęła z zamrażarki jedną z zapiekanek Lynn i podgrzała ją. To dlatego, pomyślała Lynn, że lituje się nade mną.

Emily zjadła wcześniej sama i wróciła na górę do swojego pokoju.

- Emily prosiła, by pani powiedzieć, że boli ją głowa. Ale proszę się nie martwić, to nic groźnego - powiedziała Eudora, a jej oczy mówiły: „żal mi ciebie”.

Oczy potrafią wyrazić wszystko. Odwracając oczy, przyznajemy się do swojej winy, wstydu lub strachu. Robert spojrzął na zadraśnięty policzek Lynn, a ona spuściła oczy na talerz. Karmił dziecko miękkimi kawałkami ziemniaka.

Bobby podskakiwał na dzieciennym krzeselku. Upuścił zabawkę i Robert podał mu ją; Bobby odrzucił zabawkę daleko i Robert musiał wstać od stołu i przynieść ją z powrotem.

- Spryciarz - powiedział Robert. - Spryciarz.

Lynn milczała. Chłopiec był piękny; włoski, z którymi przyszedł na świat, wytarły się i teraz rosły nowe, jedwabiste, srebrzystobiałe.

Wyobraziła sobie, że mówi do dziecka: Twój ojciec, którego kochałam... którego nadal Kocham... twój ojciec uderzył mnie o jeden raz za dużo.

Czy to Josie sprawiła, że ten raz okazał się inny niż poprzednie? Czy też Eudora, dzięki której przepelniła się czara? A może po prostu to ja, ja sama.

Zadzwonił telefon.

- Odebrać czy ty odbierzesz? - zapytał Robert.

- Ty odbierz.

Telefon mógł oznaczać wiadomość o śmierci Josie. Lynn czuła się zbyt osłabiona, by podejść do telefonu; jej ręka nie byłaby zdolna podnieść słuchawki. Ale to tylko komitet rodzicielski.

- Jakaś pani Hargrove - zreferował Robert. - Jesteś proszona o wstąpienie do trójki klasowej w klasie Annie. Powiedziałem, że oddzwonisz.

Mówił całkowicie naturalnym tonem. A potem wyciągnął rękę i sięgnął po koszyk z pieczywem, tak jakby nie stać go było na to, by poprosić o podanie chleba, jego, który zwykle bywał pełen pogardy, gdy ktoś nie umiał się zachować przy stole; wykonał gest, który nazwałby „stołówkowym chwytem”. Lynn podsunęła mu koszyk, ich ręce zetknęły się przelotnie i spojrzeli na siebie obojętnie.

Światło zmierzchu kładło się łagodnie na mahoniowych meblach, wisioriki w kandelabrze zaśniły jak kryształowy lodu. Bobby z jakiegoś sobie tylko znanego powodu rozpostarł rączki i pisnął z radości. Emily ukrywała się w swoim pokoju. A Annie, delikatna Annie, wkrótce wróci do domu.

Sytuacja była nie do zniesienia.

Emily spojrzała na wchodzącą matkę sponad otwartej walizki. Na klamkach i oparciach krzeseł wisiały części jej garderoby, swetry, buty, spódnice, spodnie, dresy, piętrzyły się w stosach. Na podłodze obok walkmana leżały książki, a rakietka tenisowa stała oparta o ścianę.

- Już? - spytała Lynn.

- Mamo, chciałam, żebyś dowiedziała się zawczasu, nie chciałam, żeby ta wiadomość spadła na ciebie tak nagle. Ale zwlekałam z powiedzeniem ci o Tulane i zwlekałam, bo byłam przerażona, a teraz nadeszła ostatnia chwila. Studia dla pierwszego roku zaczynają się pojutrze, muszę wyjechać jutro rano. Och, mamo!



- W porządku - powiedziała Lynn.
  - Chciałam ci to powiedzieć przez telefon i dzwoniłam po południu do szpitala, ale nie zastałam cię tam.
  - W porządku.
  - Pielęgniarka w pokoju Josie powiedziała, że ty i wujek Bruce wyszliście.
  - Nie wyszliśmy. Byliśmy w bufecie, żeby napić się kawy i zjeść pączka. - Lynn w przyпіływie nagłego zmęczenia przysiadła na brzeżku krzesła.
  - Miałam nadzieję, że wrócisz wcześniej do domu i będziemy mogli porozmawiać.
  - Wróciłam jeszcze do pokoju Josie i zostałam do późna. Oczy Emily wypełniły się łzami.
  - Biedna Josie! Była zawsze taka dobra dla mnie, a teraz jeszcze bardziej. To nie w porządku, że musi umrzeć.
- Młodość, młodość, ciągle zdumiona, że życie może być takie niesprawiedliwe.
- Chciałabym ją jeszcze zobaczyć i powiedzieć jej, jak bardzo ją kocham i jak bardzo jestem wdzięczna za to, co dla mnie robi. Ale podziękowałam wujkowi Bruce'owi. Dziękowałam mu tysiące razy.
  - Josie nie usłyszała cię. Jest w stanie śpiączki.
  - To tak jak głęboki sen.
  - Jak śmierć.
- Jej twarz na poduszce, taka mała, odkąd wypadły jej włosy; jej ciało pod kocem, takie drobne, że ledwie się pod nim rysowało. A gdzie był wtedy jej mąż i najdroższa przyjaciółka?
- Lynn z wielkim wysiłkiem zwróciła myśli ku rzeczywistości.
- Czy rozmawiałaś o tym z ojcem?
  - Próbowałam, ale nie odzywał się do mnie, nawet na mnie nie spojrział. Nie chcę opuszczać domu w ten sposób, mamó - powiedziała Emily i rozplakała się.
- Lynn wstała i otoczyła córkę ramionami.
- Ja też nie tak to sobie wyobrażałam, kochanie. Sytuacja wróci do normy. Zawsze wraca. Musisz tylko okazać cierpliwość. Uwierz mi.
- Jakże często, nie wiedząc, co powiedzieć, uciekamy się do banałów!
- Cierpliwość nie pomoże ci, mamó.

- Nie rozumiem - odpowiedziała Lynn.
- Wiem, że uderzył cię dziś rano. Eudora mi powiedziała.
- O, mój Boże!

Wzdłuż kręgosłupa przebiegł dreszcz, jakby ktoś przeciągnął zimnymi palcami. Ręce jej opadły; poczuła się jak oślepiiony światłami pojazdu królik lub jelen, który nie wie, czy ma stanąć czy biec. Spojrzały na siebie.

- Miałam ci nie mówić, że wiem.
- Więc po co ci powiedziała? - jęknęła Lynn.
- Cóż, ktoś o tym musi wiedzieć. A ja jestem najstarsza.
- Jak mogła zrobić coś takiego? Nie miała prawa.
- Nie gniewaj się na nią, mamó. Ona tak ci współczuje. Powiedziała mi, że jesteś najmilszą, najsympatyczniejszą z wszystkich jej dotychczasowych pracodawczyń.

Lynn nie zmiękała. Jakie to okropne dla Emily - po raz pierwszy opuszczać dom z taką nowiną; biedna, młoda głowa! To było zupełnie zbędne! Do mnie należało powiedzenie jej o tym, ale nie byłam jeszcze gotowa, pomyślała.

- Obiecuj, że nie będziesz zła na Eudorę.

Emily przyklękła obok krzesła, na które opadła Lynn, i położyła mokry policzek na kolanach matki. Lynn głaskała ją po włosach, od pulsujących skroni po wstążkę, którą miała związany koński ogon. Włosy pachniały perfumami i Lynn nie mogła powstrzymać uśmiechu przez łzy; Emily znów zakradła się do jej flakonu z „Joy”.

Głaskała ją i głaskała, myśląc o tym, że oto rozpada się następna amerykańska rodzina. Statystyczna. Ta dziewczyna należała do statystyki, i Annie, i dziecko w kojcu po drugiej stronie przedpokoju. W głowie tłukło jej się wciąż na nowo: któż by uwierzył, że to się może tak skończyć?

Przeglądała w myśli swe życie, jakby przewracała kartki albumu z fotografiami, kartki szeleściły, odsłaniając nie związane ze sobą zdjęcia. Ich pierwsza kolacja, wspaniała twarz Roberta w świetle świec i ona oczarowana. Wychwalający go ludzie i ona pełna nabożnego zachwyty, że taki mężczyzna należy do niej. Muzyka podczas ślubu i ślubne obrączki, i słońce na schodach kościoła, gdy wychodzili jako para. Hotel w Meksyku i jego dzika wściekłość. Śmierć Caroline i jego obejmujące Lynn ramiona. Uderzenia i popchnięcia, upadki i łzy. Bałwan na trawniku, gorąca czekolada,

Robert przy fortepianie z córeczkami. Ławka w Chicago i na wpół obłąkana żebraczka wyśmiewająca się z Lynn. Uniesienie tej nocy, gdy został poczęty Bobby. Dzisiejszy ranek. Chwila obecna.

Emily znów zapytała:

- Nie będziesz zła na Eudorę?

- Nie, nie będę.

W końcu, jaka to różnica? Gdy nadejdzie koniec, Emily będzie musiała dowiedzieć się znacznie więcej. I z piersi Lynn wyrwało się rozziewające westchnienie.

Zdarzało się to, co było nie do pomyślenia, albo miało się zdarzyć. Opuszcza Roberta! Jeszcze wczoraj powiedziałyby, powiedziałyby na przekór wszystkiemu, że zawsze jest jakieś wyjście; że łączy ich również wiele dobrego; zawsze jest nadzieja, że ten ostatni raz będzie naprawdę ostatni. Lecz dzisiaj było inaczej. Zaszła w niej wielka, niczym nie zapowiedziana, nieoczekiwana zmiana. Była dobrą kobietą, zasługiwała na lepsze życie, i począwszy od dziś, będzie je miała.

O, tak! Ale jak to zrobić? Skąd wziąć na to środki? Kalkulowała sobie: na razie przez kilka miesięcy Robert będzie za granicą. Pojedzie pierwszy, aby przygotować dla nich mieszkanie, ona zostanie tutaj, by załatwić wszystkie, pozostawione na ostatnią chwilę sprawy. A potem, z bezpiecznej odległości, zawiadomi go, że nie przyjedzie do niego, że skończyła z nim. Skończyła.

Ale dokąd pójdzie z dzieckiem przy piersi i bez grosza przy duszy? Jak to zrobić? Bruce powiedział: porozmawiaj z Tomem Lawrence'em. Cóż, może powinna. Wyobraziła sobie jego promienną, ironiczną twarz. Na pewno pamięta, chociaż nie powie jej tego, że ostrzegął ją: mówiłem ci, że tak będzie. Bruce powiedział: on cię podziwia. Tego strasznego ranka, gdy Annie uciekła z domu, Tom powiedział: jeżeli potrzebujesz pomocy, możesz na mnie liczyć. W jakiś dziwny sposób, i na przekór strachom chwili obecnej, poczuła szacunek dla samej siebie.

Emily wstała, otarła twarz i zaczęła składać swetry.

- Pomogę ci - powiedziała Lynn. Te ruchy, fizyczna czynność opróżniania szuflad i pakowania walizki sprawiały jej ból.

- Och, mamó, to nie do zniesienia, że tak cię opuszczam. Dlaczego do tego dopuściłaś? Dlaczego? - krzyknęła Emily wysokim, przeszywającym głosem.

Musi złagodzić to napięcie, Emily musi wyspać się i wyjechać uspokoja. Powiedziała więc lekko:

- Kochanie, nie martw się tym, co opowiada Eudora. Ona z pewnością przesadza.

- Chodzi nie tylko o dzisiejszy ranek. Zanim urodził się Bobby, coś się wydarzyło. Wiem o tym.

Zdumiona Lynn przerwała pakowanie.

- Co masz na myśli?

- Tę noc, gdy spadłaś na żywopłot i ludzie z naprzeciwka, Stevensowie, zawiadomili policję.

- Kto ci o tym powiedział? Porucznik Weber? - Lynn poczuła nagły gniew. Czy cały świat sprzysiągł się, by rozpowszechnić tę plotkę?

- Nie, nie, on by tego nigdy nie zrobił. Harris słyszał, jak ojciec mówi o tym matce. Nie wiedzieli, że siedzi na ganku i słyszy, jak rozmawiają w pokoju. Gdy wyszło na jaw, że słyszał, ojciec prosił go, żeby mi nic nie mówił. Powiedział, że nie należy wprawiać mnie w zakłopotanie ani ranić. Ale Harris powiedział mi. Był zaniepokojony i uznał, że powinnam się dowiedzieć. Ale i tak miałam już na sprawę własny pogląd.

- Rozumiem - powiedziała Lynn.

Spojrzała na wiszącą na ścianie fotografię Emily. Na schodkach przed domkiem siedziało osiem dziewczynek. Emily pośrodku. Te osiem dziewczynek prawdopodobnie wiedziało znacznie więcej przerażających rzeczy. Moja córka, moja Emily.

- Poczulałam się okropnie. Wstydziałam się. Wstydziałam się za nas wszystkich, za rodzinę, którą uważa się za tak godną szacunku. Ludzie są tacy przejęci nagrodami, które tata dostał, i jego działalnością dobroczynną, i tym domem, wszystkim. Byłam taka zawstydzona, aż zrobiło mi się niedobrze. Jak mój ojciec mógł ci coś takiego zrobić? Ale okazało się, że miałam rację, gdy nie uwierzyłam tamtego ranka w twoje tłumaczenie. Dlaczego nie uwierzyłam? Dlaczego podejrzewałam, że stało się coś gorszego? Przecież tak kochałam tatę. Ty jednak zaprzeczałaś tak gwałtownie, że pomyślałam, iż nie mogę podejrzewać o coś takiego własnych rodziców, że to nie ma sensu. A kiedy wróciliście z podróży, wyglądaliście na takich szczęśliwych, byłam pewna, że się myliłam. Wstydziałam się przed samą sobą, że coś takiego przyszło mi do głowy. Harris powiedział mi dopiero, gdy

byłaś w ciąży z Bobbym. Spacerowaliśmy po lesie nad jeziorem. Poczułam się tak, jakbym rozpadała się na kawałki, a on objął mnie, żeby mnie pocieszyć. Był taki silny i dobry! To się stało wtedy, wtedy kochaliśmy się ze sobą. Nie mieliśmy zamiaru, planowaliśmy nie robić tego, dopóki nie będziemy starsi, naprawdę. Cała masa dzieciaków uprawia seks jeszcze na początku szkoły średniej, wszyscy o tym wiedzą. Ale ani w telewizji, ani w gazetach nigdy się o tym nie mówi, nawet o tych z ostatnich klas. - I Emily rozpląkała się, a potem mówiła dalej: - To dziwne, mamó. Teraz, kiedy o tym pomyślę, widzę, jak miłość fizyczna dodaje otuchy i pociesza. Po prostu wydaje się, że chodzi tylko o to, wiesz? I tak to się właśnie stało. Chyba nie wyrażam się zbyt jasno. Może wcale nie wyobrażasz sobie, jak to było.

Odpowiedziała, nie patrząc Emily w oczy:

- Rozumiem.

- Bardzo długo trwało, zanim wyleczyły ci się dłonie i ramiona. Za każdym razem gdy spojrzałam na zadrapania, miałam ochotę powiedzieć ci, że wiem. Ale sprawiłam ci już tyle kłopotów, że nie miałam prawa przysparzać więcej. A gdy Annie uciekła z domu, pamiętasz, wujek Bruce powiedział nam, żebyśmy starały się zachować w domu spokój ze względu na dziecko i nas wszystkich.

- Mówiłaś mi.

- A potem - ciągnęła Emily - gdy urodził się Bobby, był taki kochany. Wyglądałaś z nim tak pięknie. I tatuś był taki miły. Pomyślałam sobie: cóż, po prostu zapomnij o tym, co się stało, i zachowaj to w tajemnicy. To najlepsze, co możesz zrobić. Zachowaj spokój, tak jak radził wujek Bruce.

- I świetnie ci się udało.

- Starałam się. Ale teraz, przed wyjazdem, chcę ci coś powiedzieć. Patrzyłaś przed chwilą na zdjęcie z obozu. Chcę ci pokazać inne zdjęcie.

Z szuflady biurka wyjęła teczkę, a z niej fotografię. Najwyraźniej powiększone zdjęcie migawkowe, przedstawiające małego chłopczyka. Siedział na podłodze, trzymał w rączkach piłkę w paski trzy razy większą od jego porośniętej prostymi, czarnymi włosami główki.

- Wygląda jak Indianin - powiedziała Lynn. - Jest miłutki. Emily odwróciła fotografię.

- Przeczytaj, kto to.

- „Jeremy Ferguson, z wyrazami miłości od Queridy” - przeczytała Lynn i zamilkła. Milczała długo. Wreszcie spytała: - Skąd to wzięłaś?

- Gdy urodził się Bobby, przyjechała do nas ciocia Jean. Przywiozła mi pudełko fotografii. Były tam zdjęcia taty od urodzenia aż po uczelnię, moi dziadkowie i ich dziadkowie, sfotografowani w latach osiemdziesiątych osiemnastego wieku, naprawdę interesujące, i raptem znalazłam to - wyglądało na współczesne. Gdy spytałam, kim jest ten chłopczyk, ciocia powiedziała szybko: „och, pewien daleki krewny z rodziny twojego ojca. Nie jestem pewna, kto to. Sama nie wiem, skąd to się u mnie wzięło” - i zmieniła temat rozmowy. Ale zaczerwieniła się i oczywiście miała do tego powód. Kto to jest, mammo?

Lynn nie miała już siły. Zbyt wiele zdarzało się naraz, zbyt wiele, by dodawać do tego jeszcze długą, bezowocną opowieść i pytania, na które nie miała ochoty odpowiadać.

- Nie mam pojęcia - powiedziała.

- Mammo kochana, spójrz mi w oczy i powiedz, że mówisz prawdę.

Lynn zamknęła oczy, potrząsnęła głową i powiedziała błagalnie:

- A cóż to za różnica? Czy potrzebne nam nowe kłopoty? Nie komplikujmy spraw. Nie ma żadnej potrzeby, żebyś o tym wiedziała.

Emily upierała się.

- Cóż, odpowiadasz mi, mimo że tego nie chcesz. Mówisz mi, że tata ma jeszcze jedno dziecko.

Lynn westchnęła i dała za wygraną.

- Tak, masz rację. Z pierwszego małżeństwa urodził się chłopiec. Jestem zaskoczona, że Jean zachowała jego fotografię. Musiała go bardzo kochać.

- A Querida? Czy to jego matka?

- Tak. Posłuchaj, Emily. Jeśli twój ojciec się dowie, że Jean dała ci to zdjęcie, będzie wściekły.

- Ona mi go nie dała. Zająłam ją czym innym, a potem szukała go i nie mogła znaleźć.

- Emily! Dlaczego, na Boga, robisz takie rzeczy? - lamentowała Lynn.

- Bo chcę zrozumieć. Mam przyrodniego brata i nigdy o tym nie wiedziałam. Te tajemnice nie mają sensu, chyba że coś się za nimi kryje, wtedy mogą mieć sens.

- Napytasz sobie biedy. Ojciec już i tak jest wystarczająco zły. A poza tym on ma prawo do zachowania swojej prywatności, niezależnie od wszystkiego. Więc daj sobie z tym spokój. Proszę.

- Dobrze, mam, skoro cię to denerwuje. - Emily ze łzami w oczach podała zdjęcie. - Po wszystkim. Skończone. Ale mam ci jeszcze coś do powiedzenia. Querida jest w Nowym Jorku.

- Skąd o tym wiesz, na Boga?

- Nie mam pewności, ale wiązę ze sobą fakty, jak Sherlock Holmes. Wtedy w Nowym Jorku, zanim urodził się Bobby, spotkałam się z ciotką Jean. Jechałyśmy taksówką na stację Grand Central, żeby wracać do domu, ale ona wysiadła pierwsza kilka przecznic przed stacją. Taksówka zatrzymała się na rogu, bo akurat mieliśmy czerwone światło, więc popatrzyłam, dokąd idzie. Weszła do sklepu o nazwie „Querida”. Mamo, to musi być ta sama osoba.

I nagle Lynn zobaczyła siebie, stojącą na ulicy z Tomem tego dnia, gdy wracali razem do domu pociągiem. W oknie wystawowym wisiał obraz przedstawiający pasącą się owcę, a sklep nazywał się "Querida". Przypomniała sobie przeblysk rozpoznania, chęć, a równocześnie niechęć dowiedzenia się czegoś więcej.

- To nieważne, Emily. Nie obchodzi mnie, kim jest ona i kim jest on. Dlatego przestań bawić się w Sherlocka Holmesa, dobrze?

- Okay.

Emily pakowała właśnie małego pluszowego misia. Wciskała go pomiędzy swetry. Wyglądała bardzo poważnie, a gdy zwróciła się do matki, sprawiała wrażenie starszej niż w rzeczywistości. Spytała:

- Mamo, czy możesz mi coś powiedzieć? Dziecko z pluszowym zwierzątkiem, mała kobieta...

- Wszystko, kochanie. Pytaj.

- Dlaczego nigdy nie wezwałaś policji?

- Twój ojciec nie jest jakimś pijakiem, który wraca do domu i bija żonę każdej soboty - odpowiedziała spokojnie, zdając sobie sprawę, że to samo powiedział Robert.

- Ale tamtej nocy? Tamtej konkretnej nocy? Sąsiedzi słyszeli i wezwali policję, więc musiało być naprawdę źle.

- Nie mogłam, Emily. Nie żądaj ode mnie odpowiedzi, której nie mogę ci udzielić. Proszę.

Powróciło okropne wspomnienie owej nocy. Myślała tylko o tym, jak uchronić własne dzieci przed straszliwym wstydem. Postępowanie kobiet, które godziły się na to, aby ich dzieci patrzyły, jak ojca zabiera policja, przekraczało jej zdolność rozumienia. Chyba że bijano je bardziej brutalnie... Przypadek Lynn nie był aż taki i Emily wiedziała o tym.

- Przykro mi i żal mi całej naszej rodziny - powiedziała Emily. - I taty także, w pewien dziwny sposób.

W dziwny sposób, tak.

- Powiedz mi, mamó, jeśli wolno spytać, co masz zamiar robić?

- Odejdę od niego - odpowiedziała Lynn i rozplakała się.

- Kiedy tak zdecydowałaś?

- Dziś rano. Właśnie dziś rano. Dlaczego akurat dziś, a nie kiedy indziej? Sama nie wiem. Nic już nie wiem.

- Kiedyś musiało do tego dojść - stwierdziła Emily ze współczuciem. Lynn znowu zakryła twarz rękami i wyszeptała, jakby była sama:

- On był... on jest... był... miłością mego życia.

Te sentymentalne, melodramatyczne słowa były najczystsza prawdą.

- Czasami wydaje mi się, że to tylko sen - powiedziała Emily. Lynn podniosła głowę i powiedziała błagalnym tonem:

- Nigdy nie poświęcaj siebie i swojej wolności żadnemu mężczyźnie. Nigdy.

- Żadnemu? Nigdy? Nie mówisz tego poważnie, mamó.

- Poważnie. A przynajmniej nie teraz. Nie pozwól, aby Harris sprawił ci zawód. Nie pozwól, aby cię skrzywdził.

- Nigdy tego nie zrobi. Harris jest zrównoważony. Stały. Nie popada w skrajności. Tak, to było widoczne. Ale nie ma w nim iskry, pomyślała Lynn, przypominając sobie młodego Roberta, który rozświetlił jej życie.

- Coś ci powiem, jeżeli nie będziesz się śmiała. - I zanim Lynn obiecała, Emily ciągnęła dalej. - Zrobiliśmy sobie listę, każde z nas, tych cech, których oczekujemy od swojego małżonka. I zaznaczaliśmy, czy spełniamy te wymagania. A potem przeczytaliśmy głośno, żeby sprawdzić czy sobie odpowiadamy. I okazało się, że tak,



prawie dokładnie. Czy to nie było bardzo rozsądne z naszej strony? Harris powiedział, że jego rodzice zrobili w młodości to samo. Ci Weberowie to naprawdę bardzo dobrzy ludzie. W ich domu wprost czuje się dobroć. Myślę, że bardzo ważne jest, z jakiej pochodzi się rodziny, prawda?

- To nie wszystko.

- A jednak to pomaga. - Mówiła z takim przekonaniem, jakby całe życie zajmowała się ludzkimi niepowodzeniami.

To tylko dziecko, pomyślała Lynn, a jednak może... Właściwie nic nie wiedziałam o Robercie. I porównując swoją dziką, bezmyślną namiętność z pełną „rozsądku” listą córki, poczuła zakłopotanie.

- Wydaje mi się, że Bobby płacze - powiedziała Emily, nasłuchując z pochyloną głową.

- Pewnie ma mokro.

- Pójdę do niego, mamó. Jesteś zbyt zdenerwowana.

- Nie, ja pójdę. Ty kończ pakowanie.

- Chcę go przytulić. Jutro rano, gdy będę wyjeżdżać, jeszcze się nie obudzi. Różowawe światło wieczoru padało na stojącą w kącie pokoju kołyskę. Lynn przyglądała się, jak Emily uspokaja dziecko, zmienia mu pieluszkę i kołysze w ramionach.

- Spójrz na jego włoski. Powinnam być blondynką jak on - poskarżyła się, udając dąsy.

- Z takim wyglądem też sobie w życiu poradzisz.

A więc to są jej dzieci, młoda, pełna wdzięku kobieta i ten bezcenny skarb - synek, syn Roberta, którego ona wkrótce opuści.

Emily, kołyszając zasypiającego na jej ramieniu braciszka, wyszeptała:

- Kiedy masz zamiar zrobić to, o czym mówiłaś?

- Muszę się zastanowić. Muszę myśleć o Annie i tobie, i Bobbym.

- Poradzimy sobie. Nadal pozostaniemy rodziną, mamó.

- O, mój Boże! - wykrzyknęła Lynn.

- To dla ciebie straszne, ale musisz to zrobić. Eudora powiedziała, że wyglądało okropnie...

Opanowała się.

- Odwiozę cię rano na lotnisko. Dzwoniłaś do Annie, żeby się z nią pożegnać?

- Nie, zadzwonię, gdy dojadę na miejsce. I będę do niej często pisała. Będę się o was niepokoić, mamó.

- Nie trzeba. Chcę, żebyś skupiła się na tym, co do ciebie należy. Chcę, żebyś widziała samą siebie jako panią doktor Ferguson w białym kitlu i ze stetoskopem na szyi. - Lynn zmusiła się do uśmiechu. A potem pomyślała o czymś innym. - Czy masz zamiar porozmawiać z ojcem? Jestem pewna, że jeśli dasz mu trochę czasu, jego gniew osłabnie. Bez względu na wszystko jest twoim ojcem i kocha cię.

Zamknęły drzwi do pokoju Bobby'ego. Oczy Emily zalśniły od łez.

- Porozmawiam. Ale ja także potrzebuję czasu.

Dotarł do nich znajomy zapach, Robert palił fajkę. Nie patrząc na dół, Lynn doskonale wiedziała, że siedzi obok okna w rogu pograżonego w mroku pokoju, snując mroczne myśli. Zawahała się u szczytu schodów; z jednej strony pragnęła zejść do niego i powiedzieć mu w sposób zwany "kulturalnym", że nie jest zdolna do dalszego wspólnego życia. Ale z drugiej strony, zdawała sobie sprawę, że to doprowadziłoby do nowych obietnic i przeprosin, a potem do łez - jej łez - i być może jeszcze bardziej szalonych razów. Kto wie? Zawróciła i poszła spać.

Każdy jej mięsień, każdy nerw był napięty. Nie mogła zasnąć. Słyszała najłżejsze dźwięki, odgłos przejeżdżającego samochodu, odległy pomruk samolotu, kroki Emily wracającej z łazienki do sypialni. Wyobrażała sobie w najdrobniejszych szczegółach jutrzejsze pożegnanie, ostatni pocałunek, koński ogon i czerwoną plastikową torbę znikające w samolocie.

- Nie będę płakać - powiedziała głośno. - Rozstanę się z nią z uśmiechem. I uzmysłowiła sobie, że Emily znała życie o wiele lepiej niż ona w tym wieku... Stuknęły siatkowe drzwi, to Robert wpuścił do domu Juliet. Po chwili usłyszała, jak

szli po schodach; pies podzwaniając obrózką, a Robert stąpając ciężko i ponuro. Jego kroki zawsze zdradzały, w jakim jest nastroju, i Lynn odgadła, co będzie dalej: usiądzie po ciemku i zacznie mówić. Zaczął:

- Przepraszam za dzisiejszy ranek, Lynn. Postąpiłem paskudnie i zdaję sobie z tego sprawę.

- Tak. Bardzo paskudnie, łagodnie mówiąc.

Najwyraźniej czekał, że powie coś więcej, przygotowywał się na to, że Lynn rzuci się na niego tak wściekle jak poprzednim razem; nie wiedział, że ona była już poza rozpaczliwą wściekłością, że powzięła tragiczną decyzję.

Oddychając z trudem, mówił dalej.

- To przez Emily. Nigdy w życiu nie czułem się równie podle. To mnie zdruzgotało, Lynn. Dlatego tak wybuchłem. Wyszedłem z siebie. Tylko tyle mam na swoje wytłumaczenie.

Tak, pomyślała, tylko tyle, to twoja zwykła wymówka. Zawsze znajdziesz powód, aby „wyjść z siebie”. I nigdy nie dzieje się tak z twojej winy. Zawsze ktoś inny jest winien, zwykle ja.

- Nie odezdziesz się do mnie? Wrzeszcz na mnie, jeśli masz ochotę. Ale spróbuj mnie zrozumieć. Proszę cię, Lynn, proszę.

- Nie mam ochoty wrzeszczeć. Przeżyłam okropny dzień.

- Przykro mi - powiedział z westchnieniem. - Przypuszczam, że musimy sobie po prostu powiedzieć, że Emily przeżyje tę pomyłkę. Cóż innego możemy zrobić? Jak sądzisz?

- Jestem zbyt zmęczona na to, by się zastanawiać.

Tak, jutro wypłacze strumienie łez. Będzie płakać nad Emily, nad zamieszaniem, które rzuciło ją w ramiona Bruce'a, nad rozpadającym się małżeństwem, które stanowiło dla niej rację bytu, najważniejszą rzecz w życiu.

- Mam dobrą nowinę, dzięki której może zapomnisz o niepowodzeniach

- powiedział Robert nieśmiało. - Dzisiaj przyleciał Monacco. Powiedział mi, że wyślą mnie na Węgry z początkiem roku.

Znów czekał, tym razem na wyrazy entuzjazmu lub gratulacje. Ona milczała, więc dał upust własnemu zachwytowi.

- Myślałem nad tym. Powinienem pojechać o miesiąc wcześniej i przygotować wszystko na wasz przyjazd. Mają tam bardzo wygodne domy w ogrodach, naprawdę miłe. Potrzebujemy domu umeblowanego. Uporządkowałbym wszystko, żeby dom był gotowy, gdy przyjedziesz z Annie i Bobbym. I być może, w tym czasie Emily także... - Urwał.

- Jestem zmęczona - powtórzyła Lynn. - Naprawdę chcę spać.

- W porządku.

Zapalił nocną lampkę i zaczął się cicho rozbierać. Ale był zbyt podniecony, by milczeć:

- Myślałem również o tym, że moglibyśmy wynająć komuś nasz dom. Nie mamy zamiaru pozostać w Europie do końca życia i możliwe, że zechcemy wrócić tutaj. Możemy oddać umeblowanie do przechowalni. Co o tym myślisz?

- Dobrze.

Odjazd Emily „zdruzgotał go”, ale pozostał wystarczająco silny i zdrowy, by snuć plany na przyszłość. To się chyba nazywa „spoglądać na sprawy z odpowiedniej perspektywy”, pomyślała Lynn. Jestem zgorzkniała. Jestem taka zgorzkniała.

- Czy wiesz, że nasz rząd finansuje program szkoleniowy dla pracowników bankowych na Węgrzech? Oni tam nie mają personelu. Dla nas jest szokujące, jak niewiele umieją. Cóż, całe pokolenie żyło pod rządami komunistów, to wyzwanie dla nas.

Łóżko skrzypnęło, Robert położył się obok Lynn. Przysunął się tak blisko, że czuła zapach jego płynu po goleniu. Jeżeli mnie dotknie, pomyślała, jeżeli dotknie moich piersi, jeżeli mnie pocałuje, uderzę go. Nie dam się na to więcej nabrać. Pamiętam, jak uderzyłam głową o ścianę. Pamiętam Bruce'a i dzisiejsze popołudnie. Nie... nie, tego nie chcę pamiętać.

- Śpisz? - zapytał Robert.

- Spałabym, gdybyś mnie ciągle nie budził.

- Przepraszam - powiedział pokornie i przewrócił się na drugi bok.

Tak, jutro wypłacze strumienie łez, jutro będzie opłakiwać stratę tego, co uważała za najważniejsze w życiu. Uwolni cały smutek, który zbiera się w jej sercu, pozwoli mu wybuchnąć, aż zadrzą ściany domu.

A potem pozbiera się jakoś i będzie żyła dalej. Jeżeli Josie mogła spokojnie spojrzeć w oczy nadchodzącej śmierci, Lynn może spojrzeć w oczy życiu.

Po trzech dniach Josie umarła. Czwartego dnia złożono ją do grobu. Pogoda była taka, jaką Josie lubiła najbardziej; z łagodnym powietrzem po deszczu, nisko płynącymi chmurami w perłowym odcieniu i zapachem wilgotnej trawy między grobami. Lynn odruchowo czytała napisy, które dla niej nie miały żadnego znaczenia: UKOCHANA ŻONA, DROGI OJCIEC. Bo jakże czcze przymiotniki mogą oddać straszliwy ból i niepowetowaną stratę?

I ciągle, ciągle powracały wspomnienia: deszcz dudniący na karawanie, gdy odprowadzali matkę na tereny cmentarne; białe kwiaty na małej trumience Caroline...

- Zdziwiająca - wyszeptał Robert, gdy tłum narastał. - Przyszli wszyscy pracownicy biura. Połowa członków klubu, a przecież oni nawet nie należeli do klubu.

- Josie miała wielu przyjaciół - odrzekła Lynn. - Wszyscy lubili i ją, i Bruce'a. Imię Bruce' a ledwie przeszło jej przez usta. Drgnęła i bała się spojrzeć w jego stronę.

Wyglądał na siedemdziesięcioletniego starca, na człowieka porażonego, skazańca.

- Była moim sercem, moją prawą ręką - usłyszała Lynn, gdy Bruce dziękował komuś za kondolencje.

- Wiem, co czujesz - wyszeptał Robert.

- Niemożliwe. Nigdy jej nie lubiłeś. Wściekałeś się na nią.

- Cóż, ale ona kochała ciebie i ja to doceniałem.

Ludzie szli z parkingu, wspinali się na niewielkie wzgórze, ludzie w różnym wieku, o różnych kolorach skóry, różnego pochodzenia; elegancki świat, robotnicy, a także biedacy, którzy trafili do Josie w poszukiwaniu pociechy i zapamiętali ją. Rozmawiali stłumionymi głosami. Wszystko było przytłumione: dźwięk kremowych róż opadających na trumnę, proste słowa modlitwy, podziękowania za błogosławieństwo życia Josie, wspomnienia tych, którzy ją kochali.

Krótką ceremonią dobiegła końca. Lynn czuła się zbyt wstrząśnięta, by płakać; spojrzała na drzewa, wśród których stadko wron czyniło wielkie zamieszanie. Odwracając głowę, napotkała ponure spojrzenie Toma Lawrence'a.

Gdybyś potrzebowała pomocy - poradził jej kiedyś Bruce, poproś Toma Lawrence'a.

Robert ujął jej ramię mówiąc:

- Chodź. Już po wszystkim. - Wsiedli do samochodu i Robert powiedział niemal zdziwiony: - Ty ją naprawdę kochałaś, prawda? Dziwne, powinienem być wściekły za to, co zrobiła dla Emily, ale co się stało, to się nie odstanie, i po co tracić energię? Poza tym trzeba by nie mieć serca, żeby nie współczuć Bruce'owi. Nie wiadomo, jakie myśli przelatują mu teraz przez głowę. Sądzę, że ludzie w takiej sytuacji przypominają sobie, jak się kłócili, i żałują słów, które wówczas wypowiedzieli. Ale to zupełnie naturalne. Nikt nie jest

doskonały. W każdym razie Bruce wygląda jak nieboszczyk. Wygląda, jakby coś go zżerało. Przez kilka ostatnich dni nie przychodził do nas, może trzeba go zaprosić, żeby przychodził nadal, dopóki nie dojdzie do siebie.

- To miło z twojej strony - odpowiedziała nieco zaskoczona.

I być może na skutek współczucia, jakie Robert okazał człowiekowi, którego nigdy nie lubił, doznała nagłego przyływu samokrytycyzmu: Gdyby Eudora nie zobaczyła, co się stało, gdyby Bruce nie przyznał, że on i Josie zawsze wiedzieli, być może żyłaby tak jak dotychczas, grzebiąc wspomnienia, zaprzeczając im, tak jak czyniła przez całe lata. Być może nawet kochałaby się z Robertem, tak jak on tego pragnął owej nocy przed wyjazdem Emily, a ona odrzuciła go swoim milczeniem i bezruchem. Były to dziwne, pełne niepewności myśli.

Robert prowadził samochód, rozmyślając głośno:

- Zastanawiam się, co on teraz zrobi. Należy do tych, którzy gotowi są nie ożenić się po raz drugi. Boże przebacz, ale gdyby coś stało się tobie, ja bym się nigdy nie ożenił.

Musiała coś odpowiedzieć.

- Nie możesz tego wiedzieć - odpowiedziała.

- Owszem, mogę. Znam siebie. Gdybym musiał stać na tym okropnym cmentarzu tak jak on i patrzeć, jak ty... nie mogę o tym mówić.

Lynn pomyślała: Będzie cierpiał, gdy go opuszczę.

- Przypuszczam, że za kilka dni wróci do pracy, do dawnej harówki. Pomyślała: Ale będzie miał swoją pracę. Otrzyma od niej wiadomość, poczuje zdumienie i wściekłość, i będzie straszliwie cierpiał. Zobaczyła go tak wyraźnie, jakby już się to wydarzyło. Robert stoi w obcym domu przy nieznannej ulicy, być może w pokoju z widokiem na kocie łby i średniowieczne wieże, otwiera jej długi, smutny, ostrożny list; spodziewa się słów miłości, zaczyna czytać i nie wierząc własnym oczom, czyta jeszcze raz... A potem kiedyś stanie na czele spółki i osiągnie wszystkie zaszczyty, których tak bardzo pragnął.

Spojrzała na swoje lekko opalone dłonie oparte na kolanach. Odwróciła je do góry wnętrzem - małe, białe blizny nie pozwalały zapomnieć. A na policzku goiło się wąskie czerwone skaleczenie.

Potem popatrzyła na gładką, przystojną twarz Roberta. Prawie się nie zmienił. Wyglądał równie fascynująco jak wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy.

Coś ty mi zrobił, mnie i nam wszystkim! - pomyślała. Miałeś tak wiele, mieliśmy tyle i mogliśmy to zachować. Ale ty przekreśliłeś to. Przez swoją nieopanowaną wściekłość!

Dom był posępny. Sprawiał wrażenie miejsca niebezpiecznego i pełnego ryzyka jak pole minowe.

Po pierwsze trzeba było stawić czoło Annie, która właśnie wróciła z obozu harcerskiego. Niestety, ani trochę nie straciła na wadze. Należało jej powiedzieć o dwóch zdumiewających zmianach: wyjeździe Emily i śmierci Josie. Sprawa Emily była łatwiejsza dzięki rozmowom telefonicznym, ale w tym, co dotyczyło Josie, mógł pomóc jedynie Bruce.

Lynn zawiozła Annie do domu Bruce'a; dziewczynka spędziła tam cały dzień i wróciła, sprawiając wrażenie pogodnej, mimo spuchniętych powiek.

- Wujek Bruce powiedział, że w płaczu nie ma nic złego. Że gdy się wypłaczę, poczuję się lepiej. I tak się stało. Powiedział, że ciocia Josie nie chciałaby, abym się smuciła. Chciałaby, żebym pamiętała wszystkie przyjemne rzeczy z nią związane, ale przede wszystkim, żebym się dobrze uczyła, miała przyjaciół i czuła się szczęśliwa. Dlaczego nie weszłaś razem ze mną do domu, mamo?

- Miałam mnóstwo spraw do załatwienia, a Bobby'emu wyrzyna się ząb, więc jest marudny.

- Myślę, że powinnaś zaprosić wujka Bruce'a na kolację. Jego lodówka jest pusta.

- Pusta? A co jedliście na lunch?

- Otworzył puszkę fasoli.

- On jeszcze nie ma apetytu. Jest zbyt wcześnie.

- Nie masz zamiaru zaprosić go na kolację?

- Przyjdzie, gdy poczuje, że jest na to gotowy.

Gdyby Lynn naprawdę знаła Bruce'a, wiedziałaby, że nigdy nie będzie gotowy. Perspektywa zasiadania do stołu wraz z Robertem była dla niego równie przykra, jak dla Lynn.

- Jak myślisz, czy teraz, gdy ciocia Josie umarła, wujek ożeni się po raz drugi?

- Skąd miałabym o tym wiedzieć? - odpowiedziała zniecierpliwiona Lynn, a potem starając się załagodzić, dodała: - Miałabyś ochotę pospacerować trochę z wózkiem? Podobałoby mi się. Bobby przepada za tobą. Annie odpowiedziała bez wahania:

- Świetnie! Wiesz co, nadal jestem jedyną osobą w klasie, która ma w domu dzidziusia.

- Tak? Jesteś więc kimś nadzwyczajnym, prawda? Tego wieczoru Robert powiedział:

- Dowiadywałem się o szkołę dla Annie. Musimy zacząć przygotowania i powiedzieć jej o naszych planach, aby zżyła się z myślą o wyjeździe. Nie możemy zaskoczyć jej tą wiadomością.

Lynn odpowiedziała pośpiesznie:

- Nie teraz. Chodzi do szkoły dopiero od tygodnia. Dajmy jej trochę spokoju.

- Przypuszczam, że masz jakieś wiadomości od naszej drugiej córki? - zapytał ostrym tonem. Lynn odpowiedziała spokojnie:

- Tak. Podoba jej się. Będzie studiowała biologię, socjologię i psychologię... Robert przerwał, odgradzając się od niej gazetą.

- Nie jestem ciekaw szczegółów, Lynn.

- Nigdy nie zmięknie? - spytała. Złożył z szelestem gazetę.

- Nie poganiaj mnie. „Nigdy” to bardzo długo. Naprawdę posepny dom.

Wracając z zebrania komitetu rodzicielskiego, Lynn nie myślała o planowanych zajęciach, o wieczorze z okazji rozpoczęcia nauki ani o kiermaszu, zajmowały ją własne sprawy. Czy pozostanie w tym domu? Prawie na pewno nie; Robert nie zechce płacić na taki dom, gdy ona go opuści. A więc trzeba będzie przygotować nowy dom; tutaj, gdzie rodzina stopniowo zapuszczała korzenie, czy też lepiej powrócić na stare miejsce, gdzie korzenie są głębsze - na Środowy Zachód?

A potem pojawił się nowy, większy i zasadniczy problem: rozwód. Nie miała żadnego prawniczego doświadczenia, Jak się właściwie załatwia takie sprawy? Widziała przed sobą wiele wątpliwości.

Dojechała do zakrętu. Nieczęsto bywała w tej części miasta, lecz rozpoznała wiktoriański dom z wieżyczkami.



„Przy wjeździe stoją dwa ohydne kamienne lwy. Skręć w drugą alejkę za nim” - powiedział Tom Lawrence. Ja jestem jakieś ćwierć kilometra od tego zakrętu.

Lynn skręciła w lewo za lwami i bez tchu zajechała przed dom Toma.

Była w takim stanie, że nie przyszło jej do głowy, iż może go nie zastać. Ale samochód stał przed domem i Tom otworzył drzwi, gdy zadzwoniła. Na jego widok cofnęła się. Szaleństwem było przyjeżdżać tutaj, ale jeszcze większym szaleństwem byłoby wycofanie się i odjazd.

- Przejeżdżałam obok - powiedziała.

To nie miało sensu, doskonale o tym wiedziała.

- Cóż, skoro tak, wejdź do środka. Albo raczej wejdź i wyjdź. Jest zbyt pięknie, by siedzieć w domu. Wolisz usiąść w słońcu czy w cieniu?

Był w stroju do tenisa, a na stole obok otwartej książki leżała rakietka. Dokoła tarasu rosły floksy, ostróżki, petunie - różowe, niebieskie i bladofioletowe; z małego jeziora w grotcie docierały chłodne kropelki miniaturowej fontanny.

Lynn czuła, że zakłóciła spokój, i była zbyt zakłopotana, by wytłumaczyć, po co przyszła.

- Nieoczekiwana wizyta, nieoczekiwana przyjemność - stwierdził Tom z uśmiechem.

- Teraz, kiedy już tu jestem, czuję się głupio. Sama nie wiem, po co właściwie przyszłam.

- A ja wiem. Masz kłopoty i potrzebujesz przyjaciela. Prawda? Oczy zaszły jej łzami. Tom wpatrywał się w ogród.

Gdy doszła do siebie, odezwała się drżącym głosem:

- Zamierzam odejść od Roberta. Tom zapytał szybko:

- Za obopólną zgodą czy z orzeczeniem o winie? Typowo prawnicze pytanie, pomyślała Lynn i powiedziała:

- On jeszcze o tym nie wie. I z pewnością nie będzie chciał się zgodzić.

- A więc potrzebujesz bardzo dobrego prawnika.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że gdy będą potrzebować pomocy, mogę zadzwonić do ciebie.

- To prawda. Nie zajmuję się już takimi sprawami, ale polecę ci kogoś.

- Nie sprawiasz wrażenia zaskoczonego. Nie, oczywiście, że nie. Myślisz o moim zaproszeniu na złote gody.

Bawiła się rzemykami swojej torebki i ciągnęła ściszone głosem.

- Uderzył mnie. Ale tym razem zaszło coś nowego. Ja wiem, że nie mogłabym już... wiem, że nie mogę... nie zniosę tego więcej.

Skinął głową.

- Wiem, że uważasz mnie za głupią, bo znosiłam to tyle czasu. Człowiek czyta te wszystkie artykuły o bitych kobietach i myśli sobie: Wy idiotki! Na co jeszcze czekacie?

- To nie są idiotki. Istnieją setki powodów, dla których zostają tak długo. Z całą pewnością - powiedział łagodnie Tom. - Ty sama mogłabyś podać wiele nieodparty argumentów. W twoim przypadku.

Przerwała mu:

- W moim przypadku nigdy nie uważałam siebie za bitą kobietę.

- Bo nie chciałaś. Uważałaś siebie za kobietę romantyczną.

- O, tak! Kochałam go...

- Muszę przyznać, że z kobiecego punktu widzenia Robert jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Silny. Podziwiany.

- Chciałabym to zrozumieć. Potrafi być taki kochający, a czasami jest taki brutalny. Biedna Emily... - I opowiedziała mu krótko o tym, co zaszło. Nie wspomniała jednak o ciąży.

Tom stwierdził:

- To bardzo w stylu Bruce'a. Taka hojność. Widziałaś go po pogrzebie, prawda? . - Nie.

- Muszę przyznać, że to mnie zaskoczyło. Byliście sobie tacy bliscy.

- Nie sądzę, by pragnął widywać się ze mną - powiedziała i prędko się poprawiła:

- To znaczy, widywać kogokolwiek.

Tom wypytywał, czy Bruce wie o planach Lynn.

- Właściwie jeszcze niczego nie zaplanowałam. - Zrobiła unik. - Tylko o tym rozmyślałam. Za kilka miesięcy Robert zostanie wysłany za granicę. Pojedzie najpierw bez nas, i pomyślałam, że wtedy wyślę mu list, w którym zakomunikuję o swojej decyzji.

- To bardzo skomplikowane. Czy nie lepiej byłoby załatwić to teraz i mieć wszystko za sobą, zanim Robert wyjedzie?

- Nie. Będzie zdruzgotany... Gdybym powiedziała mu teraz, nie wyjechałby i straciłby swoją szansę. A to dla niego bardzo ważne. O niczym innym nie mówi. Nie mogę być aż taka okrutna. Nie mogę go zniszczyć aż tak paskudnie.

Nadal bawiła się rzemykiem przy torebce. Tom sięgnął i odłożył torebkę na stół.

- Pozwól, że dam ci drinka. Likier czy coś innego? Uważam, że przydałoby ci się coś mocniejszego.

- Nic. Nic, dziękuję.

Siedzieli po obu stronach kominka. Biały kot ocierał się o jego nogę. Nalał im brandy. A po brandy...

- A więc mimo wszystko nie chcesz go zranić. Ciągle coś do niego czujesz - powiedział Tom.

- Czuję! Pewnie, że tak. Jakże mogłabym nie czuć po dwudziestu latach?

- Nie spodziewała się, że zacznie płakać, że urządzi scenę. Lecz łzy popłynęły strumieniami. - Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Ostatnie dni to prawdziwy koszmar.

Tom wstał i poszedł do domu. Wrócił z wilgotnym ręcznikiem i z wielką czułością otarł jej twarz. Jak dziecku lub pacjentowi - pomyślała Lynn, nie przestając mówić.

- Wstyd mi, że do ciebie przyszedłam i sprawiam ci kłopoty. Powinna sama rozwiązywać swoje problemy. Jestem wystarczająco dorosła. To dziwaczne i to głupie opowiadać takie rzeczy... Ale czuję się okropnie. Niby dlaczego nie miałabym się tak czuć? Miliony ludzi czują się okropnie. Czy nie jestem jedną z nich? Kto powiedział, że życie ma być usłane różami? - Zaczęła wstawać. - Już mi lepiej, Tom. Widzisz, już nie płaczę. Nie będę już płakać. Jadę do domu. Przepraszam.

- Nie, jesteś za bardzo wzburzona. - Tom przycisnął jej plecy do oparcia krzesła.

- Zostań, dopóki się nie uspokoisz. Jeśli nie masz ochoty, nie musisz nic mówić. Słońce przesłonił obłok. Przygasił barwy kwiatów w ogrodzie, koł nerwy. Lynn odezwała się już spokojnie.

- Prawda jest taka, że się boję, Tom. Jak to możliwe, że jestem na to zdecydowana, a jednocześnie tak przerażona? Nie chcę samotnie borykać się z życiem. Jestem za młoda, aby żyć bez miłości. A przecież mogę już nigdy nie być kochana.

- Dlaczego tak myślisz?

- Mam prawie czterdzieści lat, ciąży na mnie odpowiedzialność za dzieci - niemowlę i nastolatkę, która może sprawić wiele kłopotu, i Emily. Nie jestem jak te wolne kobiety z karierą zawodową i o olśniewającej urodzie.

Tom uśmiechnął się.

- Znam jednego mężczyznę, który uważa, że jesteś olśniewająca. To Bruce. Lynn poczuła rumieniec na twarzy i szyi. Gdyby Tom powiedział coś takiego dwa

tygodnie wcześniej, wzruszyłyby ramionami. Och, powiedziałyby, Bruce jest do mnie przychylnie nastawiony, bo traktuje mnie jak siostrę. Lecz teraz taka odpowiedź uwięziłaby jej w gardle.

- Widzę - powiedział Tom - że zrobiłem nietaktowną uwagę. Powiedziałem „jeden mężczyzna”, chociaż - dodał ze swym zwykłym złośliwym błyskiem w oku - ja nie nazwałbym cię „olśniewającą”. Tak można mówić o kimś umalowanym i ufryzowanym, flirtującym, to nie pasuje do takiej ślicznej i miłej kobiety jak ty.

- Nie jestem śliczna - zaprotestowała Lynn. - Moja córka Emily jest śliczna. Podobna do Roberta. Widziałeś ją.

- O tak, o tak. Robert jest dla ciebie punktem odniesienia. To widać - rzekł ostro.

- A teraz wyjmij z torebki lusterko.

- Po co? - spytała zaskoczona.

- Wyjmij. Masz tu kosmetyczkę. Teraz spójrz na siebie - polecił - i powiedz mi, co widzisz.

- Wystraszoną i oszołomioną kobietę. Oto, co widzę.

- To minie. A gdy minie, staniesz się, będziesz... cóż, prawie piękna. To prawda, że masz nieco zbyt szerokie kości policzkowe, przynajmniej według niektórych. I być może trochę za krótki nos. - Ustawiając jej głowę, by przyjrzeć się pod innym kątem, zmarszczył lekko brwi, jakby oceniał dzieło sztuki. - To dziwne, że przy tak jasnych włosach masz ciemne rzęsy.

- Nie drażnij się ze mną, jestem zbyt nieszczęśliwa.

- W porządku. Drażniłem się z tobą. Pomyślałem sobie, że poprawię ci humor, ale omyliłem się. Wiesz, czego pragnę. Pragnę cieszyć się wraz z tobą. Wreszcie skończy się ten etap twego życia, staniesz się silna i dojdiesz do czegoś.

- Ten etap kończy się, to prawda. A co do reszty, wcale nie jestem pewna.

- Spojrzała na zegarek. - Muszę już iść. Lubię być w domu, gdy Annie wraca ze szkoły.

- Co u niej?

- Cóż, niepokoję się o nią. Zawsze jestem niespokojna. Ale przynajmniej nie było już takich scen. Żadnych ucieczek, dzięki Bogu. Sprawia wrażenie spokojnej. I Robert jest z nią w dobrej komitywie. Prawdę powiedziawszy, jest teraz tak zajęty i zmęczony, tak przejęty swoim awansem, że nie ma czasu ani dla niej, ani dla kogokolwiek innego.

Nawet na seks, pomyślała, a nie wiem, co zrobię, jeśli spróbuje się do mnie zbliżyć. Z trudem podniosła się z krzesła. Tom pomógł jej i powiedział:

- Życzę, żeby ci się powiodło. Posłuchaj mnie. Jesteś zbyt dobrym człowiekiem, aby czuć się tak nieszczęśliwą. - A potem ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował ją łagodnie w czoło. - Jesteś śliczną kobietą, bardzo, bardzo atrakcyjną. Robert o tym wie. Dlatego był taki wściekły, gdy przyszedł tu i zobaczył, że tańczysz.

- Z trudem myślę. Kręci mi się w głowie - wyszeptała.

- Oczywiście, że tak. Wracaj do domu, Lynn, i zadzwoń, gdy będziesz mnie potrzebowała. Ale według mnie, im prędzej od niego odejdziesz, tym lepiej. Nie zwlekaj zbyt długo.

Ruszyła do domu, czując w głowie wielki zamęt. Co czuła do Toma? Co on czuł do niej? Jej poszukiwanie pociechy i wsparcia już dwukrotnie doprowadziło do komplikacji... w przypadku Bruce'a do czegoś więcej niż „komplikacji”!

W miarę jak jechała w to zielone, letnie popołudnie, przychodziły inne myśli, wśród nich wspomnienie, które wywołało na jej wargach słaby uśmiech.

„Chciałabym, żebyś wyszła za męża za Toma” - powiedziała kiedyś Annie po nieporozumieniu z ojcem. - „Oczywiście gdyby wujek Bruce nie był żonaty z ciocią Josie, mogłabyś wyjść za niego”.

Było to dziecinne paplanie, lecz w sytuacji, w której się znalazła, czuła się bezpieczniej, wiedząc, że w wielkim, nieznanym świecie znajdowało się co najmniej dwóch mężczyzn, którzy uważali ją za atrakcyjną, nie była więc całkowicie bezbronna.

Zastanawiała się, czy na początku owego lata ktokolwiek z nich wyobrażał sobie, co się stanie. W dniu ukończenia szkoły Emily zdawała się kroczyć prostą drogą ku studiom w Yale; Josie gratulowała jej z uśmiechem, a teraz już nie żyła; Robert i Lynn - mąż i żona - siedzieli, trzymając się za ręce.

Robert wrócił do domu wcześniej niż zwykle. Wyjaśnił:

- Postanowiłem zwolnić się z pracy i zrobić zakupy na wyjazd. Nie mamy dość walizek. Zastanawiałem się, czy nie kupić kilku kufrow i nie wysłać naszych najcięższych rzeczy zawczasu. Co o tym sądzisz?

Dziwne, że patrzył na nią i mówił takie zwykłe rzeczy, a nie zauważał zmiany, która w niej zaszła.

- Mamy mnóstwo czasu - odrzekła.

- No cóż, ale nie ma sensu zostawiać wszystkiego na ostatnią chwilę. Zaraz potem zatelefonowała Emily.

- Mamo, właśnie wracam z wykładu z socjologii, zgadnij, jaki był jego temat. „Złe traktowanie kobiet”. - Mówiła w podnieceniu. - Och, mamo! Na co ty czekasz? Wniosek był taki: ci mężowie nigdy się nie zmieniają. To jest twoje życie, jedyne, jakie masz, na miłość boską. I jeżeli trwasz przy nim z naszego powodu, a myślę, że tak właśnie jest, to się mylisz. Miewam teraz koszmary, widzę twoje ręce w bliznach i sińce na twarzy. Czy chcesz, żeby Annie domyśliła się także?

- Mówiłam ci, co mam zamiar zrobić - odpowiedziała Lynn. - I to nieprawda, że odpowiedzialność za to, że jeszcze z nim jestem, spada na ciebie. Ja go kochałam, Emily.

Obie milczały, a potem Emily powiedziała łamiącym się głosem i Lynn wiedziała, że mówi przez łzy:

- Mój ojciec, mój ojciec...

Znów zapadła cisza, aż Lynn odparła:

- Kochanie, zajmę się wami wszystkimi. Zajmę na pewno.

- Nie chodzi o mnie. Nie martw się o mnie, tylko o Annie i Bobby'ego.

- Dobrze, kochanie. Nie będę się o ciebie martwić.

Dziewiętnastolatka, a naprawdę wierzy, że nie potrzebuje już nikogo.

- Widziałaś się z wujkiem Bruce'em? Jak on się czuje?

Lynn obawiała się spotkania z Bruce'em. Byłoby dziwne i sztywne... czułoby się winni...

- Nie, nie widziałam go od dwóch tygodni. Radzi sobie tak, jak można w takiej sytuacji - odpowiedziała.

- Przekaż mu pozdrowienia ode mnie.

Odłożywszy słuchawkę, Lynn przez chwilę siedziała, wpatrując się w zapadający mrok. Z pokoju Bobby'ego dochodził głos Annie, śpiewającej mu piosenkę. Zachwycony Bobby pewnie podskakuje, trzymając się sztachetek łóżeczka. Wysoki głosik Annie brzmiał jeszcze bardzo dziecinnie, przez co piosenka stawała się bardziej wzruszająca.

Czuję się teraz jak zongler, pomyślała Lynn, który ma rozpocząć występy na scenie. Jedna chybiona piłeczka i wszystko się zawali...

- Ale ja nie chybię - powiedziała na głos.

Gdy Lynn wróciła ze sklepu spożywczego, Eudora czekała na nią przy garażu.

- Proszę pani! Proszę pani! - wołała, zanim Lynn zdążyła wyłączyć silnik. - Wzywają panią do szkoły, ktoś telefonował, chodzi o Annie... nie, nie jest chora, mówią, że nie trzeba się obawiać, chcą tylko porozmawiać, to wszystko.

Lynn zrobiło się słabo, a jednak zdołała odezwać się z niespodziewanym spokojem.

- Powiedzieli, że nic się jej nie stało?

- Och, tak. Nie kłamaliby przecież.

Może by i kłamali. Równie dobrze mogli łagodnie podawać złą nowinę... Gdy Lynn w pośpiechu wpadła do gabinetu dyrektora szkoły, zastała tam Annie.

Pierwsze, co rzuciło się jej w oczy, to umazana łzami twarz i rozdarta na przodzie bluzka.

Pan Siropolous powiedział:

- Mieliśmy tutaj trochę kłopotów, proszę pani. Bójkę na boisku szkolnym podczas przerwy i dlatego musiałem do pani zatelefonować.

Pierwszy strach minął. Poczawszy ulgę, Lynn usiadła obok córki.

- Tak, widać, że się biłaś. Czy możesz mi o tym opowiedzieć. Annie potrząsnęła głową i Lynn westchnęła.

- Nie chciałaś jechać do domu autobusem z koleżanką. Czy tak? Annie zacisnęła usta.

- Nie bądź uparta - powiedziała Lynn łagodnie. - Pan Siropolous i ja chcemy ci tylko pomóc. Powiedz, co się stało.

Annie jeszcze mocniej zacisnęła usta i utkwiała wzrok w podłodze. Dyrektor, sprawiający wrażenie zmęczonego, ponaglał ją lekko zniecierpliwiony.

- Odpowiedz matce.

Lynn wstała i mocno chwyciła Annie za ramiona.

- To śmieszne, Annie. Jesteś za duża na to, by się tak upierać.

- Zdaje się - powiedział pan Siropolous - że kilka dziewczynek dokuczało Annie z jakiegoś powodu. Uderzyła jedną z nich w twarz i zaczęły się bić, dopiero pani Dawes udało się je rozdzielić.

Lynn powtórzyła w zdumieniu:

- Uderzyła dziewczynkę w twarz!

- Tak. Nic jej się nie stało, ale oczywiście nie możemy pozwolić na takie zachowanie. A poza tym to zupełnie niepodobne do Annie. Zupełnie do ciebie niepodobne, Annie - powiedział teraz już z większą sympatią.

Lynn zawstydzila się i powiedziała ponuro.

- To okropne, Annie. Tracić panowanie nad sobą to okropne, bez względu na to, co ktoś ci powiedział.

I dziecko, zaciskając małe piąstki, wybuchło:

- Nie masz pojęcia, co one mówiły! Śmiały się ze mnie!

- Ale dlaczego? - zapytała Lynn.

- Dlaczego? - powtórzył pytanie dyrektor.

- One mówiły, że tata bije moją mamę i że wszyscy o tym wiedzą. „Twój tata bije twoją mamę” - powtarzały i śmiały się ze mnie.

Pan Siropolous spojrział na Lynn i odwrócił wzrok.

- To oczywiście nieprawda - powiedziała Lynn stanowczo.

- Mówiłam im, że to jest kłamstwo, mamó. Mówiłam im, ale one nie chciały mnie słuchać. Susan powiedziała, że słyszała, jak jej matka powiedziała o tym ojcu. Nie dały mi dojść do słowa, więc uderzyłam Susan, bo ona jest najgorsza, nienawidzę jej.

Lynn wyjęła z torebki chusteczkę i drżącą ręką otarła twarz Annie. A potem powiedziała stanowczo:

- Dzieci... ludzie czasami mówią coś, co jest dla nas trudne do zniesienia i bardzo bolesne, chociaż niezgodne z prawdą, Annie. Rozumiem więc, dlaczego wpadłaś w taką złość. Ale mimo wszystko



nie powinnaś bić Susan. Co można teraz zrobić? Jak pan sądzi, panie Siropolous?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Może ty i Susan, a także kilka innych dziewczynek, spotkacie się u mnie w biurze i przeprosicie nawzajem. One ciebie za to, co powiedziały, a ty za to, że je biłaś. Porozmawiamy wspólnie, jak zawrzeć pokój, tak jak w Organizacji Narodów Zjednoczonych. W naszej szkole niegrzeczne zachowanie i niegrzeczne odzywki nie są w zwyczaju. Jak się pani podoba takie rozwiązanie?

- Bardzo dobry pomysł. I sprawiedliwy. - Najważniejsze, by wydostać się stąd jak najszybciej. - Najlepiej będzie, gdy teraz wrócimy do domu, Annie. Dziękuję panu, panie Siropolous. Bardzo mi przykro z powodu tego, co się zdarzyło. Ale sądzę, że przywykł pan do tego rodzaju drobnych... drobnych kłopotów.

- Tak, tak. To jest nieodłącznie związane z dorastaniem - odparł dyrektor, który również chciał zakończyć tę sprawę jak najszybciej, i uprzejmie otworzył drzwi.

- Takie miłe dziecko - powiedział do Lynn, gdy wychodzili z gabinetu. - Proszę się nie martwić. To minie.

- Susan? - Zastanawiała się głośno Lynn w drodze do samochodu. - Jaka Susan? Może znam jej matkę z komitetu rodzicielskiego?

- Jest okropna. Wydaje się jej, że jest piękna, a wcale nie jest. Ma pryszczę, Jej ciotka mieszka naprzeciw.

- Naprzeciw nas?

- Tak. Pani Stevens - odparła Annie ze zniecierpliwieniem. - Pani Stevens z naprzeciwka.

Lynn zmarszczyła brwi, wiązała ze sobą fakty. Przecież porucznik Weber powiedział Stevensom, że nic się nie stało owej nocy...

- Głupia, boi się psów. Następnym razem, gdy przyjdzie do ciotki z wizytą, wypuszczę na nią Juliet.

Lynn roześmiała się i odrzekła swobodnie:

- A któż przestraszyłby się naszej niezdarnej Juliet o oklapłych uszach?

- Mylisz się. Susan śmiertelnie się bała, gdy Juliet poszła do Stevensów za Eudorą. Susan wrzeszczała i Eudora musiała trzymać Juliet za obrozę.

- Ach, więc Eudora chodzi do Stevensów?

- Nie. Nie do nich. Kobieta, która sprząta w domu Stevensów, jest najlepszą przyjaciółką Eudory.

Czy chodziło tu o Eudorę czy o Webera, a może o nich oboje? Zaskoczyło ją, że nie czuła pretensji do nikogo, kto mógł rozpowiadać te plotki. Ludzie zawsze opowiadają sobie takie rzeczy; to zupełnie naturalne; jej samej także często zdarzało się coś takiego.

I wtedy zaczęło się nagle przesłuchanie.

- Ale mam, czy... czy tata kiedykolwiek?

- Czy kiedykolwiek co?

- Zrobił to, o czym mówiła Susan? - wymamrotała Annie.

- Oczywiście, że nie. Jak możesz pytać?

- Bo czasami wpada w taką złość.

- To nie ma nic wspólnego z tym, co mówiła Susan. Nic a nic.

- Jesteś pewna, mam?

- Całkowicie pewna, Annie.

Dziecko westchnęło głośno. A Lynn zapytywała samą siebie, jak wytłumaczy separację z mężem, jak będzie mogła wytłumaczyć, nie wyjawiając całej okropnej prawdy; powie tylko część, tak, zaoszczędzi córce najgorszych szczegółów.

Cóż, gdy nadejdzie czas, a zbliżał się szybko, instynkt podszeptnie jej, jak ma postępować, uspokajała samą siebie. W obecnej chwili czuła jedynie głęboką i męczącą rezygnację.

## Rozdział 6

Tego wieczoru Robert wrócił do domu później niż zwykle. Lynn wycierała dziecko po kąpieli. Zdawała sobie sprawę z obecności męża stojącego w drzwiach za jej plecami, lecz nie odwróciła się, aby go powitać. Czasy czułych powitań należały do przeszłości, Lynn czekała, aż Robert odezwie się pierwszy, i dopiero wtedy udzielała mu oficjalnej odpowiedzi.

- Wróciłem do domu - zakomunikował.

Brzmienie jego głosu sprawiło, że obejrzała się i zobaczyła, że wygląda na śmiertelnie chorego. Rozpięty kołnierzyk, rozluźniony krawat; on, Robert Ferguson, tak się roznegliżował w kolejce dojazdowej?

- Co się stało? - wykrzyknęła.

- Nie uwierzysz - odparł.

- Uwierzę, jeśli mi powiesz.

- Poproś Annie, żeby położyła Bobby'ego do łóżeczka. Zrobi to z przyjemnością. A ty zejdź na dół. Muszę się napić.

Jest chory, pomyślała, ot co. Powiedzieli mu, że ma raka albo traci wzrok. Poczowała litość, wstrząsnęły nią dreszcze.

- Glenfiddich. Nalej sobie - powiedział nalewając. - I jeszcze jeden. Odstawił butelkę na srebrną tacę. Brzęknęła. Usiadł.

- A więc, Lynn, mam dla ciebie nowinę. General American Appliance i ja skończyliśmy ze sobą. Rozstaliśmy się. Ostatecznie.

- Rozstaliście się? - powtórzyła jak echo słowa, które w tej chwili nie miały dla niej żadnego sensu.

- Nie uzyskałem awansu, więc odszedłem. Dlatego wracam tak późno. Sprzątałem swoje biurko.

- Nie rozumiem - powiedziała.

Wstał i podszedł do wysokiego, łukowato sklepionego okna, które wychodziło na oświetlony latarnią długi podjazd Stevensów. Odwrócił się i pomaszerował w stronę przeciwległego okna; stanął tam i wpatrzył się w ciemny trawnik i czarne zbocze wzgórza za trawnikiem. Gdy zwrócił twarz ku Lynn, spostrzegła, że w oczach ma łzy. Usiadł i zaczął mówić krótkimi, urywanymi zdaniami.

- Tak, sprzątałem biurko. Dwadzieścia trzy lata życia. Wiesz, jak się o tym dowiedziałem? W windzie, gdy późnym popołudniem wracałem do biura. Nie byłem tam przez cały dzień. Prosto z pociągu poszedłem na spotkanie. W windzie rozmawiała para dzieciaków, z

biura czy z poczty; nawet mnie nie rozpoznali. Rozmawiali o Budapeszcie i o tym, że Bruce Lehman jedzie tam jako szef biura. Brzmiało to całkiem nieprawdopodobnie. Nie przejąłem się, tylko mnie to rozbawiło. A potem Warren wezwał mnie do swego gabinetu. Pokazał mi faks od Monaco i przekonałem się, że to była prawda. Ale wciąż nie mogę uwierzyć.

Robert ukrył twarz w dłoniach. Łokcie oparł na kolanach, zwiesił głowę. Lynn miała przed sobą kompletnie załamane go mężczyznę. W dostatnim wnętrzu był równie nie na miejscu, jak żebrak rozciągnięty na marmurowych schodach.

- Powiedziałem mu, że musiała zajść jakaś dziwna pomyłka, że każdy wie o tym, iż to miejsce obiecano mnie. Dlaczego Lehman? To nie ma sensu. Powiedziałem, że chcę natychmiast rozmawiać z Monaco. Warren zadzwonił do Kalifornii, ale nie zastaliśmy Monaco. Zażądałem, żeby Warren powiedział mi wszystko, co wie na ten temat. Nie miałem zamiaru spędzić bezsennej nocy na zastanawianiu się, co się stało. Cholera? Mimo wszystko nie zasnę tej nocy.

Robert wstał i znów przemierzył pokój. Zatrzymał się przy kominku i przestawił stojące na gzymsie figurki Herenda, które Eudora poruszyła podczas ścierania kurzu.

- Pamiętam dzień, kiedy je kupiłem - powiedział. - Zdawało mi się, że świat legł u moich stóp. Przepraszam. Te przekłete łyzy. Wstydę się, że musisz na nie patrzeć.

- Nie ma się czego wstydzić, Roberte. Mężczyzna ma prawo okazać swój smutek. Mówiła łagodnie nie tylko z powodu współczucia, ale również zdumienia, w jakie wprowadziła ją ta dziwna komplikacja.

- A Warren? Czy powiedział ci, dlaczego?

- O, tak. Był bardzo delikatny, wiesz, mówił bardzo grzecznie. Teraz jest w domu i założę się, że częstuje tą historią swoją żonę lub ludzi w klubie. Boże! Po tym, jak się zapracowywałem, jak udoskonaliłem marketing bardziej niż ktokolwiek dotąd; a czego, w porównaniu ze mną, dokonał Lehman? Pozbawiony wyobraźni wól roboczy...

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, o co chodzi - cierpliwie przypominała Lynn.

- O co chodzi? O, tak. Jak wspomniałem, mówił bardzo delikatnie. Taktownie. Zdaje się, że ludzie... że ktoś naopowiadał jakichś rzeczy dotyczących spraw osobistych... pełnych przesady... Boże! W każdym małżeństwie istnieją takie czy inne problemy, problemy, z którymi ludzie sobie radzą, pozostawiają je za sobą. Powiedziałem mu, że to wszystko absolutnie nie jest zgodne z prawdą, absolutnie. A zresztą obcy ludzie nie mają najmniejszego prawa do snucia domysłów, jak układa się czyjeś życie małżeńskie. Mogłoby się wydawać, że taki człowiek jak Monaco nie jest na tyle nierozsądny, by słuchać bezzasadnych plotek.

- Bezzasadnych? - Lynn mruknęła tak cicho, że Robert nawet jej nie usłyszał. Wszystkie dotychczasowe szeptki zjednoczyły się, dając rozdzierający wrzask, który dotarł aż do Kalifornii. Było to w pewnym sensie zadośćuczynienie, ale całkowicie dla Lynn bezużyteczne, bo do czego mogło doprowadzić? Sprowadzało ją z obranej ścieżki, która, pomimo że bolesna, wiodła ją do celu, do ślepej uliczki.

- Czy uwierzyłabyś, że człowiek pokroju Monaco da wiarę plotkom? A poza tym, cóż ja takiego uczyniłem? - Lynn milczała i głos Roberta zabrzmiał podejrzliwie.

- Zastanawiam się, kto mógł rozsiewać te nędzne plotki. Nie ty... ty nawet nie poskarżyłaś się Lehmanom, prawda?

Przerwała mu.

- Nie waż się mówić do mnie w ten sposób!

- Och, dobrze już, wierzę ci. Ale kto i jak?

Pytanie zawisło pomiędzy nimi. Robert oczekiwał odpowiedzi, lecz odrętwiała Lynn nie mogła mu jej udzielić.

Mimo przerażenia odczuwała rodzaj fascynacji podobnej do zainteresowania, z jakim ludzie przypatrują się krwawym skutkom wypadków ulicznych.

- Warren powiedział... a mówił zgodnie z „instrukcjami Monaco”, powiedział, że oczywiście mogę pozostać na swoim dotychczasowym stanowisku. „Oczywiście” - zadrwił Robert.

- Ale ty nie masz zamiaru? - spytała.

- Na Boga, Lynn! Natychmiast napisałem rezygnację. Za kogo ty mnie masz? Sądzisz, że mógłbym tam pozostać? Po takim policzku? Podczas gdy Bruce Lehman będzie się cieszył nagrodą, na którą zasłużyłem ja?

- Bruce nigdy tego nie pragnął - powiedziała.

- Ale cholernie łatwo się z tym pogodził.

Świat wokół mnie wiruje, a ja nie widzę w tym najmniejszego sensu, pomyślała Lynn. Spytała, aby coś powiedzieć:

- Czy jesteś przekonany, że odchodząc postępujesz właściwie?

- Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. A poza tym oni chcą, żebym odszedł. Nie widzisz tego? Znaleźli sposób, aby rai to ułatwić. Stworzyli tak okropną sytuację, że sam chciałem odejść. - Twarz Roberta ściągnął grymas. - Jestem zrujnowany, Lynn! Zniszczony. W niełasce. Wyrzucony jak śmieć, jak nędzny śmieć.

To prawda. Sam do tego doprowadził, ale nie zmieniało to faktu, że tak właśnie było. Co mogła, co powinna mu powiedzieć? Nie mogła wymyślić nic poza błahą pociechą.

- Przygotować ci coś do jedzenia? Nie jadłeś obiadu.

- Nie mogę nic przełknąć. - Spojrzał na zegar, - Jest pół do dziewiątej. Nie jest zbyt późno, aby odwiedzić Bruce'a. Chodźmy.

- Odwiedzić Bruce'a? Ale po co?

- Żeby mu złożyć gratulacje, oczywiście. Skonsternowana szukała jakiejś sensownej wymówki.

- On nie potrzebuje naszej wizyty, będziemy mu przeszkadzać.

- Bzdura. Przyjmie gratulacje. Zawieziemy mu butelkę szampana.

- Nie, nie. On jest w żałobie. To nie na miejscu - protestowała.

- To nie ma nic wspólnego z żałobą Bruce'a. To kwestia honoru i dobrego smaku Roberta Fergusona, jego postawy. Chcę mu pokazać, że potrafię to znieść jak mężczyzna.

- Po cóż się tak torturować? Tylko po to, by postawić na swoim? Wystarczy rozmowa telefoniczna.

- Nie. Weź szampana. Bruce schłodzi go w lodówce w pół godziny.

I kogóż ty oszukujesz tym brawurowym przedstawieniem - pomyślała Lynn. A w środku umierasz z rozpacz.

- Jeżeli chcesz świętować - powiedziała - zapnij kołnierzyk i zmień krawat. Jest poplamiony.

Bruce nie przejąłby się tym, ale Robert byłby przerażony, gdyby zobaczył się w lustrze.

Nie była w domu Bruce'a od owego dnia. Gdy go odwiedzili, czytał; otworzył im drzwi z książką w ręku. Wieczór był chłodny i

wietrzny, zwiastun nadchodzącej zimy. Bruce najwyraźniej leżał pod zrobionym przez Josie na drutach pledem, na tej samej sofie, na której leżeli razem i gdzie potem okrył jej nagość tym właśnie pledem.

Lynn zastanawiała się, czy jemu także przyszło to do głowy, i nie mogąc patrzeć na Bruce'a ani na sofę, urządziła wielkie widowisko powitania z kotem.

Bruce zapytał, czy nie będą mieli nic przeciwko temu, aby pozostawić szampana na inną wspólną okazję, i wytłumaczył się:

- Nie jestem w nastroju. To był dla mnie raczej ciężki dzień, Robercie.

- A to dlaczego?

- To bardzo proste. Stanowisko należało się tobie. Zasłużyłeś sobie na nie i tobie powinno przypaść.

Robert wzruszył ramionami:

- To bardzo miło z twojej strony, Bruce, ale los chciał inaczej, ot i wszystko. Uwaga ta zabrzmiała prawie nonszalancko; mogła wywołać współczucie dla jego dzielności lub - przyjąwszy, że słuchacz wie, dlaczego „los chciał inaczej” - wzbudzić gniew.

Bruce był pełen współczucia.

- Muszę ci wyznać, że ta wiadomość przytłoczyła mnie. Niełatwo będzie postępować twoim śladem, Robercie. Mam nadzieję, że podołam zadaniu.

- W razie potrzeby zawsze możesz liczyć na moją pomoc. Dobrze byłoby, gdybyś wpadł do nas któregoś popołudnia i pozwolił, abym udzielił ci kilku informacji o tym, co tam już zostało zrobione.

- Cóż, dziękuję, ale nie teraz. Spadło to na mnie jak stutonowy ciężar w chwili, kiedy i tak jestem przywalony wielkim ciężarem. Mam ograniczoną zdolność myślenia.

- Rozumiem - odrzekł Robert ze zrozumieniem.

- To przynajmniej zmusi mnie do wyjazdu. Marzyło mi się jakieś miejsce, dokąd mógłbym uciec przed samym sobą. Mongolia albo może biegun południowy. A teraz okazuje się, że to Węgry. Miejsce nie stanowi żadnej różnicy. I tak zabieram z sobą siebie, a jestem kompletnie załamany.

Bruce nie spojrział dotychczas na Lynn, teraz zwrócił się wprost do niej i poprosił.

- Niepokoję się o Barneya. - Kot leżał zwinięty przy kominku. Wyglądał jak kupka śniegu. Słyszając swoje imię, uniósł głowę. - Nie

mogę go zabrać ze sobą, a Josie będzie mnie nawiedzać przez resztę moich dni, jeżeli nie zapewnię mu dobrego lokum. Czy myślisz, że mogłabyś go zabrać, Lynn? Nie chcę przysparzać ci kłopotów i zajęć, ale jestem w przymusowej sytuacji.

- Nie znasz Lynn, skoro tak mówisz - stwierdził Robert. - Wzięłaby pod swój dach każde żywe stworzenie.

- Oczywiście, że go wezmę - powiedziała szybko Lynn.

- Tak, nie znasz Lynn - powtórzył Robert.

Ależ on zna Lynn, i to bardzo dobrze. Miała te słowa na końcu języka, ledwie się powstrzymała, aby ich nie wypowiedzieć głośno.

- Jaki masz plan? - zapytał Robert.

- Wyjadę w grudniu, jak sędzę. - I Bruce powtórzył: - To wszystko stało się tak nagle... Zatrzymam u siebie Barneya do wyjazdu... To miło z twojej strony... Jestem ci zobowiązany... Josie byłaby wdzięczna.

- Jest całkowicie zagubiony. Nigdy nie mierzył tak wysoko. Nie wie, jak się w tym wszystkim znaleźć - skwitował Robert, gdy wyszli.

W domu zaczął na nowo przemierzać pokój.

- Nigdy temu nie sprostą.

Do pokoju weszła Annie. Tak cicho, że oboje drgnęli, słysząc jej głos.

- Co się stało? Czy stało się coś strasznego? Czy Emily znowu zachorowała?

- Och, nie, Annie, moja mała córeczko, Emily, dzięki Bogu, czuje się dobrze, Dzięki Bogu, wszyscy czujemy się dobrze. - Przyciągnął Annie do siebie, ucałował czubek jej głowy i przytulił, mówiąc czułym głosem. - Znajdę sposób, aby o was zadbać. Myślą, że mnie zniszczyli, ale nie uda im się zdławić mego ducha, o nie... - Zaczął szlochać.

- Przerażasz ją! - krzyknęła Lynn. - Tatuś jest zdenerwowany, Annie, ponieważ ma kłopoty w pracy. Opuszcza firmę. Jest zdenerwowany.

Dziecko wyswobodziło się z ramion Roberta i spojrzało na niego tak, jakby widziało go po raz pierwszy w życiu. Na jej twarzy malowały się kolejno różne uczucia, od ciekawości, poprzez niesmak, do strachu.

- Muszę porozmawiać z Emily - powiedział Robert. - Podaj mi jej numer, Lynn.



- Wystraszysz ją śmiertelnie. Poczekaj, aż trochę ochłoniesz.

- Jestem spokojny - odparł przez łyzy. - Jestem zupełnie spokojny. Chcę z nią porozmawiać, żeby powiedzieć jej, że jest mi przykro. Jesteśmy rodziną. Popelniamy pomyłki. A teraz musimy się trzymać razem. Jaki jest jej numer, Annie?

Gdybym nie widziała na własne oczy, jak niewiele wypił, przysięgłabym, że to whisky, pomyślała Lynn.

- Emily, Emily - mówił Robert przez telefon. - Nie, nie bój się. Jesteśmy wszyscy razem w domu. Po prostu rzuciłem pracę w GAA. To długa historia, zbyt długa, aby ją wyjaśniać przez telefon, ale... wybacz, jestem w tej chwili bardzo zdenerwowany. Czuję się tak, jakby niebo zważyło mi się na głowę... ale pozbieram się jakoś i... cóż, chcę cię przeprosić, naprawić to, co zaszło pomiędzy nami. Zamartwiałem się tą sytuacją. Chcę cię przeprosić za to, że nie próbowałem cię zrozumieć. Chcę ci po prostu powiedzieć, żebyś nie martwiła się o opłaty za studia. Zapłacę za ciebie, jeszcze nie zbankrutowałem. Zostań tam, gdzie jesteś, i rób, co do ciebie należy i niech cię Bóg błogosławi, kochanie. Kocham cię, Emily. Jestem z ciebie taki dumny. Powiedz mi, jak się miewa Harris?

Później, gdy znaleźli się w sypialni, wypytywał Lynn:

- Powiedz mi... czy ja... czy my... zasłużyliśmy na to? Chciałem dla ciebie jak najlepiej, a teraz... co teraz?

W łóżku zwrócił się ku niej i leżącą tyłem przytulił do siebie. Wiedziała, że potrzebuje pociechy, cielesnej ulgi, rekompensaty za doznaną krzywdę. Potrzebował dowodu na to, że nadal jest mężczyzną, jej mężczyzną. Gdyby szukał tego kilka godzin temu, zanim spadło na niego nieszczęście, odepchnęłaby go. Teraz jednak nie miała serca, aby go ranić. A zresztą po co? Kobieta może leżeć nieruchoma jak kamień i nic nie czuć. W kilka minut będzie po wszystkim.

W ciągu ostatnich kilku tygodni wielokrotnie wyobrażała sobie upokorzonego Roberta Fergusona. A jednak teraz, gdy został upokorzony ponad wszelkie spodziewanie, jego widok był nie do zniesienia. Czuła jego ból, jakby tkwiła w jego skórze.

W małym świątku spółki, której pracownicy żyli w jednym mieście, wiadomości rozchodziły się bardzo szybko. W sobotę w sklepie grupa kobiet najwyraźniej rozprawiała o Fergusonach, bo na

widok Lynn zamilkły gwałtownie i powitały ją serdeczniej niż zwykle.

Nie sprawia mi to wielkiej różnicy, pomyślała, i prawdopodobnie głupio jest pytać, ale muszę się dowiedzieć, jak do tego doszło. Podeszła do automatu i zadzwoniła do Toma. Może on będzie wiedział; a jeśli nie wie, to się dowie.

- Chodzi mi o Roberta. Słyszałeś już o tym, że odszedł z firmy? Dowiedzieli się, że... - Głos jej się załamał.

- Tak. Wiem. Wpadnij do mnie. Będę w domu przez całe przedpołudnie.

W wielkim pokoju, gdzie owej nocy królował pięknie nakryty stół, poczuła się nagle bardzo mała.

- Jak się dowiedziałeś? - zapytała.

- Monacco zatelefonował do mnie. Zawsze sobie wyobrażał, że Robert i ja jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.

- Ale po co właściwie zadzwonił. Żeby cię zapytać, czy żeby cię poinformować.

- Jedno i drugie. Powiedział mi, że otrzymał list, i zapytał, czy oskarżenia w nim zawarte są zgodne z prawdą, czy ja wiem coś na ten temat.

- List - powtórzyła Lynn jak echo.

- Nie wiem, kto go wysłał. To był list napisany przez kobietę, anonim. Ale sprawiał wrażenie autentycznego, tak mi powiedział Monacco, jakby napisała go żona jednego z pracowników firmy. Zawierał wiele potwierdzonych informacji i zeznanie sąsiadów.

Tom spuścił wzrok i wpatrzył się w czubki własnych butów, zanim powiedział więcej. A potem spoglądając wprost na Lynn, jakby zastanawiał się, czy ma mówić dalej, dodał: - Zeznanie dotyczyło zdarzeń owej nocy, gdy przysłaś tu, aby przygotować przyjęcie.

- Anonim! Jakież to podłe!

Myślała szybko: Kto oprócz Stevensów mógł wiedzieć, co zdarzyło się owej nocy? Oni są spokrewnieni z rodziną tej dziewczynki, Susan. A Eudora, która widziała zbyt wiele, przyjaźniła się z kobietą zatrudnioną u Stevensów.

- A ponieważ list informował, że dzwoniono na policję, Monacco sprawdził to.

Weber. Nie spalił raportu. Weber chciał zemścić się na Robercie za to, co od niego usłyszał.

- Sprawdzono więc i okazało się, że rzeczywiście wpłynęła skarga i że ktoś na komisariacie chciał to ukryć, a właściwie nawet ukrył.

A więc źle osądziła Webera. Czując się winna i współczując mu, zapytała:

- Czy człowiek, który to ukrył, miał kłopoty?

- Nie. Naczelnik policji jest moim przyjacielem i odbyliśmy na ten temat rozmowę.

- A więc wiesz o Emily i jego synu - powiedziała miękko.

- Nic poza tym, że chodzili ze sobą - uśmiechnął się Tom. - Czy nadal mówi się „chodzić na stałe”. Moja znajomość języka nastolatków nie jest aktualna.

- Nie wiem. To wszystko jest takie pogmatwane - lamentowała Lynn. Tom skinął głową.

- Pogmatwane to właściwe słowo. Nawet gliniarz z klubu słyszał o tym. Zanim zaciągnął się do policji, był u mnie ogrodnikiem i opowiadał mi różności. Zdziwiłabyś się słysząc, jak wiele ludzi wie o Robertcie, rzeczy prawdziwych i kłamstw. Oto jak bywa w takich miastach; jeśli trafisz na języki plotkarzy, wkrótce wszyscy wiedzą, co jadasz na śniadanie.

- Ach, jakież to podłe!

Czuła się tak, jakby plotkujący tłum obnażył nie tylko Roberta, lecz całą ich rodzinę; ją, córeczki, nawet maleństwo. W przypiływie nagłego gniewu wykrzyknęła:

- Zdawałoby się, że mają ważniejsze problemy niż mieszanie się do cudzych spraw!

- Zdawałoby się, ale tak nie jest. - I Tom dodał: - Monacco nie będzie tolerował skandalu, choćby najmniejszego.

- Ale to nie jest w porządku! Cała sprawa została rozdmuchana do przesadnych rozmiarów. A w końcu dotyczy to tylko mnie i Roberta, prawda? A nie GAA i miasta. Dlaczego ma wpłynąć na jego pracę? Dlaczego? - zakończyła pytaniem.

Tom uniósł brwi i potrząsnął głową, jakby mówił: ja się poddaję.

- Och, myślisz, że jestem naiwna?

- Tak. I to bardzo. Korporacje budują swój obraz, Lynn. Dbają o morale. Jak możesz spodziewać się szacunku od podwładnych, gdy twoje własne zachowanie jest... powiedzmy, „wątpliwe”?

- W porządku. To było głupie pytanie. W porządku.

Lynn, podążając za wzrokiem Toma, zauważyła, że bezwiednie obraca na palcach pierścionki, nerwowo poruszając dłońmi. Ułożyła ręce na poręczach fotela. Powinna jechać do domu; usłyszała to, co chciała, i nie miała już na co czekać.

- Monaco był naprawdę zasmucony - powiedział Tom łagodnie.  
- To żadna przyjemność, tak postąpić z człowiekiem, którego się podziwia. I oczywiście powiedział coś, czego się można było spodziewać, że to ostatnia rzecz, w którą mógłby uwierzyć. O kimś tak błyskotliwym, mającym przed sobą taką przyszłość!

- Coś takiego, jak oglądać twarz mordercy w gazecie. „O rany, ma taką sympatyczną twarz!” Prawda? - I palce Lynn na nowo zaczęły obracać pierścionki.

Tom przytrzymał jej dłoń.

- To dla ciebie okropne. Ja wiem.

- Ktoś musi współczuć Robertowi, niezależnie od wszystkiego. Nie może spać, całymi nocami chodzi po domu, w górę i na dół. Prawie nic nie je. Wygląda, jakby się postarzał o dziesięć lat... Odrzucenie... Poniżenie...

- Zwłaszcza że to Bruce otrzymał jego stanowisko, prawda?

- Cóż, tak. Nigdy nie spodziewałby się, że to właśnie Bruce może stać się jego rywalem.

- Dlaczego powiedziałaś „właśnie Bruce”?

- To nie moje zdanie. Robert tak powiedział. On zawsze powtarzał, że Bruce nie stanowi żadnej konkurencji.

- Bardzo się mylił. Gdy projekt dotyczący Węgier był rozpatrywany po raz pierwszy, Bruce znajdował się na czele listy kandydatów.

- Skąd ty to wszystko wiesz? Nawet jeśli jesteś skoligacony z Monaco, to przecież nie pracujesz dla GAA. Więc skąd wiesz?

- Nigdy nic nie wiem ani nie interesuję się sprawami GAA. Ale tym razem sam się tym zająłem. Chciałem, żeby Robert awansował. Zrobiłem to dla ciebie.

Na te słowa Lynn gwałtownie wysunęła dłoń z jego ręki, a on zaczął jej szybko wyjaśniać.

- Nie trzeba mi wiele, aby stwierdzić, że małżeństwo nie potrwa długo. A w takim przypadku będzie ci potrzebne solidne oparcie. Sądy nie troszczą się zbyt o żony.

W pokoju zapanowała głucha cisza. Gdzieś zadźwięczał i umilkł telefon. Przechodzący obok domu mężczyzna roześmiał się tubalnie, kobieta zawtórowała mu. A więc ludzie na świecie bywali jeszcze w dobrych humorach! Nagle przyszło jej do głowy, że być może już nigdy nie będzie miała się z czego śmiać. A potem jeszcze jedna myśl, a właściwie pytanie: gdybym była teraz wolna, nie przytłoczona przeżyciami, czy przyjąłabym tego wesołego, lubiącego żarty, miłego mężczyznę, który siedzi, uważnie przyglądając się czubkom swoich butów, zanim spojrzy na mnie? Jego ostatnie słowa: „Zrobiłem to dla ciebie”, z pewnością mają jakieś znaczenie.

- Jesteś taki dobry! - wykrzyknęła i powiedziałaaby więcej, ale bała się, że się rozpłaczę.

- Cóż - powiedział. - Cóż, chcę postawić sprawę jasno. Jak to prawnik, sama wiesz. A więc powiedz mi, co teraz? Albo raczej powiedz mi najpierw, dokąd teraz zmierzasz?

- A dokąd mogłabym zmierzać, Tom? Robert jest chory. Błaga o przebaczenie... och, nie tylko za zło, które mi wyrządził, ale za swoje niepowodzenie. Odłożył bardzo mało pieniędzy. Byłam zaskoczona, że tak mało. Musi znaleźć dobrą pracę i to prędko, ale najpierw musi odzyskać trochę dumy i odwagi. Chce się stąd wynieść i zacząć od nowa. Sama nie wiem. Już nic nie wiem. Serce mi się kroi, Tom. To jest kompletnie nieznana, smutna, nowa karta mego życia. On stał się taki pokorny, zupełnie się odmienił.

- Nie, Lynn. On się nie zmienił.

- Nie możesz tak mówić. Nie widziałeś go. Płakał, rozmawiając z Emily przez telefon.

- Nie muszę go oglądać. Jesteś zbyt dobra - powiedział Tom. - Oto cały kłopot.

- Uważasz, że należy podeptać leżącego?

Tom nic na to nie odpowiedział. Lynn ukryła twarz w dłoniach, myśląc o tym, że Tom mimo wszystko nie może mieć pojęcia o tym, co dzieje się w jej sercu. Spędzili razem dwadzieścia lat, przeżyli tyle dobrego! O tak, złego także, złego także. Ale zrosli się w jedno ciało, tak że teraz nie była w stanie nie cierpieć razem z nim.

Uniosła twarz, błagając o zrozumienie.

- Nie mogę opuścić tonącego statku, Tom. Nie mogę. Pokiwał głową.

- Ale w końcu opuścisz - powiedział.

Nadszedł czas oczekiwania, niemiły zastój w zwyczajnym życiu. Dni płynęły powoli i wydawały się długie. Lynn spoglądała przez okna na liście, które zmieniały kolory - zieleń przechodziła w szarość, czerwień nabierała odcieni rdzy. Było to smutne, a jednak pełne odzwierciedlenie nastroju panującego w domu, bo jesień powinna być jaskrawa i płomienna. Lynn mówiła sama sobie: człowiek widzi to, co chce zobaczyć.

Na trawniku pod klonem Annie czytała lekturę szkolną. Robert klęczał obok Bobby'ego i wyciągał ręce do synka, który miał już prawie dziesięć miesięcy i próbował stawiać swoje pierwsze samodzielne kroki. Roberta rozpieszczała duma: chłopak będzie siłaczem, zostanie doskonałym tenisistą, pływakiem, gwiazdą bieżni.

Jeśli to mu daje pociechę, pomyślała Lynn, niechaj się pociesza. Dziwne było oglądać go w domu w środku dnia. To samo musiała sobie pomyśleć Eudora przechodząca właśnie z garażu w kierunku krzewów winorośli.

Nieszczęsna kobieta, zaledwie tydzień temu nieśmiało i z wahaniem wyznała Lynn:

- Muszę pani coś wyznać, pani Ferguson. O kłopotach pana Fergusona usłyszałam od przyjaciółki. Ona nie powinna była o nich rozpowiadać, ale ja także powinnam była milczeć. To się stało w kościele. Pani wie, jak się pracuje u ludzi w domach, słyszy się różne rzeczy, a potem o nich rozmawia. Nie chciałam pani sprawić przykrości, naprawdę nie chciałam. I panu Fergusonowi także. To prawdziwy dżentelmen i naprawdę lubiałam go do chwili, gdy...

Lynn uciszyła ją.

- Droga Eudoro. Rozumiem. I to nie stało się z twego powodu ani twojej przyjaciółki od Stevensów. Wiedział o tym nawet policjant z klubu, zdaje się, że wiedziało o tym mnóstwo ludzi. Och, nie płacz, proszę. Nie utrudniaj mi sprawy.

Eudora nie mogła pohamować swojej skruchy:

- Za nic na świecie nie chciałabym pani skrzywdzić. Pani była dla mnie taka dobra, te wszystkie ubrania, i to nie tylko pani używane rzeczy, ale nowe ubrania na moje urodziny i ostatnie Boże Narodzenie. Pani była dla mnie przyjaciółką. Tego ranka, kiedy weszłam do kuchni i zobaczyłam, co on pani zrobił, nie mogłam tego znieść, pani jest taką drobnutką osobką, nie waży pani więcej niż dziecko. Taka drobnutka osobka.

Łagodne, pełne niepokoju oczy wyrażały nieme pytanie, którego Eudora nie śmiała wypowiedzieć głośno: „Czy pani zostanie przy nim? Naprawdę?”

Lynn uniosła nieco podbródek, aby okazać swoje zdecydowanie, i odpowiedziała na to nie zadane pytanie.

- Zawsze musimy spoglądać do przodu, nigdy w tył. Przeszłość to tylko przeszłość, prawda?

I mówiąc to była świadoma swej dojrzałości i siły.

"Ta sprawa dotyczy wyłącznie mnie i Roberta. Wyłącznie" - powiedziała Tomowi Lawrence'owi.

Ale tak wcale nie było. Było to jak przysłowiowy wrzucony do sadzawki kamień, od którego rozchodziły się kręgi. Była Emily i Annie...

Annie zaskoczyła ją. Elastyczność tego dziecka zawsze ją zaskakiwała. Chyba że wszystko tłamsiła w sobie...

- Wujek Bruce powiedział mi, że bym nie wierzyła w to, co gadają dzieciaki. Powiedział, że bym im nie odpowiadała. „One chcą, żebyś płakała i wpadała w złość” - powiedział - „a jeśli ty tego nie zrobisz, popsujesz im całą przyjemność i przestaną”. Bardzo często rozmawiamy przez telefon. - I dodała z wielkim przekonaniem: - Wujek Bruce daje mi świetne rady. - A potem, zmieniając nagle temat, zapytała: - Dlaczego on już nas nie odwiedza?

- Jest bardzo zajęty przygotowaniem do wyjazdu - wyjaśniła jej Lynn. Trudno było zgadnąć, czy Bruce bardziej unika Roberta czy jej.

Lynn pragnęła, aby Bruce porozmawiał także z Emily, ale była prawie pewna, że jego rady dla starszej córki różniłyby się od tego, co mówił Annie. W każdym razie Emily stała się nieustępliwa.

Lynn rozmawiała z nią czasem po rozpaczliwym telefonie Roberta i zawsze natrafiała na mur.

- Mamo, popełniasz straszliwą pomyłkę - mówiła tonem pełnym współczucia i dezaprobaty. - Straszliwą. Wiele czytałam na temat takich małżeństw jak wasze.

- Wiem. Widziałam książkę w twoim pokoju. Statystyki nie pasują do wszystkich przypadków, Emily. To nie statystyka.

- Ale istnieje pewien wzorzec niezależnie od tego, jak różne mogą wydawać się poszczególne przypadki. W czasie zajęć z socjologii nadal dyskutujemy nad krzywdzonymi żonami i coś ci

powiem, przechodzą mnie lodowate dreszcze. Dbaj o siebie, mamó. Nie możesz być uzależniona od taty. Musisz go opuścić i to szybko.

- Nie. Gdybyś teraz zobaczyła ojca, zrozumiałabyś o co mi chodzi. Stał się innym człowiekiem. Zmienił się radykalnie, przeżył coś okropnego.

- Patrzysz na niego, ale go nie widzisz.

- Nie masz za grosz litości ani zdolności przebaczenia, Emily. Nie czujesz litości?

- Tak. Dla ciebie - powiedziała w końcu Emily. - No cóż, mamó, zrobisz tak, jak będziesz uważała.

Obrażona i pokonana Lynn odpowiedziała chłodno:

- Oczywiście, że tak. Muszę. Czyż wszyscy tak nie postępują? - A potem dodała łagodniej. - Pomimo swoich zmartwień tatuś myśli o Bożym Narodzeniu, o tym, żeby rodzina była razem. Czy zechciałabyś przyprowadzić Harrisa? Przygotuję prawdziwą ucztę, sękacz i wszystko, co trzeba.

- Harris spędzi święta z własną rodziną - odparła Emily oschłym tonem.

- Dobrze, w takim razie któregoś dnia podczas ferii.

- Zobaczymy - powiedziała Emily.

Uparciuch! A Robert tak bardzo stara się naprawić wszystkie szkody!

- Nie mów Emily, że niepokoję się o to, co ze mną będzie - powtarzał. - Nie chcę przeszkadzać jej w studiach. Musi mieć jasny umysł.

- No, a co zamierzasz? - spytała znowu ostatniej nocy.

- Jeszcze nie wiem. Potrzebuję czasu do namysłu. Na razie jakoś sobie poradzimy - powiedział niejasno, przygnębionym tonem. - Coś będę robił, znajdę coś.

Na urodziny Lynn położył przy jej nakryciu różę o długiej łodydze.

- Na nic więcej nie mogę sobie w tej chwili pozwolić. Biżuterię kupuję tylko wtedy, gdy jest najpiękniejsza, wiesz o tym. Więc zamiast niej najpiękniejsza róża. - Wyprostował plecy i z uśmiechem, który miał być dziarski, dodał: - Ale w przyszłym roku o tej samej porze będziesz tu miała lśniący pakuneczek obwiązany wstążką.

Lynn podniosła różę, pełną życia i doskonałej prostoty, przytuliła do policzka i powiedziała:



- Ona jest idealna, Robercie. Dziękuję.

Mogła powiedzieć: Nie wiesz o tym, że lśniący papier i wstążki nie są dla mnie ważne? Mogłoby to zabrzmieć przesadnie, a ona tego wcale nie pragnęła, więc po prostu jadła śniadanie, a on podszedł do fortepianu i zagrał dla niej urodzinową piosenkę.

Wczoraj, gdy padało - myślała Lynn, patrząc, jak synek niepewnie kroczy przez trawnik i pada w objęcia Roberta - cały wieczór spędził przy fortepianie, grając smętne nokturny. Jak długo będzie tak żył? Nie wychodzi z domu, nawet na zwykłe zakupy, bo boi się, że spotka kogoś znajomego.

- Musisz zacząć wychodzić i to z podniesioną głową - powtarzała mu. - Nie jesteś przecież mordercą na wygnaniu, prawda? Zresztą nikt już o ciebie nie dba. Każdego tygodnia zdarza się coś nowego, o czym można mówić. Założę się, że teraz twoje odejście z GAA to sprawa, o której nikt już nie pamięta.

Ale to nie była prawda. W sklepie nie spoglądano już na nią ciekawie i nie przerywano rozmów, gdy się zbliżała, zamilkł jednak telefon, który dotychczas ustawicznie wydzwaniał. Lynn przypomniała sobie rozmowę przy kolacji u Monacco i światło w oknie opuszczonego domu nad jeziorem, domu, w którym mieszkała para, po której „nikt by się tego nie spodziewał”.

Robert popatrzył w jej stronę i pomachał ręką.

- Bruce telefonował, gdy wyszłaś z domu - zawołał. - Sprząta dom i ma coś dla nas. Nie mam pojęcia, co to może być. Czy mogłabyś tam pojechać combi? Podwiózłby sam, ale jego samochód jest za mały. Możesz pojechać teraz?

- A ty nie możesz?

- W tych okolicznościach nie mam ochoty na rozmowy z Bruce'em - wykręcił się Robert.

Jej pierwszą reakcją było przerażenie. Wiedziała, że sam na sam z Bruce'em będzie się czuła jak obnażona. A potem, zamykając okno, pomyślała: zaniedbuję go, a przecież on był lub raczej on i Josie byli naszymi najlepszymi przyjaciółmi. To wstyd tak się przejmować własnymi kłopotami, podczas gdy jego były znacznie większe! Doznawała sprzecznych odczuć. Nie zapominaj owego popołudnia, myślała; nie będziecie mogli spojrzeć sobie w oczy, Lynn, nie będziecie. Ale z drugiej strony... Stała, bojąc się tam pojechać, nie mając na to ochoty, a jednocześnie pragnęła tego.

Jakiś czas temu Josie podarowała jej zdjęcia, które wspólnie zebrali podczas trwania ich małżeństwa. W kufrze w przedpokoju spoczywał album stanowiący zapis tych radosnych chwil, które ludzie pragną zachować; piknik Czwartego Lipca, urodziny, wypadu na wieś, głupie kapelusze z zabawy sylwestrowej. Bruce oczywiście zechce zachować ten skarb. On pragnie wszelkich okruchów pamięci. Tak.

Gdy Lynn nadeszła, Bruce stał w prawie już opróżnionym domu. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, był brak sofy. W pokoju pozostały jedynie dwie skrzynie.

- Nowi właściciele odkupili najlepsze meble - wyjaśnił. - Wysoki zegar, który stał pod schodami, składany stół. Resztę oddałem na rzecz bezdomnych. Chodź, pokażę ci coś, co, jak myślę, może dobrze wyglądać w twoim ogrodzie. Nabywcy domu nie chcą tego.

Poprzez otwarte drzwi wskazał sadzawkę dla ptaków, którą kupili wraz z Josie podczas swojej jedynej zagranicznej podróży. Była to duża marmurowa wanna. Na jej brzegu przycupnęła para marmurowych gołębi pijących wodę. Bruce śmiał się z tej sadzawki.

- Przeklęty przedmiot, przewiezienie jej statkiem kosztowało więcej niż ona sama. Ale Josie zakochała się w gołębiach. I muszę przyznać, że wygląda przyjemnie.

Spytał:

- Chciałabyś to mieć? Jeżeli tak, to poproszę syna sąsiadów, żeby mi pomógł załadować ją do twojego samochodu.

- Jest piękna, Bruce. Ale czy jesteś pewien...? - zaczęła.

- Że nie będę jej używał? Tak, Lynn. Całkowicie pewien. Miałem dom, ale mój czas minął.

Jaka szkoda, że czuje się stary w tym wieku, pomyślała Lynn. A jednak znów wyglądał tak jak dawniej; rozpacz, która malowała się na jego twarzy w ciągu ubiegłych miesięcy, znikła. Czas i słońce sprawiły, że wracał do siebie. Promienie słońca igrały na jego kędzierzawych, wyblakłych w ciągu lata włosach. Dziwne, pomyślała, nigdy nie zauważyłam, że ma złociste rzęsy.

Stali w drzwiach. Biały motyl usiadł na kępie wyschniętych, żółtych nagietków.

- Motyle - wyszeptała Lynn - a wkrótce Święto Dziękczynienia.

Bruce najwyraźniej nie miał zamiaru mówić nic więcej. Stał z rękami w kieszeniach dżinsów, z okularami zsuniętymi na kędzierzawe włosy. Jego oczy zdawały się patrzeć gdzieś dalej.

Lynn poczuła się zbędna, poruszyła się ku wyjściu i spytała niepewnie:

- Powiedziałeś, że sąsiad pomoże ją załadować?

- Tak, jego syn. Mieszkają naprzeciwko. Wyjdę frontowymi drzwiami i przyprowadzę go.

Kuchnia została prawie całkowicie uprzątnięta, zauważyła Lynn, podążając za nim. Podłogę pokrywały jeszcze śmieci. W kącie stała miotła, a obok niej nowy kufer i stosy książek.

- Zabieram książki. Moje i Josie. To jedyna rzecz, jaką chcę zachować.

- Och - powiedziała Lynn - zupełnie zapomniałam. Mam tu zdjęcia, które na pewno zechcesz zatrzymać. Zostawiłam je w samochodzie.

- Masz inne sprawy na głowie - powiedział Bruce. - Jak się miewa Robert?

- Przygnębiony. Nie poznałbyś go. Przygnębiony i wystraszony, ale dzięki Bogu nie taki jak na początku. Nigdy nie zapomnę, jak płakał, rozmawiając przez telefon z Emily. Nigdy nie widziałam, aby mężczyzna w ten sposób okazywał rozpacz, chociaż właściwie nie ma powodu, aby tego nie robił. A jednak nawet ojciec po śmierci matki...

- Nagle zamilkła, zdając sobie sprawę z własnego braku taktu.

- Rozumiem, że z nim zostajesz, Lynn. - A gdy skinęła głową, dodał łagodnie:

- Spodziewałem się, że tak postanowisz.

- Zmienił się - powiedziała i zdała sobie sprawę, że tego samego słowa użyła, rozmawiając z Emily i z Tomem.

W przeciwieństwie do nich Bruce nie zaprotestował, lecz spojrzał na nią z wyrazem niewypowiedzianej słodyczy. Stał oparty o blat kuchenny, ona opierała się o blat po przeciwnej stronie. Stali tak wśród bałaganu w opuszczonym domu. Żadne z nich nie próbowało nawet wypowiedzieć tego, co zaprzętało ich umysły.

- Ta twoja lojalność - powiedział nagle Bruce, głośno rozmyślając. - Odczuwasz jego ból tak, jakby to był twój własny.

- Tak - odrzekła zaskoczona, że tak dokładnie wyraził jej uczucia. - Przypuszczam, że dla ciebie to nie ma sensu. Nie możesz tego zrozumieć. A Josie, gdyby wiedziała, byłaby na mnie wściekła.

- Mylisz się. Josie próbowałaby ci to wyperswadować, ale zrozumiałaby ciebie. Niewiele jest rzeczy, których Josie nie mogłaby zrozumieć albo przebaczyć.

Miał na myśli to, co zdarzyło się między nimi owego dnia, gdy Josie leżała w szpitalu, czując ból, którego nie była w stanie złagodzić nawet morfina. To właśnie miał na myśli.

- Och, nie była święta - ciągnął Bruce. - Nie chciałbym odmalowywać fałszywego obrazu. Zasługuje na to, aby ją pamiętać taką, jaka była.

To prawda, nie była święta ze swoim krytycyzmem i niewyparzoną mową! Była za to dobra, niezaprzeczalnie dobra, do końca swych dni.

- Mówią, że amputowana kończyna nadal boli. Sądzę, że wyjazd nie ma żadnego sensu, bo swój ból zabiorę ze sobą. A jednak jestem zadowolony, że dano mi tę szansę, choć martwi mnie, że stało się to kosztem Roberta. Naprawdę.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- W przyszłym tygodniu. We wtorek.

- Jak długo tam pozostaniesz?

- Całe lata, mam nadzieję. Powiedziano mi, że się wspinam. Sam nie wiem. Jeśli się sprawdzę w Budapeszcie, przyjdą kolejne miasta. Tak mówią. Być może Moskwa. Wszystko mi jedno, Lynn. Ale komuniści zostawili tam mnóstwo ekologicznych zanieczyszczeń, a to jest coś, co leży mi na sercu. - Uśmiechnął się. - Coś dla wszystkich.

Kot wyłonił się ze swego pudełka, gdzie spał, przeszedł pokój i otarł się o nogi Lynn. Lynn niesłychanie wzruszona słowami i wspomnieniami, schyliła się, aby pogłaskać go po grzbiecie, a kot wdzięczny za delikatną pieśczętę uniósł swój mały pyszczek, różowe wargi i zadziwiające oczy koloru barwinka.

- Prosiłeś, żebyśmy go zabrali, prawda, Bruce?

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu.

- Może pojechać ze mną już teraz - powiedziała, szukając pretekstu, by nie musieć spotykać Bruce'a jeszcze raz. Pożegnać się i mieć to już poza sobą. - Będę o niego dbała. Nie martw się.

- Pamiętasz, ona zwykle mawiała, że wyszła za mnie, bo lubię koty?

- Pamiętam - powiedziała i pomyślała sobie: i dlatego że twoje oczy uśmiechają się. Zamiast tego rzekła: - Czy są jakieś... czy masz jakieś instrukcje, jak żyć Barneya i w ogóle?

- Zapiszę ci. Gdzie jest ołówek? - Odszedł przeszukując rzeczy i aby ją rozweselić, mówił: - Spójrzmy no: kuweta, koszyk, smyczka i obróżka, prawie nigdy nie używane, ale lepiej je mieć, trochę jedzenia w puszkach, jego ulubione. Oczywiście lubi ochłapki, jeśli macie rybę na obiad.

- Solę? - spytała zmuszając się do śmiechu, bo chciała wyglądać na beztroską. Odpowiedział w tym samym tonie.

- O, tak. Tylko najlepszego gatunku. A czasami możesz mu dać trochę lodów do polizania, każdych z wyjątkiem kawowych. On nie znosi kawy.

Lynn stała na ścieżce i przyglądała się, jak Bruce i syn sąsiadów umieszczają w jej samochodzie wannę dla ptaków i nie protestującego wcale kota wraz z należącymi do niego rzeczami. A potem nadeszła chwila odjazdu i nagle nie było już nic do powiedzenia. Zauważyła, że syn sąsiadów jest ładnym chłopcem, wyglądającym dojrzej niż na swoje piętnaście lat.

- Oto, czego możesz spodziewać się po Bobbym - powiedział Bruce.

- Mam nadzieję. Postaram się, żeby był taki.

- Wiem, że zrobisz, co w twojej mocy.

- Cóż, sądzę, że czas się pożegnać - rzekła i wyciągnęła do niego rękę.

- Uścisk dłoni, Lynn? - Pochylając się ku niej, leciutko dotknął wargami jej ust. A potem otoczył ją ramionami, przycisnął do siebie i pocałował jeszcze raz.

- Trzymaj się, Lynn. Dbaj o siebie.

- Ty także. Też dbaj o siebie.

- Niepokoję się o ciebie. Już od dawna.

- Nie trzeba. Czuję się dobrze. Jestem silna.

- To dobrze, ale gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń do Toma Lawrence'a, proszę.

- Nie będę niczego potrzebowała. Uczciwie. Wierz mi.

- Tomowi zależy na tobie, Lynn.

Tom, pomyślała, mówi to samo o tobie. Można by się z tego śmiać, gdyby wszystko nie było takie skomplikowane. I, odwracając twarz, aby nie dojrzał jej zapłakanych oczu, wsiadła do samochodu.

- Napisz do nas koniecznie. A zwłaszcza do Annie.

- Moja ulubienica Annie zawsze może na mnie liczyć.

- Jesteś najlepszy, najmilszy - powiedziała, niezdolna wykrztusić nic więcej. Włączyła silnik.

Ostatni rzut oka na Bruce'a stojącego pośrodku zalanego słońcem trawnika z uniesioną na pożegnanie dłonią. Ostatnie spojrzenie na mały domek i okno kuchenne, gdzie Josie zawiesiła zasłonki w czerwono - białą kratkę. Oczy Lynn były pełne łez, z trudem wypatrywała drogi.

Robert najwidoczniej ma rację. Bruce rzeczywiście może już nigdy się nie ożeni. Jest zagubiony. Zagubiony - zabrzmiało to niczym dzwon pogrzebowy, poważnie, rozpaczliwie, ostatecznie. Prawdopodobnie już nigdy więcej go nie zobaczy. Odjedzie, i ona także, i nie spotkają się już.

W domu nastąpiła spieszna krzątanina. Annie natychmiast zajęła się kotem.

- Barney zna mnie najlepiej - upierała się. - Powinien być mój. Ja będę troszczyć się o jego jedzenie, wizyty u weterynarza i wszystko.

- I będziesz sprzątała kuwetę? - zapytała Lynn.

- Oczywiście. Teraz muszę zapoznać go z Juliet. Myślę, że obejdzie się bez kłopotów, a ty?

- Ja także. A jeśli będą, nauczymy się, jak sobie z nimi radzić.

Robert nadal był z Bobbym w ogródku. Chłopczyk leżał na trawie obok Juliet i razem przyglądali się, jak Robert buduje szafas. On wszystko robi tak dobrze, pomyślała Lynn, obserwując jego zręczność i męski wdzięk.

Spostrzegłszy ją, zawołał:

- Podoba ci się? Zacznie się tu bawić, zanim się spostrzeżemy.

- Czas na kąpiel. - Podeszła i podniosła dziecko. - Ojej, zupełnie mokry! Koniecznie musisz się wykapać.

Chłopczyk roześmiał się i chwycił ją za włosy. Robert przyglądał się im z takim zainteresowaniem, że musiała zapytać:

- Czemu tak patrzysz?

- Wy obydwójce. Razem. Twoje miłe, pogodne usposobienie. Nie jestem ciebie godny.

Nie chciała żadnych wzruszeń. Pragnęła wyłącznie spokoju, ciszy, przyjaźni i towarzystwa.

- Kolacja będzie się podgrzewać, a ja wykapię Bobby'ego. A potem mam zebranie skautów u Annie. Dla matek i córek, więc położysz małego, dobrze?

- Oczywiście. Położę.

- Przyjdź, jak skończysz z szafasem. Przywiozłam kota - zawołała, wchodząc do domu przez kuchenne drzwi.

Zamknęła za sobą drzwi i zaniósła Bobby'ego na górę. „Niepokoję się o ciebie” powiedział Bruce, dając do zrozumienia, że Lynn znajduje się w niebezpieczeństwie.

Ale to nieprawda, ona będzie się pilnowała. Mogę prowadzić dom i dbać o rodzinę jak automat, powiedziała do siebie, tuląc dziecko. Mogę tu utrzymywać pełen szczęścia porządek i poradzę sobie ze wszystkim. Była silna i dumna.

Kilka dni później pojechała do Nowego Jorku na przedświąteczną wyprzedaż. Teraz, gdy ich przyszłość finansowa stała się niepewna, dokonywała zakupów z większą ostrożnością, od czego przez ostatnie lata zupełnie odwykła. Spiesząc do domu mijala Mikołaje kwestujące na rzecz Armii Zbawienia oraz przystrojone bombkami i girlandami wystawy sklepów. Zastanawiała się z niepokojem, czy płaszczyk i spódniczki dla Annie będą na niej dobrze leżały.

Ale zaprzętało ją coś jeszcze, coś, co z powodu śmierci Josie i depresji Roberta zepchnęła w podświadomość. Ale owo coś wymykało się z podświadomości i domagało się jej uwagi.

W stosunku ciotki Jean do Queridy było coś dziwnego. Przynajmniej jeśli założyć, że Emily mówiła prawdę. I jeśli nazwa sklepu z obrazami pochodziła od tej właśnie Queridy, bo równie dobrze mogła nie mieć z nią żadnego związku, pomyślała Lynn.

Przechodziła niedaleko od sklepu Queridy i nastrój tego miejsca, jego zapach sprawiły, że nagle przeniosła się myślami do wydarzeń, które niedawno się rozegrały. Robert bijący ją w kuchni, ona w ramionach Bruce'a i smutny odjazd Emily. Zdawało jej się, że wszystkie te zajścia były ze sobą w jakiś niezrozumiały dla niej sposób powiązane, miały wspólną przyczynę.

Muszę się dowiedzieć, pomyślała, zbliżając się do owej ulicy i owego sklepu. Z walącym sercem stanęła przed wystawą.

Ujrzała rząd obrazów przedstawiających psy. Taka teraz moda; dom powinien być urządzony na wzór angielskich siedzib wiejskich, prezentować niedbałą elegancję dworu położonego wśród rozległych pól, nawet jeżeli należał do ludzi, którzy nigdy nie posiadali skrawka ziemi ani psa, i prawdopodobnie nigdy nie mieli na to ochoty - myślała Lynn, przyglądając się wyniosłym mopsom, ulubieńcom królowej Wiktorii, oraz dumnie merdającym ogonami seterom. Lecz pomiędzy nimi wisiał portret zupełnie innego, dziwnego zwierzęcia, tak bardzo podobnego do Juliet, że mogłaby to być sama Juliet.

Podjęła nagłą decyzję i znalazła się w sklepie.

Mała, ciemnowłosa kobieta przykuśtykała ku drzwiom na spotkanie.

- Ten nie jest stary - odpowiedziała na pytanie Lynn. - Powiesiłam go obok dziewiętnastowiecznych, wygląda podobnie. To po prostu dzieło pewnego mężczyzny, który lubi malować wszelkie psy.

- Zachwycający.

Pies siedział na schodkach i miał ten sam, lekko zaniepokojony wyraz oczu co Juliet, gdy rodzina wyruszała gdzieś bez niej.

- Tak, widzę, że bardzo się pani podoba - stwierdziła kobieta.

- To portret naszego psa.

Serce Lynn waliło jak młotem. Przyglądała się obrazowi i kobiecie. Czyż Robert nie mówił o „pracy w galerii” i „dyletancie”? Ale jego „piękność” nie mogła być tą osobą o kościstej twarzy, płaskich czarnych oczach i ze stożkiem ciemnych włosów. Poczwała jednocześnie ulgę i rozczarowanie. Doznawała mieszanych uczuć, „musiała wiedzieć”, chciała zobaczyć kobietę, która przed nią zajmowała miejsce u boku Roberta; ale jednocześnie lękała się tej konfrontacji.

Zajęła się obrazem. Byłaby to miła niespodzianka dla Roberta, coś, co by go ożywiło. Mógłby go powiesić w gabinecie w domu lub jeszcze lepiej w biurze. Zapomniała, że Robert nie ma już swego biura.

- Nie jest drogi. Proszę spojrzeć na cenę.

Cena nie była wygórowana. Ponieważ obrazek miał niewielkie rozmiary, mogła go od razu zabrać ze sobą. Podała swoją kartę kredytową. Kobieta przyjrzała się karcie i zwróciła oczy na Lynn.



- Robert V.W. Ferguson. Więc teraz pani kolej - powiedziała. - Zastanawiałam się, kiedy pani przyjdzie.

Lynn poczuła, że uginają jej się kolana, aż przysiadła na stołku obok lady i wyjąkała:

- Nie rozumiem.

- Pani córka, Emily, była tu niedawno. Zaraz po Święcie Dziękczynienia. Emily w Nowym Jorku? Ależ ona była w Nowym Orleanie! Rozmawiały przez telefon w Dniu Dziękczynienia. Musiała przylecieć, aby zobaczyć się z tą kobietą, i wrócić na uczelnię nic nam nie mówiąc...

Kobieta przyglądała się Lynn z nie ukrywaną ciekawością.

- Zadała mi wiele pytań, ale jej nie odpowiedziałam. Jest zbyt młoda, zbyt miła. A zresztą od pani będzie zależało, jeżeli pani zechce, sama jej pani odpowie.

Lynn wyszeptała z trudem:

- Ja nic nie wiem.

- Nic?

- Niewiele. Tylko, że nie układało wam się.

- Nie układało! To zbyt łagodnie powiedziane, zapewniam panią. Czarne oczy patrzyły przenikliwie.

- Jest pani ładną kobietą. On lubił blondynki, pamiętam.

Lynn wpadła w panikę. Przyszła tu, żeby się dowiedzieć... czego? Aby się dowiedzieć czegoś o Robercie... czegoś, co inni ludzie... ciotka Jean... wiedzieli, ale ukrywali. A teraz stoi tu w panicznym strachu.

- Musiał pani coś o mnie mówić.

- Że mieliście dziecko, chłopca - wyszeptała Lynn.

- Tak. Jest teraz dorosły, mieszka w Anglii. Ma dobre życie: dopilnowałam tego. A pani? Czy ma pani więcej dzieci?

- Jeszcze jedną córkę i dziesięciomiesięcznego synka.

- Miła rodzinka.

W ciasnym, przeładowanym pomieszczeniu Lynn zagrażała intymność, której chciała uniknąć. Musi teraz wstać i opuścić to miejsce, obraz, wszystko. Nie mogła się jednak poruszyć.

Oczy Queridy lustrowały ją. Spoczęły wreszcie na futrze i torebce z cienkiej skórki.

- Widzę, że osiągnął to, czego pragnął.

Lynn jak zahipnotyzowana poddawała się jej oględzinom. Ta zwięzła konstatacja mogła zabrzmieć obraźliwie, ale z jakiegoś powodu nie zabrzmiała. Wszystko było bardzo dziwne. Co Robert widział w tej kobiecie? Nie sposób sobie wyobrazić dwojga gorzej dobranych ludzi.

Querida powiedziała, jakby czytając w jej myślach:

- Sama nie wiem, jak do tego doszło. Myślę, że to jeszcze jedna niezrozumiała sprawa. Był błyskotliwy, otrzymał wszelkie możliwe stypendia, i diabelnie przystojny. Ja należałam do bractwa Phi Beta Kappa i sądzę, że to wywarło na nim wrażenie. Nie byłam żadną piękną, chociaż na pewno wyglądałam lepiej niż teraz. Byliśmy ze sobą trzy albo cztery razy i zaszłam w ciążę. Nie chciałam przerywać i powiedziałam mu to, zrobił wtedy, co powinien. Ożenił się ze mną.

Czy ta kobieta nie miała żadnych zahamowań? Dlaczego opowiada takie rzeczy osobie, która wcale o to nie prosi?

- Byliśmy w kompletnej biedzie. Obydwoje. Nie mieliśmy nic, nigdy nie mieliśmy. Biedni? A wycieczki do Europy i wspaniała rodzina Queridy? Jak to?

- Czemu spogląda pani z takim zdumieniem? Zaskoczyłam panią?

- Tak - wymamrotała Lynn.

- Przypuszczam, że opowiadał pani, że byłam piękna. Zawsze opowiadał takie rzeczy o swoich poprzednich kochankach; o tym, jakie były nadzwyczajne. Przypuszczam, że odmalował pani swoje dystygowane patrycjuszowskie pochodzenie. Biedny Robert. Robił to tak często, że w końcu sam w to uwierzył. W każdym razie za pani czasów oni już nie żyli, więc co za różnica? Ale ja znam prawdę. Znałam jego matkę z jej serwetkami i zastawą do podwieczorku. Dystygowana biedota. Pozory, same pozory. Była to wzruszająca, poczciwa, mała kobietka, o połowę mniejsza od męża i całkowicie bezbronna wobec jego pięści.

- Nie chcę tego słuchać! - krzyknęła wzdrygając się Lynn.

- Ale może powinna pani.

Lynn czuła, że w tej dziwnej kobiecie buzuje gniew. To ekscentryczka, neurotyczka, a może nawet zupełna wariatka... A jednak musisz jej wysłuchać.

- Jean niepokoi się o panią. Och, tak, jesteśmy w kontakcie przez wszystkie te lata. To dobra kobieta, jak jej siostra, i nigdy nie była pewna, jak układa się między panią i Robertem.

To już zbyt wiele, to naruszenie jej prywatności, którą Lynn starała się zachować przez całe swoje życie.

- Ludzie nie mają prawa... - wybąkała.

Ale kobieta, nie bacząc na jej oburzenie, ciągnęła:

- Czy pani wie, jak umarła matka Roberta? Jechali samochodem, dojeżdżali do miejsca, gdzie płaci się myto. Człowiek z rogatki zawiadomił policję, że coś jest nie w porządku, ale zanim policja dogoniła ich, było za późno. Matka Roberta próbowała uciec przed mężem, wysiadając z pędzącego samochodu. Ludzie jadący za nimi widzieli to. Samochód wypadł z trasy i uderzył w drzewo. Zabili się obydwoje. Na szczęście dla Roberta. Tacy byli - ciągnęła Querida - „dystyngowani Fergusonowie”.

Boże, cóż za okropność! A ta kobieta nie miała wcale zamiaru przerwać potoku wymowy. Może nie potrafiła.

- Widziała pani moją nogę? Miałam złamane biodro. Tak, historia się powtarza, chociaż niezupełnie tak samo. Wiedziałam wystarczająco wiele, aby od niego uciec. Tak, zawdzięczam to Robertowi.

Lynn poczuła, że znajduje się w stanie szoku; miała suche usta, wilgotne dłonie, a w skroniach głośno pulsowała krew. Siedziała zupełnie nieruchomo, opierając się o ladę, siedziała i wpatrywała się w kobietę, która kontynuowała:

- To nie był pierwszy raz, ale najgorszy. Jeździliśmy na łyżwach. Zapytał mnie, co mamy na obiad, a ja odpowiedziałam, że kupimy jakieś gotowe danie w drodze do domu. Nie byłam dobrą gospodynią, nadal nie jestem, i to go doprowadzało do szału. Ale on także doprowadzał mnie do szału swoją porywczością; a jednocześnie był taki schludny, elegancki, taki cholernie doskonały. No więc wściekł się z powodu tego obiadu. Takie rzeczy budziły w nim bestię.

Lynn chciała powiedzieć: mówiłam już, że nie chcę tego słuchać. Ale z jej ust nie dobiegł żaden dźwięk.

- Było już prawie ciemno, zostaliśmy sami na zamarzniętym jeziorze. Uderzył mnie w twarz, a jego rękawiczki miały klamerki u nadgarstków. Podstawił mi nogę i upadłam na lód. Kopał mnie, a ja nie mogłam się podnieść. Wtedy przestraszył się i pobiegł do

automatu, żeby przywołać pogotowie. Zanim przyjechali, omal nie zemdlalam z bólu. Słyszałam, jak mówił: „upadła”.

Niech ona zamilknie i wypuści mnie stąd, pomyślała Lynn, a potem zganiła sama siebie: Dobrze wiesz, że musisz tu zostać i wysłuchać wszystkiego do samego końca.

- Sąsiadka zajęła się dzieckiem podczas mego pobytu w szpitalu. Gdy mnie odwiedził i zaczął opowiadać o „wypadku”, powiedziałam, że nie chcę go widzieć nigdy więcej. Zabrałam dziecko i odeszłam. Mam na Florydzie przyjaciółkę, która znalazła mi pracę. Zgodziłam się na orzeczenie rozwodu z powodu ucieczki. Było mi wszystko jedno. Nie chciałam od niego pieniędzy. Powiedziałam mu, że jeśli kiedykolwiek zbliży się do mnie albo do dziecka, oskarżę go i całkowicie zniszczę. - Jej wymuszony śmiech zabrzmiał ponuro. - Muszę przyznać, że hojnie łożył na chłopca... nie na mnie, bo ja nie wzięłabym od niego ani grosza. Teraz mój syn ma dwadzieścia cztery lata i jest całkowicie niezależny. Biodro zrosło się niewłaściwie. Powiedziano mi, że trzeba by je łamać i składać na nowo. Nie chciałam jeszcze raz przez to przechodzić. Zachowałam je jako pamiątkę po Robercie.

Dlaczego po tylu latach wyjawia mi tę straszliwą historię? Aby sobie powetować wszystkie cierpienia. Aby zniszczyć małżeństwo Roberta, zwłaszcza jeżeli było udane.

- I myśli pani, że chodzenie na policję odniosło jakiś skutek? Coś pani powiem. Żadnego. Poszłam tam. Nie potraktowali mnie poważnie. Przyjechałam ładnym samochodem. Wtedy obydwójce pracowaliśmy i złożyliśmy się, aby go kupić. Mieliśmy przyjemne mieszkanie w przyzwoitej dzielnicy. „I na co się pani skarża?” zapytali mnie. „Facet nie może być taki całkiem zły. Niech pani spojrzy na to z naszej strony. Niech pani myśli trzeźwo. Wystarczy nie wprawiać go w złość. Oczywiście, jeżeli chce pani złożyć skargę pod przysięgą, możemy go zaarrestować i zrobić z tego cuchnącą sprawę. A wtedy wyrzucą go z pracy i co pani z tego przyjdzie? Nic. Niech pani to sobie przemyśli. Wy, kobiety, same nie wiecie, czego chcecie”. Oto co mi powiedzieli. Widzę, że zdenerwowałam panią.

- A czego się pani spodziewała? - Obrzydzenie i litość walczyły w niej o lepsze. W głowie miała zamęt. Odezwała się głosem nabrzmiałym łzami: - Nie ma pani żadnego prawa, aby zwalać to wszystko na mnie. Przyszłam tu kupić obraz i...

Napięta twarz kobiety złagodniała.

- Coś mi się widzi, że nie powinnam była tego mówić - stwierdziła. - Nie powinnam była pani w to wciągać. Ale gdy córka pani przyszła tu do mnie, zaczęłam podejrzewać... nieważne. Czy nadal zamierza pani kupić ten obraz? Oddam go pani za darmo. Na przeprosiny.

Lynn zsunęła się ze stołka.

- Tak, chcę go. Ale zapłacę za niego.

- Jak pani sobie życzy. Zapakuję.

Mimo że serce nadal jej łomotało, Lynn poczuła się lepiej, odzyskiwała panowanie nad sobą. Z niedbałą godnością na pokaz przeszła się wzdłuż ścian, aby obejrzeć wiszące obrazy, ale w zdenerwowaniu ledwie je zauważała.

Po chwili dotarło do niej pytanie:

- Pani mi nie wierzy?

Lynn odwróciła się i podeszła do lady.

- Wierzę czy nie - odpowiedziała spokojnie - jakie to ma znaczenie? Proszę mi dać ten obraz i pójdę sobie.

Lynn czekała, aż jej zakup zostanie opakowany. Palce Queridy delikatnie obchodziły się z papierem, tekturą i sznurkiem; miała podługne paznokcie i mocno zarysowany profil. Inteligentna twarz, pomyślała Lynn.

Querida przerwała ciszę.

- Zamienił jej życie w piekło. Mówię o ojcu i matce Roberta. Jej rodzina nienawidziła go. Błagali ją, aby od niego odeszła, ale ona nie chciała. Była na to zbyt dumna, wstydziłaby się. Wiem. Widziałam więcej takich. Łagodnie słuchające czułych przeprosin i wierzące, że to się już nigdy nie powtórzy. Pani także do nich należy, tak sobie myślę.

Z gardła Lynn wydobyły się słowa:

- Pani nic o mnie nie wie!

- Ależ wiem. Wiem, że pani śliczna córka nie przyjechałaby do mnie bez powodu. Musiała się naprawdę niepokoić. Ona dużo wie, ale chce wiedzieć więcej. Widziałam to. Niech się pani trzyma dzielnie, moja droga. Niech pani dba o siebie i dzieci. Ja wiem, pani myśli, że jestem dziwna. Może i jestem, ale mam dobre intencje.

Trzasnęły drzwi i zimny podmuch owionął twarz Lynn. Zimny wiatr wiejący z Kanady omal jej nie przewrócił. Ledwie trzymała się na nogach.

Łagodne... słuchające czułych przeprosin... Dziwna kobieta. I te jej dzikie oczy. Jakże musieli się nienawidzić! Inaczej niż ja i Robert, bo my... pomimo wszystko, my...

Ale on mnie okłamywał. Te wszystkie kłamstwa. A ona... czy wszystko, co powiedziała, było prawdą?

Oszołomiona przepychała się przez tłum, walcząc z wiatrem. Schodząc do stacji kolejki oprzytomniała. Ludzie spieszący do swych podmiejskich domostw byli normalni; słysząc radosne pozdrowienia, poczuła się pewniej; gruby mężczyzna poklepywał znajomego po ramieniu, a dwie starsze panie aż piszczały z radości, że się spotkały. Były to zwyczajne codzienne odgłosy. Zwykli codzienni ludzie.

Turkotały koła pociągu. Prawda, nieprawda, prawda, nieprawda, powtarzały koła. To najgorszy dzień w moim życiu... Lynn odchyliła głowę na oparcie. Siedząca obok młoda, elegancka kobieta zapytała z niepokojem:

- Czy pani źle się czuje?

- Dziękuję, to tylko ból głowy. Wszystko w porządku. - Lynn uśmiechnęła się zakłopotana.

Pociąg zatrzymał się na stacji. Wsiadła do samochodu i jadąc przez miasto dziwiła się, że wszystko wygląda tak samo jak rankiem. Zadziwiające, że nic się nie zmieniło. Na parkingu przed samem stały samochody, żółte autobusy szkolne zjeżdżały do garażu, wystawy sklepowe zachęcały do świątecznych zakupów, zupełnie jakby nic się nie wydarzyło.

Było za wcześnie na powrót do domu. Miała zamiar wstąpić do jeszcze jednego sklepu w Nowym Jorku. Ale po tym, co usłyszała, mogła tylko pędzić przed siebie. Zatrzymała się więc w małym barku i zamówiła herbatę i gorącą bułeczkę.

„Kopał mnie, gdy leżałam na lodzie ze złamanym biodrem”. Trudno w to uwierzyć. Tak, Robert miewał napady nieopanowanego gniewu... wiem o tym aż nadto dobrze! Ale taki sadyzm, nigdy. Nie, to nie do wiary. Było w tym ziarno prawdy, spore ziarno prawdy, ale ona rozdmuchała je do przesadnych rozmiarów.

Ona jest dziwna, przepelniona złością i w pewien sposób, którego ja nie potrafię określić, psychicznie chora. Ale gdyby była bardziej

rozsądna, spokojniejsza, łagodniejsza, bardziej do przyjęcia, czy wtedy uwierzyłabym jej?

A nawet jeżeli tylko część była prawdziwa, jakież to musiało być straszne i smutne, skoro przez wszystkie te lata milczał! I dlaczego? Przecież pomogłabym mu. Nie wiedział, że może na mnie liczyć?

Filiżanka z gorącą herbatą przypomniła Lynn rodziców, siedzących przy kuchennym stole w zimowe popołudnie. Trzymali filiżanki tak samo jak ona, a filiżanki miały wzorek w stokrotki. Wtedy życie było takie proste... Oczy zaszły jej łzami i odstawiła filiżankę.

Ktoś nastawił szafę grającą, chyba jeszcze z lat pięćdziesiątych, i szare, przygnębiające pomieszczenie wypełniły słowa piosenki o utraconej, zapomnianej lub właśnie odnalezionej miłości. Lynn wstała i zapłacała. Nadszedł czas, aby wziąć się w garść i wracać do domu. Nadszedł czas, jak powiedziałyby Josie, aby stawić czoło rzeczywistości. Wrócić do domu i nie stwarzając zbędnych problemów zapytać go o to, co chce wiedzieć, i powiedzieć mu o tym, czego dowiedziała się sama.

Robert zapalił w każdym oknie po okrągłej świeczce i dom zdawał się płynąć przez ciemność jak statek. Zobaczyła go przez okno siedzącego w dużym skórzanym fotelu z Bobbym na kolanach; oglądali wspólnie książeczkę.

Chłopczyk uwielbiał ojca. Jego ciemnoniebieskie oczy miały kształt bardziej okrągły niż oczy Emily i Roberta. Były okrągłutkie, podobnie jak jego śliczna główka i małe, tłusciutkie rączki. Przez chwilę poczuła się tak, jakby tkwiła we wrażliwej skórze tego dziecka, a jednocześnie tego mężczyzny, który doznał takich cierpień, że aż nie chciał się do nich przyznać.

Otwierając drzwi usłyszała, że Annie ćwiczy na fortepianie. Przystanęła na chwilę, aby posłuchać. Annie radziła sobie coraz lepiej, radziła sobie ze wszystkim. Być może spokój i zwolnienie rytmu życia odniosły taki skutek. Dziwna ironia losu sprawiła, że największa życiowa katastrofa ojca przyniosła ze sobą spokój, którego dotychczas brakowało w domu, chociaż nikt tego nie zauważył.

Pies podskoczył na jej widok i Robert obejrzał się zaskoczony.

- Witaj! Nie usłyszałem, jak weszłaś.
- Patrzę na was. Wyglądacie tak przytulnie.

- Przeczytaliśmy do połowy Mother Goose, aż do „Little Jack Horner”. - Wstał i posadził dziecko w kojcu. Ucałował Lynn. - Byłaś na zakupach? Kupiłaś coś ładnego?

- Mam nadzieję, że ci się spodoba. To prezent gwiazdkowy dla ciebie.

- Czy nie obiecaliśmy sobie, że w tym roku dajemy tylko książki? Złamałaś obietnicę - powiedział z krzywym uśmiechem.

- To nie było drogie. Naprawdę. Odpakuj. To obraz.

- Nie poczekamy do Bożego Narodzenia?

- Nie chcę czekać.

Bobby wyciągnął rączki, zaciekawiony szelestem papieru. Robert przeciął sznurek. Lynn poczuła ucisk w sercu i w gardle, patrząc na radosne dziecko i na ciemną głowę jego ojca pochyloną nad paczuszką.

Droga, którą podąża ich rodzina, powinna zostać wyprostowana, a minione zło zapomniane! Dotarli do ostrego zakrętu, powinni go pokonać i kroczyć dalej; i ona tego dokona. Mieli tyle powodów do wdzięczności; żadne z nich nie miało raka, nikt nie był ociemniały...

- Gdzie to znalazłaś? - wykrzyknął Robert. - To Juliet, jak żywa. Fantastyczne!

- Byłam pewna, że ci się spodoba.

- Cudowne. Portrety psów są zawsze takie same. Spaniele, charty albo wierne collie. Stokrotne dzięki, Lynn.

- Nie uwierzyłbyś, gdzie to znalazłam. Zupełnie przypadkowo. Zobaczyłam obrazek na wystawie w małej galerii o nazwie „Querida”.

Wyraz twarzy Roberta gwałtownie się zmienił. Jak za dotknięciem różdżki zniknął blask w oczach, wesołe zmarszczki w ich kącikach, radosny grymas ust. Lynn wiedziała, że czeka na jej dalsze słowa, widziała, że jest zdumiony.

- Najdziwniejsze, że to naprawdę ona. Nie mogłam w to uwierzyć. Pokazałam jej swoją kartę kredytową, a ona rozpoznała nazwisko.

Nie mów, że Emily też tam była. Uważaj. Milcz.

- Bardzo interesujące - rzucił sucho. - Interesujące również, że nie zawróciłaś na pięcie i nie wyszłaś stamtąd.

- Ależ chciałam kupić obrazek - zaprotestowała i zdała sobie sprawę, że jej słowa zabrzmiały nazbyt niewinnie. Dodała: - A zresztą byłoby dziwne, gdybym tak po prostu wyszła.



- Dziwne. Oczywiście. Znacznie łatwiej pozostać i odbyć miłą pogawędkę z tą panią. Oczywiście Roberta zwięźliły się. Wyprostował się jak zwykle, gdy wpadał w złość, wydawał się wyższy. Lynn z przerażeniem stwierdziła, że jest teraz bardzo zły.

Nie tego się spodziewała; musiała oszaleć, spodziewając się, że Robert będzie się bronił. On szykował się do ataku.

- To nie była pogawędka. Zostałam tam tylko kilka minut, tyle, ile trzeba na zapakowanie obrazka - powiedziała.

- A więc żadna z was nie otworzyła ust. - Pokiwał głową. - Po tym zadziwiającym odkryciu zapanowała kompletna cisza. Jestem pewien.

- Cóż, niezupełnie.

- Przypuszczam, że nasłuchiłaś się wiele na mój temat.

Przecież to on miał się bronić, to on miał być przestraszony. Że też sytuacja tak się odwróciła. Teraz Lynn wymamrotała przymilnie:

- Ależ nie, Robercie, wcale nie.

- Nie wierzę. Umierałaś z ciekawości, więc słuchałaś nastawiając uszu, z otwartymi ustami, jak mieszają z błotem twego męża. Nie zaprzeczaj, Lynn, bo ja wiem dobrze. - Drżał. - I to ma być lojalność! Gdybyś miała jej choćby za grosz, w ogóle nie weszłabyś do tej galerii.

- Skąd miałam wiedzieć? Skąd?

- Wiedziałaś cholernie dobrze, że ta... kreatura... zajmuje się sztuką i pracuje w galerii. Nie zapomniałaś o tym, Lynn. No i imię... jego też nie zapomniałaś. Na pewno sobie skojarzyłaś... to nie Susan ani Mary. Czy widzisz takie imię na każdym rogu? Musiałaś sobie skojarzyć. I ciekawość zwyciężyła, prawda?

Miał rację i Lynn poczuła, jak jej szyję i policzki obejmuje fala gorąca.

- Tak było, prawda?

Mówił coraz głośniejszy i Bobby, nienawykły do takiego tonu, odwrócił w stronę ojca zadziwioną twarzą.

Teraz do ataku przystąpiła Lynn.

- Jesteś niemożliwy! Jak możesz mówić coś takiego, gdy moim jedynym zamiarem było kupienie ci czegoś, co by ci mogło sprawić trochę przyjemności w twojej trudnej sytuacji? Uciełam krótko. Nie chciałam jej słuchać, więc wyszłam, gdy ona...

- Ucięłaś krótko? Właśnie stwierdziłaś, że nie rozmawiałyście. Nie zmyślaj.

- Przez ciebie wszystko mi się poplątało. Język staje mi kołkiem, gdy mnie tak traktujesz. Nie mogę nawet pozbierać myśli. Wszystko staje się takie zagmatwane, że sama nie wiem, co mówię.

- Zagmatwane. Pewnie. A teraz słuchaj, co ci powiem... chcę wiedzieć dokładnie, co zostało powiedziane, i lepiej będzie, jeżeli powiesz mi całą prawdę.

Zerwał się i chwycił ją za ramiona tam gdzie zawsze, w najdelikatniejszym miejscu ponad łokciami. Twarde palce wpiły się aż do kości.

Dziecko w kojcu podciągnęło się i stanęło o własnych siłach, wpatrując się w nich szeroko rozwartymi oczami.

- Puść - powiedziała Lynn, nie podnosząc głosu ze względu na Bobby'ego.

- Odpowiedz mi.

Ból był straszliwy, ale ona nadal mówiła spokojnie.

- Nie podnoś głosu, Robercie. Dziecko jest przerażone. Chyba nie chcesz, żeby usłyszała nas Annie.

- Chcę wiedzieć, co powiedziała ci ta szalona kobieta. Oto, czego chcę. Odpowiadaj! Potrząsnął nią. Był wściekły. Czegoś takiego nie widziała nigdy przedtem.

Rozpacz, posępność, fanatyzm. Przestraszona bardziej niż kiedykolwiek, zaczęła płakać.

- Ach tak. Maszyna do wylewania łez. Nie odpowie na proste pytanie. Po prostu włączy kranik ze łzami.

Potrząsnął nią tak mocno, że aż strzeliło jej w karku.

- Robert, puść! Będę krzyczała i wszyscy się dowiedzą. To szaleństwo. Popatrz na dziecko!

Różowe usteczka Bobby'ego rozwarły się szeroko, a po policzkach spływały łzy.

- Spójrz, co robisz dziecku!

- Więc mów.

- Jedyne, na co cię stać, to zwalanie winy na mnie! Nie mogę już tego znieść! Przedrzeźnił ją mówiąc przez nos:

- Stać mnie jedynie na zwalanie winy na ciebie. Nie możesz już tego znieść. Bobby potrząsnął kojcem, upadł na plecy i zapłakał

donośnie. Lynn oszalała ze strachu i bólu oraz niepokoju o synka, wrzasnęła:

- Puść mnie. Robert! Niech cię cholera...

- Puszczę, gdy zaczniesz mówić.

Lynn poczuła, że w niej zawrzało. Była to rozpacz niewinnie oskarżonej ofiary. Wybuchła:

- W porządku. Będę mówiła! Dostyc kłamstw! Niech prawda ujrzy światło dzienne! Dlaczego ukrywałeś się przede mną przez wszystkie te lata? Miałam zamiar porozmawiać z tobą kulturalnie i zapytać, dlaczego nie miałeś do mnie dość zaufania, aby porozmawiać ze mną otwarcie. Dlaczego ukrywałeś to, co twój ojciec zrobił matce? Och, rozumiem, dlaczego ciotka Jean nie była dobrze widziana! To przez ciebie! Nie chciałeś jej w pobliżu, bo bałeś się, że zbyt wiele powie. I dlaczego? Miałeś o mnie takie złe zdanie, że sądziłeś, że nie potrafię zrozumieć? Aż tak nie doceniałeś samego siebie, że musiałeś sobie wymyślić rodzinę? Dlaczego sobie wyobrażasz, że musisz być człowiekiem bez skazy, potomkiem jakichś świętych, czy coś w tym rodzaju?

Zauważyła, że żyły na jego skroniach nabrzmiały i pulsują. I teraz, kiedy już zaczęła, a ucisk dłoni Roberta na jej ramionach był nie do zniesienia, przestała się troszczyć, czy ktoś ich słyszy, i wrzeszczała.

- Dlaczego mi naopowiadałeś, że Querida była piękna i bogata? Żebym była zazdrosna? Dlaczego nie powiedziałeś mi o jej złamanym biodrze? Jak mogłeś żyć w kłamstwie przez wszystkie te lata? I ja także musiałam żyć w kłamstwie. Teraz widzę, rozumiem wszystko. Moje życie, moje całe życie... Co z tobą? Coś ty zrobił? - Jej słowa płynęły nieprzerwanym potokiem: - Mydlenie oczu, udawanie, wszystkie wykręty, które wymyślałam, żeby nie przyznać się, jak mnie traktujesz. Musiałam utrzymywać fałszywy obraz. A ona opowiedziała mi o wszystkim, co jej zrobiłeś, Robertcie, o wszystkim. Powiedziała...

Teraz ją puścił. Chwycił obrazek, uniósł go wysoko i uderzył o poręcz fotela, rozbijając ramę i drąc płótno od góry do dołu. Dziecko wrzeszczało; w odległym pokoju zabrzmiał wściekły akord i fortepian zamilkł. Robert dyszał jak zwierzę.

- Budzisz we mnie obrzydzenie! - krzyknęła. - Ludzie powinni się dowiedzieć, powinni zobaczyć, do czego jesteś zdolny! Tak, brzydzę się tobą!

Uderzył ją. Otrzymała gwałtowny cios w kark i upadła na plecy, wpadając na kojec. Gdy się podniosła, uderzył ją znowu i trafił w oko, gdy odwróciła się i usiłowała uchylić. Lewą ręką złapał ją za kołnierz, prawą zmiażdżył nos, aż słychać było trzask kości. Chlusnęła krew; próbowała się podeprzeć, ale napotkała jedynie powietrze. Pokój zawirował wokół niej, upadła i zastygła bez ruchu.

Upadła albo ktoś ją ułożył na sofie. Wymiotowała, krew poplamiała jej białą, jedwabną bluzkę i zniszczona bluzka była pierwszą rzeczą, którą zauważyła. Czuła się poniżona. Rozpłakała się. Rozejrzała się i wydawało się jej, że widzi Eudorę szarpiącą marynarkę Roberta: „Coś ty, do diabła, zrobił?” - krzyczała. Jednocześnie zdawało jej się, że Eudora obejmuje jedną ręką Bobby'ego, a drugą ręką Annie, która płacze gdzieś obok niej.

Potem poczuła palący ból i żeby go złagodzić, przycisnęła dłonie do twarzy, ale natychmiast je odsunęła, bo z obrzydzeniem namacała własną lepka krew.

Pokój wypełniony był tłumem ludzi i wieloma głosami, które zlewały się w niezrozumiały gwar. Potem zrozumiała, że ten gwar rozbrzmiewa w jej głowie. Otworzyła oczy i zaczęła rozróżniać twarze. Eudora nadal tuliła Bobby'ego. Annie siedziała w nogach sofy. Ktoś ocierał jej twarz zimnym ręcznikiem; te ręce były łagodne i bardzo ostrożne. Wyteżyła wzrok. Pokój przestał wirować i rzeczy wracały na swoje miejsce, tak że mogła im się uważnie przyjrzeć. To Bruce stał nad nią z zimnym ręcznikiem.

- Co ty tu robisz? - wyszeptwała.

- Annie zadzwoniła do mnie. - Zdjął okulary i przetarł szkła. Jego oczy były wilgotne, jakby załzawione, ale jednocześnie widać w nich było wściekłość. Usta, jego pełne wargi o łagodnym wykroju, zacisnęły się w wąską linię.

- Zemdlałaś - powiedział.

Annie uklękła i położyła głowę na ramieniu Lynn.

- Mamusiu! Och, mamusiu! - powtarzała.

- Ostrożnie, kochanie, ma obolałą twarz - powiedział Bruce. Teraz usłyszała głos Roberta.

- Przyniosłem woreczek z lodem. Annie, posuń się trochę.

- Nie waż się jej dotykać - przestrzegł Bruce. - Woreczek z lodem może chwilę poczekać.

- Mam świadectwo ukończenia kursu pierwszej pomocy - zaprotestował Robert.

- Wiesz, co możesz zrobić ze swoim cholernym świadectwem! Gdy dojdzie trochę do siebie, obejrzy ją lekarz. A ty trzymaj się od niej z daleka, słyszysz?

Teraz Robert znalazł się w jej polu widzenia. Jego oczy i głos błagały.

- Och, Boże, Lynn, nie umiem wyrazić tego, co czuję. Ja nie chciałem... Sytuacja wymknęła mi się z rąk... Obydwoje byliśmy tacy źli.

Bruce wrzasnął:

- Zamknij się wreszcie!

- Właśnie. Czemu nie zamilknieisz? - zawtórowała mu Annie. Twarz wtuliła w ramię matki, która obejmowała ją czule.

- Annie, kochanie - powiedział Bruce. - Myślę, że mamusia wolałaby, żebyś poszła na górę. Ja wiem, że to dla ciebie bardzo trudne, ale jeśli spróbujesz być cierpliwa, porozmawiamy na ten temat jutro rano. Obiecuję.

Robert dodał przymilnie:

- Nie martw się o mamusię. To wygląda groźniej, niż jest w rzeczywistości. Dopilnuję, żeby miała dobrą opiekę. Pójdź na górę, kochanie.

Gdy zbliżył się do niej, aby odsunąć ją od sofy, Annie odskoczyła i wsparła ręce na pulchnych biodrach, z oczami pełnymi łez, rzuciła wyzywająco:

- Nie jestem twoim kochaniem. Jesteś okropnym ojcem i Susan miała rację. Biłeś mamusię. Widziałam cię teraz, widziałam cię. I, i... ja nie mówiłam nikomu, ale czasami śniłeś mi się, i ja nienawidzę tego snu, bo budzę się wtedy i czuję się bardzo źle, i mówię sobie, że to tylko sen, ale teraz, teraz... - wybuchnęła - spójrz, co zrobiłeś! To tak samo straszne jak mój sen!

- Jaki sen, Annie? Pamiętasz go? - zapytał Bruce.

- O, tak. Widzę mamusię ubraną w długą, białą sukienkę w koronie na głowie, a on... on ją bije.

To uderzenie, chociaż innego rodzaju, trafiło Lynn między oczy. I Roberta także, bo mimo że oszołomiona, wiedziała dobrze, że on

również przypomina sobie bal kostiumowy w sylwestrową noc, dawno temu. Annie miała wtedy zaledwie trzy lata...

I posłała Robertowi miazdzące spojrzenie. A to - chciała mu powiedzieć - wiele nam tłumaczy na temat Annie, prawda?

Ale zamiast tego wyszeptała z najwyższym wysiłkiem:

- Jesteś moim kochaniem. Dlatego zrób to dla mnie i pójdz na górę z Eudorą. Jutro opowiem ci o tym śnie. I o wszystkim.

- Chodź, Annie - powiedziała Eudora. - Pomożesz karmić Bobby'ego butelką. Będę spała na składanym łóżku u ciebie w pokoju. Zostaję tu na noc.

Annie podniosła głowę i Lynn zbyt zmęczona na to, by mówić, spojrzała na nią wymownie.

- Juliet też będzie spała w moim pokoju.

- Oczywiście - powiedziała Eudora.

I mała grupka wyszła z pokoju. Kobieta tuląca dziecko i obejmująca dziewczynkę, która szukając pociechy, obejmowała psa.

A my byliśmy przekonani, pomyślała Lynn, że dzieci o niczym nie wiedzą. Eudora wspinała się na schody, gdy zadźwięczał dzwonek u drzwi.

- To Tom Lawrence - powiedział Bruce. - Telefonowałem do niego.

- Co? On nie ma tu czego szukać. Nie otwieraj, Eudoro - zadysponował Robert. Bruce wydał inne rozporządzenie:

- Owszem, otwórz, Eudoro, proszę. Otworzylbym własnoręcznie, ale nie chcę odchodzić od pani Ferguson.

- Co tu się dzieje? - spytał Tom. Zdumiony stanął w drzwiach i przypatrywał się zastanej scenie. - Co się...

Wszedł i przyjrzał się Lynn, która z grymasem bólu zamknęła oczy. Potem zwrócił się do Roberta.

- A więc, łajdaku, w końcu do tego doszło. Co się odwlecze, to nie uciecze. Wiedziałem, że tak się stanie. Powinieneś zawisnąć na stryczku.

- Nie wiesz, co mówisz! Mieliśmy tutaj nieporozumienie, sprzeczkę i chciałem tylko... - zamilkł nagle.

Pomimo przebytego wstrząsu Lynn pomyślała przenikliwie: Przypomniał sobie, że Tom jest prawnikiem i zląkł się.

- Ty „tylko”, Ferguson. - Tom podszedł do Roberta, który cofnął się. Dziwne było patrzeć, jak cofa się przed mężczyzną, który sięga mu zaledwie do ramienia. - Zawiadomię policję.

Lynn usiłowała unieść się na poduszkach. Cała głowa pulsowała bólem. Dotknęła językiem przednich zębów, jeden z nich chwiał się. Spróbowała jeszcze raz. Straci go ponad wszelką wątpliwość. Powiedziała, poruszając spuchniętymi wargami:

- Nie. Tylko nie policję. Proszę, Tom. Chcę tylko, żeby on... on - powiedziała, zwracając się w kierunku Roberta - żeby stąd wyszedł. - Opadła na poduszki.

- Ach, widzisz? Nawet Lynn nie życzy sobie policji.

- Chyba cię nie posłucham, Lynn - powiedział Tom poważnie. - To jest teraz sprawa publiczna. Nie możemy mu pozwolić odejść po tym, co zrobił.

- Nie wtrącaj się, Lawrence - powiedział Robert. - Nikt cię tu nie zapraszał. Bruce ruszył do ataku.

- Ja go zaprosiłem. Lynn potrzebuje przyjaciół i potrzebuje porady prawnej, której ja nie mogę jej udzielić.

- Uważam, że należy zawiadomić policję - ponaglał Tom. - Chodzi o to, aby teraz rzucili na nią okiem, to będzie potem warte więcej niż tysiące słów. Dla przyszłej sprawy.

- Dla przyszłej sprawy? - obruszył się Robert.

- Opiszą nas w gazetach - wymamrotała Lynn. - Moje dzieci i bez tego dosyć wycierpiały.

- Zastanów się - powiedział Bruce łagodnie. - I tak wszyscy o tym wiedzą. Teraz w pracy...

Na to Robert nie wytrzymał:

- W pracy? Tak, tak, wyobrażasz sobie, że nie wiem, jakie tam rozpowiadasz kłamstwa? To ty chciałeś mnie zepchnąć na dół, to ty chciałeś zająć moje stanowisko.

Bruce wskazał na Lynn.

- Kłamstwa? Przyjrzyj się twarzy twojej żony. Gdybym nawet powiedział, czego nigdy nie zrobiłem i ty o tym doskonale wiesz, nie byłoby to wcale kłamstwo. Nie, Robercie. Gdybym chciał o tym mówić, zrobiłbym to dawno temu, tego ranka w Chicago, a może nawet wcześniej i nigdy nie zawędrowałbyś do Nowego Jorku. Więc zostaw w spokoju sprawę wyjazdu do Europy! - krzyknął. Poniosły go

nerwy. - Po tym, co tu zrobiłeś tej nocy, nie powinieneś zostać przy życiu. Powinni cię zabrać i zastrzelić.

Nie ma mnie tutaj, pomyślała Lynn. To wszystko nie ma nic wspólnego ze mną. To się zdarzyło komuś innemu.

Tom ujął jej dłoń. Była zimna, a jej ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze.

- Powiedz nam, Lynn. Czego chciałybyś? Co mamy zrobić? Nie ma sensu wracać do tego, kto co powiedział. Jesteś zbyt wyczerpana.

Odpowiedziała mu cicho, jakby się obawiała, że Robert ją usłyszy.

- Po prostu niech on stąd wyjdzie. Zabierzcie go stąd. Nie chcę go widzieć już nigdy, nigdy więcej.

Robert jednak usłyszał.

- Wcale tego nie chcesz - krzyknął. - Wiem, że nie chcesz.

Tom wydał rozkaz. Przypominał małego, ruchliwego teriera kąsającego wielkiego doga.

- Słyszałeś, co powiedziała? Zabieraj się stąd! Weź płaszcz i wyjdź. Robert złożył ręce i zaklinał ją:

- Lynn, posłuchaj mnie. Ci ludzie, ci obcy ludzie wywierają na ciebie presję. Poświęcę resztę życia, aby ci wynagrodzić to, co się stało. Przysięgam. Tak zrobię. A wyrzucanie mnie nie jest żadnym rozwiązaniem. Ci ludzie... to nie ich sprawa.

- Tom i Bruce, których nazywasz „tymi ludźmi”, są moimi przyjaciółmi - odpowiedziała odzyskując głos. - Chcę, żeby tu byli. Potrzebuję ich. I chcę, żebyś odszedł. Oto czego chcę. Ja.

Zaczął się bić w piersi złożonymi rękami.

- Przeżyliśmy wspólnie życie. Czy osoby trzecie mają pojęcie o tym, co nas łączy? O tym, co jest między nami? Ja się zmienię. Pójdę wszędzie, dokądkolwiek sobie zyczysz. Poszukam porady. Obiecuję, przysięgam.

- Za późno - krzyknęła Lynn. - Za późno!

- Błagam cię, Lynn.

Jego wstyd i rozpacz ciągle jeszcze budziły w niej litość. Dziwne, w złości wydawał się taki wysoki; teraz pomiędzy dwoma mężczyznami, skulony w błagalnej pozie, był wręcz mały.

Bruce wyciągnął rękę i powiedział:

- Oddaj mi klucze, Robercie. Czy jest drugi komplet? - zwrócił się do Lynn. Wciąż jeszcze czując zawstydenie, odparła:



- W szufladzie stołu za tobą.

- Zabieram je. - Bruce wsunął je do kieszeni. - Wyrzucę po powrocie do domu. A ty zmienisz jutro zamki. Wynoś się stąd, Robercie. Natychmiast. W tej chwili.

- Możesz tu wrócić jutro rano o dziewiątej po swoje rzeczy - powiedział Tom.

- Słyszałeś, co powiedział Bruce, więc idź, i to szybko. Lynn potrzebuje odpoczynku i opieki.

- Chcę to usłyszeć od Lynn - odparł Robert. Twarz mu poszarzała.

Wie, że się nad nim lituję - pomyślała Lynn, nawet teraz, po tym wszystkim. Ale nie zawaham się. Gdybym nawet była skłonna, a nie jestem, myśl o Annie powstrzymałaby mnie. Uniosła się na poduszkach i powiedziała ponuro:

- Powiem ci, Robercie. Wyjdziesz, a jeśli nie, to zabiorę Annie i Bobby'ego i chociaż jestem osłabiona, siądę na lotnisku i będę czekała na samolot, który mnie zawiezie do mojej siostry do St. Louis, a ty zatrzymaj sobie ten przeklęty dom!

- O, nie! - wykrzyknął Tom. - Ten dom w równym stopniu należy do was obojga. Zostaniesz tu, dopóki twój adwokat nie powie ci, że możesz go opuścić. Jutro załatwię ci dobrego adwokata z Connecticut. A ty lepiej wynoś się, Ferguson - zagroził

- bo nie bacząc na to, co powiedziała Lynn, wezwę policję. W dziesięć minut. Dwaj mężczyźni stanęli ramię w ramię naprzeciwko Roberta. Ten zmierzył ich wzrokiem, a potem wpatrzył się w Lynn na tak długo, że musiała spuścić oczy. Jego twarz wyglądała jak twarz kogoś, kto wraca z pobojuwiska i jest całkowicie bezradny. Miała wrażenie, że ona sama również tak wygląda. Potem szybko odwrócił się i wyszedł z domu.

Drzwi zamknęły się. Usłyszeli dźwięk kół na żwirze podjazdu, a potem nastąpiła cisza.

Dwaj mężczyźni zabrali się do działania. Najpierw sprowadzili lekarza, przyjaciela Toma, który w tej sytuacji zgodził się na wizytę domową.

- Pani Ferguson nie chce, aby pisały o tym gazety - wyjaśnił Bruce. - A jeśli zgłosi się do szpitala...

Lekarz zrozumiał:

- O ile siatkówka nie uległa uszkodzeniu, myślę, że uda nam się załatwić sprawę w domu. - Wstrząśnięty tym, co zastał, pochylił się nad Lynn i poświecił latarką w oko.

- Nie, nie uszkodzona. Ma pani szczęście. Mało brakowało... - I pokiwał głową. Gdy odszedł, Tom i Bruce zaplanowali czynności na dzień następny. Należy zainstalować nowe zamki. Lynn musi udać się do dentysty i spotkać z adwokatem. Bruce porozmawia z Annie i postara się załagodzić wstrząs po dzisiejszych przeżyciach.

- Zostanę tu na noc - oświadczył i wyciągnął się na kanapie w gabinecie.

Z pewnością nie mógłby się położyć na tej sofie - pomyślała Lynn. Moja krew zniszczyła zielony adamaszek, zniszczyła na zawsze. I pomyśleć, że Robert martwił się, kiedy goście wycierali dłońmi oparcia.

- Jutro wieczorem odlatujesz. Potrzeba ci snu - zaprotestowała.

- To nieistotne. A zresztą i tak nie mógłbym zasnąć. Pościę sobie w samolocie. Rozmawiali do późna w nocy. Bruce chciał się dowiedzieć, co doprowadziło do takich okropności, i ona wszystko mu opowiedziała. Począwszy od obrazka, który - niczemu nie winien - leżał zniszczony na podłodze. Gdy skończyła, stwierdził z pełnym smutku namysłem:

- Bał się, że po tym wszystkim, co usłyszałaś, zechcesz go opuścić. Był przerażony. Nie widzisz tego?

- Widzę, że wpadł w chorobliwą wściekłość. Trudno to sobie wyobrazić. - Powiedziała i wstrząsnął nią dreszcz. - Mógłby mnie zabić.

- Mógł, gdyby nie to, że Eudora była w domu - powiedział posepnie Bruce.

- Taka wściekłość! Nie mogę zrozumieć, taka wściekłość. Bruce potrząsnął głową.

- Musisz na to spojrzeć inaczej. Głębiej. Robert zawsze był pełen lęku. To jeden z najbardziej lękliwych ludzi, jakich znałem.

- Robert?

- O, tak. Nie miał o sobie zbyt dobrego zdania. Dlatego zawsze starał się zdominować innych.

Zamyśliła się. Nie miał o sobie dobrego zdania? Ależ to ja zawsze starałam się mu sprostac! To ja czułam zawsze i dokładnie to

ukrywałam nawet przed samą sobą, że nie jestem dla niego wystarczająco dobra, ani pod względem urody, ani moich osiągnięć.

- Wymyśliłeś to teraz? Powiedz mi, Bruce.

- Nie. Sprawa była jasna od dawna, prawie od samego początku. Podniosła na Bruce'a zapuchnięte i zmęczone oczy i zapytała spokojnie.

- A więc to dostrzegłeś w Robercie. A co widziałeś we mnie?

- Że zawsze za dużo chciałaś się podobać. Że mu ustępowałaś. Nietrudno było to dostrzec. Wystarczyło zajrzeć głębiej.

- A ty zajrzałeś.

- Nie, prawdę mówiąc to zasługa Josie. Ja tylko się od niej nauczyłem. Nauczyłem się od niej bardzo wiele.

- Czy ona spodziewała się, że może dojść do czegoś takiego?

- Obydwoje obawialiśmy się tego, Lynn.

- Jednak musieliście także zauważyć nasze szczęśliwe chwile.

Światło lampy załamało się na jej pierścionku, brylant nabrał życia; nerwowo obracała pierścionek, a on lśnił i iskrzył się na jej palcu. Szczęśliwe chwile i ukryte prądy... Annie grająca z Robertem w duecie i Annie śniąca koszmary, ukrywająca swoje koszmary...

- Co będzie z Annie? - zapytała. - Tak się boję, jestem o nią taka niespokojna.

- Myślę, że teraz koniecznie musisz zasięgnąć porady. Zresztą zawsze byłem tego zdania. Wiesz o tym.

- Tak, ale porozmawiasz z nią?

- Rano, obiecałem ci.

- Będzie nam wszystkim bardzo cię brakowało, Bruce.

- Ja także będę za wami tęsknił. - I dobrze znanym gestem zsunął okulary na czoło. - Ale jestem gotów do wyjazdu, Lynn. Nie mogłem się wprost doczekać, kiedy zabiorą z domu meble. Krzesła, na których siadywała, notes z adresami zapisany jej pismem, wszystko... nie mogłem znieść ich widoku.

Trzeba będzie wielu lat, aby się otrząsnął, jeżeli w ogóle mu się uda. Ale ja także, pomyślała Lynn, chociaż na inny sposób, muszę stawić czoło przeznaczeniu. Otwieram drzwi i robię krok w ciemność.

- Straciłam odwagę - odezwała się nagle. - Jeszcze dziś rano byłam odważna, a teraz boję się.

- Nic dziwnego. Ale tak naprawdę wcale jej nie straciłaś. Zostałaś zaatakowana. Dobre samopoczucie powróci i stanie się

motorem działania. Wiem, że tak będzie. - Wstał. - Idź spać, Lynn. Już bardzo późno. Pomóc ci wejść po schodach?

- Dzięki, poradzę sobie. - Próbowwała się uśmiechnąć, rozciągając obolałe policzki. - Na pewno wyglądam okropnie. Boję się spojrzeć do lustra.

- Cóż, rzeczywiście nie wyglądasz najlepiej. Ale to minie. Słuchaj, powinnaś się położyć w innym pokoju, na przykład u Emily. On przyjdzie tu po swoje rzeczy, a one prawdopodobnie są w waszej sypialni, prawda? Nie chcę, żeby się na ciebie natknął. I powinnaś wziąć proszek nasenny. Macie coś w domu?

- Robert trzymał je na wszelki wypadek. Ale ja nigdy nic nie zażywałam.

- Ale dziś weź.

Obolała wspięła się po schodach i położyła do łóżka. Zanim zapadła w dobroczynny sen, przyszło jej do głowy, że zapomniała wstydzić się Bruce'a.

Obudziła się około południa, słońce zalewało pokój. Wczoraj padła na łóżko oszołomiona i nie umyła i teraz obudziła się w tym samym stanie. Wstała i podeszła do lustra.

To, co zobaczyła, przeraziło ją. Nie mogła znieść widoku własnej twarzy, a jednak nie odrywała od niej wzroku. Że też istota ludzka może zrobić coś takiego innej istocie! Tak oszpecić twarz! Czyjś niepowtarzalny wygląd!

Załkała:

- Moje życie... a ja chciałam uczynić wszystko, żeby było piękne. Staralam się. Robiłam, co mogłam...

A potem ogarnął ją straszliwy gniew. Gdyby znalazł się teraz w pokoju, a ona miała nóż, wbiłaby go prosto w serce Roberta. Dzięki Bogu, że go nie było, bo przecież musiała uchronić siebie, wyzdrowieć i nabrać sił. Wydała na świat trzy uzależnione od niej istoty. Ona. Nie on. I teraz była sama. On utracił prawo do tych istot. Nawet jeżeli nie zdawał sobie z tego sprawy, zrzekł się ich na zawsze. Lynn zacisnęła zęby.

Wzięła prysznic. Ostrożnie myła zapuchniętą, obolałą twarz. Spłukiwała czarną, zaschniętą wokół nosa i ust krew. Starła się otworzyć półprzymknięte oko i wymyła je. Potem upudrowała się obficie, uperfumowała i opiłowała paznokcie. Niech przynajmniej

ciało nadaje się do pokazania, skoro twarz jest oszpecona. Tego wymagał szacunek dla samej siebie.

Gdy wróciła do sypialni, Eudora właśnie zaścielała łóżko. Nie przyglądając się Lynn zreferowała, co słychać w domu.

- Pan Lehman prosił, aby panią pożegnać. Zanim wyszedł, odbył długą rozmowę z Annie. Nie słyszałam, co jej powiedział, ale Annie zdecydowała, że pójdzie do szkoły, nie sądziłam, że zechce, ale chciała i pan Lehman zawiózł ją swoim samochodem. Dzwonił pan Lawrence, doktor przyjdzie do pani dziś po południu, chyba że pani zechce, aby przyszedł wcześniej. Potem pan Lawrence przysłał po panią taksówkę, która zawiezie panią do biura. Bobby czuje się dobrze, zjadł lunch i położyłam go, żeby pospał. Emily jest w drodze do domu, telefonowała z lotniska, Annie zadzwoniła do niej wczoraj w nocy, nie mogłam jej powstrzymać. I to już chyba wszystko.

- O mój Boże! W trakcie egzaminów.

- Cóż, egzaminy mogą poczekać. Pani jest jej matką - odrzekła stanowczo Eudora. Emily wtargnęła do domu, aż zadrżał w posadach. Trzasnęły frontowe drzwi, a potem na schodach rozległy się energiczne kroki; wkroczyła do pokoju i zatrzymała się w pół drogi.

- O, mój Boże - wyszeptała. I rozplakała się.

- Nie płacz - powiedziała Lynn.

Biedne dziecko. Nie powinna była przyjeżdżać, nie powinna była tego widzieć.

- Emily, kochanie. Nie płacz tak strasznie. To wygląda gorzej, niż jest w rzeczywistości. Naprawdę.

- Tylko tak mówisz! Nie wierzę ci. Co ty wyprawiasz, znowu go bronisz?

- Nie, nie. To już skończone.

- O mój Boże, to jakiś koszmar! Ale można się było tego spodziewać. To była wyłącznie kwestia czasu.

- Tak? Teraz też tak uważam.

- Och, mamó. Co teraz zrobisz?

Emily usiadła na brzegu łóżka. W jej pytaniu brzmiało tak wielkie przerażenie, że Lynn odwróciła się, nic nie mówiąc.

- Co zrobię? - powiedziała wreszcie. - Wiele rzeczy. Głowa mi pęka od tego wszystkiego, co muszę zrobić.

- Jak to się stało? Jaki był powód tym razem? - Emily położyła nacisk na słowa „tym razem”.

- Opowiem ci wszystko, ale najpierw powiedz mi, jak trafiłaś do galerii. Ja też tam byłam. Kupiłam obrazek i ona powiedziała mi o tobie. Byłaś w Nowym Jorku bez mojej wiedzy. Co się stało? Dlaczego?

Tyle tajemnic. Tyle zdarzeń w sekrecie przed innymi.

- Wiesz, o czym myślałam, mamó. W pewnej chwili nie mogłam dłużej czekać, w głowie kłębiło mi się. Wsiadłam do samolotu, spędziłam w Nowym Jorku parę godzin i wróciłam.

- Czego się chciałaś dowiedzieć? Czego się spodziewałaś?

- Może wyczuwałam jakąś ponurą tajemnicę, sama nie wiem. Chciałam się dowiedzieć czegoś o Jeremym, a nie było innego sposobu zdobycia informacji.

- No i co, dowiedziałaś się czegoś?

- Mieszka w Anglii. W uprzejmy sposób, stanowczy, ale mimo to dość miły, dała mi do zrozumienia, że mam się trzymać z daleka od niego. Najwyraźniej nie życzy sobie, żeby tata dowiedział się, gdzie on jest. Ale kto wie? Może kiedyś... a może nigdy... Jeremy zechce poznać Annie, Bobby'ego i mnie.

Pociemniało i Lynn pociągnęła za sznur przy lampie, żeby rozjaśnić mrok.

- Zastanawiasz się pewnie, jakie wiatry zanosły mnie tam - powiedziała, zdając sobie sprawę, że obydwie unikają imienia Queridy. - Kiedy przemyślałam sobie to, czego dowiedziałaś się od ciotki Jean... a zajęło mi to sporo czasu... poczułam, że muszę wrócić do przeszłości. Zbyt długo nie dopuszczałam jej do siebie. Zdałam sobie z tego sprawę. Być może - mówiła z namysłem - być może łudziłam się, że gdy tam wejdę, okaże się, że owa kobieta nie jest... tą Queridą i nie będę musiała stawić czoła faktom. Jeżeli były jakieś fakty. No i oczywiście były.

Teraz, gdy wymówiła już to imię, mogła opowiedzieć całą tę potworną historię.

Gdy skończyła, zapadła długa cisza. Emily otarła oczy, podeszła do okna i stanęła tam, wpatrując się w zapadającą ciemność. Lynn czuła, że na widok zwieszanej głowy córki krwawi jej serce; tego typu rewelacje to nie jest coś, czego się pragnie dla swojej dziewiętnastoletniej córki.

- Biedna ciocia Jean - powiedziała Emily. - Przez wszystkie te lata walczyła ze sobą: powiedzieć czy nie powiedzieć? Nie mogła

powiedzieć. Prawda była zbyt straszna, by wydobyć ją na światło dzienne. To tak, jakby otworzyć klatkę i wypuścić z niej lwa.

- Lew i tak się wydostał wczorajszej nocy.

Znowu zapadła cisza; jakby żadne słowa nie mogły oddać powagi sytuacji. Lampa rzuciła krąg bladego światła na ciemny dywan, kładła miękkie cienie w odległych zakątkach pokoju, wśród lśniących mebli, kwiatów, fotografii i książek. Emily zauważyła z roztargnieniem:

- Kochasz ten dom.

- Sama nie wiem. Kocham ogród. Wszystko stracone. Sprzedamy go.

- Jak myślisz, co stanie się z tatą?

- Świat jest wielki. Znajdźcie sobie jakieś miejsce. Na pewno - z goryczą powiedziała Lynn.

- To znaczy, że... nie pójdzie za to do więzienia?

- Nie. Mógłby, ale ja nie chcę, żeby tam trafił.

- To dobrze. Wprawdzie zasługuje na to, jednak nie chciałabym, aby tak się skończyło.

- Wiem. Chyba po prostu takie jesteśmy.

- Musiałam przyjechać i zobaczyć się z tobą - odezwała się nagle Emily. - Kiedy się dowiedziałam, myślałam, że oszaleję.

- Ale w tym tygodniu masz egzaminy.

- Przełożyłam termin. Wrócę, gdy tylko zobaczę się z lekarzem i usłyszę, że nic ci nie grozi. Harris przyleciał ze mną - dodała.

Lynn powtórzyła zaskoczona:

- Harris?

- Uparł się. Nie chciał, żebym leciała sama.

- Zawsze mi się podobał, wiesz o tym.

- Wiem. I on także wie.

- Jak wam się układa?

- Nic się nie zmieniło. Nie spieszy się nam.

- To dobrze. Gdzie on jest teraz?

- Na dole. Nie był przekonany, czy powinien wejść do domu, ale go namówiłam.

- Co? W taki mróz? Oczywiście, że powinien wejść do środka. Włożę na siebie coś przyzwoitego i zejść na dół.

- Na dół - powtórzyła Emily.

- Tylko twarz wygląda tak okropnie. Nogi mam w porządku.

- Chodzi mi o to... myślałam... myślałam, że nie zechcesz, aby ktoś oglądał cię w tym stanie.

Zejdź na dół, wyciągnij do niego rękę i nie kul się ze strachu. Nie chowaj się. To już poza tobą i czas skończyć z tą zbędną dumą.

- Nie - powiedziała. - Nie mam nic przeciwko temu. To już nie jest tajemnicą.



## Rozdział 7

Spędziła tak wiele czasu w fotelu naprzeciw owego mężczyzny o nazwisku Kane, wpatrując się w jego rumiane policzki, siwiejące włosy i mocne ramiona na tle półek z prawniczymi książkami, że w końcu poczuła się prawie swobodnie.

- To zabawne - powiedziała. - Mimo że doskonale zdaję sobie sprawę, że tak nie jest, ciągle wydaje mi się, że takie rzeczy zdarzają się tylko w środowisku nędzarzy, biedoty. Jak coś podobnego mogło się zdarzyć mnie? Ciągle pytam sama siebie. Dziwaczne, prawda?

Kane zmarszczył brwi.

- Sądzę, że tak. Chociaż większość podobnych do pani ludzi byłaby zaskoczona, słysząc, że dwadzieścia procent amerykańskiego społeczeństwa uważa, że to nic złego trzepnąć współmałżonka od czasu do czasu. Czy wie pani, że w naszym kraju co piętnaście sekund jakaś kobieta jest bita przez swego męża lub narzeczonego? To zresztą nic nowego. Słyszała pani o „prawie kciuka” z angielskiego prawa cywilnego. Mówi ono, że mężczyzna może bić żonę, o ile kij nie jest grubszy od jego kciuka.

- Ale byłam głupia! Bezwolna i głupia - powiedziała cicho, jakby tylko do siebie.

- Powtarzam pani, niech pani przestanie się oskarżać. Dla ludzi z zewnątrz może się pani wydawać słaba, bo tak długo to pani znosiła. Pani jednak uważała się za silną i starała się pani utrzymać dom ze względu na dzieci. Chciała pani utrzymać rodzinę z obojgiem rodziców. I z tego punktu widzenia wykazała pani wielką siłę.

Przebiegała myślą minione lata, a jednocześnie jej wzrok powędrował za okno, gdzie zimny, kwietniowy deszcz spływał po szybie wystawy, ciągle jeszcze udekorowanej papierowymi kurczakami i jajkami, chociaż Wielkanoc już dawno minęła. Robert malował pisanki, a potem chował je w ogrodzie.

- A poza tym w pani przypadku - ciągnął Kane - można się było spodziewać poprawy. Zwłaszcza gdy nie miało się doświadczenia ani wiedzy na ten temat. - Z tego, co opowiadał Tom, wnoszę, że pani mąż był nadzwyczajnie inteligentny. A do tego jeszcze jego pozycja. Nie twierdzę, że jego pozycja była dla pani ważna, ale był podziwiany przez otoczenie i to miało wpływ na panią.

- Tak sądzą. Ale musiał być bardzo nieszczęśliwy w czasach młodości!

- To prawda, ale nie miał żadnego prawa, aby zmuszać innych... własną żonę... do płacenia za to.

- Gdy stracił oczekiwane stanowisko, stracił wszystko. Bałam się nawet, że może próbować popełnić samobójstwo.

- Prędzej zabiłby panią, jak widać.

Kane ponownie zmarszczył brwi. Ta jego maniera drażniła ją, a jednak lubiła go. Był wrażliwy i miał dar jasnego wyrażania myśli.

- Wiem, że otrzymał ofertę pracy od jakiejś firmy, która otwiera przedstawicielstwo w Meksyku. Chyba jest zadowolony, że opuszcza Stany, nawet jeśli otrzyma mniej pieniędzy. Miał szczęście i jego adwokat dobrze o tym wie. Pani pozwoliła mu odejść bez oskarżeń i bez rozgłosu.

- Postąpiłam tak ze względu na dzieci. I tak mają koszmarne wspomnienia. Annie pomimo terapii wciąż miewa złe sny.

- Cóż, teraz już nie będzie miał z nimi nic wspólnego. Nawet gdyby nie wyjeżdżał do Meksyku. Jego adwokat twierdzi, że jest zadowolony z tego, że prawa do opieki przyznano pani... Dzieci należą wyłącznie do pani. On twierdzi, że będzie lepiej dla nich i dla niego, jeżeli nie będą się widywać.

- Moje córki nie chcą go znać. Ale to straszne dla mężczyzny utracić dzieci, więc jeśli kiedykolwiek zechcą się z nim spotkać, nie stanę na ich drodze. Teraz jednak odmawiają.

- On wie o tym. Miał chyba na myśli synka.

Bobby nauczył się już chodzić i biegał po całym domu. W tydzień po odejściu Roberta zdarzało mu się wołać „tatusiu!”. Teraz, bawiąc się z Tomem, czuł się równie szczęśliwy jak z ojcem.

- Bobby zapomni o nim - powiedziała Lynn, myśląc: Robert utracił syna po raz drugi.

- A więc w tym punkcie nie będzie żadnych sprzeciwów, pójdzie nam łatwo. Będzie pani wolna, zanim się pani obejrzy, Lynn. - Spojrzał na nią z przyjaznym, niemal ojcowskim uśmiechem. - A jak postępuje pieczenie? Ciasto, które przysłała pani moim bliźniakom na urodziny, było wyborne. Ciągłe je wspominają.

- Mam trochę zamówień. Znajomi polecają mnie swoim znajomym. Ale na razie jest zbyt wiele spaw, by rozpocząć coś na szerszą skalę.

- To zrozumiałe. Czy chciałaby pani wyjaśnić dzisiaj coś jeszcze?

- Tak. Mam coś. - Podniosła z podłogi kartonowe pudełko i podając je Kane'owi, powiedziała: - Czy zechciałby pan oddać to adwokatowi Roberta? To jego własność.

- Co to jest? Muszę wiedzieć.

- Po prostu biżuteria. Nie chcę tego zatrzymywać.

- Cała biżuteria?

- Tak.

- Ależ, Lynn. To szaleństwo! Proszę mi pokazać.

- Niech pan otworzy, jeśli ma pan ochotę.

W oryginalnych, aksamitnych pudełeczkach spoczywały: wysadzana brylantami obrączka ślubna, pierścionek z brylantem, perły, bransoletki i kolczyki - uzbierane podczas dwudziestu lat małżeństwa.

- Ciężkie. I wysokiej klasy - powiedział, układając ozdoby na biurku.

- Robert nigdy nie kupował tanich rzeczy - powiedziała sucho. Kane potrząsnął głową.

- Nie rozumiem pani. Co pani wyprawia? Te rzeczy należą do pani.

- Były moje, ale teraz już ich nie chcę.

- Niech pani nie robi głupstw. Będzie pani brakowało pieniędzy, dobrze pani wie. A to wszystko razem jest pewnie warte ze sto tysięcy dolarów.

- Nie mogłabym ich nosić. Myślałabym o nim za każdym razem.

- Dotknęła palcem bransoletki, w gładkim ciemnym złocie owalne szmaragdy, rubiny, szafiry... - Zbyt wiele do pamiętania.

- Więc niech je pani sprzeda i zatrzyma pieniądze. One niczego nie będą przypominały. Pieniądze są neutralne. - Kane roześmiał się.

- Nie. Chcę sprawę przedstawić jasno. Proszę uzyskać dla moich dzieci tak wiele, ile się tylko da, od mężczyzny, który był ich ojcem. Ale ja nie wezmę nic z wyjątkiem domu lub pieniędzy, jakie zostaną z jego sprzedaży po spłaceniu hipoteki.

Kane znowu potrząsnął głową.

- Wie pani, to nie do wiary. Sam nie wiem, co mam o pani myśleć. Spoglądał na Lynn tak długo, że aż zastanowiła się, co też w niej widzi. Osobę godną

podziwu czy też zasługującą na litość ekscentryczkę?

- Nigdy dotąd nie miałem takiej klientki. Ale Tom Lawrence uprzedził mnie, że jest pani jedyna w swoim rodzaju.

- Tom przesadza - uśmiechnęła się.

- Zawsze bardzo się o panią troszczył.

- Był dla mnie prawdziwym przyjacielem w tych ciężkich chwilach. Dla mnie i dla moich dzieci. Annie go uwielbia.

Annie pytająca: „Czy ty kiedyś wyjdiesz za Toma? Mam nadzieję, że tak”. Emily, a nawet Eudora przybierające dziwny wyraz twarzy, gdy tylko padało jego nazwisko, zupełnie tak samo, jak Kane w tej chwili.

Cóż, pomyślała, to cudowne czuć się chcianą, i gdybym była wolna, mogłabym go mieć. Ale na razie nie jestem gotowa.

- Ach, przypomniało mi się, że adwokat Roberta wspomniał coś o książkach. Robert chciałby przyjść po nie. Dam pani znać, kiedy. Może warto je spakować, mógłby je szybko zabrać. I koniecznie ktoś musi być z panią, gdy on pojawi się w domu.

- Tak zrobię.

- Dom trzeba jak najszybciej sprzedać. Szkoda, że hipoteka pochłonie większość sumy.

- Szkoda. Nie spodziewałam się tego.

Wstała i podała mu rękę. Ujął jej dłoń i przytrzymał w swojej, mówiąc uprzejmie:

- W pani młodym życiu czeka panią jeszcze wiele niespodzianek. Myślę, że bardzo wiele.

- Tak. A najbardziej zaskakująca jest jednak tajemnica.

- Jaka tajemnica?

- Że po tym wszystkim, co zostało powiedziane i zrobione, po wszystkich wyjaśnieniach, ja ciągle nie wiem, dlaczego.

- Co dlaczego, Lynn?

- Dlaczego ciągle kocham go z całego serca.

- Powinna pani znowu wyjść za mąż - stwierdziła Eudora po kilku miesiącach. - Jest pani typem żony.

- Tak sądzisz?

Eudora troszczyła się o wszystko. Sypiała w domu kilka nocy w tygodniu, twierdząc, że "tęskni za Bobbym", ale najwyraźniej bała się, że Robert dostanie się do środka mimo nowych zamków i alarmów.

To całkiem naturalne, że dwie kobiety w domu bez mężczyzny dochodzą do stanu intymności, w którym stwierdzenie Eudory nie wydaje się nie na miejscu.

- Zastanawiałam się, czy nie powinna pani podpisać jakichś dokumentów, żeby szybko sprzedać dom - mówiła zwrócona plecami do Lynn, zajęta czyszczeniem najlepszych garnków Lynn, tych z miedzianymi spodami. - A może pani chce tutaj zostać. Nigdy nie wiadomo - dodała i dyskretnie zamilkła.

Oczywiście wiadomo było, co ma na myśli. Wszystkie myślały o Tomie Lawrensie, Lynn także. Obie córki, Annie i Emily, która przyjechała do domu na Święto Dziękczynienia, jadły lunch przy kuchennym stole i spoglądały na siebie porozumiewawczo.

- Za nic nie zostanę w tym domu - powiedziała stanowczo Lynn. Rozbijała jajka na biszkopt. - Osiem, dziewięć... nie, osiem. Przez ciebie straciłam rachubę. Zostałam tu tak długo tylko dlatego, że powiedziano mi, iż mam poczekać, aż cała sprawa dobiegnie końca.

„Rozwód”, unikała tego zimnego, paskudnego słowa. „Cała sprawa” wyrażała jasno, o co chodzi.

- A kiedy to nastąpi? - spytała Emily.

- Wkrótce.

- Wkrótce - krzyknął Bobby, popychając drewniany samochód między nogami siedzących.

- Wszystko powtarza. I zna już kilkadziesiąt słów. Jak myślicie, czy on rozumie to, co mówi? - spytała Annie.

Eudora odpowiedziała bez namysłu:

- Oczywiście. To bardzo sprytny chłopczyk. Bardzo sprytny, prawda, kochanie?

- On przepada za Tomem. - Annie zwróciła się do Emily. - Nie widzisz ich razem tak często jak ja. Tom spędza pół godziny na czworakach, bawiąc się z nim, za każdym razem, gdy przychodzi zabrać dokądś mamę.

Staraly się dowiedzieć czegoś więcej i Lynn doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Potrzebowały teraz jakiegoś oparcia: wraz z ulgą, której doznawały na myśl o tym, że nie przeżyją już nigdy podobnych wstrząsów, nadeszło poczucie zagubienia. Nie miały żadnej kotwicy i nie znały kierunku, w którym zmierzały. Dlatego dopytywały się, co je czeka. Ale ona nie była jeszcze gotowa, by udzielić im odpowiedzi.

- Chcę wypróbować przepis na resztki z indyka - powiedziała. - To sos z czarnymi figami. Brzmi zachęcająco, prawda?

- Czy to jakaś uroczystość? - dopytywała się Emily. - Kto przyjdzie?

- Tylko my. Świętujemy twój pobyt w domu. Czy chciałabyś zaprosić Harrisa?

- O, dziękuję, mam. Zadzwoń do niego.

- Czy będzie Tom?

- Nie. Ale przyjdzie jutro po południu. Gdy ojciec wpadnie zabrać książki. Na myśl o tej wizycie Lynn odczuwała przerażenie. Nie widziała Roberta od czasu owej upiornej nocy. Bała się. Ale przecież Tom będzie tu przy mnie...

- Gdy ojciec przyjedzie, Eudora zabierze Bobby'ego do dzieciennego pokoju. I chcę, żebyście obie wyszły z domu. Pójdźcie odwiedzić koleżanki albo do kina.

- W porządku - powiedziała radośnie Emily i przytuliła się do policzka matki. - Wiem, że się o nas niepokoisz. Ale ja i Annie nieźle sobie radzimy. Najlepiej, jak możemy, możesz być z nas zadowolona.

- Dziękuję ci, kochanie. Dziękuję.

Najlepiej, jak tylko mogą. Nie, tego, co zobaczyły, nie zapomną już nigdy. Ten obraz będzie im towarzyszył przez całe życie, ale będą musiały się z nim uporać. I właśnie to robiły. Emily na drugim roku studiów miała średnią 3,6, a Annie... cóż, Annie jakoś sobie radziła.

Wkrótce Lynn została w kuchni sama i pomyślała o Tomie. Nie można sobie wyobrazić bardziej troskliwego mężczyzny. Trwał przy niej niezłomny jak skała. Mogła polegać na nim we wszystkim. A potem stopniowo, gdy kłopoty mijały, Lynn zaczęła się przy nim dobrze bawić. Tańczyli, śmiali się, pili szampana. Wniósł w jej życie radość.

Nigdy jednak nie próbował się z nią kochać i to ją zastanawiało. Od chwili gdy się poznali, wielokrotnie powtarzał jej, że jest śliczna. Wcale tego nie pragnęła; powstrzymałaby go. Możliwe, że on to wyczuwał i po prostu był cierpliwy. Ale myślała o tym z przykrością.

Była jednak przekonana, że Tom poprosi ją o to, na co czekały jej córki. Czasami wydawało się jej, że gdy już do tego dojdzie, odmówi mu, nie odczuwała bowiem w stosunku do niego owej bolesnej, cudownej tęsknoty, która oznacza: „Ty i nikt inny do końca naszych dni”. Czasami myślała jednak - dlaczego nie on, taki inteligentny,

wesoły, czarujący i miły? Kobieta powinna mieć swego mężczyznę, dobrego mężczyznę. To straszne żyć w samotności, znosić samotnie długie dni do końca życia.

Powinna powziąć decyzję, i to szybko. Nie dalej jak dziś rano zapraszany na lunch po wyjściu Roberta, odpowiedział: „Dobrze. Zostanę. Chciałbym z tobą porozmawiać”.

Zastanawiała się, co na siebie włoży. Rozpatrywała dwa warianty - ciemnoczerwoną suknię na deszczową pogodę, bladoniebieską, jeśli będzie słońce. Dzień był słoneczny. Skończywszy toaletę obejrzała się od czubków jasnoniebieskich pantofli po lśniące jasne włosy i stwierdziła, że dawno nie była z siebie taka zadowolona. Prostota bez biżuterii może być bardzo pociągająca.

Eudora oszacowała ją wzrokiem.

- Wygląda pani pięknie, pani Ferguson. - I skinęła głową porozumiewawczo. Eudora wyobrażała sobie, że suknia została wybrana ze względu na Toma.

I miała rację. Ale jednocześnie Lynn włożyła ją również dla Roberta; niech zobaczy, zwłaszcza że w domu był Tom, niech się przekona, że Lynn jest piękna i godna podziwu.

Książki zostały spakowane zawczasu i czekały w holu przy drzwiach frontowych. Tom był już na miejscu, gdy na podjeździe zatrzymał się samochód.

- Wziął ze sobą kierowcę do pomocy - mówił do stojącej w salonie Lynn. - Boisz się? Dlaczego nie ukryjesz się w gabinecie?

- Nie.

Nie umiałyby wytłumaczyć, czemu chciała zobaczyć Roberta. Jedynym powodem była chyba ciekawość.

Miał na sobie ciemnogrnatowy garnitur biznesmena, który leżał na nim jak spod przysłowiowej igły. Sama nie wiedziała, czy ma się dziwić czy nie, że wygląda równie doskonale i przystojnie jak dawniej.

Nie wymienili pozdrowień z Tomem. Aby wynieść wszystkie książki, musiał wracać kilkakrotnie. Nie odezwał się ani razu. Zdawał się jej nie zauważać.

Gdy zabierał ostatnią partię książek, Eudora wyszła z kuchni i posłała mu mściwy uśmiech.

Och, nie, Eudoro! To takie smutne. Takie strasznie smutne. Ty tego nie rozumiesz. Nikt tego nie rozumie z wyjątkiem Roberta i mnie.

Z głębi domu nadeszła Juliet i na widok ulubionego pana zamachała przyjaźnie ogonem. Robert zatrzymał się, by pogłaskać psa, Lynn zobaczyła to i podbiegła do niego. Tom nie był w stanie jej zatrzymać.

- Robercie - powiedziała. - Przykro mi, bardzo mi przykro, że nasze wspólne życie tak się skończyło.

Spojrzał na nią. Niebieskie oczy, jego największa ozdoba, przypominały lód. Nie odpowiedział, lecz popatrzył na nią z taką wściekłością, taką złowieszczą, mściwą mocą, że Lynn cofnęła się przerażona.

Tom zamknął za nim drzwi. Podeszła do okna, żeby popatrzeć, jak odchodzi; jakby chciała się upewnić, że naprawdę odszedł.

Gdy Tom pokrzepiającym gestem położył rękę na jej ramieniu, wyszeptała:

- I pomyśleć, że był dla mnie całym światem. Nie mogę w to uwierzyć. Obrócił ją ku sobie.

- Posłuchaj mnie. To już poza tobą - powiedział łagodnie. - Pogódź się z tym. Zdaje mi się, że obiecałaś mi lunch.

Nakryła mały stolik przy oknie. Pomiedzy nakryciami ustawiła doniczkę z różowymi chryzantemami.

- Gdy nadchodzą chłodne dni i nie mogę jadać na dworze, staram się przynajmniej wyglądać przez okno - powiedziała, żeby zacząć rozmowę.

Spojrzeli na trawnik, który nadal lśnił szmaragdową zielenią, i dalej na bezlistne gałązki brzoź rysujących się ciemną siatką na tle nieba.

Prowadzili niewiele znaczącą rozmowę i Lynn zdawała sobie sprawę, że ta paplanina stanowi tylko wstęp do czegoś, co ma nastąpić, że obydwoje odczuwają zdenerwowanie. Chwila ta nadchodziła. W pewnym momencie Lynn była pewna, że padnie zasadnicze pytanie. Nie do wiary, że nawet wtedy nie była pewna, co mu odpowie.

Tom z namysłem obierał gruszkę, odgryzł kawałek i odłożył, po czym odezwał się:



- Łączy nas specjalna więź, czujemy coś do siebie, prawda? - Zamilkł, czekając na potwierdzenie.

- Tak, to prawda - zapewniła go.

- Chcę ci coś powiedzieć, coś, o czym rozmyślałam od pewnego czasu. Zdecydowałam się na to teraz, bo Kane powiedział mi, że jesteś już prawie wolna. - Podniósł gruszkę i znów odłożył na talerzyk. - Czuję się niezręcznie...

- To coś nowego dla ciebie - stwierdziła pogodnie Lynn.

- Tak. Zwykle jestem dość pewny siebie. Druzgocący jak młot kowalski.

- O, tak - zgodziła się nadal pogodnie. - Spostrzegłam to pewnego dnia na basenie. Roześmiał się, a ona pomyślała: Zachowuje się jak mały chłopiec, jak dzieciak bojący się odrzucenia.

- Cóż - ciągnął Tom - chyba powinienem był pozbierać myśli, zanim zacząłem mówić. Pamiętasz, powiedziałem ci coś na temat owej nocy w moim domu, gdy tańczyliśmy; wyznałem ci, że miałem na ciebie ochotę... byłaś taka radosna, miła, naturalna, a ja nigdy nie miałem trudności z kobietami. To okropne mówić coś takiego w 1990 roku, więc przebacz mi, dobrze? Mam nadzieję, że nie przyjmiesz tego bardzo źle.

- Nie. Mów dalej.

- No więc, pomyliłem się wtedy, byłem zbyt pewny siebie. Zorientowałem się później i czułem wstyd, zwłaszcza gdy następnego ranka dowiedziałem się, w jakie popadłaś tarapaty. Nie chciałem bardziej komplikować ci życia. Zastanawiasz się pewnie, po co tyle gadam.

- Myślę, że chcesz uczciwie porozmawiać o tym, co czujesz. O to chodzi?

- Dokładnie. Chcę być uczciwy i szczery. A teraz coś na temat dnia dzisiejszego. Zamilkł, by napić się wody, wyraźnie grał na zwłokę. Na jego czole pojawiły się trzy głębokie, bolesne bruzdy.

- No więc, chcę powiedzieć, że... Och, to takie trudne... Sądzę, że nadszedł czas, byśmy przestali się widywać.

- Przestali? - powtórzyła zdumiona.

- Och, Lynn! Gdybyś wiedziała, jak się obawiałem tej rozmowy! Rozmyślałem i rozmyślałem. Powinienem był skończyć z tym już miesiąc temu, ale nie mogłem, bo nie chciałem z tym kończyć i nadal

nie chcę. Ale wiem, że muszę. To nie byłoby w porządku wobec ciebie... i mnie... takie bałamucenie.

Tom znowu napił się wody i poprawił na ręce zegarek, aby ukryć zdenerwowanie. Lynn poczuła falę gorącego wstydu; na twarzy i szyi czuła rumieńce.

- Nie bałamucilesz mnie ani trochę - krzyknęła. - Nie rozumiem, jak mogło ci przyjść coś takiego do głowy!

Pochylił się ku niej i chwycił za ręce. Próbowwała mu je wyrwać, ale przytrzymał ją.

- Nie chciałaś romansu, Lynn, a ja tak. Ja nie chcę się żenić jeszcze raz. Nie jestem typem, który rozpocząłby nowe życie od wychowywania dorastającej dziewczyny i pędraka. Krótka zabawa z Bobbym od czasu do czasu to coś zupełnie innego.

Ironia losu, myślała Lynn. Ależ byłam głupia, źle go oceniłam... Ścisnął jej dłonie jeszcze mocniej. Mówił szybko i ze smutkiem:

- Gdybym teraz mógł rozpocząć całkowicie nowe życie, szukałbym żony takiej jak ty. Gdybym spotkał cię wcześniej, dowiedziałbym się czegoś o sobie... Przeszedłem dwa rozwody, jak ci wiadomo, kilka razy byłem z kimś związany. Teraz żyję inaczej, bez zobowiązań. To długa historia. Nie, nie wyrywaj rąk, proszę. Wiem, że nie chcesz, abym ci tu urządził psychoanalizę, ale muszę to powiedzieć... Nie jestem dla ciebie odpowiedni, Lynn. Prowadzę swobodne życie... bardzo się od siebie różnimy. Ja nie oczekuję niczego trwałego.

- Ja także niczego nie oczekuję. Już nie. I wcale nie musisz mi tego mówić.

- Ale chcę. Muszę, bo mam nadzieję, że któregoś dnia znajdziesz kogoś stałego i na zawsze, innego niż ja. Mogłem być taki, wiem, że mogłem. Ale teraz... cóż, wierność nie jest moją zaletą, o tym także wiem.

- Robert jest wierny. - Powiedziała, sama nie wiedząc czemu, i skrzywiła się.

- Tak. Dziwne, prawda?

Cofnęła ręce i tym razem wypuścił je bez sprzeciwu.

- Sprawilem ci przykrość. Zraniłem twoją dumę, a wcale nie miałem takiego zamiaru.

- Dumę! - powiedziała ironicznie.

- Tak, czemu nie? Masz wszelkie powody, by czuć się dotknięta. Och, wiem, byłem cholernie niezręczny, nie umiałem ci tego wyjaśnić. Ale nie mogłem tak po prostu przestać dzwonić i widywać się z tobą, prawda? Bez żadnego wytłumaczenia. Znacznie gorzej byłoby zostawić cię bez słowa wyjaśnienia. Zastanawiałabyś się, co się stało.

Nie odezwała się, musiała przyznać mu rację.

- Chcę, żebyś się rozwijała, Lynn, a nie postąpisz naprzód ani ze mną, ani z żadnym innym mężczyzną u boku.

Nadal milczała. Jestem odrzucona, myślała, i ta myśl była bolesna. Kobieta wzgardzona. A jednak on nią nie pogardzał.

- Lynn? Posłuchaj mnie. Ja tylko nie chcę cię zwodzić, nawet jeżeli twierdzisz, że niczego nie oczekujesz.

- W porządku - powiedziała unosząc głowę.

- Cieszę się. Przeszłaś wystarczająco wiele. Wstał od stołu, ona także wstała i spytała, czy chce już wyjść.

- Nie. Usiądźmy gdzieś, jeśli pozwolisz. Mam ci więcej do powiedzenia. Przysunął fotel do nieczynnego kominka i westchnął. Nigdy dotąd nie widziała go równie zakłopotanego.

- Mówiłem ci kiedyś, że zajmowałem się sprawami małżeńskimi? Przestałem, bo działały na mnie przygnębiająco. Zbyt wiele łez, zbyt wiele gniewu i cierpienia. Za dużo mnie to kosztowało. Ale jednego się nauczyłem - rozumiem ludzi znacznie lepiej niż przedtem.

- Dlatego mówisz mi, że muszę sobie znaleźć mężczyznę, który będzie wierny i stały, gotów wychowywać moje dzieci. Ja teraz tego nie pragnę. Nie chcę już nigdy więcej uzależniać się od mężczyzny.

- Masz rację! - Wykrzyknął na cały pokój. - Racja! Miałem ci właśnie powiedzieć, że nie powinnaś rozglądać się za mężczyznami. Nie teraz. Powinnaś liczyć wyłącznie na samą siebie. Ty nikogo nie potrzebujesz.

- Co ty właściwie robisz? Besztasz mnie? - Okropny dzień, najpierw Robert, a teraz to upokorzenie, bo było to upokorzenie. - Jeżeli tak, to jest to z twojej strony nieludzkie.

- Przepraszam. Nie chciałem, żeby tak zabrzmiało. Ja po prostu wiem, ile jesteś warta i kim mogłabyś się stać. Chcę dla ciebie jak najlepiej, Lynn - dokończył łagodnie. - A Robert nie chciał. On chciał, byś była od niego całkowicie uzależniona.

- Dopóki nie odszedł, nigdy nie bilansowałam sprawozdania bankowego. Nawet nie wypisałam czeku - przyznała.

- A teraz robisz jedno i drugie. - Oczywiście. Muszę.

- Powiedz mi, co się stało z „Przepysznyimi obiadami”? - Wiesz, co się stało. Zamiast nich mam Bobby'ego.

- Nie możesz mieć jednego i drugiego? - zapytał łagodnie. Lynn pokręciła głową.

- Sama myśl mnie przeraża. Pieniądze, opieka nad dzieckiem, miejsce, czas... Nie wiem, od czego zacząć.

- Teraz nie wiesz, ale możesz się nauczyć. Na świecie są ludzie, od których możesz się dowiedzieć, jak założyć własną firmę, gdzie znaleźć właściwą opiekę dla dziecka, wszystkiego, co ci jest potrzebne. Wyjdź na świat, Lynn. Nie jest wcale taki nieprzyjazny.

Na chwilę wokół jego oczu pojawiły się wesołe zmarszczki, a potem znów spojrział na nią z troską i zapytał, jakby ją prosił o przysługę:

- Myślisz, że mogłabyś spróbować? Stawić czoło rzeczywistości, faktom? Uśmiechnęła się słabo.

- Josie stale mi to powtarzała.

- I miała rację.

Do pokoju wszedł kot i ułożył się wygodnie u stóp Toma.

- Zadomowił się tutaj, prawda? Czy masz jakieś wieści od Bruce'a?

Lynn z ulgą zmieniła temat rozmowy.

- Pocztywki z malowniczymi widokami. Pisuje do mnie i do Annie, opowiada o swojej pracy, która najwyraźniej dobrze mu idzie, ale nic o sobie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli?

- Ja także dostałem od niego widokówkę, kilka linijek, raczej melancholijnych, jak sądzę.

- On już nigdy nie otrząśnie się po stracie Josie.

- Ja chyba nigdy nie przeżyłem nic równie intensywnego - powiedział samokrytycznie Tom. - Sądzę, że coś straciłem.

- Nie. Uważam, że masz szczęście.

- Wcale tak nie myślisz.

- Cóż, może i nie myślę.

- Pomyślisz poważnie nad tym, co ci powiedziałem? Zastanowisz się, Lynn?

Jego spojrzenie, pełne uczucia, a jednocześnie zakłopotania, wzruszyło ją i złagodziło smutek. Wstała i zdając sobie sprawę, że spotkanie zmierza ku końcowi, podeszła do niego i podała mu rękę.

- Po tym wszystkim, co sobie powiedzieliśmy, muszę przyznać, że jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego można sobie wymarzyć. Tak, zastanowię się poważnie nad tym.

Tak to się zakończyło. I po raz drugi tego dnia Lynn stanęła przy oknie, by patrzeć, jak z jej życia odchodzi mężczyzna.

Powiedział jej trochę gorzkiej prawdy. „Osiągnij to, na co cię stać”. To ją trochę przerażało. A jednak mogła, chciała i będzie musiała podjąć pracę zarobkową. Myślała już nad tym, by odświeżyć swoje sekretarskie umiejętności, wynająć mieszkanie i wyjechać stąd po spłaceniu hipoteki.

Będzie to skromne życie samotnej kobiety obciążonej rodziną, ale jakoś sobie poradzi; przy stałych godzinach pracy znajdzie dobrą opiekunkę dla Bobby'ego. Ale Tom nie miał na myśli takiego życia, mówiąc o „osiągnięciu tego, na co ją stać”.

Weszła do kuchni i rozejrzała się dookoła. Wszystko lśniło, wszystko było wypucowane, od garnków po kwieciste kafelki, od wilgotnych płatków afrykańskiego fiołka po gładkie obwoluty książek kucharskich na półce. Na blacie stał sój z brzoskwiniami w złocistym syropie, a w zlewie na cedzaku ociekała z wody sałata o czerwonych brzegach. Zdała sobie sprawę, że w całym domu tylko kuchnia należała do niej; tutaj spędzała godziny, śpiewając przy pracy.

Bez szczególnego powodu zdjęła z półki książkę kucharską; otworzyła się na przepisie na tort migdałowy, który przygotowała na owo fatalne przyjęcie u Toma Lawrence'a. Stała, wpatrując się w książkę i rozmyślała, rozmyślała, rozmyślała...

Jak w „Le Cirque” - powiedzieli i oklaskiwali ją. Najlepsza restauracja w Paryżu... Cóż, trochę przesadzili, ale tylko trochę.

Przespacerowała się po domu, a potem wróciła do pokoju, w którym rozmawiała z Tomem. Zacznie od początku, zapisze się na kursy, będzie się uczyła. Ludzie tak robią, prawda? Łap swoją szansę...

I po chwili wiedziała, co ma robić. Należało działać szybko. Wahania mogłyby doprowadzić tylko do tego, że nie ruszyłaby z miejsca. Podeszła do telefonu i wykręciła numer siostry.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedziała.

Głos Helen zabrzmiał wesołą i pełną zainteresowania nutą.

- Założę się, że wiem, o co chodzi.

- Jestem pewna, że nie.

- To coś w związku z mężczyzną o imieniu Tom. Emily i Annie opowiadały mi o nim. Czy to nie on podarował Bobby'emu haftowany w krzyżyki fotelik?

- Masz pamięć jak słoń. Nie, to nie ma nic wspólnego z Tomem ani z żadnym innym mężczyzną. To coś o mnie i o tym, jak zamierzam żyć. Otwieram własny interes.

Lynn mówiła pełnym podniecenia tonem. Zadziwiające, jak pomysł nabiera ciała, gdy ubierze się go w słowa. Nagle staje się możliwy, nieunikniony, żywy.

Niemal czuła reakcję Helen, tak jakby drut telefoniczny mógł przenieść jej wstrzymany oddech, otwarte usta i rozszerzone ze zdumienia oczy. Wreszcie Helen zapiszczała:

- Interes? Na miłość boską, jaki?

- Gotowanie. To, co umiem najlepiej. Piekłam ciasta na zamówienie, ale z tego nie da się wyżyć.

- Kiedy podjęłaś decyzję?

- Godzinę temu.

- I co? Tak ot, z powietrza?

- Cóż, niezupełnie. Wiesz, że myślałam o tym od dawna. Zabawiałam się marzeniami. A teraz po prostu do tego dojrzałam. Ot, i wszystko. Okazja i konieczność.

- I odwaga - dodała trzeźwo Helen. - Na rozkręcenie interesu potrzebne są pieniądze. Czyżby twój adwokat wyciągnął więcej od Roberta?

- Tylko tyle, ile wiesz.

- To niewiele, Lynn.

- Nie wzięłabym od niego więcej, nawet gdyby mi dawał.

- Cóż, ja wzięłabym. Jesteś nieznośna, naprawdę. A gdzie masz zamiar otworzyć ten interes.

- Gdzieś w Connecticut. Jednak nie tutaj. Chcę wyjechać z tego miasta. Zapadła cisza.

- Helen? Jesteś tam?

- Jestem. Zastanawiam się. Skoro i tak chcesz się stamtąd wynieść, czemu nie zrobić wielkiego kroku?

- Na przykład?

- Na przykład wrócić tutaj. Nie było cię tu zaledwie cztery lata i wszyscy cię znają. Ludzie pomogą ci zacząć. Czy to brzmi sensownie?

Lynn zastanawiała się. Pomysł wydawał się praktyczny. Nie pomyślała o powrocie „do domu”, bo mogłoby to wyglądać na ucieczkę pod skrzydła rodziny. Ale cóż w tym złego?

- Czy to brzmi sensownie? - powtórzyła Helen.

- Tak. Wydaje mi się, że tak.

- To cudowne, znów mieć cię tutaj! Darwin - usłyszała Lynn - chodź, posłuchaj nowiny. Lynn wraca do domu.

Dom wraz z całym umeblowaniem został sprzedany w ciągu jednego wieczora. Konwencjonalne małżeństwo, zachwycone elegancko urządzonej przez Roberta pokojami, obejrzało dom i następnego dnia złożyło dobrą ofertę.

Poza wyposażeniem kuchni i książkami niewiele pozostało do zabrania: biurko Emily i dziesięciobiegowy rower Annie; ku zdumieniu Lynn, Annie poprosiła również o zabranie fortepianu, chociaż nie tknęła go od owej strasznej nocy. Lynn spakowała rodzinne fotografie, poukładała je w tekturowym pudle, przedzielając serwetkami. Rodzice w dniu ślubu, dziadkowie, dzieci od urodzin do dnia ukończenia szkoły. I nagle fotografia Roberta w srebrnej, ozdobnej ramce. Jego oczy spoglądające na nią jak żywe. Pchnięta nagłym impulsem chciała ją wyrzucić do śmieci razem ze srebrną ramką. Powstrzymała się jednak, pomyślała, że kiedyś pod koniec dwudziestego pierwszego wieku potomkowie mogą być ciekawi, jak wyglądał ich prapradziadek. Wtedy nikt już nie będzie pamiętał, jaki w rzeczywistości był Robert Ferguson i jego pełna dystynkcji twarz zachwyci i wprawi w dumę prawnuków. Niech więc sobie leży zawinięta w papier, gdzieś na strychu.

Tuż przed przeprowadzką miały miejsce dwa nieoczekiwane zdarzenia. Po pierwsze przyszli z wizytą państwo Weberowie.

- Nie byliśmy pewni, czy zechce nas pani przyjąć - powiedział porucznik, gdy Lynn otworzyła im drzwi. - Ale Harris zapewnił nas, że ucieszy się pani. Chciał, żebyśmy przyszli pożegnać się z panią.

- Bardzo mi miło, że przyszliście - odparła Lynn i naprawdę tak czuła. Uważała, że nie należy wyjeżdżać, pozostawiając za sobą jakiegokolwiek urazy czy nieporozumienia.

Usiedli i pani Weber wyjaśniła:

- Harris uważa, że skoro pani wyjeżdża, to znaczy, no cóż, chce, żebyśmy nie byli dla siebie obcy. - Położyła nacisk na słowie obcy. - Wydaje mi się, że jemu chodzi o to, że w razie, gdyby on i Emily... - znowu zamilkła.

Lynn pośpieszyła jej z pomocą.

- Żebyśmy byli przyjaciółmi, w razie gdyby chcieli się pobrać. Czemu nie? Nigdy nie wyrządziliśmy sobie żadnej przykrości.

- Cieszę się, że pani tak uważa - powiedział Weber. - Ja starałem się zrobić, co w mojej mocy, ale niestety nie udało się.

- Wydaje się, że to było tak dawno. - Lynn uśmiechnęła się. - Trudno uwierzyć, że są już w połowie drugiego roku studiów.

- I świetnie sobie radzą. Mają najwyższe oceny - podjął Weber. - Wygląda na to, że rywalizują ze sobą, prawda? W trakcie ostatniej sesji Emily była lepsza, ale Harris nie miał jej tego za złe. Teraz nastaly inne czasy. Za mojej młodości nie byłbym zadowolony, gdyby dziewczyna prześcigała mnie w nauce.

- O, tak. Teraz jest inaczej - zgodziła się Lynn.

Rozmowa z Weberami toczyła się gładko, kiedy już przełamane zostały pierwsze opory. Lynn opowiedziała im o swoich planach, o lokalu, który wynajęła, i o tym, że Darwin wyszukał dla nich dom.

- Ciotka i wuj mojego szwagra przeprowadzili się na Florydę, ale nie chcą sprzedawać swego domu w St. Louis, bo ceny są niekorzystne. Więc będę tam mogła zamieszkać prawie za darmo, po prostu za opiekę.

Pani Weber rozejrzała się po eleganckim salonie, jedynie poplamiona krwią sofa przykryta była pokrowcem. Było to spojrzenie bardzo wymowne i Lynn zrozumiała je.

- Nie będę za nim tęskniła. Nawet za kuchnią.

- Tak, Emily opowiadała nam o pani kuchni.

- Pokażę ją państwu. Tak, jest wspaniała. Zdecydowałam się przeznaczyć moje ostatnie pieniądze na urządzenie takiej samej w moim lokalu. To wielkie ryzyko, ale ja je podejmę.

Rozmowa toczyła się; powiedzieli jeszcze parę słów o Emily i Harrisie. Mówili o nich z dumą i odrobiną rodzicielskiego niepokoju. Potem obejrzelili z zachwytem kuchnię i wyszli.

- Żadnego fałszu - pomyślała Lynn, gdy Weberowie odeszli. - Jeśli się zdecydują, Emily trafi do dobrej rodziny. Doskonały wybór.



Drugie nieoczekiwane wydarzenie związane było z Eudorą. Rozplakała się.

- Nigdy nie myślałam, że pani stąd odjedzie. Byłam pewna, że pani i pan Lawrence...

- Cóż, omyliłaś się. Wszystkie myliłyście się.

- Będę tęskniła za moim chłopczykiem. I za Annie. I za panią, pani Ferguson. Będę o pani myślała, smażyć te naleśniki, których mnie pani nauczyła. Pani nauczyła mnie tak wiele. Będzie mi pani brakowało.

- Nam także będzie ciebie brakowało. Chyba o tym wiesz? Ale nie mogę cię zabrać. Nie stać mnie na to. Nasz dom nie będzie taki jak tutaj. To mały domek, który jedna kobieta z łatwością utrzyma w porządku.

Eudora zastanawiała się przez chwilę. A potem jej twarz rozjaśniła się, jakby przyszedł jej do głowy jakiś pomysł.

- Będzie pani potrzebować kogoś do pomocy w sklepie, prawda? Nie da pani rady gotować, piec i podawać.

- Oczywiście. Będę musiała znaleźć pomocnicę, albo nawet dwie, jeżeli interes będzie się rozrastał.

- One nie muszą umieć tyle co pani, prawda? Chodzi mi o to, że do nich będą należały łatwiejsze czynności i pani je przyuczy.

Zapadła cisza. I nagle Lynn także poweselała. Czemu nie? Eudora uczy się szybko, jest taka pełna zapału i patrzy na nią oczami pełnymi nadziei.

- Czy mam rozumieć, że chciałabyś...

- Chcę, aby mnie pani zabrała ze sobą.

Nadszedł dzień, gdy przyjechała furgonetka po rzeczy. Bezbarwny dzień pod nieruchomym niebem. Mała grupka sprawiała niemal żalosne wrażenie, kiedy spoglądała z progu domu, jak ich niewielki dobytek jest ładowany do furgonetki.

- Zaczekajcie! - krzyknęła Lynn do kierowcy. - Z tyłu za domem jest coś jeszcze. Wanienska dla ptaków. Duży przedmiot. Czy się zmieści?

Mężczyzna wykrzywił twarz w komicznym grymasie.

- Wanienska dla ptaków, proszę pani?

- Tak. Jest bardzo cenna. Cała z marmuru. Z gołębiami. Nie można jej zarysować ani wyszczerbić.

- Okay. Znajdziemy dla niej miejsce.

- Mamo, po co ci ona? - zapytała Annie.

- Sama nie wiem. Po prostu chcę ją mieć.

- Dlatego, że dostałaś ją od wujka Bruce'a? Sprytne dziecko, zdawało się czytać w jej myślach.

- Możliwe. A teraz przynieś Barneya w jego nosidełkach i załóż smyczkę Juliet. Nie zapomnij o jedzeniu dla nich i miseczce na wodę. Przed nami długa droga.

Nadeszła chwila odjazdu. Furgonetka zniknęła. Na podjeździe pozostał tylko samochód combi. Po raz ostatni spojrzały na dom. Daleki, stał na zboczu wzgórza otoczony rozległymi trawnikami, czekając na nowych mieszkańców, tak samo jak kiedyś czekał na nich.

- Ten dom już wcale o nas nie dba - stwierdziła Lynn. - My o niego także. Wsiadajcie.

Samochód wypełniony był po brzegi. Annie usiadła z przodu, Eudora i Bobby w drugim rzędzie, na końcu Barney w swoich nosidełkach i Juliet z zadartą dumnie głową, która sięgała pod sam dach.

- Ruszamy! - krzyknęła Lynn. Nie bardzo wiedziała, co naprawdę czuje, kłębiły się w niej i żal, i nadzieja, i chęć czynu; powtórzyła: - Ruszamy!

Samochód ruszył z podjazdu, zakręcił i skierował się na zachód.

CZEŚĆ PIĄTA  
Zima 1992 - 1993

## Rozdział 8

Emily wróciła do domu na ferie wiosenne. Siedziała właśnie przy kuchennym stole i przyglądała się Lynn, która dekorowała długie, płaskie ciasta lodowymi pączkami róż.

- Dziwne, że w marcu jest tak zimno - zauważyła. - W Nowym Orleanie turyści przesiadują już na Francuskim Rynku, zjadając późne śniadanie - bagietki z mocną czarną kawą. Czy umiesz robić bagietki, mamo?

- Jeszcze nigdy nie próbowałam, ale mogę się nauczyć.

- To ciasto wygląda wspaniale. Jak, kiedy i gdzie nauczyłaś się tego wszystkiego?

- W zeszłym roku na trzytygodniowym kursie cukierniczym.

- To, czego dokonałaś w ciągu ostatnich dwóch lat, wprawia mnie w zachwyt.

- W dwa lata i pięć miesięcy. Ale żeby aż wprawiać w zachwyt? Wydział medyczny w Harvardzie! To jest coś! Jestem z ciebie taka dumna, Emily, że mogłabym spacerować z napisem na plecach.

- Poczekaj do września, kiedy już tam będę.

Lynn spytała ostrożnie:

- A jak przyjął to Harris?

- Co? To, że wybieram się do Harvardu? Nie został tam przyjęty, więc ja pojedę do Harvardu, a on będzie w P & S, która jest równie dobra. Nie jestem z tego powodu zachwycona, ale na pewno nie zrezygnuję z takiej okazji.

Zrezygnowałaś kiedyś z Yale, pomyślała Lynn, ale głośno powiedziała:

- Jeśli nadal się kochacie, taka rozłąka nic nie zmieni.

- Oczywiście - zgodziła się Emily.

Wiele przeżyła, a jednak nadal wyglądała jak uczennica szkoły średniej. Miała na sobie dzinsy i adidasy, a włosy związała czerwoną wstążką. Jej twarz wprost promieniała. Po ojcu odziedziczyła zdolności intelektualne i piękną budowę ciała, ale - dzięki Bogu - nic więcej. Poradzi sobie doskonale. Z Harrisem czy też z kimś innym.

Nigdy nie wmawiaj córce, pomyślała Lynn, że spotka cudownego mężczyznę, który pokocha ją i na zawsze otoczy doskonałą opieką. Tak właśnie mówiła moja matka, ale to były inne czasy, inna epoka.

Dokończyła ostatnią różyczkę i cofnęła się, aby ocenić własne dzieło.

- Gotowe. Lubię taką pracę, u siebie, we własnej kuchni. W sklepie dzieje się zbyt wiele i nie mogę się skupić.

Kuchnia pachniała podgrzanym cukrem i porannym spokojem. Annie poszła do szkoły, a Bobby do przedszkola. W domu panowała cisza. Nadeszła pora na drugą filiżankę kawy. Lynn usiadła, aby się nią rozkoszować.

W wielkim koszu popiskiwało i przepychało się pięć szczeniąt walczących o dostęp do mleka matki.

- Są takie kochane - powiedziała Emily. - Zatrzymasz je wszystkie?

- Na Boga, nie. Annie chciałaby, oczywiście, ale musimy znaleźć miejsce dla czworga z nich. Zgodziłam się zatrzymać jednego. A potem wysterylizujemy Juliet.

- Jak coś takiego mogło się przydarzyć suce czystej krwi? - spytała rozbawiona Emily.

- Musiała się gdzieś wymknąć, zanim ogrodziłam podwórko. A może jakiś pies dostał się tutaj. Mam pewne podejrzenia co do pudła z sąsiedztwa, bo kilka szczeniąt przypomina go. Wszystko wskazuje na to, że będą ogromne.

Jedno ze szczeniąt wypadło z koszyka i zrobiło na podłodze niewielką kałużę. Lynn zerwała się, włożyła szczeniaka do koszyka i wytarła kałużę. Emily roześmiała się:

- Mamo, pomyślałam właśnie, że tata byłby wściekły, że Juliet ma nierasowe szczeniaki.

- Jestem pewna, że nie byłby zachwycony. Nie podobałoby mu się w tym domu. Spojrzała w kierunku przedpokoju, gdzie parkował rower na trzech kółkach, a na

staromodnym wieszaku wisiał rząd płaszczy nieprzemakalnych. Ach, jak przyjemnie nie starać się być wcieleniem doskonałości, pozwolić sobie na odrobinę kurzu na meblach i drobne niepunktualności...

- Podobają mi się te stare domy w stylu wiktoriańskim z rzeźbionymi gankami i tymi wszystkimi zakamarkami - zauważyła Emily. - Oczywiście, muszę przyznać, że umeblowanie jest okropne.

- Jeżeli kiedykolwiek kupię ten dom, to na pewno bez umeblowania. A możliwe, że go kupię. Właściciele zdecydowali się go sprzedać, a ponieważ są krewnymi wujka Darwina, oferują mi dogodne warunki. Może nie powinnam tego robić, ale dom jest ładnie

położony, podwórko w sam raz dla Bobby'ego, a ja nareszcie wychodzę na swoje i mogę trochę zaoszczędzić. Więc może jednak kupię go. - Lynn uśmiechnęła się. - Podniecające życie pełne ryzyka! Mówiłam ci już, że zaproponowałam Eudorze dziesięć procent od zysku oprócz pensji? Jest teraz moją współniczką, i to wprawia ją w zachwyty. Bardzo szybko się uczy. Robi też swoje jamajskie dania, za którymi ludzie przepadają - ryż z groszkiem, ciasta bananowe i różne takie. Dogląda sklepu, kiedy ja piekę coś w domu, a gdy mam pracę w sklepie, ona zostaje w domu, żeby zająć się Annie i Bobbym, gdy wracają ze szkoły. Obie jesteśmy zadowolone.

Emily słuchała tego wszystkiego i podziwiała matkę.

- Jest wielki popyt - ciągnęła Lynn. - Mnóstwo kobiet pracuje zawodowo, więc organizujemy nie tylko kolacje i przyjęcia. Gotujemy zwykłe dania, które zamrażamy i sprzedajemy w sklepie. To był dobry pomysł, zacząć tutaj, gdzie wiele ludzi pamiętało mnie.

- Czy wujek Bruce często pisze?

- Cóż, nie powiedziałabym, że często, ale pisuje.

Te jego miłe, przyjazne listy. O pracy i podróżach. I ani słowa na inne tematy. „Wiadomość z ostatniej chwili. Chcą, abym otworzył nowe biuro przedstawicielskie w Moskwie. Zaczęłam się uczyć rosyjskiego”.

Emily otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

- Co? Co chciałaś powiedzieć?

- Chciałam... chciałam zapytać, czy masz jakieś wiadomości o tacie?

- Jedyne kontakty, jakie z nim mam, i nie chcę żadnego innego, to wiadomości z banku, który wypłaca mi należności na was. Najwyraźniej ma teraz bardzo dobrą pracę. - Lynn zawahała się, czy powiedzieć więcej, a potem zdecydowała się i spytała: - A ty, masz wiadomości od taty?

- Dostałam od niego w prezencie urodzinowym czek. I książkę z nowoczesną poezją. Nie napisał nic na swój temat, wyraził tylko nadzieję, że jestem szczęśliwa.

Jego córki... pomyślała Lynn, prawie czuła bolesną stratę, jaką poniósł. Ale co się stało, to się nie odstanie... Wstała i zdjęła fartuch.

- Muszę teraz pójść do sklepu. Ciocia Helen ma wstąpić po ciasto.

- Na dwudziestopięciolecie!

- Tak. I to szczęśliwe.

- Tata zawsze uważał wujka Darwina za idiotę, prawda? - Wielu ludzi uważał za idiotów i mylił się.

Zrobiło jej się nieprzyjemnie, gdy przypomniała sobie pogardliwe skrzywienie ust Roberta, jego pełne sarkazmu uwagi na temat znajomych, napomknienia o żydowskim pochodzeniu Lehmanów. Jasne, że Emily też tak czuła.

Pod wpływem nagłego impulsu pogłaskała córkę po głowie.

- Co będziesz robić, gdy wyjdę do sklepu?

- Nic. Po prostu leniuchować. To przecież wakacje.

- Świetnie. Nieróbstwo jest ci potrzebne. Baw się dobrze.

Boże, spraw, aby życie było spokojne i miłe, myślała, jadąc przez podmiejskie ulice. Musimy wylizać się z naszych ran. Bobby nie będzie pamiętał tamtej nocy, ale Annie zapamięta ją na zawsze; mam nadzieję, że jej inteligencja pomoże jej uporać się z tym. Już pomogła. I terapia. Ale najbardziej pomogło samo odejście Roberta. To takie proste. Straciła dziesięć kilogramów i jej pozbawiona tłuszczu twarz nabrała uroku. Wyprostowała sobie włosy i po raz pierwszy w życiu była zadowolona z własnego wyglądu. Zaczęła nawet, bez żadnej zachęty, grać na fortepianie!

Od owego dnia, gdy ich samochód przejechał Missisipi, wiele się zmieniło. Zajechali już po północy. Padał deszcz i było bardzo zimno. Darwin włączył wcześniej piec, a Helen pościeliła im łóżka. Padli na nie bez życia.

Deszcz stukał o szyby w oknach obcego pokoju. Lynn spoglądała od czasu do czasu na zegarek przy łóżku... Trzecia godzina... Serce podskoczyło jej do gardła, poczuła panikę.

Była przecież odpowiedzialna za swoje dzieci, a nawet za Eudorę, taką wierną, tak pełną nadziei i tak daleko od domu. Strach szeptał jej do ucha: Nie poradysz sobie. To zbyt wiele. Nic przecież nie umiesz. W porządku, umiesz gotować, ale nie jesteś geniuszem. Jak w ogóle możesz sobie wyobrazić, że podołasz? Szalona, szalona kobieta. A deszcz padał i padał, nawet jego brzmienie było wrogie. Nadszedł świt szary i brudny, wydobył z mroku brzydkie meble w obcym pokoju.

O czym ty marzysz? Nie dasz sobie rady.

Ale musiała spróbować. - Nic nie zdziałasz, wylegując się w łóżku i trzęsąc ze strachu - strofowała samą siebie. Wstała i w brudnym świetle poranka sporządziła listę tego, co ma zrobić.

Przede wszystkim zapisać Annie do szkoły i znaleźć dla niej terapeutę. Pójść i obejrzeć sklep, który ma zapewnić jej byt i powodzenie, sprawdzić, co należy tam zrobić. Następnie pójść do grupy samopomocy dla ludzi zakładających własne firmy, tam powiedzą jej, od czego zacząć; czytała, że takie grupy są bardzo pomocne.

„Świat wcale nie jest taki nieprzyjazny, jak to się może wydawać”, zapewniał ją Tom. Wkrótce się o tym przekona.

Lynn uśmiechnęła się na myśl, jak bardzo przyjazny może być świat. Mężczyzna, który pomógł jej najbardziej, zupełnie młody mężczyzna, który odszedł na rentę w wieku czterdziestu kilku lat, tak bardzo zachwycił się jej „przedsiębiorstwem”, że zupełnie serio zaproponował jej małżeństwo.

- Lubię cię - powiedziała mu - i jestem ci wdzięczna. Ale nie mam zamiaru wychodzić za mąż.

Wprawdzie przyjemnie byłoby mieć mężczyznę i sypiać z nim; przyjaźnić się i ufać mężczyźnie - to jedno; ale małżeństwo, dać się pochłonać poprzez małżeństwo tak, jak zdarzyło się w jej przypadku - to całkiem inna sprawa. Tego właśnie obawiała się. Być może kiedyś nadejdzie taki dzień, że nie będzie się bała utraty swojej niezależności, ale jeszcze nie teraz. Nie teraz. I nie z żadnym z mężczyzn, z którymi się widywała.

Helen i dawne przyjaciółki często przedstawiały jej jakichś mężczyzn. Przyzwoitych, inteligentnych, do przyjęcia. Niektórzy byli nawet zabawni. Ale tylko tyle. Ona nie była jeszcze gotowa.

Lubiła powtarzać, śmiejąc się trochę z tej wymówki, że po prostu nie ma czasu na małżeństwo! Gdy znajomi, a zwłaszcza kobiety zachęcały ją i pytały: Dlaczego? - odpowiadała, że ma Annie i małego synka, firmę i ani chwili dla siebie; czyż one tego nie widzą?

Czasami... nawet często... myślała o Brusie. Przeżywała ów dzień, ów jedyny dzień, gdy się kochali. Czas sprawił, że poczucie winy minęło, a pozostało jedynie wspomnienie niezwyklej radości. Myślała o tym długo, starała się przeżyć jeszcze raz i zrozumieć ów moment. I w końcu zrozumiała różnicę pomiędzy seksem, który dawał, a seksem, który polegał wyłącznie na braniu i posiadaniu. Robert posiadał ją, a



Bruce nie. Wiedziała, że Bruce nigdy nie chciałby posiadać kobiety; on chciał, żeby była wolna i równa.

Ale poza krótkimi listami i widokówkami przedstawiającymi zamki w Danii czy Grecji, Bruce całkowicie znikł z jej życia, przepadł.

Pewnego dnia, jakiś miesiąc temu, spotkała się z Tomem Lawrence'em. Przyjechał do St. Louis, aby wysłuchać zeznania, i zatelefonował do jej sklepu.

- Szukałem „Przepysznych obiadów” i zajrzałem do książki telefonicznej - powiedział. - Zjesz ze mną kolację?

Poszła, czując wdzięczność i dumę, że może mu pokazać, jak dobrze wykorzystała jego rady. Wdzięczność i dumę, ale nic ponadto. Była z nim całkowicie szczerą.

- Gdybyś mnie poprosił tamtego dnia, wyszłabym za ciebie - wyznała mu.

- A teraz jestem ci wdzięczna za to, że uświadomiłeś mi, jaki to wielki błąd.

- Już ci mówiłem - odrzekł z powagą - że gdybym miał o dwadzieścia lat mniej i był rozsądniejszy, postąpiłbym wtedy inaczej.

- Zaoszczędziłbyś mi mnóstwa kłopotów - roześmiała się.

- Dlaczego? Przyjęłabyś mnie zamiast Roberta? Zastanowiła się i odrzekła z powagą:

- Nie. Wtedy on był dla mnie księciem z bajki i nawet księżę Walii nie wygrałby z nim.

- Lynn, tak się cieszę, że cię widzę! Wyglądasz ślicznie i tak młodo; z twojej twarzy zniknęło napięcie.

- Myślisz, że prowadzenie firmy nie wiąże się z napięciem? - spytała żartobliwie.

- Pewnie tak. Ale to zupełnie inny rodzaj napięcia. - Uśmiechnął się do niej radosnym uśmiechem, pełnym czułości. - Podoba mi się twój kostium. I perły. Myślałem, że zwróciłaś całą biżuterię.

- Zwróciłam. Te kupiłam sobie sama.

- Są bardzo ładne. Czysta biel, w guście europejskim. Amerykanie wolą kremowe. Widzisz, jak się znam?

Przechodziła koło jubilera w dniu, w którym spłaciła pożyczkę. Ubrała się wtedy na czarno. Przystanąła na chwilę przed wystawą i podziwiała cudowne białoniebieskie perły. Toczyła ze sobą walkę. Nie potrzebowała ich, ale podobały jej się. Chciała je mieć. Weszła

więc i po chwili wyszła z perłami, jej perłami, za które nie musiała być nikomu wdzięczna.

- Czy masz jakieś wieści od Bruce'a? - zapytał Tom. Odpowiedziała to, co zawsze:

- Niewiele. Jest chyba straszliwie zapracowany.

- Tak, to prawda. Gdy spotkałem się ostatnio z Monacco, opowiadał mi o nim. Twierdzi, że Bruce to „błyskotliwy facet, spokojny i skromny”.

- Cieszę się ze względu na Bruce'a. Mam wrażenie, że nie zobaczymy go już więcej.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytał Tom z zainteresowaniem.

- Takie jest życie. Spotykasz kogoś, przyjaźnisz się z nim, a potem się rozstajesz.

- On zawsze bardzo cię lubił.

- Ja jego także.

- Znacie się od tak dawna.

- O, tak.

Od bardzo dawna. Dni młodości, w słońcu, bliscy sobie jak brat i siostra. Tyle wspomnień. Ów ranek, gdy Robert kupił jej bransoletkę, a Bruce powiedział: „Przyjmij ją. Zasłużyłaś sobie na nią”. Wtedy nie wiedziała, co miał na myśli. Dzień, gdy zatelefonował ze szpitala i powiedział, co stało się z Emily. Dzień, gdy pojechał po Annie, aby ją przywieźć do domu. Dzień, gdy kochali się w domu Josie i co przyniosło jej ulgę i rozkosz, i szczęście. A potem owa noc, gdy odzyskując przytomność, spostrzegła Bruce'a obmywającego jej pokiereszowaną twarz.

Wspomnienia, wspomnienia.

Nie chciała rozmawiać o nich z Tomem. Nie wiedziała, co znaczą, prowadziły donikąd.

Lynn zatrzymała samochód na ładnej wysadzonej drzewami ulicy handlowej. Pomiedzy kwiaciarnią i księgarnią wisiał jaskrawoniebieski szyld z napisem „Przepyszne obiady”. Na wystawie widać było pięknie nakryty stół, z jasnożółtym obrusem, czarno - białą porcelaną i wazonem pełnym pierwszych, wiosennych żonkili. Przez niebieskie drzwi wchodzili i wychodzili klienci.

Przy ladzie uwijały się dwie młode dziewczyny. W tyle za wahadłowymi drzwiami szykowano dania; pracownica myła

warzywa, a Eudora dekorowała półmisek z rybą na uroczysty lunch dla pań.

- Skończyłam ciasto - oświadczyła Lynn. Spojrzała na zegarek. - Mam mnóstwo czasu na przygotowanie sałatki i paluszków z kukurydzianej mąki. Mówiłam, że francuskie pieczywo byłoby odpowiedniejsze, ale uparła się przy paluszkach. Czy jest tu mój fartuch?

Po upływie godziny, gdy Lynn wkładała paluszki do piekarnika, jedna ze sprzedawczyń otworzyła drzwi.

- Przyszedł jakiś pan i koniecznie chce się z panią zobaczyć. Tłumaczyłam, że jest pani zajęta, ale on...

- Witaj - powiedział Bruce.

- O, mój Boże! - krzyknęła Lynn i odstawiła blachę na stół.

- Tak, to ja. - I rozwarł ramiona.

Śmiała się i płakała, a on tulił ją na oczach zdumionych klientów.

- Myślałam, że jesteś w Rosji! Co tutaj robisz?

- Miałem jechać do Rosji, wszystko było już przygotowane, bilety kupione, ale nagle zmieniłem zamiar, zmieniłem trasę i wysiadłem dziś rano na lotnisku Kennedy'ego. Tam się przesiadłem. Nie miałem nawet czasu, żeby się ogolić. Przepraszam.

- A cóż to szkodzi? Nie wierzę własnym oczom. Tak bez zapowiedzi. Bez słowa. - Jąkała się Lynn. - Emily przyjechała do domu na ferie wiosenne. Nie zgadniesz! Będzie studiować w Harvardzie. Ucieszy się, gdy cię zobaczy. Opowie ci o wszystkim. A Annie zastanawiała się, czy kiedykolwiek zobaczysz, jak dobrze opiekuje się Barneyem. Och - powtórzyła - nie wierzę własnym oczom. - I wyswobodzając się z uścisku, krzyknęła: - I spójrz, kto tutaj jest, Eudora!

- Eudora? A co ty robisz na Środkowym Zachodzie?

- Jest moją współniczką - odpowiedziała Lynn, zanim Eudora zdołała wydobyć z siebie głos. - Ma udział w tym sklepie.

Bruce rozejrzał się wokół.

- Nigdy nie napisałaś mi, jak tu wygląda. Nie miałem pojęcia.

Patrzył na półki, ogromny, błyszczący piec kuchenny i lodówkę, tace z ciastkami, klientów czekających w kolejce.

- Ależ, Lynn, to zadziwiające. Spodziewałem się, że sobie poradzisz, ale... Sam nie wiem. Myślałem...

- Że będę samiutka przygotowywać obiady gołymi rękami? Cóż, od tego zaczęłam. Przez pierwsze miesiące byliśmy tylko we dwie z Eudorą. Ale interes rozrasta się. Po prostu rozrasta.

Bruce w podnieceniu zsunął okulary na czoło i Lynn musiała się roześmiać.

- Nigdy przez nie nie patrzysz.

- Co? A, okulary. Nie wiem, czemu tak robię. Powiedz, możemy zjeść razem lunch? Lynn zwróciła się do Eudory:

- Poradzisz sobie beze mnie? Nie chcę tego wszystkiego zwałać na twoje barki, ale.

- Wszystko w porządku. Muszę tylko wymieszać sałatkę i przygotować zupę. Może pani iść. - Eudora cieszyła się z niespodziewanej wizyty. - I niech pani zdejmie przed wyjściem ten fartuch.

- Pojedziemy moim samochodem - powiedział Bruce. - Wypożyczyłem go na lotnisku. Zawiozłem już rzeczy do hotelu. Mam apartament. Nie mogłem ich zmieścić w pojedynczym pokoju. Pojedźmy do hotelu na lunch. Umieram z głodu. Dziś rano wypilem tylko kawę.

- Przywiozłeś wszystko do St. Louis? Nie rozumiem.

- To długa historia. Cóż, może nie aż taka długa. Opowiem ci, jak usiadziemy. Gadał jak najęty; nigdy nie mówił tak prędko.

- No więc - zaczął, gdy usiedli w cichej, wyłożonej dywanami sali restauracyjnej. - No więc wróciłem. Czuję się tak, jakby minęły całe wieki. Pamiętasz przyjęcie pożegnalne przed wyjazdem do Nowego Jorku? Zmieniłaś się. Nie wiem, na czym to polega, ale podoba mi się. Wyglądasz na wyższą.

- Jak mogę być wyższa? - spytała trzeźwo.

- To coś nieuchwytnego, może sposób, w jaki się poruszasz. Jesteś bardziej pewna siebie. Co nie oznacza, że nie podobałaś mi się dawniej. Wiesz o tym, prawda?

- Nie - odpowiedziała. Tom także powiedział jej wiele komplementów, a jej już nie zależało na pochwałach.

- Sprawiasz wrażenie spokojnej - powiedział Bruce, przyglądając się. - Tak, to jeszcze jedna zmiana.

- Cóż, pogodziłam się z wieloma sprawami. Myślę, że się ucieszysz, gdy ci powiem, że niedawno odwiedziłam dom, w którym odbyło się owo przyjęcie dla dzieci, w czasie którego Caroline wpadła

do stawu. Zmusiłam się, aby spojrzeć na staw, i po raz pierwszy byłam w stanie przypomnieć sobie, co się stało, nie obwiniając o to siebie. Pogodziłam się i poczułam się wolna - dokończyła cicho. - To dzięki tobie, Bruce, dzięki temu popołudniu u ciebie w domu. - Uśmiechnęła się. - A teraz opowiedz mi o sobie.

- Przyjąłem to stanowisko - zaczął - bo, jak wiesz, chciałem się wyrwać. Rzuciłem się w wir pracy. To był prawdziwy dar niebios. Pracowaliśmy bez wytchnienia, wszyscy, i myślę, że wiele dokonaliśmy. Otrzymałem list od Monacco, w którym proponował mi stanowisko w Moskwie. Cóż, już je prawie przyjąłem. A potem zdecydowałem się wrócić tu.

- Co cię do tego skłoniło? Byłeś na najlepszej drodze na sam szczyt, do zajęcia miejsca Monacco - powiedziała, myśląc o tym, jak bardzo liczył na to Robert.

- To ostatnia rzecz, jakiej pragnąłem. Stać na czele międzynarodowej korporacji, z całą tą polityką, to dobre dla innych, ale nie dla mnie. Powiedziałem, że chcę wrócić na moje dawne miejsce, tutaj w St. Louis, tylko że teraz jako szef. Tyle odpowiedzialności to w sam raz dla mnie.

- Dlaczego nie do Nowego Jorku?

- Nigdy nie lubiłem Nowego Jorku.

- To dlaczego tam pojechałeś? Przecież nie musiałeś - zdziwiła się Lynn. Odparł nieco onieśmielony:

- Wydaje mi się, że chciałem pokazać, że jestem równie dobry jak Robert. To zarozumiałość, ale wydaje mi się, że chciałem udowodnić, że mogę zrobić wszystko to, co on, i zrobić to równie dobrze. Wiem, że on mnie nigdy nie lubił i był o mnie kiepskiego zdania.

- Ale dlaczego zależało ci na opinii Roberta? - spytała zdumiona.

- Mówiłem ci. Duma. Ludzie to dziwne istoty. No więc teraz, gdy już to udowodniłem, nie dbam o to więcej.

To dziwne wyznanie wzruszyło ją do głębi serca.

Bruce spojrział na swoje nakrycie, a potem podniósł na nią oczy i powiedział nieśmiało:

- Dostałem list od Toma Lawrence'a, pisał, że widział się z tobą kilka miesięcy temu.

- Tak. Był tutaj.

- A więc ciebie i Toma łączy coś poważnego.

- Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. Nie przyjechał tu ze względu na mnie. Miał coś do załatwienia i przy okazji spotkał się ze mną, to wszystko. To miły mężczyzna i ma wdzięk. - Uśmiechnęła się. - Ale to nie jest ktoś dla mnie, i ja nie jestem odpowiednia dla niego.

- Naprawdę? - brązowe oczy rozszerzyły się i zabłyśły. - Myślałem, że przyjechał tu specjalnie, aby się z tobą zobaczyć. Nie, nie napisał nic w tym rodzaju, po prostu podejrzewałem, że tak jest. - Bruce zawahał się. - Zawsze wydawało mi się, że ty i on...

- Ja także tak kiedyś myślałam - odrzekła odważnie. - Ale nie byłam pewna własnych uczuć. Wydawało mi się, że kobieta nie jest w stanie poradzić sobie bez mężczyzny. Ale otrząsnęłam się z tego. Bóg jeden wie, ile wysiłku mnie to kosztowało.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że wykreśliłaś mężczyznę ze swego życia?

- Nie. Tego nie powiedziałam.

To było jak słowna szermierka. Gdyby mieli w rękach szpady, krzyżowaliby je i wycofywali się, krzyżowali i wycofywali. Lynn zdała sobie sprawę, że jej serce bije w przyspieszonym tempie.

- Cieszę się, że Tom nie jest dla ciebie odpowiedni - powiedział nagle Bruce.

- Naprawdę?

- Czy... czy jest ktoś inny?

- Nie. Mógłby być, nawet niejeden, ale ja nie chcę żadnego z nich. Spojrzała na stojące wokół stoły, przy których ludzie rozmawiali. Bóg wie o czym.

Siedziała opierając ręce na stole i myślała o tym, że wolałaby, aby Bruce nie wracał do St. Louis. Trudno jej będzie spotykać go i traktować jak kuzyna czy starego przyjaciela. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak głębokie były jej tęsknoty, zawsze je tłumiała. I oto teraz siedziała tak blisko jego ciepłych ust i ciepłych ramion, dzieliły ich zaledwie centymetry. Zjedzą wspólnie ten lunch, uśmiechną się do siebie i rozstaną do następnego razu, i to wszystko.

Miała ochotę zerwać się i uciec.

- Kilka tygodni temu przeglądałem zdjęcia, które mi dałaś - powiedział Bruce. - Rozłożyłem je wszystkie i odbyłem podróż poprzez minione lata. I miałem coś... coś w rodzaju... wizji.

Zdumiona tym słowem, podniosła na niego oczy i napotkała przeciągłe i pełne powagi spojrzenie.

- Zobaczyłem ciebie i mnie, zupełnie wyraźnie. I nagle wiedziałem już, co mam robić. - Sięgnął przez stół i nakrył jej dłonie swoimi. - Zawsze byłaś mi bardzo droga, nie wiem, czy zdawałaś sobie z tego sprawę czy nie. Ale nie rozum mnie źle; nie muszę ci mówić, jak bardzo kochałem Josie. Więc nie mogłem przyznać się, że w moim sercu jest jeszcze miejsce dla ciebie. Nie mogłem.

Oczy Lynn wypełniły się łzami. Milczała.

- Powiedz mi, czy przychodzę zbyt późno? A może zbyt wcześnie? Powiedz.

- Ani jedno, ani drugie - odrzekła z namysłem. - Ani zbyt wcześnie, ani zbyt późno.

Uśmiechnął się do niej, a jego oczy błyszczały bursztynowym blaskiem. Ten uśmiech był zaraźliwy; Lynn roześmiała się także, chociaż po policzkach spływały jej łzy.

- Tak cię kocham, Lynn! Musiałem cię kochać przez całe lata, nic o tym nie wiedząc.

- A ja... ja pamiętam dzień twego odjazdu. Obejrzałam się, a ty machałeś mi...

- Nie płacz. Nie płacz. Już dobrze. - Odsunął filiżankę z kawą. - Chodźmy na górę. Już najwyższy czas.

I pomyśleć, że właśnie tego ranka w drodze do pracy myślała o nim z taką tęsknotą i pożądaniem i że obiecywała sobie „już nigdy więcej”!

- Miłość po południu - wyszeptała.

Tym razem nie czuła się winna, nie szukała pociechy w smutku, rozpierała ją radość. Leżeli spleceni w uścisku.

- Tak mi dobrze - westchnął Bruce. - Nie wracaj jeszcze do domu. Zostań. Musimy porozmawiać.

- Dobrze. O czym będziemy rozmawiać?

- Tak sobie myślałem, że może kiedyś, gdy znudzi nam się nasze dotychczasowe zajęcie, otworzymy wiejski zajazd. Co o tym sądzisz?

- Kochanie, wszystko jest możliwe.

- Moglibyśmy umeblować go antykami. Przywiozłem trochę starych mebli z Europy, biedermeier, płyną statkiem. Nie uwierzysz, jak dobrze wygląda z innymi meblami, a nigdy nie lubiłem tego stylu, ale...

I roześmiał się swoim głośnym, zaraźliwym śmiechem.

- Co cię tak śmieszy?

- Przypomniałem sobie, jak mnie kiedyś okantowano. Te wszystkie stare meble, które z taką miłością restaurowałem... Jeden facet opowiedział mi, że w Niemczech jest zakład, w którym je produkują i wysyłają do Stanów, zniszczone i wypacykowane pięcioma warstwami łuszczącej się politory. Spędzałem całe godziny na dodrapywaniu się do oryginału. Pamiętasz, jak Annie pomagała mi w tym? O, Boże! - Trząśł się ze śmiechu. - Lynn, jestem taki szczęśliwy. Aż nie wiem, co mam z sobą począć.

- Powiem ci. Ubierzmy się i jedźmy do domu. Chcę, żebyś spotkał się z całą rodziną.

- Świetnie. Wiesz co? Był jeszcze jeden powód, dla którego przyjąłem stanowisko w Budapeszcie. Zawsze zazdrościłem Robertowi, że ma ciebie, chociaż na to nie zasługuje. Cieszyłem się na myśl, że czuje się ukarany, gdy zająłem jego miejsce. Bardzo małostkowe, zdaję sobie z tego sprawę.

- I bardzo ludzkie - dodała.

Zamyśliła się, rozczesując przed lustrem włosy:

- Zastanawiam się, czy to możliwe, że Robert stał się taki, bo miał takiego ojca.

- Imię „Robert” dziwnie zabrzmiało w jej ustach. Dawno go nie wypowiadała.

- Przecież równie dobrze mógł się stać jego przeciwieństwem, po prostu, aby sobie udowodnić, że jest lepszy.

- Mógł, ale nie stał się. I tylko to się liczy.

Bruce stanął za jej plecami i razem spojrzeli w lustro.

- Bruce i Lynn. To dziwne, że nie ma na świecie nikogo, kto byłby dla nas odpowiedni. Gdybym nie spotkał Josie, mógłbym żyć tylko z tobą.

Lynn przypomniała sobie, że Tom Lawrence powiedział jej coś podobnego, nie dokładnie to samo, ale coś w tym rodzaju.

- Ale Josie i ja jesteśmy zupełnie inne - odparła.

- Właśnie to miałem na myśli. Powiedz mi, gdybyś nie była z Robertem, czy to mógłbym być ja?

- Nie wiem, jak postąpiłabym dawniej - odparła szczerze. - Ktoś zadał mi już podobne pytanie i odpowiedziałam, że nie zamieniłabym



Roberta nawet na samego księcia Walii. Byłam wtedy kompletnie oczarowana. Ale teraz jestem kimś zupełnie innym.

- Ale gdybyś wtedy była taka jak teraz? Czy to bardzo głupie pytanie?

- Może i głupie. Bo czy nie widzisz, że gdybym wtedy miała mój dzisiejszy rozum... - Odwróciła się ku niemu i ujęła jego twarz w dłonie. - Och, mój drogi, mój najdroższy, przecież wiesz, że powiedziałabym „tak”. Tysiąc razy „tak”.

Annie ćwiczyła gamy. Na dole w prowizorycznym dzieciennym pokoju Bobby i jego czteroletni przyjaciel bawili się głośno.

- Mam nadzieję - powiedziała Lynn - że zdołasz przywyknąć do bardzo hałaśliwej rodziny.

- Przez długi czas miałem bardzo spokojną rodzinę. Z zachwytem i wdzięcznością przywyknę do hałasu.

Stali w małym, słonecznym saloniku, którego okna wychodziły na podwórko. Oprowadziła go już po całym domu i członkowie rodziny powitali go z radością, a teraz, jakby przeczuwając, co się święci, pozostawili Bruce'a i Lynn samych.

- Popatrz tam - wskazała Lynn. - Co widzisz?

- Nie mów, że przywlokłeś tu wanienkę dla ptaków.

- W ostatniej chwili poczułam, że muszę ją z sobą zabrać.

Na marmurze zachowała się jeszcze resztką szarawego śniegu, chociaż trawnik zaczynał się już zielenić.

- W zimie nalewałam tam wody i podgrzewałam ją. Ptaki muszą pić wodę także w zimie.

- To cała Lynn. Mało kto pomyślałby o tym.

- Spójrz, spójrz na to śliczne stworzonko! To pierwszy drozd, pierwszy w tym roku. Patrz, jak pije. Musi być bardzo zmęczony i spragniony po długim locie z południa.

Ptaszek zatrzepotał skrzydełkami, otrząsnął piórka i odleciał w stronę drzew.

- Zastanawiam się, o czym on sobie myśli. Może o tym, że czeka go jasne, ciepłe lato.

- Nie mam pojęcia, ale wiem, o czym ja myślę.

Spojrzała na jego kochaną twarz. Okulary jak zwykle miał zsunięte na czoło, a oczy błyszczały mu radośnie.

- Myślę o naszym własnym ciepłym lecie i wszystkich pogodnych latach, które nas czekają.